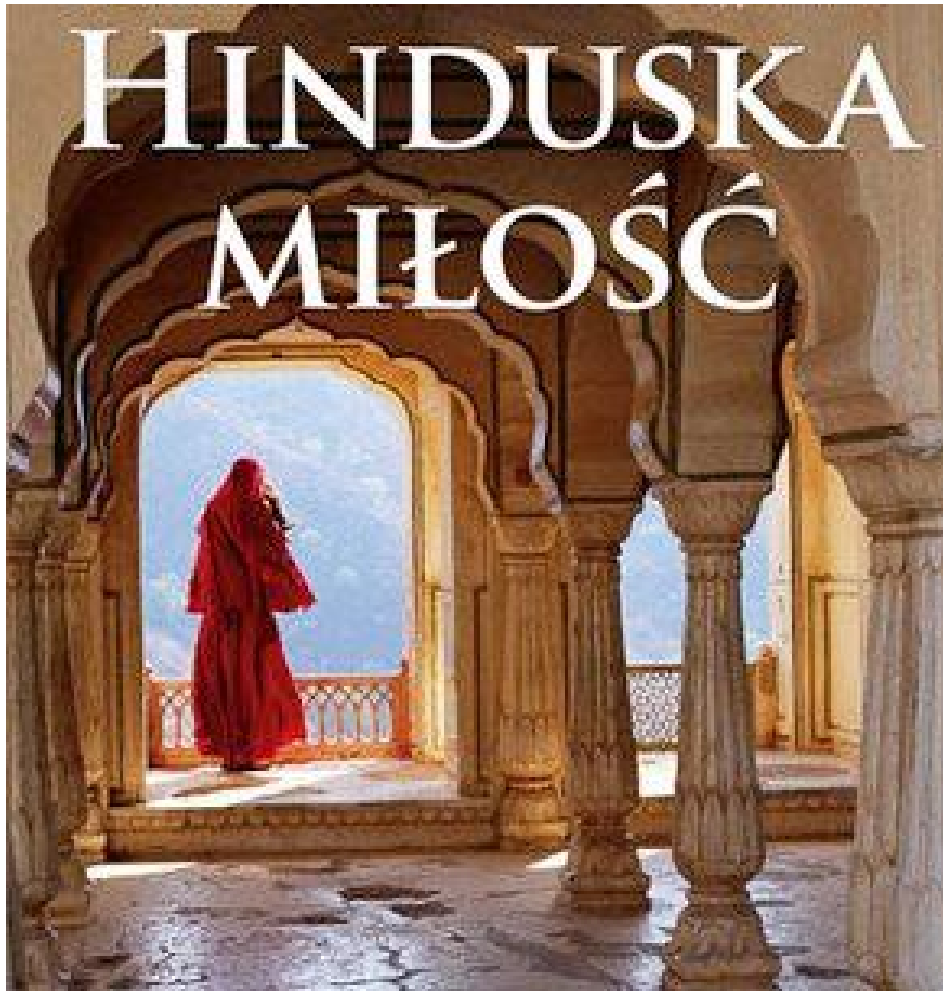




# JAYIER MORO



Z hiszpańskiego przełożyła: Barbara Jaroszuk

Radzy Sebastianowi i jego matce księżnej Sicie

Opatrzność stworzyła maharadzów, aby dać widowisko światu.  
Rudyard Kipling

Dzieci obojga płci należy koniecznie raz w tygodniu zabierać na polowanie, a kiedy podrosną powinny przynajmniej dwa tygodnie w roku poświęcać łowom na tygrysa. Uwagi o wychowaniu rządzących (maharadża Gwalijaru, General Policy Durbar, 1925)

Wszystko uchodzi, albowiem namiętność nie czeka.  
Kamasutra 2.3.2

## Część pierwsza

Życie to bajka

### Rozdział pierwszy

28 listopada 1907 roku. Dokoła spokój. Morze Arabskie jest jak ogromna plama oleju rozlewająca się aż po ciemny horyzont. S/s Aurorę, okręt o wyporności ośmiu tysięcy ton należący do spółki Messageries Maritimes, tnie przybrzeżne wody Indii, zostawiając za sobą pofałdowany ślad. Z dwóch wysokich kominów, białych z niebieskim pasem, unoszą się ku rozgwieżdżonemu tropikalnemu niebu słupy dymu. Śruba obraca się z regularnym warkotem. S/s Aurorę, który opuścił Marsylię przed czterema tygodniami, wiezie do Pondichery i Saj gonu angielskich i francuskich urzędników kolonialnych, misjonarzy, rodziny osadników i żołnierzy. We Francji wszyscy skarżyli się na październikowe chłody, teraz narzekają na wilgotny upał, który zmusza do spania na pokładzie. Powietrze gęstnieje z każdą chwilą, jak gdyby podgrzewane przez księżyc. Przyjemny klimat Tunisu czy Aleksandrii jest już tylko odległym wspomnieniem. Niektórzy pasażerowie pierwszej klasy spędzają popołudnia na strzelaniu do albatrosów i mew. Ćwiczą celność z myślą o czekających ich wielkich polowaniach.

Dwie kobiety wyciągnięte na leżakach na górnym pokładzie przyglądają się latającym rybom, które połyskują gdzieniegdzie na tle ciemnego morza: część obija się o kadłub statku, inne lądują na pokładzie z tekowego drewna, skąd zbiera je majtek, by następnie włożyć do kubekka i wyrzucić za burtę. Młodsza z kobiet, siedemnastoletnia Hiszpanka Ana Delgado Briones, elegancko ubrana w zieloną jedwabną suknię od Paquina, ma kręcone włosy zebrane w kok podkreślający smukłość jej szyi, kolczyki z pereł, owalną buzię o regularnych rysach i wielkie, czarne, rozmarzone oczy. Druga - czterdziestoletnia Mme Dijon - to dama do towarzystwa. Ze swoją podłużną twarzą przypomina srokę. Wyglądałaby na prowincjonalną nauczycielkę, gdyby nie wytworny strój: biała spódnica do kostek, odpowiednio dobrana muślinowa bluzka i słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

- Dziś wieczorem, na kolacji u kapitana, cicho sza... - mówi teraz porozumiewawczo, kładąc palec na ustach. - D'accord\*, Anita?

\* D'accord (franc.) - zgoda [przyp. tłum.].

Dziewczyna kiwa głową. Dostały zaproszenie na kolację do kapitana, ponieważ... To już ostatni wieczór! Niewiarygodne. A rejs tak się dłużył. Przez

pierwszych kilka dni czuła się naprawdę okropnie i wciąż błagała Mme Dijon, żeby przy pierwszej nadarzającej się okazji zeszyły na ląd. „Gniew morza nigdy nie trwa długo”, odpowiadała uspokajająco opiekunka. Lola, pokojówka z Malagi, niziutka, śniada i energiczna, podróżująca trzecią klasą wraz z tłumem muzułmańskich pielgrzymów powracających z Mekki, też źle znosiła podróż. Wezwana przez „swoją panią” zjawiała się, owszem, ale z trudem opanowując torsje i nieustannie jęcząc: „To gorsze niż jazda wolantem”. Przeszło jej, gdy ocean się uspokoił, Anita jednak wciąż cierpi na zawroty głowy i mdłości. Chciałaby jak najszybciej znaleźć się w porcie. Morze - to nie dla niej. Poza tym od ponad roku marzy o swoim nowym kraju. „Jakie będą te Indie?”, zastanawia się za każdym razem, gdy ktoś ją zapewnia, że nie przypominają niczego, co Europejczyk potrafiłby sobie wyobrazić.

Podczas całego rejsu stanowiła obiekt powszechnego zainteresowania, tak ze względu na swą urodę, jak i na tajemniczość. Wspaniałe klejnoty, które z upodobaniem nosi, świadczą o bogactwie, gdy tymczasem jej otwartość w połączeniu z kulawą francuszczyzną i andaluzyjskim akcentem zdają się zdradzać raczej niskie pochodzenie. Wszystko to zbija współpasażerów z tropu i sprawia, że mężczyźni lgną do ślicznej i dowcipnej panienki jak muchy do miodu. Pewien Anglik, zadurzony po uszy, ofiarował jej właśnie broszkę, kameę z dwiema emaliowanymi różami i lustreczkiem w środku. Inni są mniej subtelni. Jeden z francuskich oficerów, mijając ją na schodach, rzucił: „Co za talia!”. Anita skwitowała to uśmiechem, niby od niechcienia pokazując natrętowi platynowy pierścionek z brylantami, na serdecznym palcu prawej dłoni. Dość, by zamknąć usta i jemu, i wszystkim innym, którzy bezskutecznie próbują rozwikłać jej zagadkę.

Gdy rozbrzmiewa dzwon wzywający na kolację, obie kobiety schodzą do obszernej jadalni o lśniących ścianach pokrytych tekowym drewnem. Na niewielkiej estradzie sześciu wyfraczonych muzyków gra Mendelssohna. Okrągłe stoliki przykryte haftowanymi obrusami i zastawione porcelaną z Limoges oświetlone są kandelabrami z czeskiego kryształu, które podzwaniają przy każdym przechyle okrętu. Kapitan zaprosił obie panie do swojego stolika razem z trzema francuskimi dyplomatami, którzy płyną do Pondichery.

- Tajemnicza z pani osóbka - odzywa się jeden z Francuzów. - Do dziś nie wiemy, w jakim celu udaje się pani do Indii. I, nie ukrywam, umieramy z ciekawości.

- A przecież już nieraz mówiłam, że jedziemy z Mme Dijon do przyjaciół, Anglików zamieszkałych w Delhi.

Taką wersję przyjęły, zdecydowane strzec sekretu do końca. Nikt im wszakże nie wierzy, ani siedzący obok francuscy dyplomaci, ani załoga, ani reszta pasażerów. W 1907 roku młode, piękne, obsypane klejnotami Hiszpanki należą w Indiach do rzadkości.

- Jutro, w Bombaju, upał stanie się jeszcze bardziej dokuczliwy - mówi Mme Dijon, chcąc zmienić temat.

- To niewdzięczny klimat, trudno się przyzwyczaić. W Indiach nie każdy potrafi się odnaleźć - wtrąca drugi Francuz, zerkając spod oka na Anitę.

- Mieszkałam tu z moim świętej pamięci mężem - oświadcza Mme Dijon.

- Och, doprawdy? Gdzie...?

Z trudem udaje się jej naprowadzić rozmowę na bezpieczne tory.

Jakże trudno dochować sekretu! Anita nie lubi kłamać, ale rozumie, że nie wolno jej powiedzieć prawdy. Chętnie podzieliłaby się ze wszystkimi każdym szczegółem swego życia, cóż, kiedy musi jednak milczeć. Tak kazał radża. Może dlatego rejs nie cieszy jej tak, jak powinien - ponieważ wymuszona rezerwa odgradziła ją od innych jak murem. A zresztą, gdyby nawet mogła mówić... Jak miałyby wyjaśnić cel swojej podróży? Jak miałyby wyznać, że płynie do Indii, aby poślubić potężnego władcę? Że w dalekiej Kapurthali oczekują jej jako przyszłej księżnej? Ze w wieku siedemnastu lat zostanie panią kraju, którego zupełnie nie zna... Nie, takich rzeczy nie opowiada się ot, tak, byle komu. Radża miał słuszość: wszystko to jest na tyle niezwykle, że lepiej zachować dyskrecję. Sama czasem wątpi, czy to aby nie sen. Przez trzy lata jej życie uległo niewiarygodnym zmianom. Przestała się bawić lalkami, by w paryskim merostwie wziąć ślub z indyjskim radżą. Pierścionek na palcu pomaga jej w to uwierzyć. I przypomina ów dzień sprzed miesiąca, dzień spędzony w deszczowym i jeszcze bardziej niż zwykle melancholijnym Paryżu. Boże, co to była za zimna i smutna ceremonia! Żadne tam królewskie zaślubiny, tylko czysta formalność. Odświętnie ubrani rodzice, siostra, radża z doradcą i ona - wszyscy razem weszli do urzędu mieszczącego się w dzielnicy St. Germain, by wyjść stamtąd już kilka minut później, po złożeniu popisów w ogromnych księgach. Żadnej pompy, muzyki, ryżu, przyjaciół czy tańców. Taki ślub to nie ślub. Na koniec pojechali do brasserie Lippa, gdzie zjedli choucroute, popijając alzackim winem i szampanem, jakby to była zwyczajna niedziela. A przecież ona, Anita, zawsze marzyła o białej sukni i wspaniałej uroczystości w kościele, z udziałem koleżanek ze szkoły i połową Malagi w kolejce do życzeń! Tak właśnie powinno się to odbywać. A ten cały ślub w Paryżu bardziej przypominał pogrzeb. Serce ściska się Anicie na myśl o ojcu, don Angełu Delgado de los Cobos. Biedny papa, jak zawsze pełen godności, z

tym swoim gęstym, posiwiałym wąsem oraz wyglądem szlachetnego hidalga, tak rozdzierająco smutny, gdy żegnali się po wyjściu od Lippa. Kochany tatuś, z twarzą mokrą od deszczu, a może od łez, taki nieszczęśliwy, że oto musi oddać swoje oczko w głowie „barbarzyńskiemu królowi”, jak na początku, zanim go poznał, nazywał radzę. Owszem, zapewnił córce niezwykle los. Ale nie uczynił tego dobrowolnie. Przede wszystkim nakłaniała go do tego jego własna żona, która, choć początkowo zdecydowanie całej sprawie przeciwna, zmieniła zdanie pod wpływem hojnych podarunków, jakimi radza obsypywał jej córkę. Swoich trzech groszy nie omieszkali też wtrącić sąsiedzi i przyjaciele, zwłaszcza bywalcy Nuevo Cafe de Levante, wśród nich sam ValleInclan, a także Ricardo Baroja, Leoandro Oroz i inni, wszyscy zdecydowani uczynić z Anity orientálną księżną. „Nie wolno zaprzepaścić takiej okazji”, oświadczył z powagą Yalle-Indan, kiedy doña Candelaria Briones, matka Anity, powiedziała mu o propozycji radży. „Ale honor, co z honorem?”, spytała doña Candelaria. „To proste”, odrzekł znany pisarz, „musi pani obstawać przy ślubie”. „Niech nasz radza jak na przyzwoitego człowieka przystało podpisze odpowiednie papierki”, dorzucił Oroz.

I taki był ostatecznie jedyny warunek postawiony przez rodzinę Delgado. Ślub ratował „honor” rodziny, pozwalał uniknąć niesławy. Choć don Angel i tak wolałby zatrzymać córkę przy sobie.

Radza wywiązał się z obietnicy w ów deszczowy dzień w Paryżu. Przystał na ślub cywilny, żeby uspokoić rodziców ukochanej. Ale i dla niego, podobnie jak dla niej, ceremonia ta niewiele znaczyła. Prawdziwe uroczystości weselne czekały ich dopiero na miejscu, w Kapurthali; uroczystości tak wspaniałe, że dorównywać miały przepychem tym opisanym w Baśniach z tysiąca i jednej nocy. Tak powiedział tamtego dnia, chcąc pocieszyć ją po rozstaniu z rodzicami.

Don Angel tracił nie tylko Anitę. Wkrótce stracić miał również drugą córkę, Victorię, która zakochała się bez pamięci w poznanym w Paryżu amerykańskim milionerze. Dwie córki, które z dnia na dzień stają się jedynie wspomnieniem. A wszystko za sprawą orientálnego władcy. Biedny papa bardzo to przeżył. I Anita dobrze o tym wie. Myśli o nim co wieczór przed zaśnięciem. Myśli też o matce i siostrze, ale rzadziej i z mniejszym bólem. One są silniejsze, poza tym matka osiągnęła to, co chciała: nigdy więcej nie będzie musiała się martwić o pieniądze. „Dziękuję, wasza wysokość”. Anita modli się za nich wszystkich do „swojej” Matki Boskiej, Matki Boskiej Zwycięskiej, patronki Malagi, gdy tymczasem rozświetlony statek zbliża się do kraju miliarda bogów.

## Rozdział drugi

O świcie S/s Aurorę dociera do wybrzeża i kieruje się do portu w Bombaju. Anita i Mme Dijon wsparte o burzę, stoją na górnym pokładzie. Miasto pojawia się przed nimi podobne do czarnej plamy wyłaniającej się spośród mgieł. Zatoka roi się od małych jednomasztowych łodzi o trójkątnych żaglach. To uwijają się rybacy Koli, najdawniejsi mieszkańcy Bombaju, potomkowie tych, którzy trzy wieki temu ujrzeni schodzących na ląd pierwszych Portugalczyków. Przybysze ochrzcili to miejsce mianem Bom Bahia, dobra zatoka, i stąd wzięła się późniejsza nazwa. Koli sądzili początkowo, że ci nadpływający od strony Goi wysocy ludzie o zaczerwienionej od słońca, błyszczącej skórze, muszą mieć coś wspólnego z mitologicznymi zwierzętami opisanymi w Mahabharacie, wielkim eposie hinduizmu. Najeźdźców poprzedzała mroczna sława, ponieważ portugalski podbój Goi przebiegał wyjątkowo brutalnie: z trwogą opowiadano sobie o zrównanych z ziemią hinduskich świątyniach i muzułmańskich meczetach, przymusowych małżeństwach i więzionych kobietach. A wszystko to miało się podobno odbywać w imię łaskawego, współczującego Boga. Początki portugalskiej kolonizacji w Indiach nie wróżyły, szczerze mówiąc, świetlanej przyszłości porozumieniu między Zachodem a Wschodem.

- Ale tutejsi mieszkańcy mieli prawdziwe szczęście - opowiada Mme Dijon, świetnie obeznana z historią miasta. Jej mąż uczył francuskiego w St. Xavier's School, najlepszej brytyjskiej szkole w Bombaju. - Portugalczycy nie bardzo wiedzieli, co począć z pełnym moskitów bagniskiem, którym okazała się Bom Bahia, dlatego król Portugalii dał te ziemie w posagu swojej córce Katarzynie Braganca, gdy wychodziła za mąż za Karola II Stuarta.

- Czyli Bombaj jest jednym wielkim prezentem ślubnym... - mówi Anita, przysłuchująca się słowom opiekunki z uwagą, choć perspektywa końca podróży przejmuje ją nerwowym dreszczem.

Na dalekim brzegu kucający mężczyźni polewają sobie głowy wodą: to poranny rytuał kąpieli, hinduski wynalazek, który Anglicy - a za nimi inne narody Europy - przejęli po trwających sto lat oporach. Krowy o czarnej, lśniącej sierści przechadzają się wśród lepierek krytych palmowymi liśćmi. Przy ujściu jakiejś rzeczki kobiety z obnażonymi piersiami myją włosy, podczas gdy dzieci chlapią się w mętnej wodzie. Gęstniejący las masztów, żurawi portowych i kominów świadczy o bliskości portu: arabskie galeoty, chińskie dżonki, frachtowce pod amerykańską banderą, angielskie okręty wojenne, barki rybackie... Potem oczom podróżnych ukazuje się obrośnięty

palmami bulwar i okazały hotel Tadź Mahal ze swoimi pięcioma kopułami. Wszechobecna mgiełka przywodziłaby na myśl Anglię, gdyby nie przecząca temu wrażeniu lepka gęstość powietrza i krążące nad kominami okrętów kruki, których krakanie zlewa się z wyciem syren. Gotowa do zejścia na ląd Anita wygląda bardzo ładnie, choć nie decyduje o tym żaden wybijający się szczegół. Podopieczna Mme Dijon ma na sobie białą bawełnianą spódnicę do ziemi i jedwabną, haftowaną bluzkę, która podkreśla smukłość jej talii. Z błyszczącymi niecierpliwością oczyma nerwowo ociera twarz chusteczką, drugą ręką przytrzymując parasolkę, która mają osłaniać przed wschodzącym właśnie po drugiej stronie miasta słońcem. S/s Aurorę kończy cumowanie. Czy radza będzie na mnie czekał?, zastanawia się gorączkowo Anita.

- Powiedz, czy go widzisz, bo zemdleję z niepewności - raz po raz błaga opiekunkę.

Mme Dijon obserwuje, jak w dole, na nabrzeżu, setki kulisów - zlanych potem i odzianych jedynie w przepaskę na biodrach tragarzy - znikają w ładowniach statku niby szeregi mrówek, by wyłonić się stamtąd z paczkami, walizkami i kuframi na plecach. Angielscy urzędnicy w swoich nienaganych uniformach koloru khaki nadzorują rozładunek. Pasażerów pierwszej klasy prowadzą do budynku ceł pracownicy kompanii morskiej; reszta przepycha się tam na własną rękę. Wszędzie zgiełk i zamieszanie. Dookoła sterty skrzyń i kufrów. Wielki żuraw skrzypi przeraźliwie, dokerzy ciągną z wysiłkiem grube liny: z brzucha okrętu wyłaniają się dwa przepiękne konie krwi arabskiej - cenny podarunek od sułtana Adenu dla któregoś z maharadzów. Przerażone wierzchowce kopią powietrze i wyglądają z dołu jak wielkie insekty. Dziesiątka słoni przenosi na swych grzbietach najcięższe meble i części fabrycznych maszyn. Pachnie wilgocią, dymem, stalą i morzem. Ponad krakanie kruków wybijają się gwizdy strażników, okrzyki i pozdrowienia. Wysiadających, głównie Anglików, witają dobrze ubrani i odżywieni przyjaciele i krewni. Dla najważniejszych, urzędowych osób przygotowano pomarańczowe wieńce z nagietków. W budynku ceł, podczas gdy Mme Dijon i Lola zajmują się liczeniem pięćdziesięciu kufrów składających się na bagaż Anity, ona sama z ciekawością przypatruje się nielicznym Hinduskom w sari. Ale tego, który ją tu ściągnął, obiecując miłość jak z bajki, nigdzie nie widać.

- Mrs Delgado?

Anita podskakuje na dźwięk głosu za plecami. Odwraca się z uśmiechem. To on, myśli w chwilowym oszołomieniu. Zmylił ją karmazynowy turban, elegancka broda i wspaniały niebieski mundur ze srebrnym pasem.



Natychmiast jednak uświadamia sobie swoją pomyłkę i poważnie, pozwalając, by nieznajomy założył jej na szyję wieniec z nagietków.

- Pamięta mnie pani? Nazywam się Inder Singh i jestem tu z rozkazu jego wysokości radży Kapurthali - mężczyzna składa ręce na wysokości piersi i kłania się z uszanowaniem.

Jak mogłaby zapomnieć! Potrzebowałyby chyba tysiąca lat, by wymazać z pamięci tego wysokiego Hindusa, który w pewien słoneczny poranek zapukał do drzwi zajmowanego przez rodzinę Delgado ciasnego mieszkania przy ulicy Arco de Santa Maria w Madrycie. Był tak potężnie zbudowany, że nie mieścił się w drzwiach. Prawdziwy Sikh, dumny ze swego pochodzenia. Nie zgodził się usiąść i stał przez całą wizytę, zajmując niemal cały korytarz. Przyjechał z Paryża specjalnie po to, by wręczyć Anicie list od radży. List miłosny. List, który zmienił jej życie.

- Kapitan Singh! - woła więc Anita radośnie jak na widok starego przyjaciela.

Jego wysokość nie mógł przybyć osobiście i bardzo za to przeprasza, ale wszystko jest i już gotowe, więc mogą panie w każdej chwili podjąć podróż do Kapurthali - oświadcza Inder Singh w ledwie zrozumiałym języku stanowiącym mieszankę francuskiego, angielskiego i hindi.

Czy to daleko?

Inder Singh kręci głową w typowy dla Hindusów sposób, który zbija cudzoziemców z tropu, albowiem nie zawsze oznacza zaprzeczenie.

- Jakies dwa tysiące kilometrów stąd.

Anita zastyga w zdumieniu, a Hindus ciągnie:

- Indie to wielki kraj, memsahib. Ale proszę się nie martwić. Pociąg do Dżalandaru odjeżdża pojutrze o szóstej. A z Dżalandaru do Kapurthali to już tylko dwie godziny drogi samochodem. Ma pani zarezerwowany apartament w hotelu Tadź Mahal, tu obok...

Wiktoriański w stylu hotel zaprojektowany został przez francuskiego architekta, który po zakończeniu robót popełnił samobójstwo, niezadowolony z efektu. Ale budynek i tak jest wspaniały.

Liczne balkony i szerokie korytarze zapewniające swobodny przepływ powietrza, schody oświetlone łagodnym światłem przefiltrowanym przez witraże, wysokie sklepienia, boazerie ze szlachetnych odmian drewna, cztery nowiutkie elektryczne windy, zatrudniona na stałe orkiestra i sklepy pełne różnobarwnych jedwabi - wszystko to sprawia, że Tadź Mahal wydaje się na tle miasta osobnym światem. Poza tym jest jedynym w Bombaju miejscem

publicznym dostępnym zarówno dla Europejczyków, jak i dla Hindusów wszystkich kast. Pozostałe luksusowe hotele obsługują wyłącznie białych.

Znalazłszy się w królewskim apartamencie, Anita natychmiast otwiera okna, chcąc wpuścić do środka ciepłą bryzę, która niesie znad bulwaru różnorodne zapachy i odgłosy. Na dole widać zacumowany przy nabrzeżu okręt z napisem S/s Aurore. Upał przytłacza.

Jakkolwiek pragnęłaby paść na łóżko i zalać się łzami, Anita postanawia nie robić z siebie przedstawienia. Mme Dijon i Lola powiedziałyby zapewne, że zachowuje się jak dziecko, bo przecież trudno było oczekiwać, żeby radza tłukł się dwa tysiące kilometrów pociągiem do Bombaju. I miałyby pewnie rację. Co nie zmienia faktu, że Anita czuje się boleśnie zawiedziona. Ale tak czy owak najlepiej zrobi, idąc na przechadzkę i zapoznając się powoli ze swym nowym krajem. Mozę miną mi przy okazji te okropne zawroty głowy, bo na razie czuję się jak pijana, myśli. Od tygodni marzyła o tej chwili, więc mówi do Mme Dijon:

- Chodźmy, chcę się wszystkiemu przyjrzeć z bliska. Po czym zwraca się do Loli:

- Ty lepiej zostań, bo znowu cię zemdli od zapachów, jak w Aleksandrii.

## Rozdział trzeci

Na ulicy pachnie zgniłymi owocami, kurzem i kadzidełkami z ołtarzyków. Krowy pałętają się, gdzie chcą, co nie oburza nikogo poza Anitą, która nie może zrozumieć, dlaczego nie zaprzęga się ich do dwukołowych pojazdów zwanych rikszami, zamiast kazać je ciągnąć wychudzonym, wyglądającym na ledwie żywych, mężczyznom.

- Taka krowa to ma mięsa a mięsa... My byśmy je z chęcią jedli - mówi Firoz, powożący końmi muzułmanin z bródką, ubrany w kurtę tak brudną, że nie sposób domyślić się jej pierwotnego koloru - ale dla hinduistów życie krowy znaczy więcej niż życie człowieka. No i mięso się marnuje...

Co pewien czas powóz mija nowiutkie, dwupiętrowe autobusy - właśnie wprowadzono je do użytku, krążą więc po ulicach centrum, między rozległymi trawnikami i potężnymi, wiktoriańskimi, niemal gotyckimi budowlami.

- Nawet w Liverpoolu nie mają takich autobusów - zapewnia Firoz, wyraźnie dumny ze swego miasta.

Na Crawford Market Anita zachwyca się obfitością towarów: to prawdziwy wschodni bazar.

- Tu kupują głównie Anglicy i parsowie, czyli najbogatsi - wyjaśnia Firoz.

W sprzedaży jest wszystko, od miniaturowych piesków po turecki tytoń czy nieznane Anicie owoce, które kupcy z wysokości swoich straganów podają jej do spróbowania. Płaskorzeźby zdobiące metalowy szkielet hali i stojąca wewnątrz fontanna to dzieło Johna Lockwooda Kiplinga, którego syn Rudyard otrzymał przed dwoma miesiącami Literacką Nagrodę Nobla. Anita zwiedza również inne targi, gdzie handluje się ryżem i cukrem z Bengalu, słodyczami z Kaszmiru, tytoniem z Patny, a także serami z Nepalu. Ogląda z zajęciem indyjskie jedwabie, nie może się napatrzeć na szlachetne kamienie i przedmioty o nieznanym sobie przeznaczeniu. Na powierzchni dwóch kilometrów kwadratowych odkrywa dwanaście wielkich bazarów, ponad sto świątynek i sanktuariów, i więcej towarów, niż widziała dotąd w całym swoim życiu.

Poza kolonialnym centrum, z jego okazałymi budynkami i alejami, rozciąga się labirynt krętych, zatłoczonych uliczek. Rasy i religie mieszają się tu jak w tyglu, wszędzie panuje chaos, jaki spotkać można jedynie w wielkich miastach Azji. Anita i Mme Dijon muszą od czasu do czasu przystawać, by otrzeć pot z czoła i zaczerpnąć tchu. „Jakiż hałas, jakiż tłum bosych Hindusów, na wpół tylko i często dziwnie odzianych”, pisała później Anita w swoim dzienniku. Teraz odnosi wrażenie, że każdy mówi tu innym językiem. W niewielkim porcie rybackim Koli zachwalają poranny połów. Gwar, zapachy i atmosfera

przypominają Anicie targ w rodzinnej Maladze, w ubogiej dzielnicy zwanej Perchel od żerdzi\*\*, na których suszono tam zawsze ryby, a dzieci o patyczkowatych nóżkach i ciemnych, pociągniętych kholem oczach, każą jej myśleć o kolegach z dzieciństwa, biegających półnago między biednymi chatynkami.

\*\* Żerdź to po hiszpańsku percha [przyp. tłum.].

Tyle że w Indiach nędza osiąga nieznane w Andaluzji rozmiary. Niektóre maluchy są tak chore, że wyglądają na starców; inne chodzą z nienaturalnie wzdętymi brzuskami. Pełno też straszliwie okaleczonych żebraków, których usuwa z drogi usłużny Firoz.

- Boże, Boże - powtarza Anita, odwracając wzrok od trędowatego, który zbliża się do niej z wyciągniętą miską.

Nie potrafi powściągnąć grymasu obrzydzenia, kiedy zdaje sobie sprawę, że to, co wzięła w pierwszej chwili za włosy chorego, jest rojowiskiem much.

Bombaj, miasto zbyt bogate i zbyt biedne zarazem, oszałamia i przygniata, ale Anita zapuszcza się w nie coraz głębiej, jak gdyby pragnęła zaraz pierwszego dnia objąć i zrozumieć wszystkie przejawy życia nowego kraju. Firoz zabiera panie aż na drugą stronę zatoki i wkrótce powóz wjeżdża na ulicę, która wije się z boczem wzgórza. Konie ledwie ciągną. Na górze stoi pięć wież, z których widać całe miasto. Widok jest przepiękny, ale miejsce - jakby nie z tego świata. Ciszę mąci tu łopot sępich skrzydeł i krakanie tysięcy kruków. To słynne Wieże Milczenia, gdzie parsowie odprawiają swoje rytuały pogrzebowe. Ich religia, zaratusztrianizm - zwana tak od imienia założyciela, Zaratusztry, pochodzącego ze wschodniej Persji mędrca, który swe rozmowy z bogiem spisał w formie hymnów zwanych Gatami - to najstarsza z żywych religii świata. Wygnani z Persji przez muzułmanów parsowie osiedlili się w Indiach. Anglicy udostępnili im jedno ze wzgórz w Bombaju, albowiem parsowie nie chowają swoich zmarłych ani ich nie palą, lecz układają nago na marmurowych płytach, oddając na pożarcie sępom i krukom: w ten sposób śmierć kapituluje przed życiem. Prawo do zajmowania się zwłokami mają wyłącznie „nosiciele ciała”. Ubrani jedynie w przepaskę na biodrach, z kijami w dłoniach, strącają do morza kości i inne pozostawione przez ptactwo resztki. Cudzoziemcy odwiedzają Wieże Milczenia nie tylko ze względu na piękne widoki, ale często również powodowani niezdrową ciekawością. Jednakże Anita nie potrafi znieść makabrycznego spektaklu. Ciężkie, gorące powietrze i widok drapieżnych ptaków uczujących na trupach to dość, by przyprawić ją o mdłości.

- Błagam, jedźmy już stąd - zwraca się do Mme Dijon.

W drodze powrotnej widzi jeszcze jaśniejsze na tle zmierzchu stosy żałobne, które robią na niej prawie tak wielkie wrażenie jak Wieże Milczenia. Nie jest przyzwyczajona do równie częstego kontaktu ze śmiercią. Więcej doznań tego dnia nie znieś. Oszołomiona nadmiarem kolorów, zapachów i dźwięków boi się, że zaraz zemdleje. To, w co się dziś zanurzyła, to nie miasto ani nawet kraj; to nowy świat. Świat zbyt dziwny i zbyt tajemniczy dla kogoś, kto ledwie wkroczył w dorosłość. Świat przerażający. Nagle czuje nieprzepartą ochotę, by wybuchnąć płaczem, ale się powstrzymuje. Nie na darmo jej rodzice tyle mówili o honorze. Trzeba być dzielną i panować nad emocjami. Tylko że do Hiszpanii tak daleko, myśli.

Później, schodząc do hotelowej restauracji pod nazwą Sea Lounge, prześliczna w obowiązkowej tu wieczorowej sukni Anita Delgado nagle chwieje się na nogach. Może to przez upał, a może przez znaną z dawnych czasów melodię, którą właśnie zaczęła grać orkiestra. Tym razem wszelkie wysiłki, by opanować słabość, na nic się nie zdają i po kilku niepewnych krokach Anita upada na miękki perski dywan, wywołując zamieszanie wśród gości i kelnerów, którzy kręcą się dookoła tej marmurowo bladej piękności, niepewni, co robić, by ją ocucić.

## Rozdział czwarty

Doktor Willoughby z namysłem wodzi palcami po swoich szerokich, szpakowatych bokobrodach i po wąsach z wypomadowanymi końcami. Zamieszkały w Bombaju od czasu, gdy armia wysłała go na emeryturę, opiekuje się hotelowymi gośćmi. Najczęściej ma do czynienia z zatruciami, biegunkami i kolkami, których to dolegliwości przybywający z Europy biali nabawiają się w Indiach błyskawicznie. Czasem trafia się też samobójstwo albo pobicie, jeśli jakiś zazdrosny kochanek zbyt mocno popije w Sea Lounge. Nader rzadko przychodzi doktorowi Willoughby'emu stawiać diagnozę taką jak teraz.

- To nie upał ani nerwy, ani nawet zmęczenie podróży...

Anita, w satynowym szlafroku i z rozpuszczonymi włosami, patrzy na niego z łóżka. Lola i Mme Dijon stoją obok.

- Jest pani w ciąży - mówi lekarz.

Anita szeroko otwiera oczy. Sama nie wie, czy bardziej z niedowierzania, czy z zachwyty. Jej towarzyszki wymieniają zdumione spojrzenia i spoglądają na Anitę, z mieszaniną wyrzutów i współczucia.

- Nie wiedziała pani? - pyta doktor Willoughby, obserwując pacjentkę sceptycznie, spod oka.

- Nie. Przysięgam, że nie.

- I nie zauważyła pani żadnych... nieregularności? Anita wzrusza ramionami.

- Owszem. Ale myślałam, że to z powodu podróży. Poza tym, dopiero dwa miesiące. Jest pan całkowicie pewien, doktorze?

Willoughby chowa stetoskop i rękawiczki do neseseru.

- Ostatecznie odpowiem pani jutro rano - rzuca, opuszczając apartament.

\* \* \*

Anita rozumie już, skąd te ciągłe mdłości na statku, niedające jej spokoju nawet przy idealnie gładkim morzu. Nie chciała tego do siebie dopuścić. Niewykluczone, że w głębi serca przeczuwała prawdę, ale wolała o niej nie wiedzieć. I tak już sporo miała na głowie - podróż, ślub w Indiach, całkiem nowe życie... Teraz nie myśli o tamtej nocy w Paryżu, kiedy po raz pierwszy kochała się z radzą. Nie myśli o zawstydzeniu i obawach, jakie odczuwała, gdy ją powoli rozbierał, nie myśli o wprawnych pieszczotach, podniecających pocałunkach, czułych słowach, bólu i rozkoszy. Myśli tylko o tym, że zawiiodła osobę, na której jej najbardziej zależy - ojca. Gdyby don Angel wiedział, że jego córka była już w ciąży, gdy wychodziła za mąż! On, taki przywiązany do pojęcia honoru...

„Będzie ślub, będzie Anita”, oświadczył kategorycznie kapitanowi Singhowi podczas kolejnej krótkiej wizyty, którą Hindus złożył w mieszkanku przy ulicy Arco de Santa Maria. Tak brzmiała odpowiedź, jaką kapitan miał przekazać radzy. Don Angel udzielił jej na prośbę żony, doni Candelarii, choć w głębi duszy uważał, że cała ta historia to kolejny kaprys wschodniego despoty i że z pewnością nie zmierza do pomyślnego finału. Zresztą kto przy zdrowych zmysłach spodziewałby się, że sprawy potoczą się tak właśnie? Don Angel Delgado\* de los Cobos, który przynosił zaszczyt swojemu nazwisku, odznaczając się przez całe życie niezwykle szczupłością, nie wierzył ani w cuda, ani w historie o Kopciuszku.

\* Delgado (hiszp.) - szczupły [przyp. tłum.].

Łysy, o wychudłej twarzy ozdobionej grubymi okularami w czarnych oprawkach, od lat walczył z niewidzialnym, a zdecydowanie zbyt potężnym wrogiem: biedą. Po przodkach, oprócz poważnych długów, odziedziczył bar La Castaña przy placu Siglo w Maladze. Przez jakiś czas wiązał koniec z końcem dzięki salce na zapleczu, służącej miejscowym za coś w rodzaju kasyna i przynoszącej dochody, które pozwalały rodzinie Delgado żyć bez zbytków, ale też bez większych wyrzeczeń. Anita mogła nawet pójść do szkółki deklamatorskiej, gdzie skorygowano jej drobną wadę wymowy. Don Angel pracował za trzech, by uczynić swój bar przedsięwzięciem choć trochę bardziej dochodowym i w przyszłości zapewnić córkom jak najlepszą edukację. Szkoła prowadzona przez siostry ze zgromadzenia Służek Najświętszego Serca, bardziej skłonne udzielać lekcji haftu niż pisania, pozostawiała bowiem wiele do życzenia. Ani Anita, ani Victoria nie umiały nawet płynnie czytać. Niemniej jednak rodzina żyła przyzwoicie, dopóki na Malagę nie sypnął się grad nieszczęść.

Najpierw cztery lata suszy zrujnowały miejscowych rolników. Potem, w 1904 roku, plaga mszyc zniszczyła winnice. Jeszcze później rozszalała się epidemia grypy, a na koniec przyszła wielka powódź. Młody król Alfons XIII uznał za konieczne złożenie wizyty w dotkniętym klęską regionie, Anita zaś, dziewczynka nad podziw wdzięczna, została wybrana, by wręczyć mu w porcie powitalny bukiet. W odświętnej sukience, ze starannie zaplecionymi warkoczami, wyglądała naprawdę prześlicznie. Było to jej pierwsze, lecz nie ostatnie zetknięcie z sympatycznym, znanym z upodobania do kart monarchą, choć nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że los małej Delgado okaże się ściśle związany z jego osobą. Tak czy owak kilka dni po uroczystości do domu przyniesiono pamiątkowy prezent w postaci pięknego wachlarza z masy perłowej, który Anita przechowywała do końca życia jak relikwię.

Królewska wizyta, jakkolwiek podniosła mieszkańców Malagi na duchu, nie wydzwignęła ich z ruiny. Wkrótce obsługująca miasto, nieopłacana od miesięcy przez ratusz spółka odcięła im gaz. Wprowadzone niedawno do ruchu ulicznego elektryczne tramwaje przestały jeździć z powodu przerw w dostawach prądu. Jeden alkad zastępował drugiego z szybkością porównywalną tylko do zmian w rządzie centralnym. Sytuacja rodziny Delgado, wiernie odzwierciedlająca stan miasta i kraju, drastycznie się pogorszyła. „Kasyno” świeciło pustkami. Nikt nie miał pieniędzy na hazard ani na wino. Dlatego don Angel sprzedał bar za czternaście tysięcy reali, by wraz z żoną i córkami przenieść się do Madrytu.

\* \* \*

Wyciągnięta na łóżku w hotelu Tadź Mahal, wpatrzona w obracające się powoli ramiona zawieszzonego pod sufitem wentylatora Anita wspomina pierwsze dni w Madrycie, przeraźliwie zimne mieszkanie przy ulicy Arco de Santa Maria, niedaleko Puerta del Sol, smutnego ojca bezskutecznie uganiającego się za pracą oraz darmowe lekcje flamenco, które znajoma sąsiadki załatwiła im, Anicie i Victorii, u Angela Periceta. Codzienne wizyty w akademii przy ulicy Espiritu Santo stanowiły wtedy ich jedyne zajęcie. W dodatku trzeba było je ukrywać przed ojcem, który wciąż marzył, że pewnego dnia zapewni córkom edukację z prawdziwego zdarzenia i z pewnością nie życzyłby sobie, aby miały cokolwiek wspólnego ze światem sceny. Niestety, widmo biedy nabierało coraz bardziej konkretnych kształtów, jak gdyby nad rodziną Delgado ciążyła jakaś nieodwracalna klątwa.

„Moje córki nie zostaną tancerkami.”, krzyknął z furią don Angel, gdy się dowiedział, że po wizycie w akademii Periceta przedstawiciele otwieranego właśnie kabaretu o nazwie Central Kursaal zaproponowali Anicie i Victorii pracę. Jednakże kilka dni później, ulegając perswazjom rozsądnej małżonki, doñi Candelarii, która poczuła się zmuszona przypomnieć mu, że czternaście tysięcy reali nie starczy na długo, niechętnie podpisał umowę, pod warunkiem że „dziewczynki będą występować tylko raz w ciągu wieczoru i wracać do domu przed północą!”. W ten sposób, z gażą trzydziestu reali dziennie, Anita i Victoria stały się żywicielkami rodziny. I miały nimi pozostać już na zawsze.

Jak zareagowałby don Angel na wieść o ciąży? Teraz, po ślubie, powstrzymałby się pewnie od komentarzy. Gdyby jednak dowiedział się, że dziecko zostało poczęte w grzechu... Anita wołała sobie tego nie wyobrażać. Za nic w świecie nie chciałyby przysparzać mu cierpienia - miał swoje zasady i należało to uszanować. Chętnie natomiast porozmawiałyby z matką. Doña Candelaria, kobieta pogodna, gadatliwa i energiczna, mocno stąpająca po



ziemi, pokrzyczałaby dla zachowania pozorów, ale później stanęłaby po jej stronie. Zmęczona życiowymi przeciwnościami, zawsze powtarzała, że trzeba kuć żelazo póki gorące.

## Rozdział piąty

Białe światło księżyca sączy się przez żaluzje, wydobywając z mroku obrazy, meble i pościel. Anita nie może zasnąć. W jej głowie trwa gonitwa wspomnień, trudnych pytań i okrutnych obrazów, których w Bombaju, jak się przekonała, bynajmniej nie brak. Na przykład tamta kobieta z noworodkiem w ramionach, oniemiała z rozpaczy, ponieważ z jej suchych, pomarszczonych piersi nie popłynie już ani kropla mleka. Anita, jeśli jej obliczenia zostaną potwierdzone przez lekarza, urodzi za sześć miesięcy. Nigdy nie zastanawiała się nad porodem, ale teraz, świadoma, że będzie musiała przejść przez to w Indiach, z dala od rodziny, od matki i siostry, zaczyna wpadać w panikę. Serce wali jej jak szalone, uspokaja się na chwilę, znowu zaczyna i tak dalej, w rytmie morskich przyływów. Sama jest niemal dzieckiem. Poza tym, choć niby nie wątpi w uczucia radży, w głębi duszy chowa niejasne obawy. A jeśli się mną tylko zabawiał? Jeśli mnie porzuci? Jeśli już mnie nie kocha?

Albo nie pozwoli mi nigdy stąd wyjechać? Jeśli, jeśli... Niewątpliwym i bezwarunkowym uczuciem darzył ją tylko ojciec, a ona opuściła go i zawiodła. Dlatego, nie mogąc zasnąć, przewraca się w pościeli.

Noc potęguje lęki. Anita boi się, że jej życie, które od roku przypomina bajkę, zamieni się nagle w koszmar. Czy nowy świat powita ją przyjaźnie? Skoro Bombaj wydaje się tak egzotyczny, jaka będzie Kapurthala, której nawet nie ma na mapie? Czy to wszystko dzieje się naprawdę? - zastanawia się Anita, ocierając pot i łzy skrajem prześcieradła. Granica między jawą a snem jest tak płynna, że można dostać zawrotów głowy. Czego się uchwycić, by je opanować? Rzeczywistość rozmywa się przecież i zlewa w jedno z najdziwniejszymi snami.

Gdy ujrzała radżę po raz pierwszy, cały Madryt świętował. Od kilku ładnych miesięcy miasto żyło przygotowaniem do ślubu Alfonsa XIII - tego od wachlarza z masy perłowej - z angielską księżniczką Victorią Eugenią de Battenberg, urodzoną w zamku Balmoral i nawróconą na katolicyzm w pałacu Miramar nad rzeką Urumeą. Mówiono wyłącznie o królewskich zaślubinach, gdyż pozwalało to zapomnieć o kłopotach życia codziennego. Program uroczystości przewidywał wystawienie opery *Łucja z Lamermoor*, liczne festyny i zabawy, parady wojskowe, konkursy śpiewacze, bitwę kwietną w parku Retiro, a nawet oficjalne otwarcie na Cuatro Caminos nowej robotniczej dzielnicy. Narzeczeni mieli się też wyprawić do Aranjuezu, a mistrz Breton, autor słynnej zarzueli *Zabawa w La Palotna*, skomponował dla nich marsz weselny. *La Maison Modele*, butik przy ulicy Carretas, proponował wciąż

nowe eleganckie kapelusze, suknie i gorsety, „sprowadzane specjalnie na tę okazję prosto z Paryża”.

28 maja 1906 roku, również z Paryża, przyjechał do Madrytu tak zwany książęcy pociąg, którym podróżowali europejscy władcy: Fryderyk Wilhelm Ernest książę Prus, książę Ludwik z Monaco; Ludwik Filip, dziedzic korony portugalskiej; Tomasz i Izabela, para książęca z Genewy; Eugeniusz Napoleon Mikołaj, książę szwedzki i, w zastępstwie króla Anglii, Jerzy, książę Walii i jego żona Maria. Dziennik „La Epoca” donosił z entuzjazmem: „Oto Europa przybywa do Hiszpanii, by wziąć udział w zaślubinach króla Alfonsa XIII. Hiszpania liczy się w świecie! Hiszpania żyje!”.

Książęcy pociąg wzbudzał nie lada sensację. Madryt chciał zakosztować snu o potęgę. Rodzina Delgado w komplecie ustawiła się na trasie przejazdu znakomitych gości, którzy ze stacji udali się do pałacu, aby złożyć uszanowanie królowi. Od dawna nie widziano tu takiej parady sław. Ludzie wylegli na ulice, by liźnąć choć trochę wielkiego świata i przyjrzeć się arystokratom w ich wspaniałych pojazdach. Anita i Victoria zdołały się przepchnąć przez tłum gapiów aż do pierwszego rzędu. Cóż za widowisko! W kabrioletcie marki Hispano-Suiza siedział dystyngowany książę Albert z Belgii ze swą żoną. Zaraz po nim oczom zebranych ukazał się arcyksiążę Franciszek Ferdynand z Austrii, we wspaniałym mundurze, otoczony rojem książąt i hrabiów. Wreszcie pojawił się też sam książę Walii, który wraz z żoną towarzyszył Victorii Eugenie, pieczołtliwie zwanej w Madrycie Angieleczką.

- Patrz, patrz! - Anita nie wierzyła własnym oczom: w ogromnym białym powozie jechał książę, który wyglądał jak żywcem wyjęty z Baśni z tysiąca i jednej nocy. Stał dumnie wyprostowany, toczył wokoło królewskim spojrzeniem i od czasu do czasu pozdrawiał tłumy skinieniem głowy lub ruchem ręki. Na głowie miał turban z białego muślinu spięty szmaragdową broszą z piórami. Ubrany w błękitny mundur ze srebrnym pasem, z elegancką brodą, pierśią pokrytą orderami i z trzema sznurami pereł na szyi, jego wysokość radża Jagatjit Singh z Kapurthali doskonale pasował do utartych wyobrażeń o wschodnim władcy. Bliski przyjaciel księcia Walii i Alfonsa XIII Burbona, którego poznał w Biarritz, reprezentował w Madrycie dalekie, nieznanne i zarządzane przez Brytyjczyków Indie, „klejnot w koronie”. Anita i Victoria wpatrywały się weń z otwartymi ustami, zastanawiając się, skąd pochodzi - z Afryki czy może z Kuby.

Owego wieczoru siostry Delgado miały jak zawsze wystąpić w Central Kursaal. Miejsce to za dnia służyło za boisko do gry w pelotę, a nocą zamieniało się w kabaret. Przy murze w głębi ustawiano scenę, z przodu kilka

rzędów foteli, a dalej stoliki z krzeselkami. Prezentowano program typowy dla varietes, albowiem ten paryski wynalazek cieszył się w tym czasie coraz większym uznaniem widzów. Madryccy krytycy narzekali wprawdzie na brak poważnych widowisk, bo nawet zarzucała traciła na popularności, ale ludzie garnęli się do lekkiej rozrywki gnani chęcią zapomnienia o kłopotach.

Tego wieczoru w Kursaal występować miała sama Fornarina, była modystka, która wstawiała się, wdzięcznie śpiewając kuplety, a obok niej Pastora Imperio, Bella Chelito, Człowiek-Ptak i Mimi Fritz. Anita i Victoria, znane jako Kamelie, pojawiały się w przerwach między numerami, a ich zadaniem było skrócić widzom przerwę konieczną do zmiany dekoracji. Dokładnie o dziesiątej wyszły więc na scenę ubrane w krótkie czerwone sukienki i odpowiednie pończochy, by przy dźwiękach gitary wykonać kilka skocznych tańców. Nie należały może do najlepszych tancerek w Hiszpanii, ale ich andaluzyjski wdzięk z naddatkiem rekompensował braki warsztatowe i goście, którzy szczelnie wypełnili kabaret, również tym razem nagrodzili je gromkimi brawami. Przy stolikach zasiadało wyjątkowo mieszane towarzystwo - przybyli do Madrytu na królewski ślub cudzoziemcy, politycy i korespondenci sąsiadowali ze stałymi bywalcami: malarzem Romerem de Torres, brodatym ValleInclanem, pisarzem Ricardem Baroją, notabene bratem słynnego don Pia oraz z pewnym młodym Katalończykiem który nazywał się Mateo Morral, pochodził z dobrej rodziny, pisywał podobno do gazet i regularnie uczestniczył w spotkaniach tego towarzystwa, odzywając się jednak raczej z rzadka. „Tajemniczy milczek”, tak pisał o nim później Baroja. Wśród gości był też Anselmo Miguel Nieto, początkujący malarz z Valladolid, wysoki i chudy chłopak o przenikliwych czarnych oczach, który przyjechał do Madrytu, by odnieść sukces. Za nic nie opuściłby nawet jednego przedstawienia w Kursaal, ponieważ kochał się w Anicie. Pod pretekstem, że chce malować jej portret, zawarł znajomość zarówno z nią, jak i z jej rodzicami. Ona, niepewna swych uczuć, po prostu pozwalała się kochać.

Owego wieczoru rozmowy koncentrowały się na odkryciu dokonanym rano w parku Retiro: na korze jednego z drzew ktoś wyrył nożem napis, który wstrząsnął całym miastem, tym bardziej że zdawał się mieć związek z pogroźkami, jakie od dłuższego czasu napływały do rozmaitych ministerstw, a nawet do pałacu. Napis ów głosił: „Alfons XIII zginie w dniu zaślubin. Niepokorny”. Zgromadzeni przy stolikach w Kursaal nie ustawali w domysłach. „Co to za straszny człowiek i skąd mu się biorą takie myśli?”, pytali pół żartem, pół serio. „Na pewno przypomina czarne charaktery z Sherlocka Holmesa”. „I nosi czarną bródkę”. „I błyska groźnie oczyma”.

„Lepiej niech król łapie narzeczoną i zmyka gdzieś daleko, choćby na bezludną wyspę”, grzmiał don Ramon del ValleInclan.

Stali bywalcy siadali zawsze w tym samym miejscu pod ścianą, skąd mogli zagadywać schodzące ze sceny artystki. Anitę i Victorię zostawiali w spokoju, gdyż rodzice zabierali je zaraz po występie do domu, aby, jak mawiał don Angel, „o tak późnej porze nikt nie wziął ich za kogoś, kim nie są”. Niemniej młode i piękne tancerki cieszyły się sporą sławą. Ricardo Baroja tak opisywał Anitę: „Wysoka, blada, o kruczoczarnych włosach i ogromnych, jakby sennych oczach. W jej rysach, wciąż nie do końca ukształtowanych, dopatrzeć się można było przyszłej klasycznej Wenus”.

Mniej więcej to samo musiał myśleć wysoki i dystyngowany cudzoziemiec, który wraz z grupką towarzyszy zajął stolik pod sceną, a teraz nie odrywał od Anity wzroku, z zachwytem wsłuchując się w muzykę.

Gitarowe akordy przywodziły mu na myśl dźwięk sarangi, instrumentu często używanego w Indiach, kastaniety zaś brzmiały w jego uszach jak tabla. Tylko melodia nie przypominała niczego, co wcześniej słyszał.

Anita, skupiona na krokach, nie od razu go rozpoznała, tym bardziej że nosił ciemny flanelowy garnitur i białą koszulę z wykrochnalonym kołnierzykiem. Jednakże jego uporczywe spojrzenie w końcu zwróciło jej uwagę. Boże, to ten książę z Baśni z tysiąca i jednej nocy, pomyślała w popłochu, niemal potykając się z przejęciem. A radża siedział uśmiechnięty, zapatrzony. „To piękny Hindus”, miał później napisać obecny przy tej scenie znajomy Anity. „Jest wysoki, smukły i energiczny. Miedziany odcień jego skóry kontrastuje z olśniewającą bielą zębów. Łagodny uśmiech niejako przeczy władcemu wyrazowi czarnych, wielkich, błyszczących oczu”.

Po występie don Angel i doña Candelaria, którzy czekali, aż córki przebiorą się za zasłonką służącą za garderobę, ujrzeni, że zbliża się do nich niziutki i niezwykle układny człowieczek.

- Dobry wieczór - powiedział - jestem tłumaczem radży, który siedzi przy tamtym stoliku. Pracuję w hotelu Paris, tu obok. Czy zechcieliby państwo przyjąć zaproszenie na kieliszek szampana? Radża zachwycił się tańcem państwa córek i pragnąłby osobiście wyrazić uznanie...

Don Angel spojrzał na natręta ze zdumieniem, podczas gdy jego żona przybrała minę osoby urażonej w swej godności.

- Proszę podziękować radży w naszym imieniu - rzekł uprzejmie don Angel - ale zrobiło się bardzo późno, niedługo północ, a dziewczynki są jeszcze zbyt młode, by przesiadywać tak długo. Pan mnie rozumie, prawda?

Tłumacz, speszony gniewnymi spojrzeniami dońi Candelarii, nie miał odwagi nalegać i wycofał się do stolika radży.

- Co on sobie myśli, ten barbarzyńca?! Ze niby kim są moje córki?! - wykrzykiwała doña Candelaria, ciągnąc Anitę i Victorię ku wyjściu.

Radża przychodził na występy Anity do końca swego pobytu w Madrycie, będąc prawdopodobnie jedynym gościem, którego nie interesowały popisy zapowiadanych na plakatach sław. Pewnego wieczoru, zanim Kamelie wyszły na scenę, a groźna doña Candelaria pojawiła się w polu widzenia, tłumacz z hotelu Paris podkraść się do przebieralni artystek.

- Panienko, radża kazał to pani przekazać...

Anita otworzyła pękatą kopertę, a ujrawszy plik banknotów, podniosła oczy na pośrednika.

- To pięć tysięcy peset. Jego wysokość pragnąłby zaprosić panią do swojego stolika. Żeby porozmawiać, nic więcej...

W oczach dziewczyny odmalowała się obraza. Tłumacz zaczerpnął oddechu, by coś jeszcze wyjaśnić, ale było już za późno.

- Proszę powiedzieć temu barbarzyńcy - oświadczyła na cały głos Anita, że może i jestem biedna, ale mam swój honor. Za kogo on się uważa? Myśli, że można mnie kupić? Proszę mu powiedzieć, że jest zwykłą świnią. Niech się do mnie nie zbliża! Pana też nie chcę więcej widzieć!

Później, po skończonym występie, rozszłochała się „jak głupia”. Stali bywalcy pocieszali ją, jak mogli, a doña Candelaria tłumaczyła każdemu, kto się nawinął:

- Ten król oszalał dla mojej córki. Ale nic z tego. Na Boga, przecież to mahometanin.

- Mahometanin?

A tak. Z tych, co to mają haremy. Zabrałyby nam ją i nigdy więcej byśmy jej nie zobaczyli... .

Następnego ranka w skromnym mieszkanku rodziny Delgado zadźwiewał dzwonek. Ponieważ doña Candelaria wybrała się na targ i zabrała ze sobą Victorię, drzwi otworzyła Anita. Ujrzała tylko kwiaty. Bukiet był tak ogromny, że całkiem zasłonił biednego posłańca.

- Ojej! Gdzie ja to wszystko zmieszczę? - wykrzyknęła.

Radża załczył liścik. Przeczytała go powoli, bo, po pierwsze, nadal przychodziło jej to z trudem, a po drugie ze złości prawie nie zmrużyła oka i czuła się bardzo zmęczona. Książę przeproszał: „Nie zamierzałem pani obrazić ani tym bardziej sugerować rzeczy, o których nawet nie pomyślałem. Proszę, by zechciała pani przyjąć te kwiaty jako wyraz mojego najgłębszego szacunku

dla jej osoby". Anita przysiadła na stole w ciasnej jadalni i westchnęła. Potem znowu popatrzyła na bukiet. Składał się wyłącznie z kamelii.

## Rozdział szósty

Leżąc bezsennie w gorącej pościeli, Anita wspomina tamtą noc, kiedy również nie mogła zasnąć. Owego wieczoru w kabarecie poczuła się znieważona, dotknięta do żywego przez kogoś, kogo wcale nie знаła. A więc tacy są mężczyźni! Sama zdumiała się gwałtownością swojej reakcji. Teraz, z dystansu, uważa, że zachowała się jak dziecko. Powinna była się tylko roześmiać.

Jednakże wspomnienie tych wydarzeń nie daje jej spokoju. Anita, choć walczy ze sobą, nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że została zwyczajnie uwiedziona. Miała swoje życie, przyjemną pracę, zadeklarowanego wielbiciela, kochaną siostrę, rodziców, przyjaciół... Własny świat, który z perspektywy hotelu Tadź Mahal wydaje się swojski i przytulny. Dlaczego musiał się tam nagle pojawić egzotyczny władca? Dlaczego musiał ją stamtąd zabrać w obcą krainę luksusu, z którego ona, Anita, nie potrafi się nawet cieszyć?

Ma dość rozsądku, by wiedzieć, że nie wolno jej tak myśleć, ale w głębi duszy lituje się nad sobą. Okazała się słaba. Skapitulowała zbyt szybko. Nie potrafiła się oprzeć. I może winić tylko siebie. Kobieta w jej wieku już wie, co robi. A przynajmniej powinna wiedzieć. Radża czekał za krótko.

Przenikliwe głosy kruków rozdzierają gęste, gorące powietrze. Opary znad morza docierają aż do królewskiego apartamentu. Pachnie czymś dziwnym, mieszaniną dymu z kuchenek, na których biedacy w dole gotują sobie jedzenie, wilgoci i roślinnych soków. To zapach Indii.

Anita dochodzi nagle do wniosku, że gdyby mogła uciec, wsiąść na statek i wrócić do Europy, uczyniłaby to bez wahania. Gdyby mogła się cofnąć, przewinąć do tyłu szpulę czasu i znaleźć się z powrotem wśród swoich, poczuć madrycki chłód, woń górskich kwiatów wiosną, smak świeżych churros... Gdyby mogła pośmiać się z koleżankami, poplotkować, posiedzieć w chłodzie, pozując Anselmowi... Boże, gdzie się to wszystko podziało? Aż do tej chwili wydawało jej się, że zawsze będzie miała wybór, możliwość powiedzenia „tak” lub „nie”, działania wedle własnej woli. Ale teraz, tej upalnej nocy, pojmuję, że niektórych decyzji nie da się cofnąć. Ciężar przeznaczenia i samotności uciska jej piersi, utrudnia oddychanie. Anita już wie, że jeśli doktor Willoughby potwierdzi nazajutrz swoją diagnozę, sprawa będzie przesądzona. Boże! Zabawa się skończyła. Pora spoważnieć.

\* \* \*

Fakt, że indyjski radża pragnie zabrać ze sobą Anitę, zelektryzował pół miasta. Kamelie stały się sławne, choć, niestety, nie ze względu na talent, jak



by sobie tego życzyły. Wśród madryckiej bohemy wrzało od plotek. Czy radża naprawdę uwięzie naszą Anitę w nieznane, pytali wszyscy, obserwując, jak doña Candelaria negocjuje z Hindusem za pośrednictwem zawsze tego samego tłumacza. Wieść niosła, że radża pragnie, by Anita spędziła jakiś czas w Paryżu, przygotowując się do roli przyszłej rani. Później zamierzał się z nią podobno ożenić. Zupełnie jak w bajce, zbyt pięknej, by mogła być prawdziwa.

Zainteresowanie radży mile polechtało próżność Anity. Ale nie brała jego deklaracji zbyt serio. „Nie jesteś mnie wart”, śpiewała kokieteryjnie, zakazując tłumaczowi przekładać. Była zbyt młoda, by poważnie myśleć o miłości. Brakowało jej doświadczenia, ostatecznie poza dwudziestotrzyletnim artystą Anselmem nie miała wcześniej żadnych konkurentów. Młody malarz, nieświadom zamiarów radży, zakochiwał się zresztą coraz bardziej, Anita natomiast świetnie się bawiła.

Im bardziej się wycofywała, tym bardziej radża naciskał. Szalał za nią. By dojść do tego wniosku, wystarczyło popatrzeć, jak wodzi za nią wzrokiem w czasie występu. Kontrast pomiędzy jej chłodną urodą i ognistym tańcem sprawiał, że odchodził od zmysłów. Za każdym razem zapraszał ją do swego stolika, a ona przyjmowała zaproszenie tylko czasami, zawsze eskortowana przez matkę. Stali bywalcy z daleka widzieli, jak doña Candelaria przecząco kręci głową. Radża milkł, zapatrzony w Anitę. Kiedyś chciał je zabrać na kolację. Oczywiście odmówiły.

- A na obiad? Może zgodziłyby się panie na obiad? - spytał wtedy tłumacz. Anita zerknęła na matkę i siostrę. Doña Candelaria uśmiechnęła się przyzwalająco, a radża poczuł, że szalał przechylił się wreszcie na jego stronę.

- Tak, na obiad tak. Pod warunkiem, że mama i Victoria też pójda - oświadczyła Anita.

W takcie posiłku, który odbył się w restauracji hotelu Paris, radża zachowywał się bez zarzutu. Anita nigdy wcześniej nie była w lokalu „takiej kategorii”, jak się wyraziła, i wyszła zachwycona, bardziej zresztą rokokowym wystrojem wnętrza i uprzejmością obsługi niż jedzeniem, ponieważ w gruncie rzeczy wolała szynkę, ziemniaczaną tortillę i pieczonego kurczaka. Wszystkie inne potrawy wydawały się jej pozbawione smaku. Podczas gdy rozmowa krążyła wokół ślubu króla Alfonsa, Anita z ciekawością zerknęła na swojego „króla”, próbując sobie wyobrazić, jak by to było zostać z nim sam na sam. Miała go wprowadzić na wyciągnięcie ręki, a jednak czuła, że dzieli ich ogromny dystans. Radża siedział spokojnie, władczy i dumny, choć nie wyniosły - prawdziwy dżentelmen o ciemnej skórze i nienagannych manierach. Znał sześć języków, zwiedził cały świat i przyjaźnił się z wielkimi tego świata.

Dlaczego zakochał się właśnie we mnie? - zastanawiała się Anita, wystarczająco rozsądna, by zadawać sobie takie pytania. Z zadumy wyrwał ją głos tłumacza:

- Jego wysokość mówi, że gdyby chciały panie obejrzeć orszak ślubny z dogodnego miejsca, zaprasza do swoich apartamentów. Jego samego nie będzie, ponieważ jest zaproszony na uroczystości do kościoła Hieronimitów.

Przyszła pora na kawę, a później, kiedy Anita i Victoria pożegnały się, by iść na lekcję tańca, radża zamknął się wraz z tłumaczem i dołą Candelaria w osobnym gabinecie na poważną rozmowę. Doña Candelaria straciła z lekka dech, gdy usłyszała o „szczodrym uposażeniu”, jakie radża zamierzał zaproponować w zamian za rękę Anity. Uposażeniu, które gwarantowało rodzinie Delgado wygodną egzystencję ad vidam aeternam. Doña Candelaria zdobyła się jednak na szczerość:

- Wasza wysokość, ale ja nie mogę oddać córki do haremu. Nie mogę tego zrobić za żadne skarby świata.

- Nie ma mowy o żadnym haremie, odparł radża. - Mam wprowadzić cztery żony i czterech dorosłych synów, ożeniłem się dla podtrzymania tradycji swego kraju, których nie wolno mi zaprzepaścić. Nie wolno mi też oddać żadnej z żon, ponieważ mam obowiązek dbać o ich dobrobyt do końca życia. Tak stanowi tradycja, a jako władca muszę się jej podporządkowywać bardziej niż ktokolwiek inny. Niemniej jednak od dawna jestem sam, teraz zaś pragnąłbym dzielić życie z pani córką. Anita zamieszka wraz ze mną w osobnym pałacu i będzie mogła jeździć do Europy, ilekroć zechce. Proszę, aby mnie pani dobrze rozumiała i wytłumaczyła wszystko Anicie. Jeśli ona zgodzi się na to, co jej proponuję, uczynię wszystko, by była szczęśliwa.

Doña Candelaria opuściła hotel Paris z zamętem w głowie. Wbrew temu, co przypuszczała, radża wydawał się przyzwoitym, szczerym w swych intencjach człowiekiem. Szarpana wątpliwościami zajrzała po drodze do Cafe de Levante.

- Tyle pieniędzy to zawsze pokusa - zwierzyła się Valle-Inclanowi - ale co z honorem? Bo co innego nam pozostało?

- Moim zdaniem Anita powinna wyjść za radzę jeszcze w Europie, tak na wszelki wypadek - poradził znany pisarz, który od kilku dni pracowicie gromadził informacje o konkurencie ulubienicy. Z tego, co słyszał, władca Kapurthali był człowiekiem bajecznie bogatym, a choć posiadał w swoim kraju władzę absolutną, uchodził za sprawiedliwego. Poza tym mógł się poszczycić doskonałym wykształceniem, cenił sobie postępowanie i osiągnięcia Zachodu.

- Takiej okazji nie wolno zmarnować - podsumował Valle-Inclan.

Następnego dnia, 31 maja, mieszkańcy Madrytu świętowali już od rana i zewsząd dochodziły radosne okrzyki, śmiechy, bicie dzwonów, huk petard i sztucznych ogni. Świeciło piękne słońce, upał jednak nie doskwierał. Z okien zwieszały się girlandy kwiatów i gobeliny z królewskimi herbami. Idąc do hotelu w towarzystwie rodziców, Anita odnosiła wrażenie, że na ulicach wszyscy się znają, tak silne było tego ranka poczucie wspólnoty. Radza nie tylko odstąpił rodzinie Delgado swoje apartamenty z doskonale usytuowanymi balkonami, ale zadbał również, by nie zabrakło gościom kawy, ciastek ani innych słodczy. „Barbarzyński król” okazał się osobą doskonale wychowaną, jak powtarzała raz po raz doña Candelaria, racząc się kolejnymi smakołykami.

Anita nie schodziła z balkonu, podziwiając wspaniałe zaprzęgi, żołnierzy w jaskrawych mundurach, olśniewające powozy... Nagle tłum zakołysał się gwałtowniej, wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę. „Jadą już! Jadą!”.

Przy dźwiękach Marsza królewskiego karetą z młodą parą zbliżała się do hotelu Paris i Puerta del Sol. Dzwony biły, ludzie wznosili wesole okrzyki. Kobiety w białych mantylach wiwatowały z balkonów. Nowożeńcy uśmiechali się z zapałem: szczęśliwy Alfons XIII i cudzoziemska księżniczka, która była już królową Hiszpanii. Może ja też mogłabym zasiąść na obcym tronie, tak jak ona, pomyślała nagle Anita. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Natychmiast zbeształa się w duchu za niemądre pomysły. Ale tak czy owak podobał jej się radosny gwar, uroczysta atmosfera i te tłumy deklarujące wierność prawie nieznanemu władczyni. Jak miło być kochaną i podziwianą przez tylu ludzi, dumiała Anita, niezdolna powściągnąć wyobraźni. Kiedy orszak się nieco oddalił, zmęczona słońcem wróciła do salonu. W środku panował miły spokój. Wypolerowane meble odbijały wszystko jak lustro, butelki z najróżniejszymi napojami stały w zasięgu ręki, miękkie dywany tłumiły dźwięk kroków, a półki w łazience uginały się od flakonów z perfumami i innych drogich kosmetyków. Anita rozglądała się wokół oczarowana: po raz pierwszy zetknęła się z luksusem.

Zetknięcie to trwało jednak krótko. Straszliwy huk wstrząsnął budynkiem, aż zadzwoniły szyby. „Och, Boże!”, zawołała doña Candelaria. Kiedy Anita wyszła na balkon, ujrzała rozpędzony tłum. Ludzie uciekali w popłochu, popychając się i krzycząc. W ciągu zaledwie kilku sekund radosna świąteczna atmosfera ustąpiła miejsca przerażeniu. Do uszu Anity dobiegł czyjś głos:

- Rzucili bombę na króla!

Stało się to na wysokości numeru 88 przy Calle Mayor, już niemal pod samym pałacem. Gdy przypominający kształtem muszlę powóz nowożeńców przejeżdżał dołem, ktoś wychylił się z balkonu i rzucił bukiet kwiatów. W

kwiatach ukryta była bomba. Z sąsiednich okien posypał się grad popękanych szyb. Na ulicy, pośród rozszalałych, poranionych koni obryzgujących wszystko krwią, leżały dwadzieścia trzy trupy. Wśród ofiar znaleźli się przede wszystkim wojskowi z regimentu Wadras, ale również sześciu cywili z markizą Tuluzy na czele. Rannych zostało około stu osób, przy czym jakichś dwudziestu gwardzistów i masztalerzy straciło na zawsze wzrok. Życie króla i jego świeżo poślubionej żony ocalił prawie niewidoczny elektryczny kabel, który zmienił trajektorię spadającego bukietu. Następnego dnia gazety podkreślały opanowanie Alfonsa XIII, który nie stracił zimnej krwi i pomógł białej jak ściana, spryskanej krwią Victorii Eugeniej przesiąść się do innej karety.

Kilka dni później te same gazety opublikowały zdjęcie zamachowca, który zastrzelił próbującego aresztować go policjanta, a następnie popełnił samobójstwo. Valle-Inclan i Baroja natychmiast rozpoznali Matea Morrala, małomównego Katalończyka, który przez jakiś czas uczęszczał na spotkania ich kółka. W przeddzień tragicznych wydarzeń Morral pokłócił się w horchaterii\* Candelas z malarzem Leandrem Orozem.

\* [Horchateria \(hiszp.\) - lokal, w którym podaje się horchatę \(czyt. orczatę\), napój z migdałów ziemnych rozgniecionych i wymieszanych z cukrem i wodą. Znana w okolicach Walencji odmiana francuskiej oranżady \[przyp. tłum.\].](#)

- Dajcie spokój z anarchistami! - oświadczył bowiem Oros. Gdy jeden z drugim trochę zarobi, zaraz przychodzi do rozumu.

Rozwścieczony Morral zadziwił wtedy wszystkich gwałtownością swojej reakcji.

- Więc proszę przyjąć do wiadomości, że choć pieniędzy mi nie brakuje, wciąż jestem anarchistą! - krzyknął.

Z doniesień prasowych wynikało, że był synem fabrykanta z branży tekstylnej, który zabronił mu wstępu do swoich zakładów, albowiem Morral podburzał przeciwko niemu robotników. Valle-Inclanem i Baroją tak to wszystko wstrząsnęło, że aż wybrali się obejrzeć zwłoki do krypty kościoła Dobrej Nowiny. Nie wpuszczono ich, w przeciwieństwie do brata don Pia, Ricarda, któremu pozwolono wykonać akwafortę zamachowca. Ujrawszy ją, wieczorem po występie, Anita wzdrygnęła się z przestachem. Pamiętała Morrala, jak siadywał w kąciu i wpatrywał się w scenę nieobecny spojrzeniem. I to właśnie on, przyjaciel jej przyjaciół, zamienił wesele w krwawą jatkę. Wszelkie uroczystości zostały zawieszono. Radza wyjechał z Madrytu jeszcze tego samego wieczoru. Sen skończył się brutalnym przebudzeniem. Madrytczyki musieli wrócić do codzienności.

## Rozdział siódmy

O szóstej rano kelner otwiera drzwi parafarrfrftu i stawia na stoliku tacę z dzbankiem i filiżankami. - Morning teal

Anita sądzi, że to śniadanie, ale zaspana Mme Dijon tłumaczy jej, że wedle brytyjskiego zwyczaju w Indiach najpierw pija się herbatę, a obfite śniadanie jada nieco później, w restauracji.

Herbata! Za pierwszym razem wydała się Anicie tak wstrętna, że zdegustowana dziewczyna omal jej nie wypłuła. „Smakuje jak popiół”, stwierdziła. Działo się to w paryskim mieszkaniu radży, w okresie, gdy Anita uczyła się obyczajów wielkiego świata. Teraz, jak przystało na prawdziwą damę, potrafi już docenić oryginalny napój: z odrobiną mleka i cukru herbata uspokaja, wzmacnia i pomaga zebrać myśli. Jak to możliwe, że przez całą noc wątpiałam w uczucia radży, zastanawia się Anita. Skąd mi się wzięły te wszystkie obawy wobec niezliczonych dowodów miłości z jego strony? Czyż sam fakt, że wraz z Mme Dijon właśnie piję herbatę w hotelu Tadź Mahal, nie jest takim dowodem? Przez okno widać, jak nad Morzem Arabskim wstaje słońce. Delikatne pomarańczowe światło zalewa barki w porcie, żagle należących do Koli łódeczek i fasady budynków przy bulwarze. Łagodna bryza wpada do apartamentu wraz z pierwszymi promieniami. Jakże inaczej wygląda wszystko za dnia! Nocne mury rozpraszają się, przestraszone jasnością. Nawet upał nie wydaje się już tak bezlitosny. Koniec ze strachami! Będę matką i królową, myśli Anita, łatwo przeskakując od desperacji do euforii. Trochę to wyczerpujące, takie zmiany nastrojów. Tym bardziej że trwają od dawna. Po zamachu nie spodziewała się więcej spotkać swego księcia z bajki, a jednak znajduje się teraz w jego kraju, w jego świetle i w jego mocy. I na dodatek jest w ciąży - uśmiechnięty doktor Willougby przed południem potwierdza swoją diagnozę. Nie ma cienia wątpliwości: dziecko urodzi się w kwietniu.

- Miłej podróży - mówi lekarz. - Proszę na siebie uważać, w pociągu porządnie panią wytrzęsie, a to niezbyt wskazane w pani stanie. Dlatego niech pani potem dobrze wypocznie.

\* \* \*

Kiedy zagraniczni goście w pośpiechu opuścili Madryt, myślała, że to koniec. Jednakże jego wysokość Jagatjit Singh, radża Kapurthali, najwyraźniej nie mógł żyć bez jej widoku. Nie spał, nie jadł. Każda próba racjonalnego rozumowania rozbijała się o mur namiętności. Jak to się stało, że indyjski władca, bogaty i przystojny, wykształcony frankofil i anglofil zakochał się w prostej, o osiemnaście lat młodszej Hiszpance, która ledwie umiała czytać?

Przecież prawie ze sobą nie rozmawiali, a i te kilka zdań, które między nimi padły, wymienili przez tłumacza. Może trudności w porozumieniu wzmagały uczucie radży, przydając całej sprawie tajemniczości i dramatyzmu?

Jakkolwiek było, kilka dni później w mieszkanku rodziny Delgado znowu zadźwięczał dzwonek i Anita, która otworzyła drzwi, stanęła oko w oko z kapitanem Inderem Singhiem ubranym w niebieski mundur ze srebrnym pasem i żółty turban. Kapitan wyglądał wspaniale i sam bardziej przypominał księcia niż posłańca. Jego strój kontrastował ze spłowiełym szlafrokiem i rozczochranymi włosami Anity. W liście skierowanym do państwa Delgado radża prosił o rękę ich córki i wymieniał sumę, jaką przeznaczył dla przyszłych teściów: sto tysięcy franków. W razie, gdyby wyrazili zgodę, kapitan Singh miał zabrać Anitę do Paryża. „Odrzuciłam tę propozycję, bo znowu poczułam się jak towar na sprzedaż”, opowiadała po latach Anita. Niemniej jednak od tamtego dnia wszystko się w jej życiu zmieniło. Bajeczna szczodrość „barbarzyńskiego króla”, jego upór i nadchodzące ze wstrząsającą regularnością listy miłosne jeszcze bardziej zelektryzowały przyjaciół rodziny.

- Radża oszalał - twierdził Romero de Torres. - Takiej szansy nie wolno zmarnować. Kabaret nie jest właściwym miejscem dla Anity.

I tak zawiązał się spisek mający na celu wydanie jej za radżę. Jedynym, który nie podzielał powszechnego entuzjazmu dla tego projektu, był Anselmo Nieto, ale cóż mógł biedak w pojedynkę poradzić? Cóż mógł zaoferować on, początkujący malarz, ślicznej Anitce? Nic ponad bezwarunkową miłość, czyli niewiele w porównaniu z radżą.

W szczerść tego ostatniego nikt nie wątpił. Valle-Inclan snuł na tej podstawie dalekosiężne a ironiczne plany: „Pobiorą się, wyjadą do Indii, tam pod wpływem Anity radża zbuntuje się przeciw Anglikom i wyzwoli swój kraj. W ten sposób zemścimy się na Wielkiej Brytanii za Gibraltar. Wydać Anitę za mąż to nasz patriotyczny obowiązek”.

Najtrudniej było przekonać don Angela, który do całej sprawy odnosił się nader niechętnie. Wobec nacisków żony i przyjaciół okazał się jednak bezradny. Doña Candelaria wciąż powtarzała, że wzorem wszystkich matek pragnie tylko dobrze wydać córkę za mąż. A czyż mogło być małżeństwo korzystniejsze od związku z radżą? Owszem, Anita była bardzo młoda, a konkurent „oryginalny” i dużo starszy... Ale przecież cieszył się tak dobrą opinią! Zresztą, wszystko lepsze niż ten malarzyna od siedmiu boleści, co to włączy się za Anitą jak cień.

- Wolałbyś, żeby wyszła za tego chłystka? I chyba się zgodzisz, że kabaret nie jest stosownym miejscem dla naszej córki?

- Anselmo to żaden chłystek. Jego rodzice mają cukiernię w Valla-dolid.

- Cukiernię! - doña Candelaria wzruszała ze wzdrgniętymi ramionami, jak gdyby nigdy jeszcze nie słyszała podobnej niedorzeczności.

Argument finansowy należał do najmocniejszych w jej arsenale. Czy mąż nie rozumiał, co znaczy sto tysięcy franków? Taka fortuna oznaczała ni mniej, ni więcej, tylko koniec problemów finansowych. Własne mieszkanie ze służbą. Może nawet powóz. Mięso na co dzień, wizyty w teatrze, kasynie i restauracjach, podróże do Malagi, a w razie potrzeby pomoc najlepszych lekarzy. Boże! To dopiero życie godne rodziny Delgado de los Cobos! „I pamiętaj, że twoje trzecie nazwisko brzmi Quirós”. Do niego właśnie, jak do fetysza, odwoływał się don Angel, gdy los szczególnie mu dokuczył. Związki z tym starym, powszechnie szanowanym rodem stanowiły jeden z jego nielicznych powodów do dumy.

Ojciec Anity stał więc na z góry przegranych pozycjach. Kawiarniani przyjaciele dokładali starań, by wyperswadować mu ostatnie obawy.

Do znużenia tłumaczyli, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko Anita nie zgodzi się na zmianę wiary i wyjdzie za mąż w Europie. Dzięki temu zachowa niezależność i gdyby współżycie z radzą okazało się niemożliwe - w co wątpią - będzie mogła w każdej chwili wrócić.

Doña Candelaria wzięła na siebie obowiązek przekonania córki, że radzy należy się poważna odpowiedź - list, z którego wynikałoby niezbicie, że Anita gotowa jest udać się do Paryża, oczywiście w towarzystwie rodziny. O małżeństwie ani zaręczynach nie byłoby mowy, jako że dziewczyna okazała się na to niegotowa, ale nadzieje radzy można by odpowiednio podsycić. Problem polegał na tym, że Anita ledwie umiała pisać, podobnie jak jej matka i większość ówczesnych Hiszpanek. „Kohany krulu”, zaczynał się jej list, „hciałabym żebyś był zdrowy. Ja Bogu dzięki tak. Piszę bo...”. Malarz Leandro Oroz pokazał go znajomym z Cafe de Levante.

- Tego wysłać nie można. To by był koniec. Ale zaraz coś poradzimy - zawyrokował Valle-Inclan, zabierając się do pracy. Ortiz, który był w połowie Francuzem, przetłumaczył dzieło przyjaciela i nie przejmując się faktem, że właśnie dokonuje fałszerstwa, podpisał: „Anita Delgado, Kamelia”. List, który zdawał się teraz żywcem wyjęty z antologii poezji miłosnej, zawierał jednak również szereg uwag natury praktycznej. Anita wyrażała wdzięczność za sumę przeznaczoną dla rodziców i przyjmowała propozycję małżeństwa, pod warunkiem że ślub cywilny odbędzie się w Europie i że do czasu ceremonii będzie mieszkała z matką w osobnym mieszkaniu, mając do dyspozycji hiszpańską pokojówkę, tak by honor rodziny nie doznał uszczerbku. „Jeśli

radża zgodzi się na to wszystko, znaczy, że naprawdę Anitkę kocha", zawyrokowali przyjaciele. Valle-Inclan chciał jeszcze zażądać odznaczenia dla siebie i pięciu innych bywalców kawiarni, utrzymując, że „to im ostatecznie lud Kapurthali zawdzięczał będzie swoją szczęśliwość”, ale pozostali sprzeciwili się temu pomysłowi, „żeby nie pokpić sprawy”.

Poważny, napisany kwiecistym, pełnym ozdobników stylem list miał wszelkie szanse, by wzmóc uczucia radży. Anita z pewnością zgłaszałaaby jakieś zastrzeżenia do tej farsy, dlatego panowie zgodnie postanowili nie pokazywać jej efektów swojej pracy i nie zwlekając, złożyli się na znaczek. W ten sposób los ich ulubienicy został przypieczętowany.



## Rozdział ósmy

Bombaj, 30 listopada 1907 roku. Pora ruszać dalej. Wieczorem, w porze przygotowań do odjazdu nocnych pociągów, wokół imponującej, przypominającej gotycką katedrę stacji Churchgate mrowią się powozy, autobusy, taksówki, riksze, rowery i konie. Trudno się między nimi precyzyjnie przemieszczać, wszędzie zgiełk i zamieszanie. Hotelowy powóz poprzedzany przez trzy wyładowane bagażami wózki przedziera się przez tłum. Anita, Mme Dijon i Lola - wszystkie trzy w długich sukniach i szerokich kapeluszach - wysiadają i pod przewodnictwem kapitana Singha wchodzą do budynku stacji. Mocno kontrastują z otaczającą je ciżbą. Oszołomione i przestraszone przystają po kilku krokach. Wokół faluje ludzkie morze, kulisi dźwigają na głowach paczki i walizki, obnośni sprzedawcy zachwalają owoce mango, sandały, grzebienie, nożyczki, torby, szale, sari... Tu i ówdzie swoje usługi zachwalają pucy-buci, czyściciele uszu, skrybowie, szewcy, astrologowie, a także handlarze wodą, osobni dla hindusów i muzułmanów. „Hindi pani! Musulman pani!”, krzyczą. Wędrowny asceta, jeden z tak zwanych sadhu, niemal nagi i umazany popiołem, zbliża się do Loli ze swoją miską. Prosi o monetę, oferując w zamian kilka kropel świętej wody z Gangesu, którą najwyraźniej zamierza wlać Andaluzyjce do ust.

- Brrr, co za ohyda! - wstrząsa się Lola, przeganiając go energicznym ruchem ręki. Jest w złym humorze. Napięta i skupiona idzie jak po polu minowym.

Na dworcu panuje straszliwy ścisk i Anita odnosi wrażenie, że cały Bombaj właśnie wybiera się w podróż. Z trudem docierają do swojego pociągu, przeskakując ponad śpiącymi na ziemi żebrakami. Wokół maszynek spirytusowych koczują liczne rodziny - czekają, czasem całymi dniami, na właściwe połączenie lub pracę, która pozwoli im opłacić bilet.

Pociągi są zapchane do granic możliwości. Ludzie czepiają się okien i drzwi, rozpaczliwie próbując nie zostać na peronie. W ramionach ściskają kury i kozy. Mężczyźni wspinają się na dachy, walcząc o skrawek miejsca do siedzenia i tworząc prawdziwe ludzkie grona. Wrzeszczą przy tym ogłuszająco, ale nigdzie nie widać wrogości, raczej wesołość.

Biali podróżują pierwszą klasą, komfortowo i całkiem po europejsku. Opuszczone zasłonki w oknach pozwalają im odgrodzić się od piekła na zewnątrz.

Na końcu stoją luksusowe wagony radżów, zarezerwowane na ich wyłączny użytek. Ten, który należy do władcy Kapurthali, pomalowany na niebiesko, z

okazałym herbem pośrodku, wyposażony jest w wygodne łóżka, prysznice i salonik-jadalnię. Ściany z hebanu, lampy z brązu, zastawa z angielskiej porcelany, obicia z niebieskiego i srebrnego aksamitu - wszystko tu olśniewa przepychem. Służący mają do dyspozycji osobny wagon-kuchnię, a powóz kapitana jedzie na specjalnej platformie. Panujący w rodzinach królewskich obyczaj nakazuje, by każdy pasażer miał dla siebie osobne pomieszczenie.

Anita nie dowierza własnym oczom: wewnątrz wagonu zdobią setki białych kamelii z Kaszmiru. Setki. W tym momencie klęka przed nią czterech służących; każdy z nich muska jej stopy dłonią, którą następnie podnosi do czoła. Anita, nieprzyzwyczajona do takich form, nie wie, jak zareagować. Przykuca i próbuje podnieść biedaków z podłogi, ci jednak patrzą na nią ze zdumieniem i uparcie przywierają do ziemi.

- Przywykniesz - mówi Mme Dijon. - W taki sposób wita się tu szczególnie szanowane osoby.

- Oczywiście, oczywiście - przytakuje pospiesznie Anita, jak gdyby zawstydzona swoim brakiem obycia.

Radża zadbał o wszystko. Na gości czeka francuska kolacja i mnóstwo butelek wody Evian, która ma gasić pragnienie i pomagać w walce z kurzem wdzierającym się do wagonów przez najdrobniejsze szczeliny. Gdy pociąg wyjeżdża z Bombaju, oczom podróżnych ukazują się rozległe, wyschłe pola porośnięte krzakami. Za oknem przesuwają się lepianki, nieliczne drzewa, machający wieśniacy, obdarte dzieci i stada krów wzbijających chmury pyłu w kolorze ochry. Rozpalona tarcza słońca znika powoli za horyzontem, zalewając krainę czerwonym blaskiem. Hindusi nazywają je Surya i czczą niby bóstwo. „Kiedy ruszaliśmy, myślałam tylko o tym, że dopiero za czterdzieści osiem godzin zobaczę swojego radżę. Pomysł z kameliami głęboko mnie poruszył”, napisze później Anita w swoim dzienniku. Niecierpliwość, nieustanne mdłości, krzyki na kolejnych stacjach i stukot kół pociągu nie pozwalają jej zasnąć.

Jakże różni się dzisiejsza podróż od tej sprzed roku, również odbytej koleją. Gdy tylko radża zaakceptował warunki wymienione w słynnym liście, Anita wraz z rodziną ruszyła do Paryża. Bardziej niż podróż była to zresztą przeprowadzka. Kapitan Inder Singh dostarczył środków, zjawiając się w madryckim mieszkanku z książeczką czekową „grubości słownika”.

- Miałam wrażenie, że mnie wiozą na rzeź - zwierzała się potem Anita siostrze.

To, co zaczęło się jako zabawa, przyjmowało poważny obrót tak szybko, że biedaczka sama nie wiedziała, co myśleć. Inni igrali z ogniem, a ona czuła ból oparzenia. Przyjaciele ojca dostali swoją porcję rozrywki, rodzina cieszyła się

dobrobytem, a ona sama? Co z nią będzie, zastanawiała się, podczas gdy pociąg przemierzał głębokie zaśnieżone doliny połyskujące w styczniowym słońcu. Wciąż nie potrafiła wyobrazić sobie małżeństwa z tym orientalnym władcą, któremu ją sprzedano, choć rodzice nie ustawali w wysiłkach, by przekonać ją, że jest inaczej.

- Nie martw się, kochanie - powtarzała matka.

- Jeśli tylko coś ci się nie spodoba, natychmiast wracamy do domu. Fakt, że jechali wszyscy razem, stanowił pewne pocieszenie. Nie pozostała przecież sama i bez opieki. Przyjdzie jednak chwila, kiedy ona - i tylko ona - będzie musiała stanąć twarzą w twarz z radzą. Jak miała się wobec niego zachowywać? Czy powinna uścisnąć mu dłoń, dygnąć przed nim czy może raczej pocałować go w policzek? A on? Czy weźmie ją pod rękę, jak gdyby byli narzeczonymi od niepamiętnych czasów? Nie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. „We Francji było deszczowo i mgliście”, zapisała w dzienniku. „Cały kraj wydawał się wielkim żyznym ogrodem, ale ulewa i noc nastrojały pesymistycznie”.

Niewykluczone, że właśnie ze względu na ten ogólny pesymizm i poczucie, że ją sprzedano, zgodziła się w przeddzień wyjazdu pozować do aktu Anselmowi Nieto, jedynemu, który gorąco sprzeciwiał się układowi z radzą. Wielokrotnie odrzucała jego oświadczenia, ale teraz, może gnana potrzebą upewnienia się, że jest ktoś, kto ją kocha, a może pod wpływem kiełkującego buntu, poświęciła mu całe popołudnie.

- Zostań, błagam, pluń na całą tę farsę - prosił malarz, odwożąc ją wieczorem do domu.

Zamiast odpowiedzi krótko i mocno pocałowała go w usta. Uczyniła coś podobnego po raz pierwszy w życiu i poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz. W progu odwróciła się jeszcze. W starej marynarce, z rzadką bródką i miną zbitego psa, Anselmo Nieto wzbudzał przede wszystkim żal.

- Nie mogę się cofnąć, robię to także dla nich - powiedziała, myśląc o rodzinie.

Nie było odwrotu.

Budzi ją chłód. W pierwszej chwili Anita nie wie, gdzie się znajduje. W jej umyśle, zmęczonym wrażeniami z podróży, wszystko miesza się i płacze. Wstaje z łóżka i owija się szlafrokiem. Przez szpary w ścianach wagonu, którymi wczoraj wpadał kurz, dziś wdziera się zimne powietrze. Zajechali już daleko na północ, przemierzają równiny, po których hulają wiatry znad Himalajów. Anita zerka przez okno i widzi, że krajobraz zmienił się nie do poznania: jak okiem sięgnąć rozciągają się żółto-zielone pola gorczycy.

Wychudli wieśniacy zatrzymują się, by popatrzeć na pociąg. To nie Francja, tak szara w zimie; to słoneczne Indie. Ale chłód doskwiera prawie tak samo. Jaka szkoda, że nie ma gazet, żeby włożyć je pod ubranie - to niezawodna metoda, jedna z tysiąca sztuczek matki. Podróże pociągiem zawsze dłużą się i dłużą; związek z władcą Kapurthali wymaga wiele cierpliwości, więcej niż można by się spodziewać. Czy tym razem radża przynajmniej wyjdzie na stację, czy też postąpi tak jak zawsze?

Nie było go przecież ani przedwczoraj w porcie w Bombaju, ani w ubiegłym roku na dworcu przy Quai d'Orsay. W Paryżu przysłał po rodzinę Delgado wspaniałe auto o nazwie de dion bouton, tak wielkie, że z łatwością wszystkich pomieściło. Drugi samochód zabrał bagaże. Ruszyli lewym brzegiem Sekwany do mostu Aleksandra III i dalej, na plac Concorde. Mimo padającej mżawki była to piękna przejażdżka i Anita chętnie cieszyłaby się nią jak zwykła turystka. Niestety, nie mogła. Dziwna sytuacja, w jakiej się znalazła, skutecznie jej w tym przeszkadzała. Rodzice również nie przejawiali cienia wesołości.

Na pierwszy rzut oka Paryż wydał jej się znacznie większy od Madrytu. Większy i bogatszy. I smutniejszy. Ludzie spieszyli dokądś ze wzrokiem wbitym w ziemię, choć na ogół sprawiali wrażenie lepiej ubranych niż w Hiszpanii. Na ulicach więcej się widziało aut. De dion bouton stanął na ulicy Rivoli, przed hotelem St. James&Albany, w jednej z najbardziej eleganckich dzielnic, niedaleko placu Vendôme słynnego ze sklepów jubilerskich, do których radża zaglądał zresztą nader często. W hotelowym holu państwo Delgado wraz z córkami wyglądali raczej na ubogich emigrantów szukających pracy niż na gości. Weszli do windy nieco przestraszeni, nigdy wcześniej bowiem nie korzystali z tego wynalazku. Windziarz w śnieżnobiałym uniformie zdawał się doskonale obeznany ze swoją profesją, co ich nieco uspokoiło, lecz za każdym razem, gdy winda podskakiwała, mijając kolejną kondygnację, dziewczęta wydawały zduszony okrzyk, a rodzice ściskali się za ręce, jakby miało im to pomóc w razie wypadku. Wszyscy odetchnęli z ulgą, znalazłszy się na trzecim piętrze i czując nieruchomą podłogę pod stopami. Radża zarezerwował dla nich widny apartament z widokiem na ogrody Tuileries. W salonie, umeblowanym w stylu Ludwika XV, królował wielki kominek z różowego marmuru. Pośrodku, na stole, czekał wykwintny podwieczorek. Doña Candelaria rozglądała się chciwie, jak gdyby chciała raz na zawsze napatrzeć się na te iście bajeczne luksusy, i wsłuchiwała się z lubością w plusk wody, którą dziewczęta napuszczały do wanny, przygotowując kąpiel. Rozebrawszy się, odkryły, że gazety, które chroniły je przed zimnem, odcisnęły się im na skórze. Trudno było cokolwiek odczytać, ponieważ litery zamazały się od potu,

ale w jednym miejscu dało się odcyfrować, że „dziś wieczorem nie odbędzie się przedstawienie w Cervantesie”. Anita i Victoria uśmieły się z tego serdecznie.

Radża zjawił się dopiero nazajutrz, nie chcąc zakłócać im wypoczynku. Anita wszakże rozumiała jego zachowanie zupełnie inaczej. „Jeśli jest taki zakochany, to czemu zwleka?”, zastanawiała się, gryząc z nerwów paznokcie. Na domiar złego Victoria wykrzykiwała co chwila: „To on! To on!”, a kiedy Anita biegła z bijącym sercem do łazienki, by przygładzić włosy, siostra wybuchała serdecznym śmiechem.

Kiedy koło dwunastej scena ta powtórzyła się po raz nie wiadomo który, Anita mruknęła tylko: „Daj spokój, to przestaje być śmieszne!”. Zanim jednak skończyła zdanie, w drzwiach stanął radża - wspaniały, majestatyczny i bardzo przystojny w nienagannie skrojonym garniturze z łańcuszkiem od zegarka zwisającym z kieszeni kamizelki. Zdjął turban, jak gdyby był to kapelusz, i złożył go na krześle.

- Mam nadzieję, że zdążyli państwo wypocząć po podróży. Miło cię widzieć, Anito - powiedział doskonałą hiszpańszczyzną, wprawiając wszystkich w osłupienie. Anita próbowała coś odrzec, ale z jej zaciśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Jak mu się udało tak szybko nauczyć hiszpańskiego, zastanawiała się, nerwowo dotykając włosów, ponieważ nie zdążyła poprawić fryzury.

- Widzę, że wolisz milczeć, to nie szkodzi - dodał radża, dostrzegając jej zmieszanie i sięgnął po kieszonkowy słownik, gdyż w gruncie rzeczy hiszpańskiego nadal nie znał prawie wcale, opanował jedynie kilka grzecznościowych zwrotów, aby powitać rodzinę Delgado.

Zarówno Anita, jak i radża na zawsze zapamiętali pierwszy wspólny obiad w apartamencie hotelu St. James&Albany. W odróżnieniu od Madrytu, w Paryżu radża czuł się u siebie i ze swobodą pełnił honory domu, zostawiając pozostałym rolę słuchaczy. Przez tłumacza oznajmił, że co dzień rano zjawi się u Anity specjalny fryzjer, a popołudniami będzie przychodził krawiec, by zdjąć z niej miarę i uszyć jej garderobę „właściwą dla kobiety, a nie pensjonarki”. Ponadto Anita miała się uczyć francuskiego, angielskiego, jazdy konnej, rysunku, gry w tenisa, w bilard i na fortepianie. Słuchając tego, don Angel spoglądał na córkę z uśmiechem, rad, że ktoś zadba wreszcie o jej edukację, której on nie był w stanie swoim dzieciom zapewnić. Doña Candelaria kiwała z zadowoleniem głową. Wszystko jej się podobało: rozkład zajęć przewidzianych dla „naszej dziecinki”, srebrne nakrycia, kryształowe kieliszki, kelner w białych rękawiczkach obnoszący oryginalne potrawy, takie jak sola w ziołach czy

surówka z marchwi, na którą Anita i Victoria patrzyły zresztą ze zgrozą... Wszystko było wspaniałe, nawet smak przeznaczonej do mycia rąk ciepłej wody, którą podano na koniec posiłku, a którą ona, doña Candelaria, wychyliła jednym haustem, by następnie włożyć do ust leżący na dnie plasterk cytryny i groteskowo się wykrzywić. „Dziewczynki”, ufne, że matka wie, co robi, natychmiast poszły w jej ślady i z pewnym zdziwieniem wypity ciepławy płyn. Don Angel nie mógł, oczywiście, pozostać w tyle, a radża, obserwując poczynania swoich gości, niemało się natrudził, by ukryć osłupienie. Kelnerzy zachowali kamienny wyraz twarzy i tylko od czasu do czasu spoglądali po sobie z konsternacją.

Ta wpadka musiała zapewne utwierdzić radżę w przekonaniu, że trzeba w miarę możliwości jak najszybciej oddzielić Anitę od rodziców. Już na następne spotkanie przyszedł w towarzystwie dystygowanej pani.

- Anito, przedstawiam ci Mme Louise Dijon, która będzie odtąd twoją damą do towarzystwa - oświadczył.

Mme Dijon obrzuciła nową podopieczną nieco zaskoczonym spojrzeniem: grube warkocze i czarna, wytarta sukienka w zestawieniu z paryskim szykiem nadawały jej wygląd biednej prowincjuszki. Doświadczona Francuzka spodziewała się osoby odrobinę bardziej dojrzałej i obytej, nie zaś obdartego dziecka, znając wszakże Indie, wiedziała, do jakich ekscentryczności posuwają się niekiedy tamtejsi władcy, znani ze swojej słabości do kobiet.

- Francuski jest bardzo łatwy, zobaczysz, Anito - odezwała się więc przyjaźnie, kiwając głową reszcie rodziny. Radża skorzystał z okazji, by wtrącić, że dla dobra nauki Anita powinna zamieszkać ze swą guwernantką w osobnym mieszkaniu. W ten sposób zapozna się też szybciej z etykietą. To ostatnie słowo nic zresztą Anicie nie mówiło, uznała więc, że chodzi o jakiś indyjski zwyczaj i postanowiła nie zaprzętać tym sobie chwilowo głowy. Znaczniej bardziej zajęła ją przykra konieczność rozstania z rodzicami. Zauważywszy cień na jej twarzy, radża zapewnił pospiesznie:

- Będziecie na tyle blisko, że nic nie przeszkodzi ci ich widywać o każdej porze dnia i nocy.

Ponieważ jednak dziewczyna milczała, po chwili niezręcznej ciszy odezwała się doña Candelaria:

- Uważam, że to dobry pomysł. Kochanie, inaczej nie nauczysz się języka, a przecież chcesz się nauczyć, prawda? Bo jak będziesz się porozumiewać z jego wysokością?

Anita zwróciła się w stronę ojca, jak gdyby u niego szukała wsparcia. Don Angel zerknął na nią smutnymi, łagodnymi oczyma, zebrał się w sobie i już zamierzał coś powiedzieć, gdy żona weszła mu w słowo:

- Decyzja należy do ciebie, dziecko. To twoje życie. Ale jego wysokość życzy sobie, byś zamieszkała oddzielnie, a wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że prędzej czy później ta chwila nadejdzie.

Niewiele było do dodania. A jednak na myśl o samotności, jaka czekała ją u boku Mme Dijon, Anita doznała ataku paniki. Nie dbała o piękne suknie ani fryzury. Czuła, że los tknął ją swoim palcem, zostawiając jej na duszy siniec.

## Rozdział dziewiąty

Przemierzając indyjski subkontynent w drodze na spotkanie z własnym życiem, Anita zostawia daleko w tyle należący do Brytyjczyków Bombaj i zagłębia się w terytoria pozornie od nich niezależne: Indaur, Bhopal, Orisę, Gwalijar... Każde ma za sobą bogatą historię, ich nazwy jednak nic Anicie nie mówią. Pięćset sześćdziesiąt dwa lokalne księstwa (w ich liczbie Kapurthala) zajmują mniej więcej jedną trzecią powierzchni Indii. Reszta kraju podzielona jest na czternaście prowincji - takich jak Kalkuta, Madras czy Bombaj - i odpowiednio większą liczbę dystryktów. Tam Anglicy rządzą bezpośrednio. Zrzeszone w rodzaj konfederacji księstwa dysponują pewną autonomią, ale również muszą się liczyć z brytyjską zwierzchnością. Korona wszędzie kontroluje politykę zagraniczną i armię, zrećnie radząc sobie z tymi wielkimi puzzlami. Sprawy wewnętrzne pozostawia lokalnym radzom, chyba że któryś z nich staje się zbyt niezależny lub wypowiada posłuszeństwo wicekrólowi.

Księstwa różnią się między sobą tak samo jak ich władcy. Z jednej strony, na południu, jest Hajdarabad wielkości połowy Hiszpanii; z drugiej, na zachodzie - maleńkie państewko o powierzchni nieprzekraczającej kilometra kwadratowego. Na samym półwyspie Kathiawar leży ich dwieście osiemdziesiąt dwa - wzięte razem złożyłyby się może na Irlandię. Kapurthala to jedno z pięciu księstw Pendżabu. Zajmuje obszar sześciuset kilometrów kwadratowych. Brytyjczycy zjednoczyli subkontynent dzięki sprawnej polityce i temu wynalazkowi nowoczesności, jakim jest kolej. Szef każdej stacji to odziany w stosowny uniform angielski urzędnik, który za pomocą gwizdka zawiaduje całym ruchem.

Każde księstwo ma jednak udzielnego władcę, który rządzi swymi poddanymi wedle starych tradycji i w zależności od regionu tytułowany jest tak albo inaczej. W Bhopalu, gdzie znajduje się ważny węzeł komunikacyjny i pociąg stoi kilka godzin, panują kobiety, słynne begum, zakrywające twarz burkami. „Wyglądają jak duchy”, mówi Anita, przyglądając się oficjalnemu, zdobnemu w zdjęcie obwieszczeniu na ścianie stacji. W Hajdarabadzie władcę nazywa się nizamem, w innych muzułmańskich księstwach występują tytuły takie jak mir, khan albo mahatar. Hindusi używają terminu radża - słowo to pochodzi z sanskrytu i oznacza zarówno „tego, który rządzi”, jak i „tego, kto ma spełniać życzenia”. W Dźodhpurze w powszechnym obiegu jest określenie rao, a w Udajpurze - rana. To ostatnie przyprawia Anitę o atak śmiechu, jako że po hiszpańsku rana znaczy „żaba”. „Wolę zostać żoną radży niż żoną żaby”, śmieje się dziewczyna. W dawnych czasach szczególnie szanowanym władcom



nadawano tytuł maha, co w sanskrycie oznacza „wielki”. A zatem maharadża to dosłownie wielki radża. Angielscy wicekrólowie zgadzają się jednak na używanie tego przedrostka tylko w odniesieniu do swoich najbardziej lojalnych przyjaciół. Nie pozwalają też, by wyraz „radża” tłumaczyć jako „król” - król w imperium może być tylko jeden.

Nie przeszkadza to lokalnym książętom szczyścić się wspaniałymi rodowodami: maharana Udajpuru twierdzi na przykład, że jest potomkiem słońca, podobnie zresztą jak maharadża Dźodhpuru. Inni zaczęli od stanowisk ministerialnych lub generalskich i dopiero dzięki zręcznej grze politycznej wstąpili na tron - tak właśnie było w przypadku Holkarów z Indauru czy rodziny Gaekwadów z Barody. Jednakże każdy z nich należy do indyjskiej arystokracji, z którą Anita już wkrótce ma zawrzeć bliższą znajomość. Wielu pozostaje w przyjacielskich stosunkach z radżą Kapurthali. Niektórzy są wykształceni i ujmujący, inni okrutni lub ascetyczni, jeszcze inni nieokrzescani albo nieco szaleni, a niemal wszyscy - ekscentryczni. Lud ich wielbi, widząc w nich wcielone bóstwa. Od niepamiętnych czasów opowiada się indyjskim dzieciom historie o walczących ze złem bohaterskich władcach, o wyrafinowanych pałacowych intrygach, zdradach i spiskach, o zakochanych księżniczkach, wyniesionych do najwyższej godności konkubinach i oddalonych żonach, o niezmiernych bogactwach, olśniewających pałacach i niezliczonych stadach koni, wielbłądów i słoń. W opowieściach tych prawda i mit stapiają się w nierozdzielną całość.

Mijając miasto Agra, dawną stolicę imperium Mogołów, Anita ma okazję podziwiać z daleka Tadź Mahal - pamiątkę po jednej z najbardziej romantycznych historii wszech czasów. Strzeliste minarety i biała, połyskująca w słońcu kopuła symbolizują potęgę miłości i kruchość życia, emanując nieśmiertelnym pięknem, które nikogo nie pozostawia obojętnym. Cesarz Sahdżahan wznosił to mauzoleum na pamiątkę swojej ukochanej żony Mumtaz.

- Zakochał się w niej i uczynił ją panią całego kraju... Czy ci to czegoś nie przypomina? - żartuje Mme Dijon.

Anita uśmiecha się, myśląc o zbliżającym się spotkaniu z radżą. - I co dalej?

- Podobno ujrzał ją któregoś poranka na targu i oczu od niej nie mógł oderwać. Była bardzo piękna, jakby żywcem wyjęta z perskiej miniatury. Siedziała za swoim straganem, otoczona jedwabiami i drogocennymi naszyjnikami. Zbliżył się i spytał o cenę połyskującego wśród innych klejnotów diamentu. „O ten ci chodzi? Nie stać cię na niego”, rzuciła wyzywająco, na co on wręczył jej, jak powiadają, dziesięć tysięcy rupii, czyli prawdziwą fortunę. Może to jej bezczelność tak go ujęła, a może uroda, kto wie... Tak czy owak

adorował ją przez wiele miesięcy, aż w końcu zgodziła się zostać jego żoną. Właśnie wtedy nadał jej imię Mumtaz Mahal, czyli „wybranka pałacu”...

- I? - dopytuje się Anita.

- I tyle. Została żoną i doradczynią władcy, a także ulubienicą tłumów, ponieważ zawsze wstawiała się za najbiedniejszymi. Poeci pisali, że w jej obecności księżyc chowa się za chmury, zawstydzony swoją brzydotą. Sahdżahan często pytał Mumtaz o zdanie i nierzadko, sporządzivszy jakiś dokument, posyłał go do haremu, żeby mogła rzucić na niego okiem.

- Do haremu? - krzywi się Anita. - Jak to możliwe, że miał inne żony, skoro ją kochał?

- W Indiach władca może mieć tyle żon, ile zechce. Ale zawsze znajdzie się ta jedna, do której należy jego serce.

- No, tak - wzdycha Anita, jak gdyby chciała odgonić utajone obawy.

- Po dziewiętnastu latach małżeństwa Mumtaz umarła przy porodzie czternastego dziecka. Miała trzydzieści cztery lata. Sahdżahan chodził w żałobie przez dwa lata, zrezygnował z kosztownych strojów, balów, a nawet z muzyki. Nie widział sensu w życiu. Władzę wojskową przekazał synom, a sam poświęcił się budowie mauzoleum na cześć zmarłej. To był podobno jej pomysł, który podszeptała mu na łożu śmierci. Chciała, by wznosił pomnik na pamiątkę ich wspólnego szczęścia. Teraz spoczywają tam oboje.

Zdaniem Anity było coś paradoksalnego w tym, że budowla uważana za symbol najwyższej miłości między mężczyzną a kobietą powstała w kraju, w którym mężczyznom wolno mieć wiele związków naraz. A jednak właśnie ona lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że miłość nie zna logiki ani granic.

Architektura stała się dla Śahdżahana pewną pociechą. Pracował nad wciąż nowymi projektami, jakby śmierć żony uzmysłowiła mu nie tylko ulotność życia, ale również kruchość imperium, i jakby pragnął zostawić po sobie coś, co przetrwa burze historii.

Pragnienie to zaowocowało szeregiem pałaców, meczetów, ogrodów i mauzoleów, które stały się ozdobą miast na północy. W tym samym okresie, droga z Agry do Delhi i dalej do Lahore przekształciła się w piękną, obsadzoną drzewami, sześciusetkilometrową aleję. Teraz biegnie wzdłuż niej trasa kolei. Czas zrobił swoje, drzewa częściowo wycięto i nic już nie jest tak zadbane jak za imperium Mogołów, ale trakt ten, znany jako The Grand Trunk Road i opisany przez Kiplinga w powieści Kim, wciąż pozostaje jednym z najważniejszych szlaków komunikacyjnych Indii. Przy wjazdach do miasteczek tworzą się długie kolejki wozów wyładowanych owocami, warzywami i masą innych towarów. Krajobraz wydaje się Anicie znajomy. To już Pendżab, jeden

z najpiękniejszych i najżyźniejszych regionów w Indiach. Wokół rozciągają się pola złocistej pszenicy i jęczmienia, obrośnięte topolami, kolorowe od kwiatów łąki, falujące morza kukurydzy, prosa i trzciny cukrowej, a wszystko to poprzecinane srebrzystymi wstęgami rzek. Wieśniacy w turbanach chodzą za pługami ciągniętymi przez wychudzone zwierzęta. „Spichlerz Indii” jest tak zielony, że przypomina Francję. O tej porze roku temperatury sprzyjają, ani śladu upałów, a nocami bywa nawet chłodno.

- Dojeżdżamy - odzywa się Mme Dijon, przerywając rozmyślenia swojej podopiecznej. - Zaraz ubierzemy cię i uczeszymy jak prawdziwą księżną.

Anita aż podskakuje w fotelu. Bliski koniec podróży wywołuje w niej ekscytację pomieszaną z lękiem. W głowie roi się od pytań: czy tym razem po mnie wyjdzie? Jak mam mu przekazać wielką nowinę? I kiedy? Jak zareaguje? A jeśli nie będzie zadowolony?

- Jak się mówi po francusku: „jestem w ciąży”? Je suis embarassee\*?

\* Je suis embarassee (franc.) - jestem zakłopotana [przyp. tłum.]

- Nie, nie. J'attends un enfant, Altesse. Oczekuję dziecka, wasza wysokość.

- Oczekuję dziecka - powtarza Anita, wyglądając przez okno i głaszcząc się po brzuchu, jak gdyby chciała się upewnić, że słowa znaczą naprawdę to, co znaczą.

Zjawia się pokojówka Lola, taszcząc skrzynię z lakierowanego drewna, w której znajdują się grzebienie z masy perłowej, srebrne szczotki i wszystko to, czego trzeba, by wyglądać pięknie. Mme Dijon tymczasem wyjmuje ze znajdującej się w ścianie przedziału szafy paryskie suknie.

\* \* \*

Widząc je po raz pierwszy, w apartamencie hotelu St. James&Albany, Anita czuła się tak, jakby jej właśnie pokazywano robocze uniformy. Była tak przerażona na myśl o rozstaniu z rodzicami, że nie bardzo mogła się skupić na wspaniałych kreacjach od Wortha i Paquina, które radza ostrożnie wydobywał z opakowań - niby mag króliki z cylindra. Doña Candelaria wytrzeszczyła oczy w zdumieniu, podczas gdy rozentuzjasmowana Victoria szeptała w kółko:

- Nie bądź głupia! Ty to dopiero masz szczęście!

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, gdzie miała się przebrać, Anita zdała sobie sprawę, że płacze. Przysiadła na brzegu łóżka, czekając, aż jej przejdzie. Potrzebowała choćby chwili samotności, żeby odegnać intensywniejszy niż zwykle strach przed nieznanym. Uspokoiwszy się nieco, przymierzyła pierwszą suknię - długą, z wąskimi rękawami, wysokim kołnierzem i bardzo dopasowanym gorsetem. Potem przejrzała się w lustrze i po raz pierwszy zobaczyła w nim kobietę, a nie podlotka. Pomyślała, że tak będzie wyglądać

przez resztę życia - „jak dama”. Obracając się, doszła do wniosku, że suknia leży wspaniale; rękawy, talia, długość - wszystko było idealne. Uznała, że wygląda ładnie i dopiero wtedy zaczęła się cieszyć. Poza tym miękki materiał układał się na ciele niczym aksamitna rękawiczka na dłoni. Tylko długie spódnice trochę plątały się między nogami, utrudniając chodzenie. „Nie pozostało mi nic innego, niż pokazać się w salonie”, pisała w swoim dzienniku, „ale musiałam przytrzymywać suknię obiema dłońmi, żeby się nie przewrócić”.

- Wyglądasz olśniewająco - oświadczył radża z szerokim uśmiechem satysfakcji, podczas gdy Anita pospiesznie sadowiła się na pierwszym lepszym krześle. Patrzył na nią jak rzeźbiarz na posąg wyłaniający się pod jego dłutem z kamienia. Wobec tak wyraźnego podziwu, Anita nabrała odwagi i ośmieliła się nawet zażartować ze swoich kłopotów z utrzymaniem równowagi.

Fryzjer, który już czekał, musiał wysłuchać szczegółowych wskazówek, albowiem radża miał określony gust, wyraźną wizję i artystyczne ciagotki. Anita miała być jego - i tylko jego - dziełem. „Zrobili mi na głowie misterną konstrukcję z masy loczków i dziesiątków szpilek. Ciężkie to było niesłychanie. Po moich warkoczach nie został nawet ślad”, skarżyła się w dzienniku. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania. Poczciwy don Angel spoglądał na córkę wyraźnie wniebowzięty, doña Candelaria - jakby ją zobaczyła po raz pierwszy w życiu, a Victoria - z nieskrywaną zazdrością. Kabaretowa tancerka znikła, zastąpiona przez kogoś, kto wyglądał jak księżniczka.

Jednakże bez względu na wygląd, Anita wciąż była dzieckiem. Tego samego dnia, żegnając się, radża wręczył jej ozdobną sakiewkę pełną złotych ludwików.

- To dla ciebie - powiedział. Anita nigdy nie widziała tylu pieniędzy naraz, więc naprawdę wdzięczna podniosła oczy na swego protektora. Ten prezent nie miał nic wspólnego z owymi pięcioma tysiącami franków zaproponowanymi jej przez tłumacza w Paryżu. „Barbarzyński król” uczył się delikatności i zarówno wobec niej, jak i wobec całej rodziny zachowywał się teraz nadzwyczaj taktownie.

- Na co je wydasz? - zapytała siostrę Victoria, gdy radża udał się do pobliskiego hotelu Meurice, gdzie mieszkał.

- Kupię sobie lalkę - odparła bez wahania Anita.

## Rozdział dziesiąty

Radża, choć początkowo onieśmielał, stał się dla rodziny Delgado prawdziwym aniołem stróżem. Obawy Anity okazały się bezpodstawne. Nie brał jej za rękę, nie udawał, że znają się od zawsze. Nie było żadnych przykrych incydentów, nacisków, erotycznych podtekstów ani w ogóle niczego, co mogłoby zasiać w jej sercu wątpliwość co do jego intencji. Przeciwnie, wszystko odbywało się jak należy, grzecznie i elegancko. Radża nie tylko ulokował państwa Delgado w pobliżu hotelu, gdzie mieszkała ich córka, ale również wystarał się dla nich o hiszpańską służącą, by gotowała im to, co zwykli jeść w domu. Dzięki niemu zyskali spokój i dobrobyt, a z każdą wizytą w teatrze, z każdym klejnotem otrzymanym przez Anitę, upewniali się, że „barbarzyński król” jest naprawdę zakochany. Nawet jeśli wydawało się to trudne do zrozumienia. Dlaczego wybrał Hiszpankę, skoro fascynował się Francją? W jaki sposób udało mu się pogodzić z jej pochodzeniem, skoro, jak każdy Hindus, a cóż dopiero radża, przywiązywał tak wielką wagę do rodu i kasty? Pokochał dziewczynę bardzo młodą, wiedząc, że niełatwo mu przyjdzie dostosować ją do świata, w którym się obracał. Ale pokochał ją mimo wszystko i nie szczędził środków, by swoje uczucie udowodnić. Gdziekolwiek by nie był, regularnie korespondował z Mme Dijon i uważnie śledził postępy Anity. Wciąż zaskakiwał ją drobnymi grzecznościami, potęgując atmosferę bajki - na przykład, przysyłał z rana kilka kiści wybornych winogron albo pod wieczór buteleczkę najlepszej oliwy do sałatek. Raz ofiarował ukochanej wspaniałą lalkę, kiedy indziej - w dniu, w którym spadł pierwszy śnieg - futro i odpowiednie botki. Nie wspominając o kosztowniejszych prezentach. Przed wyjazdem z Francji zjawiał się bowiem u Anity z dwoma aksamitnymi futerałami: w jednym były dwie złote bransoletki ze szmaragdami; w drugim - pierścionek z platyny i brylantów.

- Nie zdejmuj go nigdy - poprosił. - Dzięki temu każdy będzie wiedział, że jesteś zaręczona.

Potem pocałował ją w czoło. I tyle.

- Niczego ci nie zbraknie - dodał jeszcze. - Ucz się pilnie, żebyś mogła jak najszybciej do mnie dołączyć.

„Nie mogłam słowa przemówić z wielkiej emocji”, miała wspominać Anita po latach, „i sądzę, że już wtedy trochę go kochałam. Żał mi było, że musimy się rozstać”.

Pisał listy i przysyłał telegramy. Pewnego dnia, niedługo po jego wyjeździe, dostała z Londynu kwiaty i czekoladki, do których dołączony był napisany po

hiszpańsku liścik: „Ucz się i nie smuć”. Wszystkie te dowody troski motywowały ją do wyteżonej pracy. Tak bardzo chciała nauczyć się języka, w którym mogliby wreszcie normalnie porozmawiać! Ćwiczyła więc wytrwale angielski i francuski. Nie opuszczała lekcji tenisa ani jazdy konnej, grała na fortepianie i malowała, nie zaniehbując też bilardu, gry bardzo podówczas modnej. Zapoznawała się również z etykietą - wiedząc już teraz, co to słowo znaczy - i w tym celu regularnie odwiedzała wdowę po dawnym francuskim dyplomacie. Jej porady dotyczyły „zachowania i dobrych manier”. Niełatwo było spamiętać wszystkie te zasady: we Francji na przykład nie wypadało kroić sałaty, należało zwijać ją widelcem, co wymagało niesłychanej zręczności w nadgarstku i wykonywania akrobacji trudnych do pogodzenia z godną postawą. Również we Francji źle widziano trzymanie ręki pod stołem w czasie posiłku, podczas gdy w Anglii rzecz taka uchodziła za ogólnie przyjętą. Jedzenie palcami potępiano wszędzie, z wyjątkiem Indii, gdzie było to nawet wskazane. Co za galimatias! Formułkę „smacznego” postrzegano jako ordynarną, podobnie jak dziękowanie służbie roznoszącej potrawy. I oczywiście żadnego pytania o „ubikację”, co najwyżej o „toaletę” albo „łazienkę”. Anita nauczyła się obierać owoce widelcem i nożem, jeść krewetki, kłaniać się stosownie do rangi spotkanej osoby, składać gratulacje i kondolencje, dobierać kolory sukien i dodatków, unikać krzykliwego makijażu, redagować zaproszenia - jednym słowem władać skomplikowanym językiem zachowań obowiązującym wśród światowych elit. W dniu, w którym zrozumiała, po co serwuje się na koniec posiłku wodę z cytryną, dostała takiego ataku śmiechu, że musiała pobiec do „toalety”, by się uspokoić. Zdumionej wdowie po dyplomacie nie wyjaśniła jednak powodu swojej wesołości - ze wstydu.

Powoli przestała tęsknić za towarzystwem rodziców, choć nie widywała ich częściej niż raz na tydzień. Coraz bardziej natomiast zaprzyjaźniała się z Mme Dijon, która okazała się kobietą sympatyczną i serdeczną, nawet jeśli nieco wymagającą. Francuzka traktowała swoją podopieczną bądź jako dziecko, bądź jako całkiem dorosłą kobietę, stosownie do okoliczności. Spędzała z nią popołudnia na szyciu i haftowaniu lub na przejażdżkach konnych po Lasku Bulońskim, pokazywała jej zabytki Paryża i cierpliwie czekała na zakończenie lekcji tenisa. Z przyjemnością prowadziła ją po herbaciarniach, magazynach mody, kinematografach, teatrach i wystawach. Anita chłoneła nowy świat z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami. Podziwiała zręczność, z jaką paryżanki nosiły swoje bogate suknie, podwijając je na schodach tak, „by nie ukazać nic ponad taftową halkę”. Głęboko wdychała zapach masła w piekarniach, dziwiła się francuskiemu zwyczajowi jedzenia niemal surowej

jagnięciny i oburzała na przysłowiową paryską nieuprzejmość. Była pojętną uczennicą, której niczego nie trzeba powtarzać dwa razy. Miała dużo uporów, szacunek dla rzeczy nieznanych i niewyczerpaną ciekawość świata. Tak właśnie opisywała ją Mme Dijon w listach do radzy, który na odległość cieszył się z dobrze wykonanej pracy.

W dniu urodzin Anity Mme Dijon zaskoczyła ją specjalnie zamówionym z tej okazji tortem ozdobionym setką świeczek. Wszystkie były zapalone.

- Przecież ja mam dopiero siedemnaście lat! - wykrzyknęła Anita.

- Ale chodzi o to, żebyś dożyła stu w zdrowiu i szczęściu - odparła Francuzka, po czym uściskały się, wzruszone.

W salonie czekał na solenizantkę srebrny podróżny neseser z przyborami toaletowymi - prezent, który wzbudził w niej żywe emocje, ponieważ przypominał o czekającej ją wielkiej wyprawie. Poza tym, oprócz biletów na balet w Operze, dostała wymarzoną teatralną lornetkę z masy perłowej, bardzo przydatną, gdyż w Paryżu jej upodobanie do tańca znalazło wreszcie odpowiednie warunki rozwoju. Nie było tygodnia, by nie wybrały się z Mme Dijon na taki lub inny spektakl.

I tak, na lekcjach, przejażdżkach i przedstawieniach mijały im całe miesiące. Anita wiodła uporządkowaną egzystencję, dzięki której stopniowo zamieniała się w kobietę światową. Całkiem nieźle mówiła już i pisała po francusku, nie potrafiła jedynie wyzbyć się hiszpańskiego akcentu. Złościło ją to, choć Mme Dijon zapewniała, że taki egzotyczny rys dodaje jej tylko wdzięku. Rodzice i Victoria również opanowali podstawy nowego języka. Młodsza siostra znalazła sobie ponadto narzeczonego, „bardzo przystojnego i bardzo bogatego” Amerykanina. Poznała go na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej, na które radza zaprosił obie panny Delgado jeszcze przed swoim wyjazdem. George Winans pochodził ze znanej rodziny z Baltimore, gadał jak najęty i był niezwykle uwodzicielski. Utrzymywał, że udało mu się wynaleźć auto o napędzie elektrycznym, które zamierzał opatentować i produkować w jednej ze szwajcarskich fabryk należących do jego ojca. Na Anicie nie zrobił dobrego wrażenia, uważała go za zwykłego fanfaron, ale nie zwierzała się z tego siostrze, nie chcąc mącić jej szczęścia.

Rodzice nie czuli się dobrze w Paryżu, gdzie nikogo nie znali. Mimo otaczających ich luksusów marzyli tylko o powrocie do Madrytu. Tam dopiero w pełni cieszyliby się ze swojej nowej pozycji. Mogliby zmienić mieszkanie, nająć służbę, może nawet kupić automobil... Tylko troska o honor trzymała ich jeszcze we Francji, wiedzieli bowiem, że aby tryumfować u siebie, muszą najpierw wydać Anitę za męża, choćby miało się to odbyć w jakimś

niegościnnym urzędzie. Kilka formalności - i świetlana przyszłość stanęłaby przed nimi otworem. Tyle że do tego potrzebna była obecność radzy. A ten jakoś zwlekał z przyjazdem. Zapowiadał się kilka razy i kilka razy wszystko odwoływał z powodów, jak twierdził, niezależnych od siebie. Anita zaczęła się niepokoić. Pół roku to dla siedemnastolatki niemal wieczność. Może przestał mnie kochać, dumiała smętnie. A może mu się nie spodobał?

Któregoś dnia, wracając z lekcji etykiety, dostrzegła znajomą postać przemierzającą długimi krokami podcienia przy ulicy Rivoli. To przecież Anselmo, pomyślała. On jej nie rozpoznał - tak bardzo zmieniała ją fryzura i suknia wielkiej pani - ale ona jego, owszem. Wyglądał tak samo jak zawsze: nieco niechlujny, żylasty jak winorośl, o surowej twarzy torreadora.

- Przyjechałem tu malować - oświadczył; gdy się przywitali. - Skończyłem akademię, teraz pora spróbować swoich sił. A Paryż to stolica sztuki...

- To świetnie! Jesteś bardzo odważny.

Tego wieczoru zjedli kolację razem z rodzicami Anity. Anselmo przywiózł wieści z Hiszpanii, choć prawdę mówiąc, przez cały ten czas nic się tam szczególnego nie wydarzyło. Niezadowolenie społeczne narastało, a tymczasem król Alfons ze swoją Angieleczką chrzczył potomka na Lazurowym Wybrzeżu i najwyraźniej niczym się nie przejmował. Poza tym wszystko szło po staremu, tylko starzy przyjaciele don Angela spotykali się teraz w horchaterii Candelas, a don Ramonowi urosła jeszcze dłuższa broda niż zwykle.

Doña Candelaria nie była rada z wizyty „tego golca”, jak go nazywała. Wyglądało na to, że wciąż podkochuje się w Anicie, a jego ambitne projekty brzmiały mało przekonująco. Ponieważ naciskała, by nie utrzymywać z nim żadnych kontaktów, Anita postąpiła, rzecz jasna, dokładnie na odwrót: zaraz następnego dnia umówiła się z nim przed galerią Ambroise'a Vollarda, marszanda, który odkrył impresjonistów. Wśród prowansalskich pejzaży, śniadań na trawie i aktów Anselmo spytał, czy jest szczęśliwa.

- Tak - odrzekła bez wahania - choć to wszystko wygląda dość dziwnie. Dużo się uczę, odkrywam, ale nie mam pojęcia, co dalej. Radza nie przyjeżdża i czasami zaczynam się zastanawiać...

- Czy on cię kocha?

- Myślę, że tak. W przeciwnym razie skąd bym się tu wzięła?

- A ty go kochasz?

Anita milczała przez chwilę.

- Tak - odparła wreszcie.

- Nie wydajesz się przekonana.



- Bo to wszystko jest takie nierzeczywiste. Czasem śni mi się, że budzę się w swoim zimnym pokoju w Madrycie, w starym życiu. A potem budzę się naprawdę i widzę hotelowy apartament, śniadanie na srebrnej tacy, i sama już nie wiem, co jest snem, a co jawą. Zaśmiali się oboje.

- Zdarza mi się nawet wątpić, czy radża istnieje - odezwała się znowu Anita.  
- Prawie się nie znamy. Ale tak czy owak traktuje mnie jak królową i przez to coś do niego czuję... Jakkolwiek byś to nazwał.

- W co ty się wplątałaś, dziewczyno! A ja chciałem ci zaproponować znacznie ciekawszą przygodę...

- O - zdziwiła się po dziecinnemu. - Jaką?

- Wynająłem studio na Montmartrze, niedaleko miejsca, gdzie mieszka jeden z moich przyjaciół, Pablo Ruiz. Pablo też pochodzi z Malagi i na pewno chętnie byś go poznała. Moje studio jest wprawdzie na szóstym piętrze bez windy i trochę w nim kapie z sufitu, nie zamierzam cię oszukiwać, ale co za widok na dachy Paryża! Na pewno znacznie bardziej romantyczny niż z twojego okna w hotelu. Mam kontynuować?

- Jasne.

- Chciałbym, żebyś ze mną zamieszkała.

- Biednie, ale razem, tak? - uśmiechnęła się Anita.

- Mniej więcej - odpowiedział, pozerając ją wzrokiem.

Popatrzyła na niego z czułością, i pokazała mu dłoń, na której lśniły zaręczynowe brylanty od radży. Anselmo zmienił ton i odezwał się, tym razem poważnie:

- Ofiarowuję ci prawdziwą miłość, Anito. I szczęście, które nie ma nic wspólnego z pieniędzmi twojego barbarzyńskiego króla...

- Nie nazywaj go tak! - zaprotestowała.

Anselmo zdziwił się gwałtownością jej reakcji i w tym właśnie momencie zrozumiał, że rozgrywka skończona.

- Bardzo za tobą tęskniłem - rzucił jeszcze.

- Ja też. Na początku. Ale potem bardzo się zmieniłam, Anselmo. Nie jestem już tą samą Anitą co kiedyś.

- Widzę... - szepnął, chowając dłonie do kieszeni, żeby nie dostrzegła, jak drżą.

Resztę popołudnia spędzili u Pabla Ruiza, który podpisywał swoje obrazy nazwiskiem matki, niejkiej pani Picasso. Małe okienka pod wysokimi sufitami wpuszczały do pracowni ołowiane światło. Anita cieszyła się, mogąc porozmawiać po hiszpańsku z rówieśnikami, z dala od czujnego oka rodziców. Serdecznie śmiała się z żartów Pabla, który jako urodzony kobieciarz nie

przestawał jej nadszkakiwać. Na wszystkich ścianach wisiały jego płótna, które nie przypadły Anicie do gustu: ludzie byli na nich jacyś... zdeformowani, co jej zdaniem nie wróżyło artyście sukcesu. Nie wiedziała, że oto na jej oczach zaczyna się kubizm. A jednak dobrze się czuła wśród znajomych Anselma, bo przypominali jej madryckich przyjaciół. To był jej prawdziwy świat, miała tego świadomość, lecz nie potrafiła zrezygnować z bajki, w której odgrywała rolę Kopciuszka. Z drugiej wszakże strony czuła ulgę na myśl, że jeśli bajka się skończy, będzie do czego wracać.

\* \* \*

Lekcje jazdy konnej lubiła najbardziej. Powóz z herbem Kapurthali odbierał ją zawsze o tej samej porze, by powieźć przez Pola Elizejskie i dalej, płataniną ulic, do Lasku Bulońskiego, gdzie znajdowała się najwykwintniejsza stajnia w mieście. Tamtego dnia Anita pojechała sama, ponieważ Mme Dijon po zjedzeniu zbyt obfitego posiłku miała crise de foie, czyli atak wątroby. Wyrażenie to niezwykle Anitę śmieszyło, w Hiszpanii bowiem nigdy nie słyszała, by ktoś skarżył się na podobną dolegliwość. Jej rodacy narzekali raczej na żołądek albo zwyczajnie na brzuch, kwestie wątroby pozostawiając lekarzom.

Lasek Buloński wyglądał jeszcze ładniej niż zazwyczaj, a przynajmniej tak się Anicie zdawało. Słońce końca lata przeświecało przez liście, zabarwiając je całą gamą zieleni. Nocą spadł deszcz i wszędzie pachniało wilgotną ziemią. Grunt był miękki i Anita pomyślała, że po lekcji, zamiast kręcić się w kółko po maneżu, mogłaby pojechać na prawdziwy spacer. Jej klacz, piękna arabka - biała w szare cętki, z szarym, długim ogonem - nazywała się Plamka. Należała, rzecz jasna, do radży. Łagodna i posłuszna, choć pełna temperamentu, stała się najlepszą po Mme Dijon przyjaciółką Anity.

Instruktor zgodził się na przejażdżkę, pod warunkiem że jego podopieczna będzie się trzymać głównej alejki, która wiodła wzdłuż szeregu stawów, delikatnie wznosząc się i opadając. Anita już kilkakrotnie jeździła sama i zawsze wracała zachwycona. Przy takich okazjach ogarniało ją zawsze poczucie nieograniczonej swobody i harmonii z naturą.

Tego poranka odważyła się na kłus, a nawet galop. Lubiała chwilę, gdy klacz na jej życzenie zmieniała krok. Lubiała wiedzieć, że nad nią panuje i że wreszcie się jej nie boi. Ta świadomość w połączeniu z uderzającym prosto w twarz wiatrem dostarczała upajających wrażeń.

Jednakże tym razem Plamka zrobiła się nagle nerwowa i trzeba było mocno ściągać wodze, żeby nie poniosła. Anicie przychodziło to z coraz większym trudem. Co się dzieje, zastanawiała się gorączkowo. Dlaczego mnie nie słucha?

Zagadka wyjaśniła się już po chwili: z tyłu ktoś nadjeżdżał. Anita wsłuchiwała się w rytmiczne uderzenia kopyt o ziemię, ze wszystkich sił próbując zapanować nad klaczą. Daremnie. Plamka zbuntowała się ostatecznie i ruszyła galopem na przelaj, czyli dokładnie tak, jak zabraniał instruktor. Anita wpadła w panikę, ale uczepliła się siodła i zdołała zachować równowagę, usiłując zarazem przypomnieć sobie, co należy robić w takich wypadkach: delikatnie ściągać z jednej strony wodze, tak by koń krążył po szerokim okręgu, zacieśniając go stopniowo, aż do zatrzymania. Zanim jednak zdążyła cokolwiek uczynić, doścignął ją jeździec, który tak wystraszył Plamkę. Anita posłała w jego stronę całą wiązkę soczystych andaluzyjskich wyzwisk, podczas gdy on uchwycił wodze jej klaczy. Oba konie zwolniły i już po chwili jechały stępą.

- Powinnaś być bardziej stanowcza - rzekł znajomy głos. - Ty rządzisz, nie Plamka.

To był radża. Zjawił się w Paryżu poprzedniego wieczoru, a przybywał wprost z Nicei, gdzie uczestniczył w chrzcinach syna swojego przyjaciela, Alfonsa XIII. Wraz z Mme Dijon, której wątroba miała się wbrew pozorom doskonale, zaaranżował spotkanie w Lasku Bulońskim, by wszystko odbyło się bardziej romantycznie.

Anita zbladła. Przestraszenie i zaskoczenie sprawiły, że niespodziewanie opadła z sił.

- Nie chciałem cię przerazić. Ale Plamka nie lubi, by ją wyprzedzać. Pamiętaj, że kiedyś z powodzeniem startowała w wyścigach. Dobrze jeździsz, Anito. I ładnie trzymasz się w siodle.

- Dziękuję.

Radża uśmiechnął się, nie spuszczać z niej spojrzenia. Wyglądała bardzo ładnie z rozwianymi włosami, policzkami zaczerwienionymi z wysiłku i kropelkami potu na skroniach.

- Mme Dijon mówi, że zrobiłaś też wielkie postępy we francuskim. Jestem z ciebie dumny - dodał swoim zwykłym, zawsze nieco ojcowskim tonem.

- Mera, Altesse. Z całej duszy pragnęłam zasłużyć na zaufanie, którym mnie...

Ćwiczyła tę formułkę tysiąc razy, bo tysiąc razy wyobrażała sobie scenę powitania. Teraz jednak jej słowa zabrzmiały pusto i fałszywie. Dlatego zmieniła ton:

- Cieszę się, że widzę waszą wysokość. Zaczęłam już podejrzewać, że wasza wysokość zakochał się w innej, piękniejszej...

- Ani przez chwilę nie przestałem o tobie myśleć, Anito - rzekł na to radża, wybuchając śmiechem.

- A ja o waszej wysokości.

Był to pierwszy dzień, który spędzili sami, tete-a-tete, jak mawiają Francuzi. Kolację zjedli w restauracji Chez Maxim, słynnej nie tylko z kuchni, ale również z najlepszych pokazów kankana w Paryżu. Anita promieniała. Kunsztowna fryzura i świeżo otrzymane od radży kolczyki ze szmaragdami podkreślały piękno jej bladej twarzy. Rzeczywiście, bardzo się zmieniła. Mówiąc, mieszała słowa hiszpańskie z nie do końca poprawną francuszczyzną, co dodawało jej jeszcze uroku. Jej gesty, sposób w jaki patrzyła, podnosiła widelec do ust i kroić mięso, niewiele miały wspólnego z dawną niezręcznością. Lekcje z wdową po dyplomacie przyniosły nadspodziewany efekt. Radża wydawał się rad ze „swego dzieła”. Zdołał odmienić to dziecko nie do poznania. Zresztą teraz, odpowiednio ubrana i uczesana, Anita nie wyglądała już wcale jak dziecko. Najbardziej zaś wzruszające było to, że po raz pierwszy sprawiała wrażenie zainteresowanej jego osobą. Pytała go o Kapurthale, o podróże, zdrowie i upodobania. Rozgadała się i nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła go traktować tak, jak kobieta traktuje swojego mężczyznę. Radża z trudem powściągał radość.

Po spektaklu wyszli z restauracji i odprawili szofera. Wrócili na piechotę przez plac Concorde, objęci jak „starzy narzeczeni”, co wbrew dawnym obawom Anity okazało się całkiem przyjemne i naturalne. Było ciepło i Paryż potwierdzał swą sławę najbardziej romantycznego miasta na świecie. Anita czuła, jak zalewa ją fala długo tłumionych uczuć i, nie mając odwagi zepsuć czaru nowo odkrytej bliskości, pozwoliła się zaprowadzić do hotelu Meurice. Tam, przy marmurowym kominku w sypialni, radża zaczął ją pieścić, a robił to z taką delikatnością, że bez większych protestów zgodziła się rozebrać. On w tym czasie poszedł do garderoby, skąd wrócił w śnieżnobiałym szlafroku, który zresztą natychmiast zrzucił, by wślizgnąć się do łóżka. Anita poszła w jego ślady niby zahipnotyzowana sarenka. Wziął ją za rękę, zlodowaciała ze strachu, całował jej palce, głaskał ją po szyi, po ramionach, po piersiach... Dreszcz rozkoszy wywołał na jej twarzy tak ognisty rumieniec, że podziękowała losowi za panujące wokół ciemności.

## Rozdział jedenasty

Zegar na stacji w Dżalandarze wybija dziesiątą, gdy wśród kłębow pary i przeraźliwych gwizdów lokomotywy na peron wjeżdża pociąg. Ozdobiony masą niebiesko-białych chorągiewek dworzec jest naprawdę malutki - w Dżalandarze nie stacjonuje zbyt wiele brytyjskiego wojska. To niewielka miejscina, która dopiero z nastaniem kolei zaczyna się rozwijać. Radża nie życzył sobie, by tory biegły przez położoną nieco dalej na zachód Kapurthale, obawiał się bowiem, że zmusi go to do wychodzenia na stację za każdym razem, gdy będzie przejeżdżała tamtędy taka lub inna brytyjska czy hinduska osobistość - to znaczy codziennie, gdyż właśnie przez Pendżab wiedzie główny szlak do Azji Centralnej. Zakłóciłoby to spokój jego monarszej egzystencji, dlatego użył swoich wpływów w stolicy i stację ulokowano ostatecznie w Dżalandarze.

Gdy tylko lokomotywa staje, oficer w barwach Kapurthali wchodzi do wagonu Anity i skłoniwszy się damom, prosi o chwilę cierpliwości. Pociąg przyjechał parę minut za wcześnie i trzeba jeszcze zadbać o kilka drobiazgów.

- To dla mnie? - pyta Anita, widząc, że czterech Hindusów rozwija między dwoma szeregami palm czerwony dywan.

- Yes, memsahib - odpowiada wojskowy. - Welcome to Punjab. Znalazłszy się na peronie, Anita czuje, że ktoś zakłada jej na szyję girlandy białych kwiatów tuberozy. Ich woń przywodzi na myśl perfumy o tej samej nazwie, które radża przywiózł jej kiedyś z Londynu. „Tak pachnie Kapurthala zimą - powiedział wtedy. - Mam nadzieję, że przypadną ci do gustu”. Przez resztę życia zapach ten będzie się Anicie kojarzył z pierwszymi latami spędzonymi w Indiach. Ale gdzie jest radża? Nigdzie go nie widać. Co krok mężczyźni w turbanach, kobiety i dzieci zakładają jej na szyję kolejne wieńce, po czym składają ręce w geście pozdrowienia:

- Namaste!

Wszędzie przyjazne uśmiechy, zaciekawione spojrzenia. I muzyka. Ukryta w podcieniach dworca orkiestra gra hymn Kapurthali, podczas gdy żołnierze z gwardii osobistej radży prowadzą Anitę do poczekalni. Dziewczyna daremnie rozgląda się za znajomą sylwetką. Dookoła wyłącznie nieznajomi, zresztą białe girlandy zaraz zasłonią jej widok. W poczekalni wita ją deszcz płatków. Chwilę później Anita staje twarzą w twarz z wysokimi dostojnikami i przedstawicielami lokalnego rządu. Co robić? Co mówić? Przez moment wszyscy zastygają w niezdecydowaniu, aż wreszcie ze zbitego tłumu występuje jakaś kobieta i pomaga Anicie wydostać się spod sterty wieńców. Nowo

przybyła oddycha z ulgą i właśnie wtedy dostrzega za szybą drzwi radzę, który najwyraźniej doskonale się bawi, obserwując całą tę ceremonię.

- Altessel Anita ma ochotę rzucić mu się w ramiona, ale opanowuje ten odruch. Czyż Mme Dijon nie powtarzała jej setki razy, że dobre wychowanie to umiejętność zachowywania ciszy oraz powściągnięcia emocji? Myśli radży zdają się podążać podobnym torem, albowiem nie odrywa wzroku od ukochanej, wprost pożera ją oczami i najwyraźniej z wielką chęcią przycisnąłby ją do piersi. Jednakże Indie stały się ostatnio purytańskie i na publiczne okazywanie uczuć patrzy się tu krzywym okiem. Zapanowała wiktoriańska pruderia. Do odległej przeszłości należą czasy, gdy panująca na subkontynencie swoboda obyczajowa gorszyła pierwszych misjonarzy i ściągała rozmaitej maści awanturników. Wszystko było wówczas dozwolone: biały mógł się ożenić z muzułmanką, Hindus z Europejką, ten przechodził na hinduizm, tamten - na sikhizm, ów na chrześcijaństwo, Anglicy mieli dzieci z bibi, czyli miejscowymi, a Angielki paliły nargile i nosiły tradycyjne lokalne kurty... Nikt już nie pamięta, jak w 1797 roku markiz Wellesley, świeżo mianowany gubernator, napisał z Kalkuty do żony, Francuzki imieniem Hyacinthe, z prośbą o pozwolenie na wzięcie sobie kochanki: „Błagam, byś zrozumiała, że tutejszy klimat tak rozbudził moje apetyty, że obyć się bez cielesnych rozkoszy wprost nie mogę”. Elegancka Hyacinthe odpowiedziała zaś w te słowa: „Spólkuj, jeśli to absolutnie konieczne, ale pamiętaj, byś swoim konkubinom nie szczędził względów i czułości, jakie zawsze miałeś dla mnie”.

To były inne czasy. Teraz, na początku XX wieku, narzucona przez kolonizatorów moralność nie dopuszcza takiej rozwiązłości. O sprawach miłości lepiej zapomnieć, zwłaszcza jeśli miałyby dotyczyć kochanków różnych ras, klas i wyznań. Dlatego na powitanie Anity nie przybył żaden brytyjski dyplomata ani nawet oficer z miejscowego garnizonu, co jest wyraźnym afrontem. W oficjalnych raportach, o których ani radża, ani jego nowa żona nie mają pojęcia, określa się ją mianem a spanish dancer. W Indian Political Service, działającej przy wicekrólu organizacji reprezentującej imperium w poszczególnych księstwach, wieść o rychłym ślubie radży wywołała prawdziwe trzęsienie ziemi. Zdaniem anglojęzycznego establishmentu zapowiada się niesłychany skandal.

- Jak tam podróż? - pyta radża, gdy kłaniając się, mijają szereg dostojników.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie dotrzemy na miejsce... Pisałam dziennik, tak jak wasza wysokość doradzał, potem waszej wysokości pokażę... Ale przede wszystkim...

Anita pali się, by powiedzieć mu wielką nowinę, ale wie, że to nieodpowiedni moment. Musi wejść w rolę, uśmiechać się i kiwać głową tym wszystkim ministrom, którzy przyglądają jej się z nieskrywaną ciekawością. To jej pierwsze publiczne wystąpienie. Wyczuwa, że wybór radży wywołał w umysłach poddanych sporą rewolucję. Na pewno wszyscy zastanawiają się, jaka też okaże się ta Europejka. Jak Kapurthala Kapurthala, żaden władca nigdy nie ożenił się z cudzoziemką.

Przed dworcem czeka wspaniałe auto, granatowy rolls-royce silver ghost bez dachu, model z 1907 roku, uważane za najlepszy samochód świata sztandarowe osiągnięcie brytyjskich konstruktorów. Radża siada za kierownicą. Lubi osobiście prowadzić, zwłaszcza jeśli nabytek jest nowy. Sześciocylinnowy silnik zaskakuje z lekkim pomrukiem. Tłum rozstępuje się i auto wyjeżdża na ulicę, a raczej na pylistą dróżkę, po której majestatycznie kroczą słonie, woły i wielbłądy. Po kilku minutach za oknem pojawia się na moment grupka policjantów - widząc auto z herbem władcy funkcjonariusze stają na baczność, wyprostowani jak struny.

- To granica. Jesteś już w Kapurthali...

Wzdłuż szosy w regularnych odstępach stoją patrole w niebiesko-srebrnych państwowych barwach. Na prostych odcinkach, gdzie radża przyspiesza, Anita musi przytrzymać kapelusz ręką. „Chwilami osiągnęliśmy zawrotną prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę”, napisze w dzienniku.

- Czy wyznaczyłeś już datę ślubu, Altesse? - pyta, przekrzykując wiatr gwizdający im koło uszu.

- Nie nazywaj mnie waszą wysokością. Appelle-moi „cheri”\*...

\* Appelle-moi „cheri” (franc.) - mów do mnie „kochanie” [przyp. tłum.].

- Prawda, od tak dawna się nie widzieliśmy, że zapomniałam...

- Trzeba jeszcze kilka rzeczy przygotować. Mam nadzieję, że ceremonia odbędzie się w styczniu. Astrologowie wskażą dokładny dzień. Musi być pomyślny. Rozumiesz, tradycja...

Anita zapomina na chwilę o wszystkim, oszołomiona jazdą i pięknem swego nowego kraju. Wioski - jedna podobna do drugiej - wyglądają jak z bajki. Przy wjeździe jest zawsze staw, w którym kobiety piorą ubrania, a mężczyźni poją zwierzęta pociągowe. Wszędzie gliniane chatki z malutkimi, nasłonecznionymi podwórkami, po których pałętają się psy, kozy, woły i krowy. Bosonogie dzieci z pomalowanymi kholem oczami zastygają w zdumieniu na widok ogromnej maszyny, po czym rzucają się za nią w pościg. Tu i ówdzie wielkie woły kręcą kołowrotami, wprawiając w ruch żarna mielące pszenicę i kukurydzę. Kobiety zbierają ich odchody, mieszają ze słomą i formują w brykiety, które następnie

zostawiają do wyschnięcia, a potem wykorzystują jako opał. To dlatego wokół unosi się tak specyficzny zapach.

Nagle droga się rozszerza. Wielkie drzewa po bokach zostały zasadzone z inicjatywy radży, któremu marzą się szosy ocienione jak we Francji. W ten sposób chce choć trochę naśladować Europę. W oddali widać już grupę zabudowań, wśród których wyróżnia się pomalowany na czerwono Trybunał Sprawiedliwości. Nad nim sterczy biała kopuła gurdwary, czyli sikhijskiej świątyni, oraz łupkowy dach wielkiego, utrzymanego w stylu francuskim pałacu. To Kapurthala, stolica.

- Zbudowałeś go dla mnie? - pyta Anita, wskazując pałac.

- Kiedy zaczęły się prace, jeszcze cię nie znałem. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że kiedykolwiek zamieszka w nim równie piękna kobieta. Ale teraz widzę, że czekał specjalnie na ciebie.

- Tam się pobierzemy, mon cheri?

- Nie, nie został jeszcze skończony. Przed dwoma laty musiałem przerwać budowę, ponieważ był wielki głód i wszystkie środki szły na pomoc dla ludu. Teraz się jednak pospieszę.

Miasto jest niewielkie, ale pełne architektonicznych perełek zaświadczających o guście radży. Liczy pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, głównie Sikhów. Większość wyznaje islam i hinduizm, są też grupy buddystów i chrześcijan. To Indie w miniaturze, z ich mieszaniną koegzystujących od wieków ras i religii. Część rodziny książęcej przeszła w połowie XIX wieku na chrześcijaństwo; z tej gałęzi rodu wywodzi się kuzynka radży, Amrit Kaur.

- Musisz ją poznać... Na pewno się zaprzyjaźnicie.

Nie zatrzymują się po drodze, sikhizm wymaga bowiem, by nikt nie widział oblubienicy przed ślubem. Mijają szkołę, drugą w Pendżabie po Lahore. Teraz uczą się tu również dziewczynki - wprowadzenie takiej zmiany kosztowało radżę wiele konfliktów z co bardziej fundamentalistycznie nastawionymi sektorami muzułmańskimi. Naprzeciwko znajdują się królewskie stajnie szczycące się najpiękniejszymi w kraju wierzchowcami i słoniami. Radża woli nie zagłębiać się w ruchliwy o tej porze dnia bazar, na którym tłoczą się sprzedawcy żywności, tkanin, przypraw i klejnotów. Po jego drugiej stronie wznosi się pałac, w którym obecnie rezyduje królewska rodzina - stary, tradycyjny, czteropiętrowy budynek z płaskorzeźbami i malowidłami na fasadzie.

- Tam mieszkają moi dwaj młodszy synowie, jeśli akurat bawią w mieście... I ja ostatnio też...



Anita boi się zapytać, czy razem z synami mieszkają ich matki. Dreszcz niepokoju przeszywa ją na myśl o tym wszystkim, czego jeszcze nie wie o życiu swego męża. Czuje dziwną niewygodę, jak gdyby przeczuwała, że tęczowa bańka spełnionego marzenia prędzej czy później pęknie jej w dłoniach, odsłaniając gorzkie jądro. Dlatego woli nie zadawać zbyt wiele pytań. Trzeba cieszyć się chwilą. Jak dobrze na przykład, że zamieszka osobno. Radża solennie jej to obiecał, a nie ma powodu, by wątpić w jego słowa.

Przeznaczony dla niej pałacyk, pomyślany pierwotnie jako rezydencja myśliwska, znajduje się na obrzeżach miasta, w prześlicznej okolicy. Nazywa się Villa Buona Vista i, w zgodzie z nazwą, zdaje się tu przeniesiony wprost z włoskiej Riwiery. Strażnicy prężą się słuźbiście, kiedy Anita wraz z radżą wchodzi do środka.

- Na co się tu poluje, cheri?

- Na jelenie, danielle, dziki i czasem, przy odrobinie szczęścia, na pantery. Ale nie ma się czego bać - uśmiecha się radża, widząc minę Anity. - Willi dzień i noc strzegą uzbrojeni strażnicy.

Villa Buona Vista stoi nad jedną z odnóg rzeki Sutlej, która srebrzy się wśród trzciny, bambusów, topoli i pochylonych nisko nad wodą wierzb. Zakochany w Europie i przywykły do realizowania swoich kaprysów radża uznał, że to doskonałe miejsce dla Willi w stylu włoskim. Na fasadzie w kolorze ochry odznaczają się białe gzymsy, a żaluzje sprowadzone zostały bezpośrednio z Genui. Wielkie okna wychodzą na ogród, gdzie tryska renesansowa w stylu fontanna. Stuletnie topole, drzewa neem, mango i fikusy skrywają dwa korty tenisowe i przystań. Bujne krzewy białych róż, kwietniki z irysów i tuberoz, równiutko przycięte żywopłoty, starannie utrzymany, rozległy trawnik, z którego tu i ówdzie wyrasta kępa palm, spacerujące nad rzeką gęsi, całe rodziny kaczek, pawi i żółtonogich czapli - wszystko to sprawia, że człowiek czuje się w tym miejscu jak w raju.

- Po ślubie zamieszkamy tu razem do czasu, aż skończy się budowa nowego pałacu...

Wnętrze urządzone jest w stylu europejskim. Anita aż podskakuje z radości, gdy widzi w holu swoje własne, odlane z brązu popiersie. „Bardzo się na jego widok wzruszyłam. Jego wysokość kazał je przygotować poprzedniego roku w Londynie i specjalnie przysyłał po moje wymiary”.

- Chodź dalej, sprawdź, czy reszta domu też ci odpowiada.

W jednym z salonów, w otoczeniu skórzanych kanap i foteli, króluje pianino. Na białych ścianach wiszą francuskie gobeliny i realistyczne obrazy. W jadalni w stylu Napoleona znajduje się wielki mahoniowy stół oraz

serwantki zastawione porcelaną z Limoges i Sevres, czeskimi kryształami i kolekcją jaj Faberge. W sypialni na pierwszym piętrze jedwabna moskitiera spowija łoże z brązu, przydając mu bajkowego charakteru. Niczego nie brak: nawet fotografie z Paryża stoją oprawione w ramki ze srebra i kości słoniowej. Na toaletce tłoczą się flakony perfum - wśród nich oczywiście buteleczka z napisem Tuberoise - i najrozmaitsze kosmetyki. Radża szczególnie lubi linię Bouquet Imperial francuskiej firmy Roger&Gallet. W marmurowej łazience połyskują srebrne krany z bieżącą wodą. Na stoliku nocnym czyjaś troskliwa ręka umieściła pudełko belgijskich czekoladek i butelkę wody Evian.

- Podoba ci się?

Anita milczy. Rozgląda się wokół, jak gdyby przeniesiono ją nagle do zaczarowanego zamku. Podchodzi do radży i przytula się.

- Musisz teraz dużo wypoczywać, żebyś w czasie ślubu była w pełnej formie - mówi on. - Uroczystości potrwać kilka dni.

- Tak, muszę dużo wypoczywać, mon cheri, ale nie ze względu na ślub...

- A ze względu na co?

- Spodziewam się dziecka, wasza wysokość.

Radża uśmiecha się z satysfakcją. Obejmuje Anitę, rozchyła moskitierę i delikatnie kładzie żonę na łóżku.

- Taką wiadomość trzeba uczcić.

- Nie teraz, mon cheri... - mamrocze Anita. - Mme Dijon i Lola zjawiają się lada chwila...

Ale radża nie zamierza się tym przejmować. Wstaje i każe służącemu zamknąć drzwi. Potem wraca do łóżka. Odrywane niecierpliwą ręką haftki sypią się na podłogę, halki kaskadą spływają na podłogę, pierścienie radży połyskują wśród pościeli...

Anita Delgado rozsmakowuje się w swojej bajce. Teraz pragnie radży bardziej niż wtedy, w Paryżu. Nie boi się już, nie czuje bólu, wraz z głową zanurza się w swojej niezwykłej przygodzie.

## Rozdział dwunasty

W piątym miesiącu ciąża ledwie się zaznacza, ale Anita na wszelki wypadek każe swojej hinduskiej służącej mocniej ścisnąć sari. Po raz pierwszy przymierza strój ślubny, przyniesiony właśnie przez czterech mężczyzn w specjalnej skrzyni.

- Spodziewałam się czegoś innego - zwraca się z wyraźnym rozczarowaniem do Mme Dijon.

Rzeczywiście, nie ma mowy o białej, strojnej sukni, o jakiej marzą hiszpańskie dziewczęta. W ogóle nie ma mowy o sukni: Anita rozkłada przed sobą dwa duże kawałki materiału.

- Jak mam to założyć?

- Spokojnie. Matka jego wysokości przyśle służącą, która wszystko ci pokaże.

Anita zupełnie się w tym nie widzi. Pas z jaskrawoczerwonego jedwabiu z Waranasi, haftowanego w ogromne, srebrne i złote róże, ma sześć metrów długości i półtora metra szerokości. Srebrna lamówka biegnie dookoła, z jednej strony osiągając szerokość pół metra. Bardzo to wszystko ładne, ale, zdaniem Anity, nadaje się raczej na ścianę w muzeum.

Służąca przysłana przez matkę jego wysokości to starsza kobieta, jedna z tych, które określa się w Indiach mianem aya. Ubrana na biało, z pomarszczoną twarzą i sękatymi palcami, doskonale zna się na tradycyjnych strojach. Dwukrotnie owija Anitę jedwabiem, by przy trzecim obrocie uformować z przodu szereg fałd, które pozwolą jej swobodnie chodzić. Resztę materiału zarzuca się na plecy, przeciąga pod ramieniem i zakłada na głowę w taki sposób, że ten swego rodzaju welon nie zsuwa się nawet przy gwałtowniejszych poruszeniach. Anita patrzy w lustro. Wygląda bardzo elegancko, jak prawdziwa wschodnia księżna. Brzucha wcale nie widać.

Astrolog wyznaczył datę ślubu na 28 stycznia 1908 roku. Sikhowie, podobnie jak Hindusi, żenią się w miesiącach zimowych, uważanych za pomyślne. W tym konkretnym dniu szczęśliwa koniunkcja Jowisza do Słońca ma zapewnić małżonkom długotrwałą harmonię i co najmniej troje potomstwa. Od tygodnia nieprzerwanym strumieniem napływają prezenty w postaci kryształowych figurek, mongolskich miniatur, tygrysińskich skór i zegarów ściennych. Zdarzają się też dzbany miodu albo worki czerwonej soczewicy - podarunki od wiernych, choć ubogich, poddanych. Jednakże najbardziej ze wszystkiego podoba się Anicie jelonek o długich jak u panienci rzęsach, przysłany przez maharadzę Patijali, księstwa sąsiadującego z Kapurthala.

Przez kilka pierwszych dni spędzonych w pałacyku Anita głównie śpi i przyzwyczajają się do nowego życia. Wypoczynek zakłócają jej wyłącznie koszmary, w których pada ofiarą żarłocznej pantery albo muszki, uzbrojona jedynie w szydełko, walczy ze skorpionem o rozmiarach pudełka z ciastkami. Opowieści o polowaniach wywarły na niej spore wrażenie, poza tym, jak każdy przybysz z Europy, żywi na temat Indii wiele przesądów. Jeszcze do niedawna myślała, że choroby leczy się tu magiczną nalewką na rogu jednorożca, rośliny miewają liście tak wielkie, że schronić się pod nimi może cała rodzina, a diamenty osiągają wielkość przepiórczego jaja... Rzeczywistość okazuje się wszakże jeszcze ciekawsza niż te bajania. Anitę zachwyca absolutnie wszystko: przepych i elegancja dworu w Kapurthali, wspaniałość pachnących tuberozą i goździkami pałacowych ogrodów, gdzie zawsze słychać szum wody i gruchanie gołębi, serdeczność Pendżabczyków, przejażdżki odbywane wraz z Mme Dijon ekstrawaganckim landem z woźnicą i dwoma ubranymi z francuska lokajami, z których jeden ochrania panie parasolką od słońca, drugi zaś ogania je od much... Ba, jak gdyby tego było mało, po bokach powozu jedzie zawsze dwóch gwardzistów w państwowych barwach Kapurthali. Anitę martwi tylko jedno: że nie może dzielić się wrażeniami ani z rodziną, ani z mężem. Z radzą spotka się dopiero w dniu ślubu, ponieważ wedle miejscowej tradycji spotkania z narzeczoną w dniach poprzedzających uroczystość przynoszą pecha.

Anita żyje otoczona rojem służących. Gdzie nie spojrzy, tam lokaj lub pokojówka, przyczajeni w kącie, czekający na rozkazy albo po prostu na wieczór i wypoczynek. Ich kroki po marmurze są tak ciche, że nie sposób dosłyszeć, kiedy się zbliżają.

- Ci ludzie są jak duchy - mówi Lola.

Niezliczone sandały, klapki i inne rodzaje obuwia zalegają kolorowym stosem przed wejściem do pomieszczeń, gospodarczych. Anicie nie pozwala się nawet kiwnąć palcem. Jeśli spadną jej na podłogę nożyczki, natychmiast ktoś rzuca się po nie szczupakiem. Kilka razy na dzień odbywa się rytuał mycia rąk w specjalnej misie ze spłaszczonym brzegiem, który ma zapobiegać rozlewaniu się wody. Jeden służący podtrzymuje naczynie, drugi leje wodę na dłonie Anity, trzeci podaje mydło, czwarty - ręcznik, pokojówka zaś podwija jej i opuszcza rękawy, by się przypadkiem nie zamoczyły. Anita nigdy nie miała równie czystych rąk. Ani równie czystego ciała. Podczas codziennej kąpieli jedna aya oblewa ją strugami ciepłej wody, podgrzanej przez całą armię bezimiennych ludzi, a druga szoruje ją gąbką. Lola czuje się nieco zdezorientowana, ponieważ nie ma nic do roboty. Tęskni za dawnymi czasami,

gdy były z panią jak przyjaciółki. Teraz pomaga jej już tylko przy zakładaniu europejskich ubrań.

W przeddzień ślubu ma miejsce znaczący epizod. Po powrocie ze spaceru nad rzeką Lola idzie na górę, Anita natomiast zostaje na werandzie, by przyrzeć się pracy dwóch krawców, siedzących na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Z turbanów sterczą im igły z nawleczonymi nitkami w rozmaitych kolorach, po które łatwo sięgnąć w zależności od potrzeby. Nagle ciszę w domu przerywa przeraźliwy krzyk Loli. Anita pędzi po schodach, zastanawiając się, czy to aby nie wąż. Albo może ktoś zaczął się w sypialni... Zastaje Lolę skuloną w kącie, z palcem wycelowanym w leżącego na łóżku martwego kosa. Wszędzie leżą pióra, obicia mebli i dywany są brudne od ptasich odchodów. Najprawdopodobniej, wleciawszy nieopatrznie do pokoju, ptak daremnie próbował się wydostać i w końcu umarł z przerażenia.

- Dziewczyno, aleś mnie przestraszyła!

- Och, proszę pani, toż to zgroza! Anita każe lokajowi posprzątać.

- Ja nie mogę dotykać martwe zwierzę - mamrocze ten w odpowiedzi łamaną angielszczyzną.

- Jak to?

Lokaj wybiega i woła chłopca od zmiatania, na którego wszyscy mówią sweeper. Zdaniem Anity jego praca sprowadza się do przesuwania kurzu z miejsca na miejsce. Sweeper, zerknąwszy na kosa, kręci głową i mówi:

- Sorry, memsahib. Zakazane dotykać.

Potem wzywa sługę zajmującego się czyszczeniem latryn, ale i on odmawia wyniesienia truchła. Każdy próbuje się wyręczyć kimś z niższej kasty. Bezskutecznie.

- To co zrobimy? Mam spać z tym ptakiem w łóżku? - irytuje się Anita.

- Memsahib potrzebować dom, taki człowiek z bardzo niskiej kasty...

- Gdzie można go znaleźć?

- Na bazarze.

- Więc idź po niego!

- Ja nie mogę rozmawiać z dom...

- To nich idzie kto inny!

- Memsahib, dom na pewno chcesz zapłaty...

Zwariować można, myśli Anita. Po długich dyskusjach i naradach ktoś ze służby zgadza się wyprawić na bazar. Wraca wieczorem, prowadząc człowieka należącego do kasty tradycyjnie obsługującej kremacje. Cienki jak tyczka, poczerniały przybysz wywiązuje się z zadania jak prawdziwy profesjonalista. To znaczy wkłada martwego ptaka do torby i odchodzi.

Hierarchia służących odzwierciedla podział na typowe dla hinduskiego społeczeństwa kasty. Przynależność do takiej grupy daje z jednej strony pewnego rodzaju bezpieczeństwo, z drugiej jednak narzuca nieprzekraczalne i czasem, w opinii Anity, godne potępienia reguły. Są w Indiach ludzie, którym nie wolno na przykład pokazywać się na ulicy za dnia, albowiem uchodzą za niewystarczająco „czystych”, by miały na nich spoczywać oczy braminów. Z kolei kobiety z Travancore na południu nie mogą w obecności przedstawicieli wyższych kast zakrywać piersi.

Anita dopiero oswaja się z tym światem, w którym kto inny nakrywa do stołu, kto inny zaś przynosi rano filiżankę z herbatą. Musi przywyknąć do myśli, że kucharz gotuje, ale pod żadnym pozorem nie umyje naczyń, że dwóch ludzi w domu zajmuje się wyłącznie zamiataniem, że ten, kto karmi konie, nigdy ich nie siodła, a pokojówka tylko zbiera brudne ubrania, ponieważ przewożeniem ich na osiołku nad pobliski strumień i praniem zajmuje się już dhobi, czyli członek kasty pracy. I tak dalej, i tak dalej... Anita uczy się tego, czego uczyły się przed nią żony urzędników kolonialnych, angielskich oficerów i kupców: nie należy żądać od służącego wykonywania czynności uznawanych za niegodne jego kasty albo sprzecznych z jego religią. Ta złota zasada, jeśli nie czynić od niej żadnych odstępstw, zapewnia spokój w domu.

Villa Buona Vista tętni gwarem ostatnich przygotowań. Cała armia ogrodników sadi orchidee, ustawia doniczki z chryzantemami i starannie przycina każdy, nawet najmniejszy krzaczek. Pod drzewami pyszni się już shamiana, wielki namiot z kolorowego jedwabiu, świadek zaślubin wszystkich przodków radży, począwszy od XVII wieku. Jest tak stary i piękny, że używa się go jedynie przy wyjątkowych okazjach. Jednego ranka zaprzężony w woły wóz przywiózł dywany i chodniki, które mają wyściełać ziemię w namiocie i w alejkach prowadzących do bramy wjazdowej. Wzdłuż chodników powitykano wysokie pochodnie, wszędzie piętczą się pudła ze zdobnymi w monogram władców Kapurthali talerzami i sztucami, wspaniałe srebrne kandelabry, miedziane misy, rzeźbione nargile i tak dalej. Pałacyk zaczyna przypominać jaskinię Ali Baby.

Pośród całego tego zgiełku nastrój Anity waha się między euforią a nostalgią. Dokładnie w przeddzień ślubu, być może w związku z bliską już ceremonią, tęsknota staje się nie do zniesienia. Anita myśli o rodzicach i o siostrze. Dlaczego teraz, podczas prawdziwego ślubu, w najważniejszym momencie swojego życia, nie ma przy sobie nikogo z rodziny ani z przyjaciół? Cóż warto są nowe doświadczenia, jeśli nie można ich dzielić z bliskimi? To jak jedzenie bez soli: choćby najbardziej wyszukane, zawsze pozostanie mdłe.

A poczta działa tak rozpaczliwie wolno - zwykły list idzie od czterech do sześciu tygodni! Lola nie na wiele się przydaje. Wciąż narzeka i wszystkiego się boi. Boi się zostawać w domu i boi się wychodzić; boi się spacerów po ogrodzie (ze względu na pająki i węże, chociaż jak na razie nie widziała żadnego); boi się służących i gości; boi się i boi. Poza tym nie cierpi smaku curry i zapachu kadzidełek. I nic nie rozumie z tutejszych zwyczajów. Całe szczęście, że jest jeszcze Mme Dijon, jak zawsze spokojna i opanowana. Jednakże nocą Anita zostaje sama z Lolą, która, ulegając nastrojowi pani, szlocha w swoim łóżku. I ciszę domu przerywa tylko rytmiczne siąkanie dwóch nosów.

28 stycznia. O trzeciej rano zjawiają się służące przysłane przez matkę jego wysokości. Na wpół przytomna Anita pozwala się zaprowadzić do wanny wypełnionej, zgodnie z tradycją, ciepłym oślim mlekiem. Po kąpieli musi położyć się na rozścielonej na ziemi tkaninie. Czas na masaż. Zręczne i delikatne ręce metodycznie wcierają w jej ciało olej sezamowy. Uciskając, suną od boków przez środek ku ramionom. Któraś aya intonuje pieśń o dziejach miłości boga Ramy do bogini Sity. Kobiety rozkładają Anicie ramiona, masują je delikatnie, schodzą powoli ku dłoniom, chcąc pobudzić krążenie. Potem przychodzi pora na brzuch, nogi, pięty, podeszwy stóp, głowę, kark, twarz, płatki nosa - każda część ciała doznaje ich dobroczynnego dotyku. W ten sposób Anita wkracza w świat Kamasutry i Baśni z tysiąca i jednej nocy. Smutek i nostalgia opadają z niej jak pęknięta skorupa. Przyszła żona radży jest gotowa stawić czoło najważniejszemu dniu swego życia.

Jak zanotowała Anita w swoim dzienniku, czesanie, malowanie i ubieranie trwało ponad dwie godziny. Najpierw zakładają jej biały jedwabny kaftanik, którego Hinduski używają zamiast gorsetu, potem drugi, z czerwonej satyny haftowanej złotem, z perłami zamiast guzików; na to - owinięty wokół ciała pas białego jedwabiu i dopiero na koniec sari. Stroju dopełniają czerwone buciki, również haftowane złotem, oraz masa bransolet i naszyjników. Anita obawia się, czy przy pierwszym poruszeniu wszystko to z niej nie spadnie, ale idąc do lustra zdaje sobie sprawę, że sari jest ubiorem bardzo wygodnym. Służące uśmiechają się, dumne z efektu: oto memsahib przemieniona w hinduską księżną. „Ujrzawszy swoje odbicie, odniosłam wrażenie, że śnię, ponieważ wyglądałam jak namalowana”, napisze Anita.

- Jak madonna! - szepcze przez łzy Lola, której melancholijny nastrój bynajmniej nie minął i którą ślub pani zdaje się przytłaczać bardziej niż samą zainteresowaną. - Gdyby to widziała doña Candelaria... Niech Bóg ma panią w swojej opiece!

Jednakże i Anita z trudem zachowuje spokój. Pozostaje jej tylko żywić nadzieję, że nie będzie niczego żałować, ale płacz pokojówki wytrąca ją z równowagi i po raz kolejny skłania do zadawania sobie pytań w stylu: co ja właściwie robię? Targają nią sprzeczne uczucia, więc dla uspokojenia zamyka się w sypialni, klęka i zanoszą modły do swojej ulubionej patronki, Matki Boskiej Zwycięskiej.

Po piątej rozlega się pukanie do drzwi. Już pora. Anita żegna się, wychodzi z pokoju i w otoczeniu służących schodzi na dół. Idąc po schodach, nie potrafi odegnąć od siebie myśli o prowadzonych na arenę z bykami klaczach pikadorów. Tyle że zamiast areny czeka na nią rzeszście oświetlony salon pełen elegancko ubranych ludzi, w większości Hindusów. Nawet służba nosi dziś odświętne stroje. Wśród zebranych jest też radża, który przybył po żonę w złoconym powozie zaprzężonym w czwórkę koni.

- Wyglądasz jak bogini - mówi, zakrywając jej twarz skrajem sari. - Nie powinienem cię oglądać do czasu zakończenia ceremonii - wyjaśnia.

„Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam go w tradycyjnym stroju Sikhów i z bronią. Miał na sobie szafirową tunikę z aksamitu wyszywanego srebrem, spodnie dżodhpur i białą koszulę bez kołnierzyka, spiętą pięknymi spinkami z szafirem. Do tego turban w kolorze łososa - to barwa zarezerwowana dla rodziny panującej - z ogromną broszą wysadzaną brylantami i szmaragdami, oraz zwisająca u pasa zakrzywiona szabla o srebrnej rękojeści, również bogato zdobionej szlachetnymi kamieniami”.

Aby utrudnić panu młodemu zerkanie na oblubienicę, zakłada mu się na głowę kilka sznurów niewielkich pereł, które zwisają przed oczami i zasłaniają widok. To dziedzictwo islamu, pamiątka z czasów, gdy małżeństwa były aranżowane przez rodziny i do końca ceremonii narzeczeni nie wiedzieli nawet, jak to drugie wygląda. Kulminacyjny moment mógł więc przynieść przyjemną niespodziankę. Albo wręcz przeciwnie. Jednakże Anita i jej mąż znajdują się już całkiem nieźle i postępują teraz ku rozstawionemu w ogrodzie namiotowi, trzymając się za ręce, pod skrzyżowanymi szablami gwardzistów, przy dźwiękach Marsza weselnego Mendelssohna. W namiocie stoją z jednej strony barwnie odziani indyjscy arystokraci i ministrowie, z drugiej zaś - nieliczni Brytyjczycy. Zjawił się obwieszony orderami gubernator, reprezentant Korony w Pendżabie, jedyne, który dysponuje tu władzą większą niż radża. Są też lekarz i inżynier w towarzystwie wystrojonych małżonek, które patrzą na Anitę z mieszaniną wzdryki i litości. Mme Dijon ubrana w elegancką zieloną suknię i odpowiedni kapelusz wstaje i serdecznie całuje swoją podopieczną.

- Quel beau destin le vdtre, jaki wspaniały los cię spotyka - mówi szczerze.



Te słowa poruszają Anitę do głębi. Łzy kręcą się jej w kącikach oczu, strach się jednak wycierać, żeby nie zepsuć przypadkiem makijażu.

Dwaj starzy, białobrodzi, jakby żywcem wyjęci z orientalnej baśni Sikhowie w turbanach koloru malwy siadają wraz z młodą parą na haftowanych poduszkach ułożonych przed wielką wagą. Anita myśli, że to tutejsi księża, ale sikhizm, religia, która narodziła się w Pendżabie jako reakcja przeciw anachronicznym regułom hinduizmu i islamu, nie uznaje duchownych. Starcy podtrzymują Sri Guru Granth Sahib, świętą księgę w grubych pergaminowych okładkach, zawierającą nauki wielkich guru. Nie może się bez niej odbyć żaden sikhijski obrzęd, chrzciny, ślub ani pogrzeb. Przy wszystkich tych okazjach śpiewa się długie jej fragmenty. Tak jest i teraz. Białobrodzi starcy intonują:

Przyjmijcie tę księgę za przewodnika,  
Uznajcie ludzkość w jej jedności,  
Albowiem nie ma różnic między ludźmi  
I wszyscy z jednej gliny powstałi,  
Mężczyźni i kobiety zarówno.  
Bo bez kobiety nic by nie było  
Oprócz pana na wysokościach, który nie zależy od nikogo.

Anita opisywała tę uroczystość następująco: „Ponieważ nic a nic nie rozumiałam, a twarz miałam zasłoniętą, mogłam swobodnie wszystko obserwować, żeby potem zdać szczegółową relację rodzicom”.

Pierwsze promienie słońca barwią wnętrze namiotu na różowo. Kiedy śpiewy milkną, jeden ze starców wskazuje młodej parze, że przyszła kolej na najważniejszy punkt programu. Anita i radża wstają i podtrzymując krańce specjalnego szala, czterokrotnie okrążają świętą księgę. Dopiero wtedy mogą „oficjalnie” się zapoznać. Wolną ręką każde powoli odsłania twarz drugiego. Zza pereł ukazuje się uśmiech radży, sari nie skrywa już migdałowych, rozszerzonych z przejęcia oczu Anity. Rozbrzmiewa muzyka, goście biją brawo i wiwatują. Wśród tej wrzawy nowożeńcy po raz kolejny zbliżają się do świętej księgi, którą białobrodzi starcy cztery razy otwierają i zamykają. Pierwsze litery z każdej przypadkowo wybranej strony układają się w nowe imię oblubienicy. Wedle sikhijskiej tradycji wszystkie młode żony zyskują prawo do miana Kaur, czyli księżna. Do tego dodaje się imię, które wskazała księga. W przypadku Anity brzmi ono Prem, co znaczy miłość.

- Prem Kaur - śmieje się radża. - Księżna miłości, całkiem nieźle...

Anita wydaje się zadowolona. Jej nowe imię, przekazywane z ust do ust, krąży już po namiocie, ogrodzie i po całej po okolicy. Teraz, na koniec, odbędzie się najdziwniejszy, czysto hinduski rytuał. Radża siada na poduszce

ułożonej na jednej z platform, którymi zakończone są ramiona wagi. Na drugiej platformie jakiś Sikh układa sztaby złota, dopóki nie zrównoważy ciężaru władcy. Za uzyskaną sumę zostanie zakupione jedzenie dla biednych - w ten sposób monarcha dzieli się szczęściem z poddanymi. Podobnej operacji zostaje poddana Anita. Aż szkoda, że ważyć tylko pięćdziesiąt dwa kilo, myśli.

\* \* \*

Tego popołudnia, wjeżdżając do miasta na wspaniale przystrojonym słońcu, Anita wspomina ów dzień, gdy oglądała w Madrycie orszak ślubny Alfonsa XIII i Victorii Eugenie. Pamięta, że pomyślała wtedy przelotnie o swojej ewentualnej przyszłości z radżą, ale tak, jak myśli się o rzeczach niemożliwych. I proszę, to, co wydawało się nieprawdopodobne, przybrało realny kształt. Anita, która nie ma jeszcze osiemnastu lat, rozgląda się wokół z dziecinną ciekawością i zarazem ze spokojem, jakiego nie doświadczała od wielu dni. Ludzie, których nigdy wcześniej nie widziała, zapewne poddani, kłaniają się jej z szacunkiem, uśmiechają się do niej z sympatią, modlą się za nią... Wszędzie kwiaty, oszałamiające zapachy, muzyka, wzruszone twarze... Jakie to wszystko niezwykle!

W mieście wita ich trzynaście armatnich salw - tyle wystrzałów przysługuje radży Kapurthali wedle kolonialnych władz. Brytyjczycy wprowadzili ciekawy sposób nagradzania za lojalność: im jakiś książę wyżej stoi w ich hierarchii, tym więcej salw wolno oddać na jego cześć. Nizam Hajdarabadu ma prawo do dwudziestu jeden, nabab Bhopalu - do dziewięciu. Dla porównania: dla króla Edwarda VII strzela się zawsze sto jeden razy.

Przyjęcie weselne odbywa się wieczorem tego wyczerpującego dnia w położonym w centrum miasta pałacu, w którym mieszka przybrana matka radży. Rój gości delektuje się pendżabskimi specjałami, takimi jak przepiórki w kolendrze, kurczak z imbirem albo biały ser ze szpinakiem. Są też stoły z jedzeniem europejskim i wszelkimi rodzajami alkoholu. Powitawszy przybyłych, radża prosi żonę na górę do zenany, czyli części domu przeznaczonej dla kobiet. To pierwsza wizyta Anity w takim miejscu. Oto osławiony „harem”, którego tak się bała doña Candelaria. Radża ściska najstarszą ze zgromadzonych tu dam, swoją przybraną matkę. Prawdziwą stracił, gdy był zaledwie kilkumiesięcznym niemowlęciem. Wśród otaczającej starszą panią służby Anita rozpoznaje kobiety, które czesały ją rano i ubierały.

- One nauczą cię wszystkiego, co powinna wiedzieć porządna Hinduska - uśmiecha się radża.

Anita widzi wokół siebie błyszczące ciekawością oczy, słyszy szepty. Radża dokonuje prezentacji:

- To jest rani Kanari, która kilkakrotnie jeździła ze mną do Europy, Anito.

Obie damy próbują wymienić kilka grzecznych słów, przychodzi im to jednak z trudem, ponieważ rani Kanari mówi po angielsku jeszcze gorzej niż Anita. Dwie inne żony radży kiwają nieśmiało głowami: to Hinduski z doliny Kangra, przedstawicielki starych hinduskich rodów. Nie znają po francusku ani angielsku nawet słowa.

- A to Harbans Kaur, pierwsza rani, tak brzmi jej tytuł. Moja pierwsza żona.

Anita kłania się z szacunkiem przed elegancką kobietą w średnim wieku, nie otrzymując jednak w zamian nawet cienia uśmiechu. Przykry dreszcz przebiega jej po plecach. Nie trzeba słów, by poznać, że ma się przed sobą wroga. Kiedy radża odwraca się w inną stronę, Harbans Kaur przygląda się bez skrępowania klejnotom Anity, pozwala sobie nawet dotknąć naszyjnika z pereł, rubinowej broszy i kolczyków z brylantami. Potem pociąga za złoty łańcuszek, ledwie widoczny spod sari: Anita nosi na nim krzyżyk, z którym się nigdy nie rozstaje. Pierwsza rani śmieje się i odchodzi ku innym paniom, które nie przestają komentować „nowej”.

Pozostawiona samej sobie, dotknięta w swej godności Anita nie wie, co począć. Choć Mme Dijon mówiła jej o „żonach radży”, spotkanie z nimi jest prawdziwym przeżyciem. Do Anity dociera nagle, że każda z tych kobiet przeżywała to samo, co ona teraz. Jest przecież piątą żoną swego męża. Czując niepowstrzymane łzy napływające jej do oczu, opuszcza salę i szuka miejsca, gdzie mogłaby się wypłakać, a potem poprawić rozmazany makijaż. Mme Dijon, która widziała całą scenę, wychodzi za swą podopieczną, biegnie za nią długim korytarzem oświetlonym przez ustawione w niszach świece, chwytają za ramię i ciągnie do okna przysłoniętego żaluzjami pozwalającymi wyglądać na zewnątrz, samej nie będąc widzianą. Anita drży na całym ciele i szlocha. Z oddali dochodzą odgłosy zabawy.

- Nie pozwól zepsuć sobie szczęścia, Anito. Musisz zrozumieć, że dla tamtych twój ślub to obelga. Jesteś cudzoziemką, w dodatku piękną i młodą cudzoziemką. Każda z nich ma dwa razy tyle lat co ty. Zazdroszczą ci i boją się ciebie...

- Boją się?

- Oczywiście. Uważają, że skradłaś serce radży. I, co więcej, mają rację...

Słowa Francuzki działają na Anitę kojąco.

- W tej części świata wielożeństwo to rzecz normalna - ciągnie Mme Dijon. - Tradycja każe mężczyznom dbać o wszystkie żony do końca życia i radża nie może postąpić inaczej. Myślałam, że matka powiedziała ci o jego przeszłości.

Anita kręci głową.

- Nieważne, którą jesteś żoną. Ważne, czy jesteś tą, która się naprawdę liczy  
- mówi dalej Mme Dijon. - Pamiętasz opowieść o władcy, który zbudował Tadź Mahal?

Anita przytakuje, wycierając oczy chusteczką.

- No właśnie. On miał jeszcze więcej żon niż radża, a przecież kochał tylko jedną. Tak samo jak radża ciebie.

- Nie chcę skończyć w takim... haremie - wyrzuca z siebie Anita. Mme Dijon wydaje się rozbawiona.

- Nie opowiadaj głupstw, ty nigdy nie zamieszkasz w zenanie. Z twoim charakterem? Daj spokój! Będziecie żyli z radżą tak jak teraz, po europejsku. Obiecał ci to przecież, a jest człowiekiem honoru. Posłuchaj, Anito, dopóki zdołasz utrzymać jego miłość, dopóty będziesz prawdziwą władczynią Kapurthali, choćby Harbans Kaur miała pęknąć ze złości.

Anita uśmiecha się melancholijnie, jak gdyby świadoma, że bajka się skończyła. Teraz trzeba stawić czoło prawdziwemu życiu.

Dzięki zręczności Mme Dijon mały dramat Anity przechodzi niemal niezauważony. Z całą zaś pewnością umyka uwadze korespondenta „Civil and Military Gazette”, dziennika z Lahore, który pod datą 29 stycznia 1908 roku publikuje w rubryce towarzyskiej następującą notkę: „Młodziutka narzeczona, która odznacza się wybitną, szlachetną urodą, miała na sobie wspaniałe czerwone sari haftowane złotem i olśniewającą biżuterię. Ślub był nader malowniczy ze względu na barwne stroje gości. Cała uroczystość odbyła się z wielkim eclat\*”.

\* Eclat (franc.) - blask [przyp. tłum.].

## Część druga

Pan świata

### Rozdział trzynasty

Pompa i przepych towarzyszą radży od urodzenia. Mieszkańcy Kapurthali doskonale pamiętają, jak o drugiej rano 26 listopada 1872 roku obudzeni zostali armatnimi salwami obwieszczającymi przyjście na świat następcy tronu. W ten sposób rozpoczęły się czterdziestodniowe uroczystości z udziałem gubernatora Pendżabu oraz maharadzów Kaszmiru, Patijali, Gwalijaru i innych sąsiednich księstw, uroczystości, które kosztowały skarb państwa milion rupii. Rozdzielono wtedy między biednych hojną jałmużnę i uwolniono wszystkich dwudziestu ośmiu więźniów. Radość była tym większa, iż ówczesny władca, radża Karak, cierpiał na przejściowe ataki szaleństwa i z polecenia lekarzy spędzał część roku w zakładzie w Dharamsali, u stóp Himalajów. Ci jednak, którzy uważali go za niezdolnego do spłodzenia potomka, najwyraźniej grubo się pomylili.

Niespodzianka okazała się szczególnie przykra dla tej gałęzi książęcego rodu, która liczyła na rychłą sukcesję. Dlatego nie brakowało takich, co kwestionowali pochodzenie nowo narodzonego, utrzymując, że nie jest on synem radży Karaka, lecz miejscowego arystokraty Lali Harichanda, który miał rzekomo odstąpić rani syna w zamian za stanowisko ministra finansów. Brytyjczycy natychmiast podjęli zdecydowane działania, by nie dopuścić do przejęcia władzy przez ową ambitną gałąź rodu, głównie dlatego, że kilka lat wcześniej jej przedstawiciele przeszli za namową prezbiteriańskich misjonarzy na chrześcijaństwo. A w skomplikowanych etnicznie i religijnie Indiach wstąpienie na tron chrześcijanina - choćby i z królewskiej rodziny - mogło pociągnąć za sobą nieprzewidziane skutki.

Sprawa otarła się nawet o wicekróla, który nakazał nadwornemu lekarzowi z Kapurthali sporządzenie stosownego raportu. Doktor Warburton wszczął małe dochodzenie, przepytując akuszerkę i kilka pokojówek rani. Z nią samą ze względu na obowiązujący mężczyzn zakaz wstępu do zenany mógł się porozumiewać jedynie przez tłumaczkę. Z jego sprawozdania wynikało niezbicie, że rani jest prawdziwą matką dziecka, co umożliwiło oficjalne uznanie go za następcę tronu. Niezadowoleni krewni nie dali jednak za wygraną, oskarżyli lekarza o przekupstwo i dalej upierali się przy swoim, dopóki nie zostali wygnani z Kapurthali i zmuszeni do zamieszkania w

Dżalandarze. W ramach rekompensaty władze kolonialne przyznały im prawo do używania tytułu radży oraz szereg orderów Kawalera Gwiazdy Indii. I na tym stanęło. Ale podział w łonie rodu zaowocować miał w przyszłości interesującymi konsekwencjami.

Pięć dni po narodzinach księcia kobiety odprawiły nad nim obrzęd chroniący przed złym urokiem. Przez całą noc śpiewały pieśni religijne, podczas gdy żołnierze u bram uderzali w wielkie bębny. Dziesiątego dnia służba umyła ściany i podłogi pałacu, a członkowie rodziny wylali wielkie dzbany mleka na schody wejściowe, świętując w ten sposób chwilę, w której młoda matka przestała być „nieczysta”. Dnia dwudziestego drugiego nadworny astrolog odczytał horoskop dziecka i przedstawił cztery odpowiadające gwiazdom propozycje imienia. W zastępstwie ojca, który przebywał w zakładzie dla obłąkanych, ostatecznego wyboru dokonała ciotka malca. Miał się odtąd nazywać Jagatjit, czyli pan świata. W pełnej wersji Frazand-i-Dilband Rasik-al-Iqtidad-i-Daulat, Raja-i-Rajagan Jagatjit Singh Bahadur. Dla Anglików radża Jagatjit Singh.

Chłopiec rósł w zenanie, pod opieką niezliczonych nian, pokojówek i mamek, pośród luksusów niedostępnych najlepiej nawet urodzonym dzieciom w Europie. Jako jedyny męski potomek władcy i tym samym dziedzic od najmłodszych lat przywykł do skupiania na sobie uwagi innych. Zawsze był koło niego ktoś, kto dbał o jego bezpieczeństwo i wygodę. Jagatjit wysuwał nogę i czyjaś ręka natychmiast zakładała na nią but. Jagatjit machał ręką i już miał przy sobie, na przykład fryzjera. Nigdy nie podnosił głosu - nie musiał. Jedno jego spojrzenie starczało za nieodwołalny rozkaz. Nawet najstarsi, najbardziej zasłużeni lokaje padali mu do stóp na znak szacunku. Sztab lekarzy czuwał nad jego zdrowiem. Specjalna aya co dzień rano uważnie badała zawartość jego nocnika, a jeśli zauważyła coś dziwnego, bezzwłocznie podawała mu lecznicze ziółka lub wzywała doktora. Przez całe dzieciństwo codziennie kąpano go i myto mu włosy, by następnie układać go na łóżku z plecionych sznurów, pod którym palono wonne kadzidelka. Potem musiał poddawać się ceremonialnemu masażowi, do którego używano kremu ze świeżo zmielonych migdałów. Tak go to nudziło, że często, choć bezskutecznie, próbował przekupić służbę, by przynajmniej raz dała mu spokój. Nigdy nie był sam, zawsze pod bacznym okiem nianiek, a później profesorów i wychowawców. Może dlatego, gdy dorósł, pokochał podróże: żeby mieć trochę czasu dla siebie.

Nigdy nie poznał zamkniętego w zakładzie już na stałe ojca. Zapamiętał jedynie jego pogrzeb, ponieważ przez szereg kolejnych dni zawodowe płaczki

wypełniały lamentami cały pałac. W ten sposób, mając pięć lat, Jagatjit odziedziczył państwo, trzynaście przysługujących władcy Kapurthali salw armatnich, tytuł jego wysokości i piąte miejsce w hierarchii ważności pośród książąt Pendżabu. Odziedziczył też gigantyczną fortunę, niewspółmierną do rozmiarów Kapurthali, która obejmowała jedynie sześćset kilometrów kwadratowych - niewiele w porównaniu do sześciu tysięcy zajmowanych przez sąsiednią Patijalę. Swój ogromny majątek Jagatjit zawdzięczał dziadkowi, radży Randhirowi Singhowi, który wykazał dość sprytu, by w 1857 roku podczas powstania Sipajów, gdy hinduscy i muzułmańscy żołnierze zbuntowali się przeciwko swoim zwierzchnikom z Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, opowiedzieć się po stronie Anglików. Wprawdzie głębokich źródeł rebelii należało się doszukiwać w lęku miejscowej ludności przed coraz agresywniejszą kolonizacją, ale bezpośrednią przyczyną wybuchu stała się plotka, że nowe naboje do strzelb wymagają smarowania tłuszczem zwierzęcym - rzecz nie do pomyślenia zarówno dla hindusów, jak i dla wyznawców islamu. Okrucieństwa popełniane w czasie tego konfliktu przez obie strony wyznaczyły bolesną cezurę w historii brytyjskiej ekspansji w Indiach. Powstanie Sipajów, uznane później przez Hindusów za pierwszy zryw narodowowyzwoleńczy, wzbudziło w części społeczeństwa nastroje patriotyczne. Dla Anglików, którzy tłumili je przez ładnych parę miesięcy, oznaczało z kolei koniec bezwzględnej dominacji Kompanii Wschodnioindyjskiej, która od XVII wieku robiła w Indiach, co chciała. Zdopingowana dramatycznymi wydarzeniami królowa Wiktoria postanowiła bowiem osobiście wejrzeć w sprawy wielkiej kolonii i zapewnić sobie lojalność lokalnych władców. Potrzebowała ich, by sprawnie rządzić ogromnym terytorium zamieszkanym przez trzysta milionów Hindusów, wśród których sto trzydzieści tysięcy Brytyjczyków ginęło jak kropla w morzu. W wydanej w 1858 roku odezwie deklarowała więc, że uszanuje prawa książąt - bo tytuł króla został zakazany - tudzież dbać będzie o ich interesy i honor jak o swoje własne. Od tej pory, pod brytyjskim parasolem, radżom żyło się dużo spokojniej niż ich przodkom, pod warunkiem oczywiście, że spełniali oczekiwania swoich angielskich przyjaciół.

Pax britannica uczyniła z indyjskich książąt jednostki słabe i rozmiłowane w wygodzie, utwierdzając ich w przekonaniu, że Anglicy są im niezbędni do utrzymania się przy władzy, podczas gdy w rzeczywistości to oni byli niezbędni Anglikom. Elity powoli traciły kontakt z ludem, żyjąc w niewyobrażalnych luksusach, rywalizując o względy kolonizatorów i usiłując

za wszelką cenę się do nich upodobnić, choć feudalna struktura hinduskiego społeczeństwa czyniła to w zasadzie niemożliwym.

Za lojalność w trakcie powstania Sipajów Randhir Singh z Kapurthali otrzymał ziemie skonfiskowane zbuntowanemu radży z Oudh. Upadek jednego przyczynił potęgi drugiemu, albowiem dochody z nowych terenów - w wysokości dwóch milionów czterystu tysięcy rupii rocznie - trafiały bezpośrednio do kieszeni władcy. W ten sposób w wieku pięciu lat Jagatjit Singh stał się bajecznie bogaty.



## Rozdział czternasty

Radża otrzymał dwojakiego rodzaju edukację. Z jednej strony poznawał świetne tradycje swego rodu, z drugiej zaś - europejską nowoczesność; Kamasutrę czytał na zmianę z podręcznikami do fizyki i chemii. Zanim osiągnął pełnoletniość, państwem rządzili zdolni brytyjscy urzędnicy, z których część - jak na przykład sir James Lyall - wybiła się później na szerszym polu. Wspólnie z zaufanymi ludźmi z indyjskiej arystokracji przeprowadzili oni szereg reform, ulepszając miejscową administrację i przygotowując Jagatjitowi grunt. Zredukowali, na przykład, liczbę ministerstw poprzez połączenie finansów z podatkami oraz likwidację resortu spraw różnych, zajmującego się końmi wyścigowymi, słoniami i resztą książęcego inwentarza.

Starannie dobierani guwernerzy rozwijali w radży samodzielność sądów. Oprócz dobrych manier i wymogów dyplomatycznego protokołu wpajali mu przekonanie o korzyściach płynących z demokracji, przypominając zarazem, że on sam nigdy nie będzie musiał stosować się do jej zasad, albowiem tradycja gwarantuje mu nad trzy stoma tysiącami poddanych władzę absolutną. Pod wpływem opiekunów Jagatjit stopniowo zaczął interesować się Anglią, jej historią, wartościami, instytucjami i zwyczajami. Wielka Brytania jawiła się w jego oczach jako największe mocarstwo i źródło wszelkiego postępu. Stamtąd pochodziły najlepsze samochody, najszybsze żagłówki, najwspanialsza architektura, najskuteczniejsze lekarstwa...

Jak działa silnik? Jak wygląda morze? Co różni kalotyp od litografii, a tę z kolei od fotografii? Nauczyciele zaspokajali jego dziecięcą ciekawość i otwierali mu oczy na świat poza granicami Indii; świat, o którym jego najbliższe otoczenie nie miało zielonego pojęcia. Utrzymywane od wczesnych lat kontakty z brytyjską elitą pozwoliły mu zapoznać się ze zwyczajami ludzi, których podziwiał i do których miał w przyszłości bez problemu dołączyć. Angielskiego uczył się ze szczególnym zapalem i już wkrótce opanował nie tylko słownictwo i gramatykę, ale również akcent, tak brytyjski, że aż trudno było uwierzyć, że młody Jagatjit nigdy jeszcze nie był w Anglii. Nie ograniczał się jednak do Wielkiej Brytanii, coraz bardziej ciekawy również reszty Europy, gdzie powoli kończył się wiek XIX, maszyny zastępowały w fabrykach ludzi, wynaleziono aparat do rozmów na odległość i kinematograf, szukano sposobów na wzniesienie się w powietrze... Wszystko to rozpałało wyobraźnię chłopca. Dlatego postanowił poznać francuski, a z czasem także inne języki. Jak wielu Hindusów wykazywał w tym kierunku szczególne zdolności, bardzo zresztą potrzebne w kraju, gdzie języków oficjalnych jest czternaście, a rozmaitych

dialektów - ponad pięćset. Mając dziesięć lat, oprócz angielskiego i francuskiego znalazł też ojczysty pendżabski, a także spokrewniony z nim hindi, sanskryt, którego uczył się od świątobliwego starca, i urdu - od czasów imperium Mogołów oficjalną mowę wielu indyjskich dworów.

Jagatjit Singh niejako ucieleśniał ogromną zmianę, jaka dokonała się wśród indyjskich monarchów od czasu słynnej odezwy królowej Wiktorii. W ciągu zaledwie paru dziesięcioleci lokalni książęta zostali zmuszeni do przeskoczenia kilku wieków, a radża Kapurthali okazał się prawdziwym akrobatą, zdolnym bez wysiłku balansować na granicy dwóch światów. W przeciwieństwie do swoich przodków potrafił nosić europejskie stroje, grał w tenisa i krykieta, gustował w zachodniej kuchni i potrafił czerpać przyjemność z tak angielskich rozrywek jak pigsticking, czyli polowanie na dzika z lancą. Na posiedzenia rady ministrów jeździł jednak na słoniach, z trzema sznurami pereł na szyi, w diademie z brylantów albo w turbanie spiętym broszą z piórami. Odziedziczył wszystkie zewnętrzne oznaki władzy, przypominały one wszakże pustą skorupę, wydrążoną z najistotniejszej treści: monarszych zobowiązań wobec poddanych, ci bowiem przestali się liczyć - liczyła się wyłącznie kolonialna zwierzchność, która gwarantowała lojalnym radżom dożywotni spokój. Był to system chory, skrzywiony u podstaw, ale w owej epoce wydawał się niezwykle trwały. Niesłusznie.

Jednakże szybka adaptacja radży do zachodnich wzorców nie odbyła się bez wstrząsów. Niełatwo pogodzić kultury tak różne jak angielska i sikhijska, niełatwo być zarazem indyjskim władcą i brytyjskim dżentelmenem, despota i demokratą, tradycjonalistą i zwolennikiem reform. Zwłaszcza jeśli brakuje wsparcia zarówno ze strony nieobecnego ojca, jak i macochy, kobiety słabej i należącej do innej epoki. Jagatjit musiał więc samotnie stawić czoło zmieniającemu się światu i nieść na barkach ciężar marionetkowej władzy. Może dlatego, aby odreagować napięcia psychiczne, zaczął przejawiać chorobliwy apetyt. Początkowo nikt się tym nie przejmował, przeciwnie, słuszne rozmiary księcia napawały wszystkich dumą. Jednakże później, kiedy w wieku dziesięciu lat Jagatjit przekroczył granicę stu kilogramów, na dworze zapanowała panika. Doktor Warburton zalecił ścisłą dietę, która wszakże nie przyniosła rezultatów. Chłopiec wciąż tył i zbyt długo spał. Właśnie wtedy zaczął prosić służbę o pomoc w zawiązywaniu i odwiązywaniu choridara - swego rodzaju piżamy o bardzo luźnych spodniach przepasywanych jedwabną szarfą. Nawet później, gdy odzyskał już formę, nie zrezygnował z owego zwyczaju i kapitan straży przybocznej Inder Singh przez wiele lat musiał spełniać tę dziwną zachciankę.

„Książę, rozpieszczany od wczesnego dzieciństwa przez armię nianiek, nabrał fatalnych nawyków żywieniowych. Na razie jedyne, co możemy zrobić, to spróbować innej diety”, raportował doktor Warburton zaniepokojonemu obrotem spraw Jamesowi Lyallowi, prawnemu opiekunowi Jagatjita.

- A jeśli to nic nie da? - zapytał pewnego razu Lyall.

Lekarz popatrzył na niego ponad szklami okularów. Miał w pamięci świeżo przeczytany w specjalistycznym czasopiśmie artykuł, którego konkluzje mogły, niestety, dotyczyć młodego radży.

- Musimy mieć nadzieję, że nie chodzi tu o rzadką chorobę zwaną otyłością dziecięcą. Cierpiący na nią pacjenci zasypiają na stojąco i tyją tak długo, aż zaczynają mieć kłopoty z oddychaniem...

Na chwilę zaległa cisza, którą przerwał Lyall, pytając: - I ?

- I często umierają przed osiągnięciem pełnoletności. Wstrząśnięty Lyall zastygł z otwartymi ustami. Wobec konfliktu z drugą gałęzią rodziny przedwczesna i z konieczności bezdzielna śmierć radży wywołałaby w Kapurthali i w całym Pendżabie spory kryzys.

- Poczekamy, zobaczymy. Może to tylko sposób na pokonywanie problemów wieku dojrzewania - zakończył doktor Warburton.

Waga Jagatjita ustabilizowała się na poziomie stu trzydziestu kilogramów. Było to dużo jak na jedenastolatka, ale chłopiec przynajmniej już nie tył, co pozwoliło jego opiekunom choć przez chwilę odetchnąć z ulgą. Mniej więcej w tym czasie zdecydowano, że należy mu wyszukać pierwszą żonę. On sam nie miał w tym względzie nic do powiedzenia - tak nakazywała tradycja. Poza tym i tak mógł się uważać za szczęśliwca, ponieważ jako Sikh miał prawo do nieograniczonej liczby żon, podczas gdy na przykład muzułmanom wolno się było żenić najwyżej cztery razy. Większy wpływ na wybór kolejnych małżonek radżowie zyskiwali dopiero po dojściu do pełnoletności i objęciu władzy, choć i wtedy pole manewru okazywało się zwykle dość ograniczone, ponieważ córki z dobrych rodzin obiecywano komuś najczęściej już w dzieciństwie.

Spora grupa dworzan udała się więc do oddalonej o mniej więcej dwieście kilometrów od Kapurthali doliny Kangra, by znaleźć odpowiednią kandydatkę. Małżeństwo młodego Jagatjita miało zacieśnić więzy z wielkimi radżpuckimi rodami Radżasthanu, skąd zresztą wywodzili się również przodkowie radży. Przyszła żona musiała pochodzić z bardzo wysokiej kasty, żeby „podnieść wartość książęcej krwi”. Rodzina Jagatjita należała bowiem do bardzo przeciętnej kasty kalali, czyli tych, którzy zajmowali się produkcją alkoholi na królewskie stoły. Później jeden z przodków radży, Jassa Singh, człowiek wybitny, zdołał skrzyknąć grupę Sikhów i z ich pomocą zjednoczyć rozbitą

Kapurthalę. Jednakże piętno kalali pozostało i od czasu do czasu przypominało się co bardziej czułym na punkcie genealogii dworzanom. Jedno z pendzabskich przysłów mówi przecież: „Kruk, pies i kalał knują nawet we śnie”. Dlatego taką wagę przywiązywano do kasty przyszłej żony.

Przybycie dworskich wysłanników wszędzie obwieszczano biciem w bębny. Fizyczne atrybuty kandydatek były oceniane tak skrupulatnie, że część rodzin skarżyła się nawet na zbytnią gorliwość komisji. Jednakże Jagatjit, choć gruby, stanowił naprawdę dobrą partię: tysiące rodzin marzyły o wydaniu córki za radzę. Należało więc uważać, by dokumenty dziewcząt nie były sfałszowane i by żaden z wysłanników nie skusił się na ewentualną łapówkę.

W końcu wybór padł na śliczną dziewczynkę w wieku radży, Harbans Kaur, wywodzącą się z kasty braminów. Miała wielkie czarne oczy i skórę złotawą niby pszenica. Niezwłocznie omówiono finansowe warunki małżeństwa, które miało zostać zawarte 16 kwietnia 1886 roku, gdy narzeczeni osiągną wymagany wiek lat czternastu.

Ślub odbył się w zgodzie z tradycjami Sikhów. Przed ceremonią radża nie widział przyszłej żony ani razu, a w czasie uroczystości pozwolono mu na nią spojrzeć wyłącznie za pośrednictwem umieszczonego między nimi lusterka. „Wtedy zobaczyłem jej czarne oczy, najpiękniejsze, jakie w życiu oglądałem. Uśmiechnąłem się, a ona odwzajemniła mój uśmiech”, napisał w dzienniku. W żadnym dzienniku natomiast nie zachowało się pierwsze wrażenie Harbans Kaur, jej reakcja na widok nalanej twarzy męża, jego potrójnego podbródka, ospałych oczu i ogromnego brzucha. Nie wiadomo też, jak dokładnie wyglądała ich noc poślubna, choć można się domyślać, że ona była uległa i przerażona, on zaś niedoświadczony i niezgrabny. Cokolwiek zaszło, małżeństwo nie zostało skonsumowane, a do powszechnego na dworze niepokoju o zdrowie radży - który jednak, choć otyły, nie przejawiał skłonności do narkolepsji ani kłopotów z oddychaniem - dołączył prawdziwy lęk o jego zdolności prokreacyjne i przyszłość dynastii.

## Rozdział piętnasty

24 listopada 1890 Jagatjit Singh skończył osiemnaście lat i tym samym osiągnął pełnoletność. Uchodził za młodzieńca spokojnego i dobrodusznego, co doskonale pasowało do jego powierzchowności, jako że wciąż ważył ponad sto kilogramów. Do popychania wózka, na którym zwykł odbywać poranne przejażdżki, potrzeba było aż dwóch służących. Pomysł owego prototypowego pojazdu zrodził się w głowie J.S. Elmore'a, głównego inżyniera Kapurthali, który zamontował koła od welocypedu do samochodowego podwozia, dodał jeszcze jedno mniejsze kółko, wygodne siedzenie, całość zaś zwieńczył parasolką, by książę nie ucierpiał od słońca. Usadowiony w tym wehikule i pchany przez służących radża krążył po mieście, by od czasu do czasu przystanąć i z tym lub owym przyjaźnie pogawędzić. Czasem jeździł też konno, którą to rozrywkę bardzo by lubił, gdyby nie fakt, że szybko się męczył a przy tym bał się, że spadnie. Pewniej czuł się na grzbiecie słonia.

Chociaż od ślubu z Harbans Kaur minęły cztery lata, książęca para nadal nie miała dzieci. Jednakże zbliżające się uroczystości związane ze wstąpieniem Jagatjita na tron chwilowo odsunęły ten problem na drugi plan. I tak, mniej więcej wtedy, gdy w Madrycie urodziła się Anita Delgado, jej przyszły konkurent objął władzę nad Kapurthala. Przygotowania do ceremonii trwały dwa tygodnie. Trzydniowe obchody z udziałem trzystu gości oprócz części oficjalnej obejmowały także bankiety, rejsy po rzece i polowania. „Civil and Military Gazette”, do której współpracowników zaliczał się sam Rudyard Kipling, pod datą 28 listopada 1890 roku informowała o „chaosie, jaki ze względu na wielką liczbę upadków zapanował na lodowisku otwartym w Patijali przez tamtejszego maharadzę”, o niepokojącym dla władz fakcie, iż pendzabscy policjanci zamiast przepisowego obuwia noszą w czasie pracy klapki, o dziesięciorupiomym mandacie zapłaconym przez angielskiego żołnierza za wznoszone po pijaku obraźliwe okrzyki wymierzone przeciwko muzułmańskiemu orszakowi pogrzebowemu, i o tym podobnych wydarzeniach. Jednakże okładkę i większość stron poświęcono uroczystościom w Kapurthali.

„Scena, która rozegrała się w Darbar Hallu\*<sup>\*</sup>, była tak malownicza, że na zawsze zapisała się w pamięci obecnych.

\* Darbar to słowo pochodzenia perskiego określające pierwotnie zebranie na książęcym dworze. Ten często używany w Indiach termin rozszerzył potem swoje znaczenie na każde ważniejsze spotkanie. Darbar Hall to piękna budowla z wielkim, krytym wewnętrznym patiem oświetlanym elektrycznością.

Na zewnątrz czekało kilka regimentów wojska: piechurzy w ogromnych turbanach i czerwonych tunikach oraz kawalerzyści na czystej krwi wierzchowcach. Dalej stały w szeregu wspaniałe słonie o pomalowanych odświętnie pyskach i w olśniewających uprzężach, całkowicie nieruchome, jeśli nie liczyć powolnego kołysania trąbami. Na patio zebrał się tłum wojskowych w jaskrawych mundurach. Zgromadzeni na górnych galeriach Europejczycy śledzili wszystko błyszczącymi oczyma". Sir James Lyall, dawny opiekun radży, obecnie zaś gubernator całego Pendżabu, wygłosił mowę, w której przypomniał historię przyjaźni łączącej władców Kapurthali z brytyjską Koroną od czasów Randhira Singha, podziękował za oddanie nauczycielom radży oraz doktorowi Warburtonowi, a także pogratulował byłemu podopiecznemu zdobytego wykształcenia, szczególnie biegłej znajomości angielskiego i języków orientalnych, „osiągniętej dzięki wytrwałej pracy i wrodzonym zdolnościom". Następnie wyraził wdzięczność pod adresem wszystkich członków rządu, którzy w okresie regencji „dbali o postęp kraju, zachowując jego piękne, sikhijskie tradycje", oraz pochwalił uczciwość, rozważę i dobry charakter radży, życząc mu długiego, sprawiedliwego panowania i mądrego gospodarowania „pokażnym dochodem z rozległych ziem Oudh". Na koniec zacytował poetę, który dwieście lat wcześniej napisał do angielskiego króla słowa brzmiące tego pięknego poranka w Kapurthali niemal jak prorocstwo:

Berło i korona rozpadną się w proch, Wszystko zrówna się na tej ziemi I tylko pamięć o sprawiedliwych Zakwita w pyle świata.

Przemówienie nagrodzono gromkimi brawami. Wówczas sir James skinął na radzę i obaj zasiedli w wysokich fotelach z malowanego drewna, które spełniały rolę tronu. W ten sposób władza została oficjalnie przekazana. Potem radża powstał i wygłosił swoją pierwszą publiczną mowę, „doskonałą angielszczyzną, z godnym podziwu opanowaniem i pewnością siebie", jak donosił korespondent „Gazette".

Podziękował swoim opiekunom, obiecał pracować nad przyszłością kraju z tą samą ekipą urzędników, napomknął o zasługach doktora Warburtona i zobowiązał się stosować do wskazówek gubernatora. „Modlę się, by moje rządy zasłużyły na aprobatę jej wysokości królowej i mojego ludu". Kolejność nie była przypadkowa.

„Ceremonia dobiegła końca i goście rozeszli się do swych kwater. Po południu odbyły się wyścigi konne, a wieczorny bankiet rozpoczęto od toastu na cześć jej wysokości królowej".

\* \* \*

Kiedy emocje opadły i w Kapurthali znów zapanował spokój, pogłoski o tym, jakoby radża nie był zdolny spłodzić potomka, przybrały na sile. Nikt nie wątpił, że lubi kobiety. Służące opowiadały, że od dzieciństwa próbował ich dotykać, a gdy uciekały, proponował im nawet pieniądze. Echo hulanki, którym oddawał się wraz z maharadzami Dholpuru i Patijali, dotarło aż do Delhi i erotyczne wybryki młodego Jagatjita kosztowały go niejedną srogą reprimendę. Powszechnie znane było też jego upodobanie do tak zwanych nautchgirls, zawodowych tancerek sprowadzanych z Lahore - miasta uważanego za indyjską stolicę występku. Dziewczeta te miały za zadanie na wszelkie możliwe sposoby dostarczyć bogaczom rozrywki, w tym także - świadcząc im usługi seksualne. Nie były prostytutkami w ścisłym tego słowa znaczeniu, raczej indyjskim odpowiednikiem gejsz. Biegłe w sztuce zabawiania mężczyzn często wprowadzały młodych chłopców w tajniki seksu i antykoncepcji. Zalecały różne metody: od coitus interruptus, nazywanego przez nie „skokiem w tył”, po czopki z wyciągiem z lewkonii i miodem albo z liśćmi wierzby płaczącej i wełną. Można też było pić podczas stosunku napar z mięty albo wcierać w penisa sok z cebuli lub nawet smołę. Jednakże rola nautchgirls bynajmniej się do tego nie ograniczała. Te wszechstronnie wykształcone damy w nader przyjemnych okolicznościach uczyły niechętnych często szkole młodzieńców etykiety oraz języka królów - urdu. Stare rody nagradzały ich zasługi, dając im zazwyczaj kawałek ziemi albo miejsce w pałacu, by mogły tam doskonalić swoje umiejętności.

Harbans Kaur, oficjalna żona, nie miała w tych sprawach nic do powiedzenia. Znała zwyczaje i nie zamierzała się przeciw nim buntować, choć dzielenie się mężem z tłumem innych kobiet nie musiało być zbyt przyjemne. Tradycja to tradycja. Zresztą pierwsza żona zawsze pozostaje pierwszą żoną i w związku z tym cieszy się szczególnym szacunkiem. To ona dba o „siostrzane” stosunki między „nowymi”, radzi i dzieli się sekretami alkowy, a wszystko dla tym większej satysfakcji męża.

Z myślą o Jagatjicie sprowadzono do Kapurthali najlepsze nautchgirls, prawdziwe piękności wyszkolone w przybieraniu najbardziej wymyślnych póz, przez wieki utrwalanych przez indyjską sztukę - także sakralną - a inspirowanych naukami zawartymi w Kamasutrze, która wciąż stanowiła podstawę erotycznej i miłosnej edukacji młodzieńców z dobrych rodzin. Szczegółowy ten podręcznik, w którym młodzi ludzie od wieków szukają porad i sposobów na zdobycie kobiety, dzieli kochanków według wyglądu, temperamentu i wielkości genitaliów mierzonych w calach, a pary widoczne na świątynnych płaskorzeźbach odpowiadają opisanym tam typom seksualnym.

Na przykład „kobieta-gazela” o jędrnych piersiach, szerokich biodrach, okrągłych pośladkach i małej yoni (nie więcej niż sześć cali) doskonale pasuje do „mężczyzny-zająca”, wrażliwego na „łaskotanie po udach, rękach, podszewkach stóp i wzgórkę łonowym”. „Mężczyzna-rozplodowiec”, gustujący w krzepkich kobietach i obfitych posiłkach, najlepiej rozumie się z „kobietą-klaczą” o mocnych udach i pachnącej sezamem yoni „głębokości dziewięciu cali”. Chłopcy z arystokratycznych rodów poznawali więc pozycje, takie jak „otwarcie bambusa”, „pazur tygrysa” czy „skok zająca”, wcześniej niż geometrię czy algebrę. Pozycja o tajemniczej nazwie „święty obowiązek”, na przykład, polega na tym, by wziąć kobietę tak, jak byk pokrywa krowę: na stojąco i od tyłu, ciągnąc ją jedną ręką za włosy. Poddająca się temu z ochotą partnerka stać musi pochylona do przodu, trzymając dłonie zaciśnięte na kostkach. Kamasutra szczegółowo klasyfikuje nawet jęki, w zależności od stopnia osiągniętej rozkoszy: kochankowie mogą wydawać odgłosy gołębia, kukułki, papugi, wróbla, kaczki albo przepiórki. Poświęcony temu zagadnieniu rozdział kończy się następująco: „I wreszcie z jej gardła dobędą się nieartykułowane dźwięki świadczące o osiągniętych przez nią kolejnych szczytach rozkoszy”.

Rodzina Jagatjita ufała, że dzięki nautchgirls radza „zacznie normalnie funkcjonować”. Jednakże rezultat wszelkich zabiegów był zawsze taki sam: młody człowiek czerpał z seksu znaczną przyjemność, ale miał kłopoty z kopulacją, a to z powodu zbyt dużego brzucha, który przysłańiał nawet wzwiedzonego penisa.

Właśnie wtedy na horyzoncie pojawiła się Munna Jan, kobieta w średnim wieku, obnosząca resztki swej dawniej legendarnej urody. „Jeśli problem sprowadza się do brzucha”, orzekła, „należy zwrócić się o radę do opiekuna słoni”. Był nim chudy, kościsty człowiek w czerwonym turbanie i spranej wojskowej kurtce bez guzików. Od niego dowiedzieli się, że księżęce słońce nie chciały kiedyś rozmnażać się w niewoli, i to bynajmniej nie przez nieśmiałość, lecz dlatego, że brakowało im przestrzeni i odpowiednio ukształtowanego terenu. Aby rozwiązać ten problem, w lasku za nowym pałacem usypano specjalny wzgórek, którego pochyłość znacznie ułatwiała zadanie samcom. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania, o czym wymownie świadczyły ryki rozdierające ciszę nocy nad Kapurthala, a także rosnąca liczba słońatek.

Słowa opiekuna słoni przywróciły dworowi nadzieję. Pozostała jedynie kwestia dopracowania szczegółów natury praktycznej. Już wkrótce jak zwykle pomysłowy inżynier J.S. Elmore zaprojektował i zbudował pochyłe łóżko z metalu i drewna, zaopatrzone w elastyczny materac. Munna Jan służyła mu



przez cały czas cennymi radami. Zostało też postanowione, że jedna z jej dziewcząt dostąpi przywileju wypróbowania wraz z radzą nowego wynalazku. Uśmiech, jaki tego wieczoru gościł na twarzach dworzan, mówił wszystko. Akcja zakończyła się sukcesem: radża zdołał odbyć pełny stosunek. Ba, nawet niejeden.

Dziewięć miesięcy po tym ważnym w historii Kapurthali dniu Harbans Kaur urodziła pierwszego syna, którego nazwano Paramjit Singh. Radość radży nie miała granic, zwłaszcza że telegram z gratulacjami przysłał sam król Edward VII. Munna Jan otrzymała za swe zasługi dla kraju parę szczerozłotych bransolet na kostki oraz dożywotnią pensję w wysokości tysiąca rupii miesięcznie.

## Rozdział szesnasty

W 1893 roku Jagatjit Singh odbył swoją pierwszą podróż do Europy, aby wziąć udział w uroczystości zaślubin księcia Yorku, przyszłego króla Jerzego V, z którym miał się zresztą później zaprzyjaźnić. Wprost z Londynu zamierzał udać się do Chicago, na wielką Wystawę Powszechną otwartą z okazji czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki. W sumie całą podróż przewidziano na pół roku. Sześć miesięcy, podczas których radża po raz pierwszy miał się zetknąć ze światem zewnętrznym.

Towarzyszyła mu liczna świta, do której zaliczali się, między innymi, korpulentny i brodaty minister finansów, osobisty lekarz radży doktor Sadiq Ali noszący ciemne europejskie garnitury i jasne turbany, a także szef eskorty, olbrzym o dobrodusznej twarzy pokrytej siwym zarostem, i Europejczyk, mniej więcej pięćdziesięcioletni podpułkownik Massy, zawsze ubrany w lśniący cylinder, kontrastujący z nakryciami głowy pozostałych. Na grupowym zdjęciu wykonanym w Paryżu radża siedzi z berłem w dłoni, odziany w jasny, jedwabny płaszcz, europejskie spodnie, szeroki krawat i łososiowy turban. Ojcostwo i władza - a może po prostu dorosłość - wyraźnie mu służyły, sprawiając, że schudł. Nadal był gruby, ale już nie otyły.

Tym, co zaskakuje na wspomnianym zdjęciu, jest obecność usadowionej koło Jagatjita młodej kobiety o delikatnych rysach i małych czarnych oczach, w europejskiej satynowej sukni z długimi rękawami. To jego druga żona, rani Kanari, inteligentna, wesoła dziewczyna, którą naprawdę kochał. Podobnie jak Harbans Kaur pochodziła z doliny Kangra, ze starej, ale zubożałej radżpuckiej rodziny. Układ był jasny: kasta w zamian za fortunę - bramini często zgadzali się na małżeństwa swoich córek z ludźmi o wątpliwym pochodzeniu, pod warunkiem, oczywiście, że związek taki mógł przynieść im korzyści finansowe.

Jednakże w przypadku rani Kanari w grę wchodziło również uczucie. Radża zakochał się w niej podczas pierwszego spotkania. Różniła się od innych znanych mu kobiet, a już zwłaszcza od uległej, biernej Harbans Kaur: miała silną osobowość i poczucie humoru. Choć nigdy wcześniej nie opuszczała doliny Kangra i nie mówiła nawet słowa po angielsku, radża natychmiast zaproponował jej małżeństwo. Z jego ówczesnych zapisków można wnioskować, jakiej żony szukał i jaką spodziewał się znaleźć w rani Kanari, a osiemnaście lat później również w Anicie Delgado: „W dzisiejszych czasach wykształcony Hindus potrzebuje u swojego boku kobiety inteligentnej, zdolnej dzielić wszystkie jego radości i smutki”. Tymczasem większość ówczesnych Hindusek żyła zamknięta w zenanach, nie uczestnicząc w żaden sposób w życiu

mężów. Co więcej, wielu tradycjonalistów krzywym okiem patrzyło na swobodę udzielających się towarzysko Angielek. Radża wszakże, jako anglofil, zaliczał się do liberalnej mniejszości. Kobiety, które spotykał, mogły zaspokoić go seksualnie i dać mu potomstwo, nie potrafiły jednak spełnić innych jego oczekiwań. Problem ten dotyczył zresztą wielu indyjskich władców, albowiem szczęśliwców takich jak Śahdżahan, który w osobie Mumtaz Mahal znalazł towarzyszkę na całe życie, było bardzo niewiele. Dlatego radża wciąż szukał kobiety, która zostałaby nie tylko jego żoną, ale także przyjaciółką i potrafiłaby z równą jak on swobodą poruszać się w dwóch światach - w świecie Wschodu i świecie Zachodu. Wiedząc zaś, że szanse na to są niemal zerowe, doszedł do wniosku, że będzie sobie musiał taką żonę „wychować”. W tym celu potrzebował osoby otwartej i ciekawej świata. Rani Kanari przejawiała obie te cechy, toteż postanowił zabrać ją ze sobą w podróż, mając nadzieję, że w jej towarzystwie będzie się bawił lepiej niż sam.

Spotkał się jednak z kategorycznym sprzeciwem władz kolonialnych, które, odwołując się do kwestii protokołarnych, nie zgadzały się, by podróżował z którąkolwiek ze swych żon. Należało wymyślić jakiś sposób na ominięcie tego zakazu, przy czym wymagana była ostrożność, ponieważ stosunki z Anglikami od pewnego czasu i tak już wyglądały nie najlepiej. Poszło o „niewłaściwe zachowanie” radży podczas wakacji w Simli - wiosce u stóp Himalajów, którą zmęczeni upałami Brytyjczycy zamienili ze względu na przyjemny klimat w swoją letnią stolicę. Owo niewłaściwe zachowanie stało się przedmiotem obfitej korespondencji między pułkownikiem Hendersonem z garnizonu w Lahore a sir Jamesem Lyallem, dawniej opiekunem Jagatjita, od pewnego zaś czasu gubernatorem Pendżabu. Obaj panowie mieli radży do zarzucenia głównie to, że zbyt ulega wpływom swoich przyjaciół, radżów Dholpuru i Patijali, znanych kobieciarzy oskarżanych o podtrzymywanie tradycji polegającej na kupowaniu dziewcząt od ubogich rodzin z górskich wiosek. „Ci, którzy to robią, dysponują znakomitą wymówką”, pisał pułkownik Henderson w liście z 4 marca 1892 roku, „twierdzą mianowicie, że szukają pokojowych do zenany, my wiemy jednak, że chodzi o coś zupełnie innego. Odkupione od rodzin dziewczęta służą wprawdzie w haremie, ale oprócz tego świadczą swoim panom usługi seksualne, co zresztą nie wzbudza żadnego protestu ze strony żon. Na razie nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jak daleko radża Kapurthali zabrnął w tym procederze”. Aby ukrócić te praktyki, Henderson domagał się dwóch lat więzienia dla pośrednika, z pomocą którego młodzi władcy zawierali transakcje. „Uważamy ich postępowanie za wysoce niemoralne i sprzeczne z naszym prawem. Żywimy też nadzieję, że tego typu

skandaliczne wypadki przestaną mieć miejsce", pisał, zaznaczając jednak, że chodzi o zwyczaj tak stary, iż jego wykorzenienie wydaje się co najmniej problematyczne. „Pragnąłbym również zasygnalizować, że w górach Kumajun żyje społeczność, bynajmniej nie uboga, znana z tego, że urodzone w niej dziewczęta właściwie nigdy nie wychodzą za mąż. Niemal wszystkie zostają konkubinami wielkich panów albo prostytutkami, przy czym nie robią tego dla pieniędzy, lecz ze względu na tradycję". Brytyjski system wartości niełatwo przyjmował się w kraju takim jak Indie, gdzie - zwłaszcza w niektórych grupach - przeznaczanie córek do celów seksualnych nie tylko nie było piętnowane, ale wręcz uchodziło za uświęcony tradycją obowiązek. Z drugiej strony indyjscy władcy miewali konkubiny od niepamiętnych czasów i niewielu zgodziłoby się z tego przywileju zrezygnować, tym bardziej że wiązało się to z kwestiami religijnymi. Hinduizm przypisywał bowiem kobietom właściwości magiczne, pomocne w walce przeciwko złym duchom. Jak głosi legenda, potężny i pobożny maharadża z Mysore kazał dwóm najbardziej znanym prostytutkom w mieście jechać co roku na czele pochodu z okazji święta Daśahry. Uważano, że dzięki dużej ilości doświadczeń seksualnych zgromadziły znaczny zapas magicznej mocy, którą mężczyźni tracą podczas stosunku. Niemniej jednak upodobanie do kurtyzan przejawiała też większość władców europejskich, którzy zawsze chętnie otaczali się wybitnymi pięknościami, choć chrześcijaństwo, w przeciwieństwie do hinduizmu, nie dopatrywało się w tym niczego dobrego.

Konkubiny radżów dzieliły się na wiele kategorii: A1, A2, A3 i tak dalej. Najniższy stopień w tej hierarchii zajmowały proste dziewczęta ze wsi. Jedna z nich zajmowała się tylko i wyłącznie kontrolą jakości królewskiego nasienia, od niego bowiem zależała „jakość” królewskich dzieci, czyli w ostatecznym rozrachunku - przyszłych rządów. A zatem kwestia nasienia była kwestią wagi państwowej. W Indiach uważano powszechnie, że abstynencja seksualna prowadzi do szkodliwego nagromadzenia się spermy, która może zwarzyć się tak samo jak mleko. Dlatego odpowiedzialna za nasienie konkubina uważnie rachowała liczbę stosunków radży i jeśli dochodziło do nich zbyt rzadko, miała za zadanie ręcznie doprowadzić go do wytrysku, zebrać spermę do bawełnianego woreczka, ten zaś spalić w pałacowym ogrodzie w obecności specjalnego urzędnika noszącego dumny tytuł strażnika królewskich wydzielin.

Konkubiny, zawsze eleganckie, nie różniły się między sobą strojem. Rangę każdej można było natomiast ocenić po ilości i jakości noszonych przez nią ozdób. Czy któraś jest żoną, czy kochanką dawało się z kolei poznać głównie w trakcie posiłków: te pierwsze miały prawo do zastawy ze złota, te drugie zaś -

jedynie do miseczek z brązu. Zamieszkujące zenanę kobiety uważały się na ogół za szczęśliwe, jako że dzięki pałacowemu życiu unikały nędzy panującej na wsi. Poza tym mogły mieć pewność, że nawet jeśli stracą zainteresowanie władcy, nigdy nie zabraknie niczego ani im, ani ich dzieciom. Chcąc kontrolować liczebność haremów, po drugim dziecku radża kazał im się zresztą poddawać podwiązaniu jajowodów.

Tak więc bez względu na to, czy radża Kapurthali kupował swoje konkubiny od biednych górali, czy też nie, kochanek nigdy mu nie brakowało. Nawet wysocy rangą urzędnicy i ministrowie porzucali niekiedy swoje obowiązki, by zająć się wyszukiwaniem mu odpowiednich partnerek. Jeden z nich pisał: „Byłem w Kaszmirze i przywiozłem jego wysokości nowe dziewczyny. Problem w tym, że zawsze ciąży na człowieku podejrzenie, iż najpierw sam trochę sobie z nimi użył”.

Konflikty radży z Brytyjkami wynikały z samej natury ich wzajemnych stosunków. Pamiętna odezwa królowej Wiktorii stanowiła wprawdzie, że władzom kolonialnym nie wolno wtrącać się ani w sprawy osobiste lokalnych władców, ani w sprawy wewnętrzne ich księstw, ale w praktyce już wkrótce zapanował całkowity paternalizm. Radżowie miewali bowiem kaprysy, na które Korona nie zamierzała zezwolić. Jagatjit Singh bardzo się zdenerwował, gdy zabroniono mu zatrudnić Niemca, niejakiego Rudolpha Kohlera, którego upatrzył sobie na osobistego sekretarza. „Obecność innych niż Brytyjczycy Europejczyków na dworach nie jest pożądana, a może się wręcz okazać niebezpieczna”, wyjaśniano. „Groźba ze strony Rosjan sprawia, że trzeba zachowywać szczególną ostrożność. Na zaufanie zasługują wyłącznie obywatele Wielkiej Brytanii, a i to, niestety, nie wszyscy”. Radża uznał, że to już przesada, i postanowił nalegać. Doktor Warburton, poproszony o opinię przez sekretarza pendżabskiego rządu, zredagował jednak raport, w którym przywoływał poważny argument przeciwko Niemcowi: Kohler słabo mówił po angielsku, w związku z czym nie bardzo nadawał się na stanowisko wymagające biegłej znajomości tego języka. Jagatjit zezłościł się jak dziecko i przez dłuższy czas nie odpowiadał lekarzowi na ukłony. Napisał też list, w którym zapytywał, dlaczego radży Dholpuru pozwolono zatrudnić Francuza, a jemu zakazuje się przyjąć Niemca. Brytyjczycy nie zamierzali wszakże wdawać się w dyskusje i pewnego dnia w pałacu zjawiała się policja z nakazem wydalenia Kohlera z Kapurthali. Ta błyskawiczna akcja pozostawała w bezpośrednim związku z ostrzeżeniem doktora Warburtona, który sygnalizował, że „radża ulega wpływom Kohlera, daje mu pieniądze i zaprasza go do udziału w skandalicznych rozrywkach”. Chodziło zapewne o osławione

orgie organizowane przez maharadżę Patijali. Lekarz donosił też, że „młody władca reaguje w tej sprawie bardzo emocjonalnie i nie liczy się z żadnymi zobowiązaniami”. Tak też było w istocie i Jagatjit Singh źle zniósł swoją porażkę.

Doświadczenie to nauczyło go, że z zarządzeniami władz kolonialnych nie ma sensu walczyć otwarcie. Zdecydowany zabrać rani Kanari do Europy - i nie ryzykować zwarzenia się spermy - postanowił udać, że rezygnuje i przeprowadzić swoją wolę podstępem. „Setki poddanych stały wzdłuż drogi, życząc mi szczęśliwej podróży i wyrażając żal na myśl o mojej długiej nieobecności”, napisał w dzień wyjazdu. 8 marca 1893 roku, bawiąc w Agrze, zastanawiał się, czy w Europie zobaczy coś, co dałoby się porównać z Tadź Mahal. Wiele lat później miał stwierdzić, że spośród wszystkich cudów świata ten właśnie wydaje mu się najbardziej godny podziwu.

W Bombaju, spędziwszy przedpołudnie na rozdawaniu nagród uczennicom żeńskiego gimnazjum Alexandry, gdzie wykształcenie zdobywały córki wpływowej społeczności parsów, wsiadł na parowiec Thames. Wypłynęli o zmierzchu. „Moi ludzie niezmordowanie przemierzali okręt, podziwiając panujący na nim porządek, obserwując pracę marynarzy i nowe dla siebie urządzenia, a także zapytując się nieustannie, w jaki sposób można znaleźć właściwą drogę na otwartym morzu”. Osobisty lekarz radży, podpułkownik Massy, minister finansów i inni zaproszeni na kolację przeżyli nie lada niespodziankę, gdy w saloniku radży powitała ich młoda kobieta w kosztownym sari. Była to rani Kanari, przebrana do tej pory za jednego z sikhijskich lokajów. W koszuli chkan, szarawarach i turbanie bez trudu dostała się na statek wraz z resztą służby, a przyszło jej to tym łatwiej, że w owym czasie nie używano jeszcze indywidualnych paszportów. W ten sposób radża przechytrzył brytyjskie władze i postawił na swoim. Jedynym, który mógł go zadenuncjować był podpułkownik Massy, ale Jagatjit Singh wiedział, że z tej strony nic mu nie grozi. Massy był jednym z jego opiekunów w dzieciństwie, lubił go i szanował. Poza tym miał poczucie humoru i postrzegał całą sprawę jako jeszcze jeden wybryk nieco rozkapryszonego, lecz z gruntu poczciwego dwudziestego ednolatka.

Na dłużej zatrzymali się w Egipcie, potem w Anglii, Francji i wreszcie w Stanach Zjednoczonych. Radża wziął udział w uroczystościach towarzyszących zaślubinom księcia Yorku, oczywiście bez żony - rani Kanari została w swoim drugim domu, jak mówiła, czyli w apartamencie hotelu Savoy, by zabijać nudę drinkami gin-fizz, w których w owym czasie szczególnie zagustowała. Dzień później wspólnie obserwowali z balkonu manifestację niepodległościową

Irlandczyków, co przypomniało radży o „powierzchnowych niepokojach, które zainspirowała ostatnio w Indiach Partia Kongresowa”. „Takie demonstracje”, pisał w dzienniku, „przywodzą mi na myśl butelkę wody sodowej, która, choć zaraz po otwarciu bije do góry, wkrótce traci impet”. Nie miał jednak racji i mylił własne pragnienia z rzeczywistością.

W Anglii rani Kanari zawsze przebierała się za lokaja, ale zaraz po przekroczeniu kanału La Manche mogła niemal na stałe wrócić do roli żony i nosić się jak najbardziej eleganckie Europejki.

## Rozdział siedemnasty

Francja okazała się prawdziwym odkryciem. Radża był do niej nastawiony pozytywnie, ponieważ dużo czytał o Ludwikach i Oświeceniu, a Napoleonem wręcz się fascynował. Poza tym jako wielki miłośnik architektury - dla którego, jak dla wielu indyjskich władców, wznoszenie pałaców stanowiło sposób na nieśmiertelność - spodziewał się prawdziwej uczty dla oczu. Rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania. Paryż zachwycił go od pierwszej chwili: niezwykła uroda budynków, szerokość ulic, rozplanowanie parków, sklepy jubilerskie przy placu Vendôme, kawiarnie, kabarety... Wyrafinowaniem i smakiem Francuzi bili na głowę wszystkich bez wyjątku. W zestawieniu z Paryżem Londyn wydawał się szary, brzydki, przemysłowy i nudny. Francja całkowicie przyćmiewała Anglię, a już dla opisanie Wersalu wprost brakowało słów. Radża jeździł tam co dzień, bez względu na pogodę, by podziwiać ogrody genialnego Le Nótre'a, w nieskończoność przechadzać się po wysokiej na dwanaście metrów, emblematycznej dla króla-słońce Galerii Lustrzanej, wciąż od nowa przeżywać onieśmielenie na widok studwudziesięciometrowej galerii obrazującej przełomowe dla Francji bitwy, kontemplować któryś z trzech tysięcy wiszących w pałacu obrazów, przyglądać się intarsjom, złotogłowiom i haftom, stajniom, fontanom i posągom, marmurowym kominkom, płaskorzeźbom i stiukom... Francją się zachwycił, w Wersalu - zakochał, znajdując w nim wszystko, co drogie sercu orientalnego władcy: przepych, piękno, pompę i wszechobecne ślady historii.

Wtedy właśnie postanowił, że nowy pałac w Kapurthali zostanie wzniesiony w podobnym stylu. Miał to być rodzaj hołdu złożonego kulturze, którą podziwiał teraz bardziej niż brytyjską, a także dyskretny przytyk pod adresem Anglików, tak zawsze zadufanych w sobie. I, oczywiście, doskonały sposób na zapisanie się w annałach Kapurthali.

Na spotkaniach z najznakomitszymi architektami radża, od dzieciństwa biegle władający francuskim, czuł się jak ryba w wodzie. Alexandre Marcel\*, który kierował pracownią znaną z takich projektów jak Hotel Crillon czy Ecole Militaire, a ponadto żywo interesował się Orientem, wykazał nieklamany entuzjazm na myśl o budowie pendzabskiej minirepliki Wersalu skrzyżowanego z pałacem Tuileries.

\* [Alexandre Marcel przeszedł do historii jako twórca słynnego orientalnego parku w Maulevrier w Andegawenii.](#)

Zwłaszcza kiedy wyszło na jaw, że Jagatjit Singh będzie dysponował nieograniczonym budżetem umożliwiającym wykorzystanie najnowszych



osiągnąć techniki takich jak centralne ogrzewanie, bieżąca ciepła i zimna woda we wszystkich łazienkach, elektryczne windy, dachy kryte dachówką i tak dalej. Choć pod względem wielkości i przepychu trudno było rywalizować z pałacem w sąsiedniej Patijali, Kapurthala mogła zabłysnąć przynajmniej oryginalnością i elegancją.

Wysoki, potężny, zawsze wspaniale ubrany i pełen oryginalnych pomysłów radża zaczął wkrótce wzbudzać w Paryżu sensację. Jego upodobanie do kosztownych zakupów nie przeszło bez echa, tym bardziej że zegarki u Cartiera kupował dziesiątkami, a u Boucherona wydawał za każdym razem prawdziwą fortunę. Azja była w modzie, toteż jego jedwabne, turkusowe lub łososiowe turbany wzbudzały powszechny zachwyt. Francja żyła odkryciem świątyń w kambodżańskim Angkorze, Indochiny nie schodziły ludziom z ust, a w malarstwie święcił tryumfy orientalizm. I oto nagle zjawiał się w Paryżu ktoś, kto wprost uosabiał egzotykę, a jednocześnie potrafił doskonałą francuszczyzną rozprawiać o swoim kraju, tradycjach i planach, o zasługach Napoleona, a także o wyższości de dion boutona nad rolls-royce'em i odwrotnie. Ze swoją uprzejmością, kulturą i bogactwem radża okazywał się duszą towarzystwa.

Jego romans z Francją trwał całe życie. Dłużej niż związek z którąkolwiek kobietą. We Francji radża czuł się wolny od obciążeń, jakie uprzykrzały mu każdy pobyt w Wielkiej Brytanii i codzienne życie w kolonialnej Kapurthali. We Francji nikt nie znał granic jego władzy, nikt nie wiedział o upokorzeniach, które przychodziło mu niekiedy znosić ze strony Anglików. We Francji traktowano go jak prawdziwego władcę, co mile łechtало jego próżność, podczas gdy w Anglii bez względu na swe bogactwa pozostawał zawsze marionetką. Jednym z wielu indyjskich książątek. We Francji natomiast doskonała znajomość francuskiego czyniła go jedynym w swoim rodzaju i umożliwiała mu wejście w nowy świat, który zresztą gotów był powitać go z otwartymi ramionami. Tu i ówdzie zaczynało już krążyć powiedzenie, które dobrze ilustruje, jaka wytworzyła się wówczas wokół niego atmosfera: X lub Y „jest bogatszy niż radża Kapurthali”, mówiono. Do najzamożniejszych osobistości w Indiach było Jagatjitowi, oczywiście, daleko, ale o tym nikt w Paryżu nie miał pojęcia, a radża umiejętnie dawał do zrozumienia, że dysponuje bajeczną wprost fortuną. Dzięki niemu Kapurthala zaistniała w świadomości Europejczyków, on zaś sam stał się jej rozpoznawalnym w świecie reprezentantem. Całkiem nieźle jak na kogoś, komu przysługiwało tylko trzynaście armatnich wystrzałów.

Fakt, że radża podróżował w towarzystwie przebranej za służącego żony, jednał mu powszechną sympatię wśród francuskich arystokratów, którzy z

chęcią gościli tę ekscentryczną parę w swoich posiadłościach, rozbawieni odkryciem, że przedstawiciel rodziny panującej musi uciekać się do podobnych forteli. Zwiedziwszy zamki nad Loarą, małżonkowie wrócili do Paryża, gdzie radża spędzał czas na picciu kawy w Lasku Bulońskim, oglądaniu biżuterii u jubilerów z rue de la Paix, zakupach w domach towarowych Bon Marche i wizytach w fabryce perfum Pinaud („opuściłem to miejsce ze znacznie uszczuplonym kapitałem, lecz wzbogacony o pokaźną kolekcję zapachów”, zapisał w dzienniku). Spotykał się też z Charlesem Worthem, demiurgiem paryskiej mody, wynalazcą preta-porter i pierwszym projektantem, który firmował swoje dzieła nazwiskiem; chodził na koncerty do Trocadero i na kolacje do D'Armonville, najbardziej luksusowej restauracji w mieście, odwiedzał muzea i galerie. W muzeum figur woskowych jeden z towarzyszy radży, doktor Sadiq Ali przysiadł na chwilę na jakiejś ławeczce, by odpocząć. Gdy wstał, wzbudził popłoch wśród zwiedzających, przekonanych do tej pory, że to jeden z eksponatów.

Jednakże czas radży wypełniały nie tylko rozrywki. Jagatjit wybrał się też kilkakrotnie do Biblioteki Narodowej, gdzie zachwyił się zbiorem złożonym z ponad trzech milionów woluminów i przejrzał pozycje napisane sanskrytem. Odwiedził też Instytut Pasteura i miał szczęście zawrzeć znajomość z jego twórcą: „To staruszek, który porusza się wyłącznie o lasce, a i to z trudem. Był na tyle uprzejmy, że wszystko mi szczegółowo wytłumaczył i pokazał swoje laboratoria całkowicie finansowane przez darczyńców. Widziałem groźne bakterie pod mikroskopem. Żegnając się, obiecałem Pasteurowi hojne wsparcie niezależne od tego, jakiego udziela mu rząd Indii. Chciałbym, aby Kapurthala miała swój udział w postępie, jaki się tutaj dokonuje”.

Trasa podróży wiodła dalej do Nowego Jorku. Ocean pokonali w ciągu sześciu dni na pokładzie parowca Paris, gdzie radża zawarł znajomość z kilkoma Amerykanami, „którzy nigdy nie przestają się rozwdzić nad wyższością amerykańskiej demokracji nad skostniałymi europejskimi monarchiami”. W Nowym Jorku goście z Kapurthali wzbudzili takie zainteresowanie, że dziennikarze nie odstępowali ich nawet na krok. „Piszą, że mam pięćdziesiąt pięć żon i właśnie zamierzam powiększyć tę kolekcję o jakąś Amerykankę. Poza tym palę podobno niesłychanie grube cygara i od rana piję szampana. Bardzo się śmialiśmy z tych doniesień, redagowanych zresztą bez cienia złośliwości czy obraźliwej intencji”.

W Chicago czekała na podróżników Wystawa Powszechna, przygotowana z wielkim staraniem i ogromnym kosztem. Stany Zjednoczone po raz pierwszy zadziwiały świat takim pokazem, stosownym do ich rosnącej potęgi. W ciągu

sześciu miesięcy przez wspaniałe pawilony wystawowe, w których zgromadzono wszystkie najnowsze osiągnięcia nauki i sztuki, przewinęło się dwadzieścia siedem milionów zwiedzających, co odpowiadało połowie mieszkańców kraju. Na Hindusach szczególne wrażenie wywarł projekt maszyny latającej oraz łodzi podwodnej. Przyjęci z honorami, odbyli następnie przejażdżkę po jeziorze - jednym stateczkiem płynął radża z podpułkownikiem Massym i ministrem finansów, na drugim zaś pomieściła się reszta towarzystwa, łącznie z przebraną rani Kanari. Wszystko to odbyło się na oczach wielkiego tłumu, który zgromadził się, by oglądać niezwykłych gości. „Chicago Daily Tribune” z 16 sierpnia 1893 roku donosił: „Nasze miasto odwiedził orientalny władca. Jego szaty i turban lśniły ze wschodnim przepychem. Przybył w otoczeniu swoich wojowników, którzy pozdrawiali amerykańskich obywateli trzymanymi w jednej dłoni pawimi piórami, drugiej ręki nie zdejmując ze srebrnych szabel. Podpułkownik Massy, reprezentant brytyjskiego imperium, wznosił toast kieliszkiem białego wina i w imieniu indyjskiego księcia pozdrowił nieznający wszak jarzma monarchii amerykański lud. Była to interesująca, barwna wizyta, malownicze zetknięcie świata znanego nam z Baśni z tysiąca i jednej nocy i nowoczesnej zachodniej cywilizacji”.

## Rozdział osiemnasty

Zaraz po powrocie do Indii radża został przyjęty przez reprezentującego przy tej okazji samego wicekróla zastępcę gubernatora Bombaju. Rani Kanari, znów przebrana za chłopca, nie wzięła udziału w tym spotkaniu. Podróż nie wpłynęła na nią tak jak na męża, który zapalił się do wszystkiego, co ujrzał, i już planował następną podróż. Kanari nie podzielała jego entuzjazmu, po części pewnie dlatego, że wciąż musiała się ukrywać, co początkowo ją bawiło, później jednak zaczęło nużyć. Poza tym, nie mówiąc ani po angielsku, ani po francusku, nie mogła brać udziału w życiu towarzyskim i była skazana na towarzystwo indyjskiej świty, złożonej poza nią wyłącznie z mężczyzn. Dlatego nigdy nie czuła się równie samotna, jak podczas tych długich popołudni, kiedy czekała w hotelu, aż radża wróci z kolejnego spaceru czy rautu, by opowiadać jej cuda o świecie, którego nie rozumiała i nie potrafiła zrozumieć. Z natury rozsądna, zdawała sobie sprawę z tego, że nie dorasta do aspiracji męża i nie będzie umiała ich podzielać. Przyprawiało ją to o głęboki smutek, który zwalczała za pomocą świeżo odkrytej broni: drinków. Gin-fizz i wytrawne martini powoli stawały się jej niezbędne do życia.

Radża tymczasem postanowił swoją fascynację Europą zaszcześcić poddanych. Nie zwlekając, zwrócił się do kolonialnych władz z propozycją założenia w Kapurthali centrali telefonicznej, kanalizacji, elektrycznych latarni ulicznych, a także dopuszczenia dziewcząt do edukacji. Brytyjczycy powitali te inicjatywy z radością, sygnalizując wszakże, iż ciągłe wyjazdy i nieograniczone wydatki radży mogą uniemożliwić przeprowadzenie jakichkolwiek reform. Przypominali, że Jagatjit Singh zwykł cztery miesiące letnie spędzać wraz z dworem w górach, a ponadto właśnie wrócił z niemal rocznych zagranicznych wojaży. Na nic się jednak zdały ich napomnienia: radża nie zamierzał rezygnować ani z dotychczasowego stylu życia, ani ze swoich projektów. Te ostatnie jednak odrobinę okroił. Kwestię telefonów odłożył do 1901 roku, kanalizację zaś i latarnie kazał założyć jedynie w najbliższych okolicach swojej siedziby. Reszta musiała poczekać do czasu ukończenia prac nad nowym pałacem, który stał się teraz sprawą priorytetową. W prywatnych rozmowach Jagatjit skarżył się, że Anglicy nie doceniają jego zaangażowania w modernizację Kapurthali i zbyt wtrącają w jego życie prywatne. A przecież z własnej kieszeni sfinansował budowę działającej na węgiel elektrowni, aby jego stolica jako pierwsze miasto w Pendżabie dostąpiła honoru posiadania elektryczności. Chciał nie tylko odwiedzać Europę - chciał ją również stopniowo sprowadzać do siebie.

I pod żadnym pozorem nie miał zamiaru gnić w swoim malutkim świątku. Był młody, przystojny, schudł i zamierzał odzyskać stracone przez otyłość lata. Zresztą ministrowie świetnie sobie radzili bez niego. Dlatego dalej podróżował po całych Indiach i w ciągu jednego tylko roku ożenił się jeszcze dwukrotnie, biorąc sobie ponadto dziewięć konkubin. Rosła też liczba jego dzieci. Kolejne żony zachodziły w ciążę jedna po drugiej. W 1896 roku również rani Kanari urodziła syna, Charanjita, zwanego przez wszystkich Karanem. U progu nowego wieku radża, któremu poczęcie pierwszego dziecka przyszło z takim trudem, mógł się więc poszczycić czterema „oficjalnymi” potomkami. Od małego uczył ich języków obcych, aby mogli studiować w Europie i dostarczać mu pretekstu do nieustannych odwiedzin. Dzieci konkubin również otrzymywały staranną edukację, ale nie były uznawane.

Jego apetyt na podróże był nienasycony. Wedle rządowego raportu spędził poza granicami Kapurthali jedną piątą czasu, jaki upłynął od chwili, gdy wstąpił na tron. W maju 1900 roku zezwolono mu na zagraniczną podróż, pod warunkiem że później powstrzyma się od wojaży przez pięć kolejnych lat. „To upodobanie zakrawa na ekstrawagancję”, głosił raport. „W latach 1899-1900 wydał na siebie i na wyjazdy do Europy jedną czwartą dochodów państwa. Lord Lansdowne udzielił mu surowej reprimendy, wytykając brak zainteresowania sprawami kraju, lekkomyślność i niemoralność, a chcąc zaznaczyć swoje niezadowolenie, postanowił w tym roku nie odwiedzać Kapurthali”. Dalej ton wywodu stawał się nieco łagodniejszy: „Jagatjit Singh wydaje się jednak zdolny do poprawy, ma dobry charakter i ulega wpływom tych, których uważa za przyjaciół. Edukacja, jaką zapewnia swoim dzieciom, świadczy o sporej kulturze, a jego główną ambicją jest obracać się w najlepszym towarzystwie i doznawać traktowania należnego brytyjskim dżentelmenom”\*.

\* [Memorandum o Kapurthali z 1 lipca 1901 roku \(British Library, Londyn, Curzon Collection, s. 327\)](#).

Tak bardzo zależało mu na tym, by uchodzić za kosmopolitę, że w 1901 roku dopuścił się czegoś, co wśród Sikhów uważane było za rodzaj świętokradztwa, a mianowicie zgolił brodę. Wymagała zbyt dużo zachodu, a poza tym w oczach Europejczyków nadawała mu barbarzyński wygląd. Zamiast spędzać całe godziny na jej pielęgnowaniu, zamierzał od tej pory co rano się golić. Sikhowie jednak uznali to za wyraz rezygnacji z religii i tożsamości. Ich zdaniem radża „zamienił się w białego”. Sikhizm zabrania bowiem obcinania włosów - skoro Bóg postanowił dać je człowiekowi, należy to uszanować. Ponadto każdy wyznawca tej religii powinien mieć zawsze przy

sobie grzebień, symbol czystości. Powinien też nosić pod spodniami krótkie spodenki przypominające o nakazie zachowania wstrzemięźliwości, stalową bransoletę obrazującą koło życia oraz krótki miecz na znak, że wszelka agresja musi zostać odparta. Jagatjit uważał, że wszystko to zewnątrz formy bez znaczenia i ograniczał się do codziennej lektury kilku stron ze świętej księgi, Guru Granth Sahib. Wiele lat później przyznał, że gdyby wiedział, ile zamieszania wywoła swoim postępkami, nigdy by się na niego nie zdecydował. A przecież tylko wyprzedził swoją epokę: w przyszłości wielu Sikhów miało się golić bez obawy o tożsamość.

Ze swoją niewątpliwą ekstrawagancją mógł się czuć godnym dziedzicem dawnych indyjskich władców. Jednakże w jego przypadku ekstrawagancja zawsze szła w parze z wyrefinowaniem. W maju 1900 roku, podczas uroczystości poprzedzających drugą podróż do Europy, własnoręcznie położył kamień węgielny pod budowę nowego pałacu i od tej pory mieszkańcy Kapurthali mogli rok po roku podziwiać, jak powstaje budynek w całkowicie nieznanym im stylu, z różową fasadą zdobną w białe płaskorzeźby, wielkimi francuskimi oknami, szarymi dachami z łupka i ogrodami wzorowanymi na dziełach Le Nôtre'a. Tam, między alegorycznymi posągami i wspaniałymi fontannami, miały się w przyszłości przechadzać niańki i konkubiny, pchając dziecinne wózeki.

Ekstrawaganckich wybryków dopuszczał się również w trakcie podróży. Jadąc raz do Bombaju swoim prywatnym wagonem doczepionym na końcu składu wiozącego setki pasażerów, na stacji Naśik zażądał dziesięciominutowej przerwy. Chciał się ogolić. Zawiadowca oświadczył, że nie ma prawa wstrzymać pociągu, ale dla pewności skonsultował się telefonicznie ze zwierzchnikiem, który kazał mu dać natychmiastowy sygnał do odjazdu. Jednakże sekretarz radży nalegał, obiecując pokryć wszystkie związane z opóźnieniem koszty, podczas gdy uzbrojeni gwardziści przemawiali do rozsądku maszyniście. Ostatecznie zarówno zawiadowca, jak i pozostali pasażerowie musieli odczekać swoje. Wkrótce potem do zarządu kolei nadeszło pismo ze skargą, na które radża odpowiedział po swojemu: „Gdyby nie ów dodatkowy a krótki postój, mógłbym się być skaleczyć, co zważywszy na wysokość mojego ubezpieczenia, kosztowałoby kolej znacznie więcej niż dziesięciominutowe opóźnienie”.

Brytyjczycy wszakże, którzy znali zwyczaje indyjskich książąt lepiej niż ktokolwiek inny, potrafili spojrzeć na wysoki radży z odpowiedniej perspektywy. Albowiem w porównaniu do wyczynów co poniektórych innych władców wszystko to były zwykłe drobiazgi. Pewien radża z południa, na

przykład, wielki miłośnik polowania na tygrysy, oskarżony o używanie noworodków w charakterze przynęty, przywołał na swoją obronę niewątpliwą skuteczność takiego rozwiązania. Maharadża Gwalijaru z kolei kazał kiedyś za pomocą specjalnie sprowadzonego dźwigu umieścić na pałacowym dachu najcięższego ze swoich słoni, co skończyło się, oczywiście, zawaleniem stropu i poważnymi obrażeniami zwierzęcia. Twierdził później, że chciał wypróbować, jak solidne ma sufity, ponieważ zakupił w Wenecji gigantyczny kandelabr porównywalny pod względem masy z lampami wiszącymi w pałacu Buckingham. Ten sam władca tak bardzo lubił pociągi, że zamówił miniaturową lokomotywę wraz z wagonami, które jeździły po szynach z najczystsze­go srebra, kursując między kuchniami a jadalnią. Usadowiony na swoim zwykłym miejscu podnosił dźwigienki, kręcił korbkami i przyciskał guziki, kierując transportem trunków, potraw, słodczy oraz cygar, i sprawiając, że cysterny wypełnione whisky zatrzymywały się tuż przed gościem żądającym dolewki. Sława tej zabawki dotarła aż do Anglii, a stało się tak dlatego, że podczas jednego z bankietów na część królowej Marii doszło do krótkiego spięcia i pociąg ruszył znie­nacka przez jadalnię, przyskając na boki winem, i brudząc suknie dam, a także garnitury dżentelmenów szpinakiem i kawałkami kurczaka curry. Była to najbardziej absurdalna katastrofa kolejowa w dziejach.

Jeśli radża Kapurthali nie zgodził się, by linia łącząca Delhi z północą przechodziła przez jego państewko, zrobił to z wygodnictwa. Trafiali się jednak tacy, którzy stawiali opór z bardziej ekscentrycznych względów: jeden z radżów z półwyspu Kathiawar jako gorliwy hinduista nie potrafił ścierpieć myśli, że w wagonach restauracyjnych serwowano by zapewne wołowinę.

Ekstrawagancjom w Indiach nie było końca. Pewien maharadża z Radżasthanu zwykł wszystkie sprawy państwowe, łącznie z naradami ministrów i rozprawami sądowymi, załatwiać w łazience, albowiem panował tam przyjemny i nieosiągalny w pozostałych częściach pałacu chłód. Innemu nic tak nie zaostrzało seksualnych apetytów jak jęki rodzących kobiet. Jeszcze inny, chcąc zaoszczędzić na administracji, powierzył temu samemu urzędnikowi stanowiska sędziego najwyższego oraz generalnego inspektora do spraw nautch-girls. Był też władca znany ze swej kolekcji samochodów liczącej dwieście siedemdziesiąt modeli oraz taki, który automobile marki Hispano-Suiza kupował niemal co miesiąc, by starsze egzemplarze grzebać ceremonialnie na wzgórzach wokół pałacu.

Ostatni nabab Bhopalu naraził się na reprimendę ze strony Brytyjczyków, ponieważ wydał niewyobrażalną wprost sumę na przenośną łazienkę

wyposażoną w bojler, wannę, sedes i umywalkę, a wszystko to z myślą o wyprawach na polowanie. Jego brat, generał Obaidullah Khan, zirytowany opieszałością sprzedawcy w bombajskim sklepie z zegarkami, wślawił się kupnem całości asortymentu. Maharadża Bharatpuru nigdzie się nie ruszał bez swojego ulubionego posągu przedstawiającego Kryszenę, a ponieważ zawsze rezerwował dla niego osobne miejsce, megafony na europejskich dworcach często podawały taki oto komunikat: „Pan Kryszena proszony jest o zgłoszenie się na peron...”. Nabab Rampuru, skądinąd bardzo kulturalny, organizował podczas swoich bankietów konkursy znajomości przekleństw w języku perskim, pendzabskim i urdu. Zawsze wygrywał, do historii zaś przeszło przyjęcie, podczas którego wyrzucał z siebie brzydkie wyrazy przez dwie i pół godziny, nigdy się nie powtarzając, gdy tymczasem jego najpoważniejszemu rywalowi zapas słownictwa wyczerpał się już po dziewięćdziesięciu minutach.

Indyjscy książęta mieli też zwyczaj płatać sobie nawzajem ekscentryczne figle. Często wymieniali się słoniami, perłami oraz dziewicami i przy jednej z takich okazji młody radża, który, korzystnie sprzedając dwanaście „tancerek” pewnemu bogatemu parsowi, zdołał odsunąć widmo ruiny, w ostatniej chwili wymienił trzy najładniejsze dziewczęta na staruszki.

Jednakże rekordy w ekscentryczności bił nabab Dżunagadhu, państewka położonego na północ od Bombaju. Władca ten uwielbiał psy i miał ich ponad pięćset. Wszystkie mieszkały w pokojach wyposażonych w elektryczność i obsługiwane były przez fachowych lokajów. Angielski weterynarz kierował dbającym o ich zdrowie szpitalem, a te, którym mimo jego troski przyszło pożegnać się z tym światem, odprowadzano na specjalny cmentarz przy dźwiękach Marsza żałobnego Fryderyka Chopina. Prawdziwą jednak sławę nabab ów zyskał wtedy, gdy wpadło mu do głowy, by uczcić związek ulubionego labradora Bobby'ego z suką Rośanarą. Na uroczystą ceremonię zaślubin zaproszono wielu książąt i dygnitarzy, nie wyłączając wicekróla, który jednak z „wielkim bólem serca” musiał odmówić przybycia. Wzdłuż trasy weselnego orszaku zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy osób, by podziwiać Bobby'ego w jedwabnym wdzianku i złotych bransoletach oraz jego uperfumowaną i obwieszoną klejnotami wybranekę. Podczas uczy młoda para zasiadała po prawicy nababa, a o stosownej porze odprowadzona została do godnie przystrojonego apartamentu, by tam skonsumować swoje małżeństwo.

Na ogół im władca był bogatszy, do tym większych dziwactw się posuwał. Za bezsporny autorytet w dziedzinie cielesnych rozkoszy i wszelkiego rodzaju ekstrawagancji uchodził rówieśnik, dobry przyjaciel, a zarazem sąsiad radży Kapurthali, maharadża Rajendar Singh z Patijali, państwa obejmującego sześć



tysięcy kilometrów kwadratowych, ludnego i na tyle zasobnego, by Brytyjczycy uznali tamtejszego monarchę godnym aż siedemnastu armatnich wystrzałów. Maharadża odebrał znakomitą edukację, a ponadto od wczesnej młodości przejawiał talent do krykieta i polo. Niestety, wkrótce nadmierne upodobanie do alkoholu i kobiet całkowicie zmieniło kierunek jego egzystencji. Mieszkał w pałacu, który miał pół kilometra długości i gigantyczne sztuczne jezioro z tyłu. W ogromnych ogrodach, pełnych sadzawek z lotosami, roiło się od afgańskich hartów, pawi i zakutych w żelazo tygrysów.

O ile Jagatjit Singh, zdaniem Brytyjczyków, mógł się dopiero stać niemoralnym kobieciarzem, o tyle niemoralność Rajendara, który od jedenastego roku życia wykazywał skłonność do seksu i hazardu, była sprawą przesadzoną. Sławę „rozwydrzonego hultaja”, jak się wyraził jeden z angielskich urzędników, dzielił maharadża ze swoim kuzynem, radzą Dholpuru. Społeczność brytyjska jednakże, choć krytkowała ich w tajnych raportach, bynajmniej nie zamierzała marginalizować, przeciwnie; ostatecznie w żyłach obu młodzieńców płynęła błękitna krew. Dlatego, choć w odróżnieniu do maharadży Dżajpuru nie dostąpili zaszczytu nazywania królowej Elżbiety pieśczośliwym zdrobnieniem Lizzy, podczas wakacji spędzanych w Simli obracali się wraz z Jagatjitem w najlepszym towarzystwie, zyskując nawet sympatię nowego wicekróla, lorda Curzona i jego małżonki. Idylla ta trwała do czasu, aż zmałił ją pewien incydent. Lady Curzon tak się zaprzyjaźniła z trzema młodzieńcami, że pewnego wieczoru przyjęła zaproszenie do Oakover, luksusowej rezydencji Rajendara, z której tarasu można było podziwiać widoczną w obramowaniu z wierzb i obsypanych kwiatami rododendronów panoramę Himalajów. Podczas tej wizyty dostojna dama wyraziła chęć obejrzenia na własne oczy słynnych w całym kraju rodowych klejnotów książąt Patijali. Dlatego jeszcze przed kolacją miała okazję przymierzyć ubezpieczony u Lloyda na milion dolarów naszyjnik z pereł oraz tiarę złożoną z tysiąca jeden błękitnych i białych diamentów.

- Lepiej pasują do tradycyjnego stroju - rzekł wtedy Rajendar. - Może zechce pani przebrać się w sari należące niegdyś do mojej babki?

Niewiele kobiet z towarzystwa oparłoby się pokusie sprawdzenia, jak też wyglądałyby w stroju orientalnej księżniczki. Lady Curzon nie należała do tych nielicznych wyjątków i po dłuższej chwili ukazała się panom w czerwonym, haftowanym złotą nicią sari, w istocie wspaniale podkreślającym urodę naszyjnika, tiary oraz słynnego diamentu o nazwie Eugene. Aby zaś miała pamiątkę z tak udanego wieczoru, młodzi radzowie zaproponowali jej

uwiecznienie tego momentu na zdjęciu, tym bardziej że owego wieczoru gościli również słynnego pioniera fotografii w Indiach, Sikha Deena Dayala.

Niestety, zdjęcie jakimś sposobem trafiło do brytyjskich tabloidów, wywołując wielki skandal. Jak to? Wicekrólowa brytyjskiego imperium przebrana za Hinduskę? Niedopuszczalne! Lord Curzon wpadł w złość i odebrał sprawcom całego zamieszania prawo wjazdu do Simli. Inni radżowie ubiegający się o ten zaszczyt musieli odtąd każdorazowo uzyskiwać jego osobiste zezwolenie. Urażony tą, jego zdaniem, zbyt gwałtowną reakcją Rajendar zbudował sobie własną letnią stolicę w pobliżu wioski Ćajl, sześćdziesiąt kilometrów od Simli, trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Nie zabrakło tam, oczywiście, miejsca dla położonego najwyżej na świecie boiska do gry w krykieta, gdzie drużyny z Indii, Wielkiej Brytanii i Australii rozgrywały później niezapomniane turnieje, ciesząc oko zapierającymi dech w piersiach widokami Himalajów.

Jagatjit na miejsce wypoczynku wybrał odległą od Simli o sto kilometrów miejscowość Mansuri, wznosząc tam kolejną hill station, jak Anglicy nazywali ten rodzaj letnisk charakteryzujących się nieodmiennie frywolną atmosferą. Jego nowa rezydencja, o egzotycznej nazwie Chateau Kapurthala, ozdobiona spiczastymi wieżami krytymi dachówką, nie bez przyczyny przywodziła na myśl zamki nad Loarą, które tak go swego czasu zachwyciły. Wnętrza kazał ozdobić francuskimi meblami i obrazami, porcelaną z Sevres, dywanami i gobelinami. Odbywały się tam potem słynne bale przebierańców, na których do tańca przygrywały znane orkiestry. Kostiumy i maski pozwalały żonom europejskich dyplomatów, którzy nie mogli sobie zazwyczaj pozwolić na czteromiesięczne wakacje w rodzinnym gronie, na potajemne romanse z indyjskimi arystokratami. Po balu specjalnie wynajęte riksze woziły kochanków w tę i z powrotem po CameFs Back, drodze wijącej się wokół wzgórza, skąd rozciągał się idylliczny widok na ośnieżone szczyty, zielone zbocza i ukwiecone łąki. Po kilku godzinach damy odwożone były do domów. Niektóre, odważniejsze i wciąż nienasycone, zapraszały swoich towarzyszy do siebie.

Jagatjit nie należał wszakże do zatwardziałych hulaków. Cenił sobie na przykład dobre towarzystwo, w przeciwieństwie do Rajendara czy radży Dholpuru, którzy uwielbiali otaczać się hazardzistami, alkoholikami, stręczycielami i europejskimi awanturnikami wszelkiej maści, napędzając się wzajemnie do coraz dzikszych wyskoków. Wedle oficjalnego, sporządzonego przez kolonialne władze raportu, maharadża Patijali był „alkoholikiem, niedbałym ojcem, niewiernym mężem i fatalnym administratorem”. Kiedy

wysłannik wicekróla próbował porozmawiać z nim poważnie o jego obowiązkach, Rajendar wybuchnął: „Przecież poświęcam sprawom państwa aż półtorej godziny dziennie!”. Zresztą, generalnie wolał konie od ludzi. Trzymał w stajniach siedemset rumaków czystej krwi, a wśród nich aż trzydzieści rozplodowców z doskonałym rodowodem. Kochał wyścigi, grę w polo i krykieta. Razem z trenerem Ranjim wyniósł krykieta w Patijali na nieznane tam wcześniej wyżyny, a Tygrysy, znana z pomarańczowo-czarnych strojów drużyna polo, stała się za jego panowania prawdziwym postrachem Indii.

Do historii przeszedł jednak jako pionier. W wielu dziedzinach. Gdy sprowadził do Indii pierwszy samochód, de Dion boutona z tablicą rejestracyjną Patijala, jego poddani nie mogli wyjść z podziwu, że jakikolwiek pojazd jest w stanie poruszać się z prędkością piętnastu czy dwudziestu kilometrów na godzinę, i to bez pomocy wielbłąda, konia czy słonia. Jeszcze większe poruszenie wywołała wieść, że Rajendar żeni się z Angielką. Żaden indyjski książę nie zrobił wcześniej nic podobnego. Dziewczyna nazywała się Florrie Bryan i była starszą siostrą koniuszego jego wysokości. Wicekról zareagował błyskawicznie i poprzez swego wysłannika w Pendżabie wyraził stanowczą dezaprobatę: „Tego typu związek, w dodatku z kobietą niższego stanu, musi przynieść jak najgorsze konsekwencje. Uczyni pańską pozycję niewygodną zarówno wśród Europejczyków, jak i Hindusów, i zostanie źle przyjęty w całym Pendżabie”.

Mimo to już dwa dni później, 13 kwietnia 1893 roku „Civil and Military Gazette” donosiła na pierwszej stronie, że maharadża Patijali pojął za żonę miss Florrie Bryan. Sekretna ceremonia odbyła się w obrządku sikhijskim. Nie można było dłużej z nią zwlekać, gdyż panna młoda zaczynała zdradzać oznaki zaawansowanej, czteromiesięcznej ciąży. Arystokracja Patijali, wicekról i gubernator Pendżabu udali, że wydarzenie nie miało miejsca. Podobnie jak większość książąt. Jagatjit Singh bawił, niestety, za granicą, w przeciwnym bowiem razie na pewno zjawiłby się na ślubie przyjaciela, tym bardziej że w głębi duszy zazdrościł mu odwagi. Sam od dawna marzył o europejskiej żonie. Dla wielu radłów, zaprawionych wszak w sztuce miłości, biała kobieta stanowiła najcenniejsze, bo najtrudniejsze do zdobycia trofeum.

## Rozdział dziewiętnasty

Europejki ucieleśniały wszystko to, co wydawało się w Zachodzie najbardziej pociągające, były symbolem nowego świata czekającego na odkrycie, a w jakimś sensie i na podbój. Poza tym akt uwiedzenia białej kobiety - sam w sobie prowokacyjny - stanowił metaforę ambiwalentnych, opartych z jednej strony na podziwie, z drugiej zaś na odrzuceniu stosunków, jakie Hindusi utrzymywali z Brytyjczykami. Wpisywał się też doskonale w miejscową tradycję romantycznej miłości, zdolnej pokonać wszelkie przeszkody. Wielkie historie miłosne, które miały kiedyś ku uciesze mas zostać przeniesione na wielki ekran, zawsze odgrywały w mitologii hinduskiej dużą rolę.

I wreszcie, jak gdyby tego było mało, biała kobieta miała swoje miejsce w Kamasutrze. Wedle jej nauk najlepsze kochanki odznaczają się bardzo jasną karnacją i pochodzą z daleka, z innego, nieznanego państwa albo przynajmniej miasta, spoza kręgu, wewnątrz którego szuka się żony. Dominujące w Indiach pojęcie miłości rozdzielało role kobiety-matki, z którą mężczyzna się żeni, i kobiety-kochanki, z którą zażywa wypoczynku i rozkoszy. Dychotomia ta, charakterystyczna dla społeczeństw poligamicznych, nie jest zresztą całkowicie obca również w Europie. Tyle że wedle tradycji hinduskiej dostarczanie przyjemności wywyższa kobietę, podczas gdy rodzenie dzieci - czystych zresztą i świętych - plami ją i zmusza do poddawania się nieustannym rytuałom oczyszczającym. Dając życie nowemu stworzeniu, matka wyzbywa się części siebie i dlatego nie potrafi już w całości poświęcić się rozkoszy.

Nic więc dziwnego, że większość wychowanych na Kamasutrze indyjskich arystokratów z mniejszą lub większą intensywnością marzyła o romansie z Europejką. Posiadanie białej kobiety dodawało bowiem prestiżu i świadczyło o wysokiej pozycji.

\* \* \*

Niemniej jednak pierwszy taki związek, przynajmniej odnotowany, okazał się całkowitą porażką. Może dlatego, że chodziło od razu o małżeństwo. Florrie Bryan, wysoka i odrobinę niezgrabna blondynka o błękitnych oczach - wedle Kamasutry typ kobiety-klaczy z elementami kobiety-słonia - była szczęśliwa jedynie przez krótki miesiąc miodowy. W swojej naiwności myślała zapewne, że zdoła męża zmienić, wkrótce jednak okazało się, że jest to całkowicie niemożliwe. Życie Rajendara wciąż kręciło się wokół alkoholu, kobiet i sportu. Florrie tymczasem czuła się coraz bardziej samotna. Angielskie elity ignorowały ją z uwagi na niskie pochodzenie, a żony maharadży, ze względu na

rasę, wypowiedziały jej otwartą wojnę. Wojnę na tyle okrutną, że Florrie, gdy jej synek umarł zaraz po urodzeniu, uważała nawet, że został otruty. Nie było jednak na to żadnych dowodów, a ona wystarczająco dobrze poznała Indie, by wiedzieć, że niczego nikomu nie udowodni. Dwa lata później sama zaniemogła na tajemniczą chorobę. „Cierpiała fizycznie, to pewne”, napisał w raporcie podpułkownik Irvine, „ale przyczyną jej zgonu stała się ostatecznie niemoc duszy”.

Tysiąc białych gołębi, które Rajendar kazał poświęcić na cześć zmarłej żony, stanowiło kiepską rekompensatę za wszystko, co przyszło biedaczce znieść z jego winy. Jej klejnoty trafiły w ręce radży Dholpuru, oficjalnie dlatego, że taka była jej wola. Brytyjczycy, którzy nie omieszkali wniknąć w tę sprawę, odkryli jednak, że chodziło o pokrycie dużego długu.

Mniej więcej pięć lat później premierowi Patijali przypadł obowiązek obwieszczenia światu, że maharadża Rajendar Singh zginął tragicznie wskutek upadku z konia - wymarzona śmierć dla tak zapalonego miłośnika tych zwierząt. Oficjalny komunikat mijał się wszakże z prawdą. Jak wyjaśnił królowi Edwardowi wicekról lord Curzon, maharadża uległ atakowi delirium tremens. Miał dwadzieścia siedem lat.

\* \* \*

Wzrost zapotrzebowania na Europejki wśród indyjskich książąt sprawił, że znaleźli się chętni do pośrednictwa przy zawieraniu takich

związków. Pierwsi na tę żyłę złota trafili Park i Lizzie van Tassel, para Holendrów żyjących z prezentacji lotów balonem. Gdy z powodzeniem wydali swoją córkę Oliwię za radżę Jindu, otrzymując od wdzięcznego zięcia okrągłą sumkę pięćdziesięciu tysięcy rupii oraz obietnicę dożywotniej renty w wysokości tysiąca rupii miesięcznie, postanowili na serio zająć się tym dochodowym interesem.

Brytyjczycy patrzyli na to wszystko krzywym okiem. Rosnące zainteresowanie radżów białymi kobietami nadwerężało porządek społeczny. Śluby mieszane zakładały uznanie równości między małżonkami, co kłóciło się z klasową i rasową hierarchią obowiązującą w imperium, a wspieraną przez charakterystyczny dla Indii system kastowy, wewnątrz którego każdy znał swoje miejsce.

Problem polegał na tym, że nowej manii nie bardzo można było przeciwdziałać. Wicekról lord Curzon próbował wpłynąć na radżę Jindu, ale ten dał mu do zrozumienia, żeby pilnował lepiej swoich spraw. Curzon, który raczej nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano, zakazał Oliwii używania tytułu maharani i zabronił małżonkom wjazdu do Simli. Ponadto odwołał ze

stanowiska podpułkownika Irvine'a za karę, że nie udało mu się zapobiec temu związkowi. Wszystko to przypominało jednak zawracanie kijkiem rwącej rzeki. W gruncie rzeczy kolonialne władze nie miały pojęcia, jak radzić sobie z tą armią manikiurzystek, tancerek, pensjonarek i awanturnic, które kolejno zostawały księżnymi ich imperium.













































## Rozdział dwudziesty

Choć Rajendar Singh słynął z ekstrawagancji, i tak nie mógłby się pod tym względem równać ze swoim synem, Bhupinderem, który ważył sto trzydzieści kilogramów, miał sterczące do przodu na podobieństwo rogów wąsy, zmysłowe wargi, aroganckie spojrzenie i nienasycony apetyt zarówno na potrawy - mógł zjeść na przykład trzy kurczaki na raz, jak i na seks - jego harem liczył w szczytowym okresie trzysta pięćdziesiąt żon i konkubin. Był to człowiek o zwierzęcych popędach i niemal nieograniczonej władzy, który potrafił najechać zbrojnie swego kuzyna, radzę Nabhy, tylko po to, by porwać dostrzeżoną tam w czasie polowania jasnowłosą piękność o niebieskich oczach.

Bhupinder, podobnie jak Jagatjit Singh, zdobył w Europie spory rozgłos. Obaj byli Sikhami, rządzili w sąsiadujących ze sobą pendzabskich księstwach i wyróżniali się silną osobowością. Prasa sugerowała nawet, że istnieje między nimi rodzaj rywalizacji, jednakże nic takiego nie miało miejsca. Mimo pozornych zbieżności, Bhupinder i Jagatjit bardzo się bowiem różnili. Radża Kapurthali nigdy nie poświęcał aż tyle uwagi sprawom seksu, był też mniej zamożny, mniej skłonny do ostentacji i mniej wojowniczy. W przeciwieństwie do Bhupindera nad polo przedkładał tenis. Łączył ich natomiast niechętny respekt wobec brytyjskiej władzy. Gdyby jednak dano im okazję, by się od niej wyzwolić, Bhupinder wyzbyłby się z pewnością ostatnich hamulców i został typowym orientalnym satrapą, podczas gdy Jagatjit wzorowałby się raczej na królach Francji.

Na swój sposób obaj nadspodziewanie dobrze wywiązywali się z roli ojca. Niezliczone dzieci Bhupindera zamieszkiwały pałac o nazwie Lal Bagh, chowały się pod okiem angielskich albo szkockich niań i odbierały znakomitą edukację. Pewien podróżnik, który spędził jakiś czas w Patijali, opowiadał, że doliczył się kiedyś pięćdziesięciu trzech dziecinnych wózek stojących rzędem przed Lal Bagh. Podobnie, tylko na mniejszą skalę, działo się w Kapurthali.

W ogromnym pałacu w Patijali pracowało trzy tysiące pięćset służących obojga płci. Bhupinder zatrudniał między innymi angielskiego mechanika z praktyką w firmie Rolls-Royce. Miał on za zadanie dbać o dwadzieścia siedem egzemplarzy silver ghosta i dziewięćdziesiąt innych znajdujących się w posiadaniu maharadży aut. Będąc, jak ojciec, miłośnikiem gry w polo, Bhupinder powiększał odziedziczone po nim stajnie i finansował wciąż prawie niepokonaną drużynę Tygrysów.

Wybujale seksualne potrzeby, jakie przejawiał od dzieciństwa, bardzo niepokoiły wychowanych w wiktoriańskim kulcie cnoty angielskich urzędników. Zresztą, nawet Rajendar, wytrawny kobieciarz, wyglądałby przy swoim synu na człowieka wstrzemięzliwego. Bhupinder kolekcjonował bowiem kobiety jak inni kolekcjonują trofea łowieckie, w przeciwieństwie do Jagatjita, który, choć kochliwy, potrafił przez pewien czas dochować wierności. Ponadto radża Kapurthali lubił towarzystwo kobiet nie tylko atrakcyjnych, ale również inteligentnych, i po wygaśnięciu bardziej płomiennych uczuć próbował zawsze zachować przyjaźń swoich kochanek. Bhupinderowi natomiast chodziło wyłącznie o seks. W upalne letnie dni spraszał przyjaciół do swego gigantycznego basenu, gdzie czekały już młodziutki, półnagie piękności. Ogromne bloki lodu chłodziły wodę, w której moczyło się całe towarzystwo, a wielce zadowolony maharadża popijał whisky i podskubywał jędrne piersi. Jednego razu dla tym lepszej zabawy ściągnął na taką imprezę Anglika, który stanął przed doprawdy trudnym wyborem. Z jednej strony nie pogardziłby obiecującą kąpielą, z drugiej wszakże obawiał się plotek. W końcu jednak uległ pokusie i już wkrótce cały Pendżab wiedział, co się wyprawia w basenie w Patijali.

Bhupinder posunął się nawet do tego, że przybierał swoje żądze w kostium religijny. Pomagał mu w tym pandit Prakaś Nand, wyznawca bogini Koul, którą czciło się za pomocą specyficznych praktyk seksualnych. Dwa razy w tygodniu wybrane grono spotykało się w ustronnej sali, gdzie stał gliniany posąg bogini, przybrany klejnotami ze skarbca maharadży. Oficjalne żony nie były, rzecz jasna, zapraszane do udziału w tych ceremoniach, utrzymywanych zawsze w ścisłej tajemnicy. Rytuałowi przewodził pandit Prakaś Nand odziany w skórę leoparda, z pomalowaną na czerwono twarzą i ogoloną - jeśli nie liczyć idącego przez środek czaszki pasma włosów - głową. „Wygląd miał dziki, lecz dostojny”, jak napisał później Jarmani Dass, premier Kapurthali. Najpierw grupa dziewcząt, w większości dziewic, śpiewała hymn na cześć bogini. Później podawano gościom wino z dodatkiem afrodyzjaków i maharadża prosił dziewczęta, żeby rozebrały się, przygotowując do modłów. One, święcie w to wierząc, onieśmiałe wystawnością otoczenia, spełniały polecenie bez szemrania. Stopniowo, w miarę jak alkohol zaczynał działać, pandit Prakaś Nand kazał kolejnym parom kopulować przed posągiem bogini, upominając tych, którzy robili to ze zbytnim pośpiechem, ponieważ chodziło nie tyle o sam akt, co o umiejętność powstrzymywania się i przedłużania rozkoszy. „Na wpeł przytomne dziewczęta w wieku od dwunastu do szesnastu lat były jedna po drugiej prowadzone przed ołtarz”, opowiadał Jarmani Dass. „Najczęściej

pochodziły z gór. Odkupione od rodzin, mieszkały w osobnym, przeznaczonym dla dzieci skrzydle pałacu. Kiedy uznawano, że są już dojrzałe, zmuszano je do uczestnictwa w ceremoniach ku czci bogini Koul i przyuczano do posłuszeństwa. Pandit Prakaś Nand wylewał im na głowę wino, które ściekało między ich piersiami na brzuch i wzgórek łonowy, skąd maharadża i inni goście zlizywali je, utrzymując, że ten święty napój oczyszcza ich dusze". Jarmani Dass nigdy nie zdradził, czy Jagatjit Singh bywał na tych spotkaniach. Prawdopodobnie jednak uważał, że to farsa w złym guście. Wolał bardziej wyrafinowane rozrywki. W poufnym liście do gubernatora Pendżabu brytyjski urzędnik z bliskiego otoczenia radży wykluczał jego udział w orgiach urządzanych przez Bhupindera i dodawał: „Ministrowie robią, co mogą, by zwrócił się ku Hinduskom, on jednak wyraźnie woli Europejki. Mówi i czyta po francusku, prenumeruje „La Vie Parisienne”, czasopismo zamieszczające sprośne niekiedy ilustracje. Podobno ma na ścianie w pokoju wyjątkowo nieprzyzwoity obrazek, czego wszakże jak na razie nie byłem w stanie osobiście sprawdzić”.

\* \* \*

Bhupinder i Jagatjit utrzymywali jednak ożywione kontakty. Wymieniali się, na przykład, pomysłami na afrodyzjaki, których ze względu na tryb życia obaj bardzo potrzebowali. Podsyłali też sobie wzajemnie swoich lekarzy, a jako hipochondrycy mieli ich zawsze wielu na podorędziu. Szczególnie cenili wizyty niewidomego znachora, Nabiny Sahiba, który potrafi! stawiać trafne diagnozy, mierząc pacjentowi puls. Ponieważ na wielu dworach żadnemu doktorowi nie było wolno oglądać, a tym bardziej dotykać kobiet z haremu, Nabina Sahib prosił, by wiązały sobie sznureczek wokół nadgarstka i w ten sposób, przykładając ów sznureczek do ucha, sprawdzał im tętno. Słuszność jego wniosków zawsze zadziwiała specjalistów z Europy.

Obchód lekarski zaczynał się w pałacach z samego rana. Doktorzy gromadzili się w jednym z salonów, dzielili uwagami na temat dolegliwości poszczególnych żon i konkubin władcy, po czym rozchodzili się po pokojach. Tam, pod okiem zaufanych sług, często - dla pewności - eunuchów, rozmawiali z chorymi przez zasłonę. Kontakt wzrokowy był surowo zakazany, choć czasem, w wyjątkowo poważnych przypadkach, lekarz mógł wsunąć dłoń za parawan i zmierzyć pacjentce puls. „Trafiają się takie, które udają chorobę, żeby zyskać okazję do rozmowy z medykiem i poczuć jego palce na nadgarstku”, pisał Nicolao Manucci, Włoch czuwający nad zdrowiem żon cesarza Aurangzeba. „Doktor wkłada dłoń pod zasłonkę, a wtedy one głaszczą

go, całują i leciutko gryzą. Niektóre nawet kładą sobie jego rękę na piersiach...".

Na początku XX wieku lekarze indyjscy wciąż musieli się stosować do reguł obowiązujących w zenanie, lecz przybysze z Europy i Ameryki cieszyli się w niektórych bardziej postępowych księstwach takim szacunkiem, że w razie prawdziwej potrzeby wolno im było oglądać żony władców twarzą w twarz.

Po zakończeniu wizyt doktorzy udawali się z notatkami w rękę do radży, by w obecności indyjskich znachorów przedstawić mu swoje spostrzeżenia. W Patijali, gdzie harem był zbyt liczny, by maharadża mógł spamiętać wszystkie imiona, dla ułatwienia określano kobiety literami, cyframi albo ich kombinacjami, w zależności od zajmowanej przez nie pozycji. Lekarz wyjaśniał więc, na przykład, że pani A cierpi na to, pani 3 na tamto, a pani B2 miewa się już znacznie lepiej.

Odwiedzanie żon i konkubin, które zapadły na zdrowiu, uchodziło za obowiązek władcy. Każda, choćby najbardziej chora, mogła być pewna, że otoczy się ją w zenanie opieką. Chcąc z góry wiedzieć, która ma danego dnia miesiączkę, Bhupinder wpadł na pewien pomysł: kazał swoim kobietom nosić w czasie menstruacji rozpuszczone włosy, tak że wiedział, jakie pokoje omijać, gdy naszła go nagła ochota na bardziej intymny kontakt. Innym władcom tak bardzo przypadło to do gustu, że rychło wprowadzili podobny zwyczaj także u siebie.

Uzależnienie od seksu kazało maharadży Patijali zasięgać u lekarzy porad nie tylko medycznych. Oprócz sposobów na przedłużenie erekcji interesowały go mikstury zdolne przywracać młodość ulubionym, a postarzałym kochankom. Wedle Jarmaniego Dassa na życzenie Bhupindera medycy wstrzykiwali jego konkubinom do pochew substancje zapachowe. Dzięki kontaktom Jagatjita Singha maharadża zatrudniał wielu doktorów z Francji, między innymi Josepha Dore z paryskiego wydziału medycyny. Dore zajmował się najpoważniejszymi zabiegami, w tym ginekologicznymi, przy których, rzecz ciekawa, Bhupinder lubił asystować. Francuscy lekarze przeprowadzali też operacje plastyczne, zwłaszcza piersi. „Znali się na tym doskonale i ściśle stosowali się do życzeń maharadży, który czasem chciał uzyskać kształt okrągły jak mango, a czasem nieco wydłużony, przypominający gruszkę. Kiedy napotykał na jakąś trudność przy konsumpcji kolejnego związku, doktorzy za pomocą drobnej interwencji chirurgicznej czynili penetrację łatwiejszą". Jedno ze skrzydeł pałacu przeznaczył na swego rodzaju laboratorium, gdzie w probówkach i fiolkach powstawały perfumy, kremy i rozmaite tajemnicze mikstury. Indyjscy znachorzy warzyli tam afrodyzjaki na bazie złota, srebra, mielonych pereł,

przypraw, żelaza i ziół. Szczególnie skuteczny okazał się dekokt z marchewki zmieszanej z mózgiem wróbla. Jednakże wszystko to było za mało, by utrzymać możliwości seksualne maharadży na poziomie jego potrzeb. Na koniec Francuzi sprowadzili do pałacu maszynę do naświetlania, zapewniając, że „podwyższy ona wydajność jąder i zbawiennie wpłynie na ukrwienie członka”. Problem Bhupindera polegał wszakże na czym innym: zżerała go, jak wielu innych indyjskich władców, nuda połączona z monstrualnym egoizmem. Wiele lat później jakiś dziennikarz zapytał go:

- Wasza wysokość, czemu nie każe pan industrializować Patijali? Maharadża, zdumiony, że zadaje mu się tak głupie pytania, odparł:

- Bo gdyby wszyscy zaczęli pracować w fabrykach, zabrakłoby mi gwardzistów, kucharzy i lokajów. A to by była przecież prawdziwa katastrofa.

## Część trzecia

„Jestem księżną Kapurthali”

### Rozdział dwudziesty pierwszy

- Proszę pani, przesyłka!

- Już schodzę.

Anita przeciąga się leniwie. Porusza się ostrożnie, jakby w zwolnionym tempie. Odkłada na łóżko wachlarz ze strusich piór i wygląda przez okno sypialni. Niebo jest niemal białe, linia horyzontu - ledwie widoczna. Kwiaty w ogrodzie przywiedły, trawnik stracił styczniową zielen, psy chowają się w cieniu werandy, a ulubiony jelonek Anity spędza całe dnie, leżąc nad stawem. Niespodziewanie przyszły upały. Straszne, suche, palące. Takie jak w Maladze w sierpniu. Tyle że jest marzec i wszyscy twierdzą, że temperatura będzie rosła aż do lipcowych deszczów. Niedobry czas dla kobiety w ósmym miesiącu ciąży. Anita wygląda jednak pięknie. I bardzo dojrzałe. Opięty jedwabiem brzuch czyni z niej osobę dorosłą. Wydaje się wyższa, a jej cera nabrała brzoskwiowego blasku. Dziewczęcy wdzięk uwypukla się jeszcze w zestawieniu z przedwczesnym macierzyństwem. W swoim stanie Anita nie może żyć bez punka\*, „ludzkich wentylatorów”.

\* Słowo punka, które pierwotnie odnosiło się do służby pociągającej za sznurek wentylatora, rozszerzyło potem swoje znaczenie i zaczęło określać również wentylatory elektryczne.

To starzy służący, którzy przez cały dzień leżą na werandzie, pociągając za sznurek przywiązany do dużego palca u nogi. Sznurek ciągnie się przez okno do sypialni i razem z przymocowanym do sufitu bloczkiem wprawia w ruch długi drewniany drażek, z którego zwiesza się materiał regularnie namaczany w perfumowanej wodzie. Wprawione w ruch powietrze przynosi niewielką ulgę, ale i tak trzeba dużego wysiłku, by nie poddać się upałowi. Należy dozować sobie ruchy, liczyć kroki i szacować energię potrzebną do wykonania takiej lub innej czynności. Stąd powolność Anity. Stopień po stopniu schodzi na dół, trzymając się spuchniętymi dłońmi poręczy. Może to znowu prezent od radży, myśli. Dziwne, przecież nie ma żadnej okazji. 5 lutego, w dzień jej urodzin, mąż zaskoczył ją wspaniałym naszyjnikiem z pereł. Wtedy to było co innego. Chociaż czasem przychodzą niespodziewane podarunki: pawie od wdzięcznych za sprawiedliwą decyzję sądową poddanych albo butelki najlepszej whisky od zaprzyjaźnionego księcia, który w ten sposób zapowiada swą wizytę.

Leżąca w salonie drewniana skrzynia przypomina małą trumnę. Jest starannie zabita gwoździami i zapieczętowana. Przyszła z Hiszpanii! Lokaj otwiera ją, podważając deszczułki. Nagle wypuszcza narzędzia z rąk, podnosi dłonie do ust i wybiega z pokoju. Z paczki wydobywa się wstrętny odór, mdląca woń zgnilizny. Nadbiegają służący. Zakrywając nosy turbanami, otwierają skrzynię do końca. Anita powstrzymuje odruch wymiotny i rozwija pakiet z kolejnych warstw papieru i gałganków. Gdy jednak dostrzega lśniące, zielone robaki, odskakuje z krzykiem. Stary sługa wynosi skrzynię do ogrodu i zaczyna wydobywać z niej przedmioty, jakich nigdy w życiu nie widział. Tylko Anita wie, że to szynka jabugo, dwie kaszanki z Burgos i różne rodzaje ąsoso manchego, serów z La Manchy - a wszystko pełne robactwa. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro podróż musiała trwać z pięć miesięcy. Do przesyłki dołączony jest ciepły list od rodziców, którzy wyrażają nadzieję, że ulubione przysmaki pozwolą Anicie przetrwać do czasu, aż przyzwyczai się do kuchni indyjskiej. Zupełnie powariowali, myśli Anita i postanawia bezzwłocznie nadać telegram z prośbą, żeby nie przysyłali już nic więcej, bo odżywia się bardzo dobrze, po europejsku, ba, do picia dostaje nawet francuską wodę mineralną.

List zawiera poza tym niepokojące wieści. Victoria wychodzi w końcu za George'a Winansa. Rodzice starali się do tego nie dopuścić, zabrali nawet córkę z powrotem do Malagi, ale Winans pojechał za nimi, oświadczył się, a otrzymawszy odmowę, urządził wielką scenę, grożąc, że się zabije. Zakochana Victoria stanęła, oczywiście, po jego stronie, więc nie było rady. Dobrze chociaż, że w ostatniej chwili zgodził się przejść z protestantyzmu na katolicyzm! „Po wydaniu jednej córki za niewiernego, rodzice bali się, że i Victoria zatraci swoją wiarę”, pisała w dzienniku Anita.

Ślub ma się odbyć w maju. Wielka szkoda, że nie będzie mogła na niego pojechać. Victorii też zresztą zabrakło na jej własnym weselu. Świat jest taki wielki, a w najważniejszych momentach życia chciałoby się mieć przy sobie rodzinę. Na przykład teraz, w ostatnich tygodniach ciąży. Nawet jeśli radza jak zawsze okazuje jej czułość i opiekuńczość, a i Mme Dijon nie schodzi z posterunku. Za to Lola, która powinna służyć Anicie największą pociechą i wsparciem, staje się naprawdę nie do zniesienia. Wciąż się na coś skarży, nawet nie próbuje się przystosować. Anita chętnie odesłałaby ją do Hiszpanii, ale woli poczekać do rozwiązania. Choć oprócz ubierania jej, Lola nie robi absolutnie nic. Tylko przeszkadza, ponieważ wymaga ciągłej opieki, nieustannie a bezpodstawnie przekonana, że dzieje się z nią coś złego.

No, tak, jest jeszcze doktor Warburton ze swoimi białymi wąsiskami i cylindrem. Czuwa nad rozwojem płodu i stara się przekonać Anitę, że poród to



nic strasznego. Ma przy nim asystować również pewna stara Hinduska, która przypomina andaluzyjską Cyganekę i pomagała przy narodzinach innych dzieci radży. Niestety, Anita nie może z nią porozmawiać - w tym wypadku bariera językowa jest nie do przeskoczenia. Dookoła kręci się zatem mnóstwo ludzi - w większości jednak obcych i dziwnych.

- Życie w Villa Buona Vista płynie nadzwyczaj spokojnym nurtem, zwłaszcza od nadejścia upałów. Jakże daleko pozostały rześkie, krystalicznie czyste poranki, którymi cieszyli się w Kaszmirze podczas krótkiego miodowego miesiąca. Należący do maharadży Hari Singha, położony nad porośniętym lotosami jeziorem pałac, w którym gościli, okazał się jednym z cudów Śrinagaru zwanego Wenecją Wschodu i będącego stolicą państwa o tak niezwyklej urodzie, że „wprost niemożliwe, aby ktokolwiek czuł się tu nieszcześliwy”. Tak właśnie wyraziła się Anita, chcąc sprawić przyjemność gospodarzowi, w zamian za co otrzymała zapewnienie, że może uważać to miejsce za swój dom.

Maharadża Hari Singh, Hindus przybierający pozy rzymskiego cesarza, władał czterema milionami muzułmanów zamieszkujących terytorium wielkie jak Hiszpania i piękne niczym raj. Ogromna, szmaragdowozielona dolina otoczona była białymi szczytami Himalajów i poprzecinana korytami rzek, nad którymi od rana krążyły zimorodki w poszukiwaniu zdobyczy. Na niekończących się łąkach kwitły fiołki i karmazynowe tulipany, a takiej obfitości owoców Anita nie widziała nawet we Francji - gdzie nie spojrzeć truskawki, morwy, maliny, gruszki, śliwki i wiśnie tak dojrzałe, że ledwie tknięte tryskały sokiem. Nigdy też nie spotkała podobnej różnorodności zapachów jak w ogrodach Salimar, nigdy nie spędzała równie upajających wieczorów, w leżaku, z filiżanką herbaty, z widokiem na zachód słońca. Tak, to były niezapomniane dni, wypełnione spacerami, grą w tenisa, oglądaniem meczów polo i pływaniem po błyszczącym jeziorze w przypominających gondole łódkach, śikarach, o pretensjonalnych nazwach, takich jak Gniazdko Miłości czy Wdzięczny Ptak Wiosny.

Anita po raz pierwszy pokazała się w towarzystwie, toteż jej zachowanie i osoba stały się centrum zainteresowania. Olśniewająca w swoich nowych indyjskich strojach chodziła na kolacje z udziałem takich osobistości jak choćby nizam Hajdarabadu, który zresztą zachowywał się w stosunku do niej uprzedzająco grzecznie. Mierzył sobie zaledwie metr i czterdzieści centymetrów, a jednak rządził dwudziestoma czterema milionami mieszkańców największego księstwa Indii i był bajecznie bogaty - powiadano, że w biurku trzyma, zawinięte w starą gazetę, diamenty wielkości kurzych jaj, i że

należącymi do niego klejnotami można by brukować ulice. Żył w ciągłym strachu przed otruciem, do tego stopnia, że - jak zauważyła Anita podczas kolacji - każde danie próbował przed nim służący. Oczarowany nową żoną radży nizam zaprosił młodą parę do Hajdarabadu i obiecał ofiarować Anicie jeden ze swoich legendarnych szlachetnych kamieni. Inni dostojni goście również zachwycali się młodą Hiszpanką i gratulowali Jagatjitowi gustu, podczas gdy w zenanie nie ustawały złośliwe spekulacje na temat jej smutnej przyszłości.

Sielankową atmosferę podróży zakłócił niespodziewany incydent. Brytyjski rezydent\*, posłyszawszy, że radża wybiera się na audiencję z żoną, nie zgodził się go przyjąć.

#### \* Najwyższy reprezentant królowej w Indiach.

Był to jawny afront i Jagatjit z trudem pohamował złość na „tych wtrącających się we wszystko Anglików”. Anita żałowała głównie tego, że nie zobaczy pięknych ogrodów, słynnych w całym kraju z wyjątkowej kolekcji krzewów różanych o tak brytyjskich nazwach, jak Marszałek O'Neil czy Dorothy Perkins.

Te dwa miesiące, które dzielą ją od pobytu w Kaszmirze, są jak wieczność. W Kapurthali codzienne życie nabiera cech rutyny, a w dodatku, ze względu na upał, koło południa całkiem zamiera. Przed wschodem słońca Anita udaje się wraz z radżą na poranną modlitwę zwaną puja. Podczas gdy on czyta fragmenty Guru Granth Sahib, ona modli się po cichu do Matki Boskiej i świętych. „W kontakcie z Bogiem niepotrzebni mi pośrednicy”, powiedziała mu kiedyś, a on, mało przywiązany do rytuałów, zrozumiał. Od tego czasu każde z nich praktykuje własną religię na swój sposób. Pod tym względem tworzą szczęśliwą parę, która potrafi zręcznie omijać rafy wystające z morza rzeczywistości.

Po modlitwie Jagatjit jeździ konno i wraca przed ósmą, kiedy słońce zaczyna doskwierać. Resztę czasu spędza w gabinecie, pochłonięty sprawami kraju, debatując z ministrami i doradcami. Dyskutują o budżecie, budowie nowych elektrowni, szkół, szpitali i urzędów pocztowych. Jak przystało na monarchę absolutnego, radża ma głos decydujący, może też dowolnie mianować i odwoływać ministrów. Gdy kończy rozstrzygać niecierpiące zwłoki kwestie, zwykle odwiedza inne swoje pałace.

Anita, choć bardzo zainteresowana tym, co się wokół niej dzieje, często odczuwa dotkliwe osamotnienie. Jej andaluzyjska natura z trudem dopasowuje się do sztywnych form. Wszyscy są tak uprzejmi i pełni szacunku, że czasem nie ma z kim porozmawiać. Poza tym cięża trzyma ją w domu. Radża doradził

jej, aby nauczyła się języka urdu, w którym będzie mogła rozmawiać z żonami i córkami miejscowych dostojników i arystokratów. „Jeśli poznasz mowę, którą ludzie się tu posługują, twoje życie stanie się ciekawsze i mniej samotne”, powiedział. Toteż Anita przesiaduje po całych dniach w swoim pokoju, z Mme Dijon ćwiczy francuski, od starego poety uczy się urdu, szyje, robi naszyjniki, i tylko czasem schodzi na dół, gdy w domu zjawia się jakiś obnośny handlarz, którego towary mogą ją zainteresować. Czasem gości u nich na przykład chiński szewc, który odrysowuje stopy klientów na papierze i po dwóch dniach przynosi zrobione na miarę buty. Kiedy indziej zagląda kramarz rodem z Kaszmiru, by rozłożyć na werandzie stosy jedwabnej bielizny, wyrobów z papier mache i dywanów; albo zaklinacz węży, który bierze rupię od każdego gada, jakiego uda mu się za pomocą fletu wyprowadzić z ogrodu; albo przychodzący po wodę hinduski asceta z pobliskiej świątynki, odziany jedynie w przepaskę na biodrach i pokryty od stóp do głów białym popiołem...

Wieczorem Anita jeździ wraz z radżą oglądać, jak postępuje budowa nowego pałacu, który ma być gotowy w przyszłym roku i nazywa się L'Elysee. Jest dużo większy niż Villa Buona Vi sta - Jagatjit planuje sto osiem pokoi - i otoczony ogromnymi ogrodami. Anita uwielbia się po nich włóczyć. Wyobraża sobie wtedy samą siebie siedzącą na tarasie swojej wspaniałej sypialni i przyglądającą się niańce z wózkiem, w którym śpi tak długo oczekiwane maleństwo. Ponieważ jego żona marzy o własnym „kaszmirskim ogrodzie”, radża zgodził się oddać jej do wyłącznej dyspozycji kawałek terenu. Ogrodnicy wyręczą ją w cięższych pracach, więc za bardzo się nie zmęczy, a będzie miała swój kącik, swój prywatny raj.

Po powrocie zastają w domu tak zwanych bistis, nosiwodów, którzy z workami z koziej skóry na plecach przechadzają się po salonach, skrapiając je wodą. Potem w drzwiach i oknach wieszają namoczone płachty materiału. Wszystko to w ramach walki z kurzem i upałem. O tej porze do pokoi napływa upajający zapach wieczoru: woń świeżo podlanych roślin i trawników zmieszana z kadzidełkami, bardzo zresztą skutecznymi przeciw komarom. Następnie jest kolacja, do której czasem przygrywa orkiestra. Anita oswaja się z przeznaczonymi do śpiewania poematami w urdu zwanymi raga lub ghazal. Wszystkie opowiadają o tragicznych, lecz uświęconych przez miłość losach dawnych bohaterów.

Nocą, gdy temperatura staje się nie do zniesienia, Anita opuszcza małżeńskie łóżko i robi to, czego zdążyła się już nauczyć: wychodzi na taras, zawija się w mokre prześcieradło i kładzie na drewnianej leżance. Ale nadal nie może zasnąć, teraz już nie z gorąca, lecz ze strachu. Myśli o porodzie, o dziecku i o

chorobach, które niszczą ludzi z dnia na dzień. Dawniej, w Europie, nigdy nie zastanawiała się nad takimi kwestiami. Tu, w Indiach, to co innego. Bo na przykład nauczycielka angielskiego, z którą miała tylko jedną lekcję, zachorowała na początku upałów i niespodziewanie zmarła. Rano uczyła odmian, a wieczorem powieźli ją na cmentarz. Tak po prostu. Szybkość, z jaką śmierć może zabrać człowieka jest niesamowita. Zwłaszcza tutaj, na tym dziwnym subkontynencie. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy malaria zabiła aż dwóch służących. Więc jak tu się nie bać?

Anita bardzo uważa na to, co je, zwłaszcza teraz, o tej porze roku. Od kiedy widziała roje much w sklepach rzeźników w centrum miasta, próbuje wystrzegać się mięsa. Owoce myje w wodzie z dodatkiem nadmanganianu potasu. Mme Dijon doradziła jej, by zawsze robiła to sama, ponieważ kucharz może zapomnieć, a poza tym w sprawach higieny służbie ufać raczej nie należy. O tym zresztą Anita przekonała się osobiście, i to zaraz na początku pobytu w Kapurthali. Pokazała jednemu z kucharzy, jak się gotuje „indyjskie gazpacho”, lokalną wariację na temat andaluzyjskiego chłodnika, z dodatkiem oleju sojowego i curry, żeby smakowało również radży. Pewnego ranka, zaglądając do kuchni, ujrzała jednego z piętnastu kuchcików zajętego przecieraniem warzyw przez skarpetkę.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała ze zgrozą. - Przecież to skarpetka jego wysokości!

- Proszę się nie gniewać, memsahib - odparł bardzo z siebie zadowolony chłopak. - Wziąłem brudną.

\* \* \*

Ponieważ Anita jest w ciąży, każdy poczuwa się do obowiązku udzielania jej rad i czasem trudno stosować się do wszystkich. Hinduska akuszerka mówi, żeby unikać pikantnych potraw, bo mogą zaszkodzić dziecku. Doktor Warburton zabrania jeździć konno, tańczyć, grać w tenisa i w badmintona. Przeczytał Anicie fragment z Medycznej rozprawy o chowaniu dzieci w Indiach, która dla miejscowych Anglików jest czymś w rodzaju Biblii i kobietom przed rozwiązaniem zaleca „utrzymywanie równego, pogodnego nastroju”. Powstrzymał się na szczęście, o czym Anita nie wie, od głośnej lektury innego ustępu, gdzie wymienia się grożące dzieciom w Indiach niebezpieczeństwa: ropnie, ugryzienia owadów, skorpionów, dzikich psów i węży, cholere, kolkę, niestrawność i udar. Nie wspominając już o malarii, tyfusie i ospie. Dla uniknięcia podobnych nieszczęść Sikhowie urządzają co miesiąc specjalną ceremonię, podczas której grupa starszych gromadzi się wokół Anity i odprawia modły.

25 kwietnia po południu zaczynają się pierwsze silne skurcze. W pałacyku trwa gorączkowa bieganina. Służba, pielęgniarki, akuszerki i znachorzy biegają w tę i z powrotem po schodach przy wtórze jęków memsahib. Pierwsze zabiegi hinduskiej akuszerki sprawiają, że jęki zamieniają się w dzikie wrzaski. Anita krzyczy jak muzułmanka na pogrzebie. Dziecko przyjęło pozycję pośladkową i nawet z pomocą pielęgniarek nie udaje się go odwrócić. Wieczorem zjawia się doktor Warburton w towarzystwie dwóch innych lekarzy. Anita, mokra od potu i łez, rozdzierana niekontrolowanymi wstrząsami, wciąż bardzo cierpi. Jest wyczerpana, nie ma siły powiedzieć słowa, a jej skóra przybrała szarzielony kolor. „Pojawiła się obawa o życie moje i dziecka”, napisze później w dzienniku. „Przez cały czas modliłam się do Najświętszej Pani, żeby oszczędziła mi takiego końca”. Ma uczucie, że oto przyszło jej płacić za wszystkie przyjemności, jakich zaznała w życiu, że musi odpokutować za swój niezwykle los.

Doktor Warburton i jego pomocnicy dokładają wszelkich starań, żeby zmienić pozycję dziecka. Nie pierwszy to raz odbierają trudny poród, ten jednak okazuje się szczególnie skomplikowany. Upał nie pomaga. „Widząc, że sprawy przybierają z każdą minutą gorszy obrót, obiecałam Najświętszej Pani piękną szatę, byle tylko ocaliła mnie i moje maleństwo”. Na koniec doktor Warburton wyciąga chłopca, całego we krwi, z pępownią owiniętą wokół szyi. „Po kilku strasznych godzinach, których nie chcę pamiętać, usłyszałam wreszcie płacz noworodka i szybkie kroki służby biegnącej obwieścić dobrą nowinę”.

Radża, który nigdy jeszcze nie przeżywał z tak bliska narodzin swoich dzieci, w pewnym momencie poczuł prawdziwą obawę o życie żony. Jednakże ślepa wiara w umiejętności angielskich lekarzy pomogła mu przetrwać trudne chwile i teraz jest tak szczęśliwy, że każe oddać trzynaście honorowych armatnich salw. W Kapurthali zaczyna się święto. Przed gurdwarą, meczetem, i świątynią Lakszmi gromadzą się biedni, wiedząc, że władca zechce podzielić się z nimi swoją radością i już kazał swoim ministrom rozdawać darmową żywność. Na miasto ruszają słonie z kosztami słodczy dla dzieci na grzbietach. Zgodnie z tradycją otwierają się też bramy więzienia, wypuszczając na wolność jego nielicznych mieszkańców.

## Rozdział dwudziesty drugi

We wspomniał Kamra Pałace, dawnym pałacu radży, gdzie mieszkają jego pozostałe żony, za drzwiami z rzeźbionego drewna i zakrytymi oknami, wieść o narodzinach chłopca nie wzbudza takiej radości. Jej wysokość Harbans Kaur przejawia niepokój. Nie żeby miała podstawy, by bać się o sukcesję - jej syn Paramjit jest prawowitym dziedzicem tronu Kapurthali, a nawet gdyby z woli losu nie mógł nim zostać, są jeszcze trzej inni potencjalni następcy z trzech kolejnych małżeństw, co gwarantuje państwu, że władcą zostanie czystej krwi Hindus. Fakt, że radża ożenił się po raz piąty nie stanowiłby zresztą sam w sobie powodu do obrazy i wrogości wobec „nowej”. Jednakże Anita jest cudzoziemką, a w dodatku odmówiła zamieszkania w zenanie. Dlatego Harbans Kaur nie chce jej uznać za pełnoprawną żonę.

Radża zakochał się na tyle mocno, że opuścił pałac i zamieszkał z „tą Hiszpanką” - a to już nie do zniesienia. Nie tak postępują indyjscy książęta. Oczywiście, nadal odwiedza inne żony, troszczy się o ich wygody i zdrowie. Niczego im nie brakuje, ale nie o to przecież chodzi. Od miesięcy nie spędził z żadną z nich ani jednej nocy, nie zauważa nawet ulubionych konkubin. Od miesięcy nie uczestniczy w rodzinnych kolacjach. Harem usycha z tęsknoty. Jego pan i władca, źródło życia, znalazł się w mocy cudzoziemki, która skradła mu serce, pozbawiła go woli i w dodatku nie raczyła nawet złożyć porządnej wizyty w zenanie. Ten ostatni występek oburza szczególnie, przecież wedle tradycji starsze żony powinny opiekować się młodszymi, wprowadzać je w tajniki rodzinnego życia, tak aby uniknąć nieporozumień i konfliktów. A pierwsza we wszystkich porządnym domach cieszy się zawsze wyjątkowym autorytetem. Odrzucając życie w haremie, Anita zamknęła sobie drogę do serc tych wszystkich kobiet, które czują się zlekceważone przez „przybłędę” bez urodzenia. Uważają, że skoro nie okazuje zainteresowania nimi, nie ma go też dla radży. Bo to one są jego prawdziwą rodziną. Nie ona.

Bezgraniczne uczucie radży zaskakuje wszystkich na tyle, że mieszkanki Kamra Pałace zastanawiają się nawet, czy Anita nie jest przypadkiem czarownicą i czy radża w czasie jednej ze swych podróży za „czarną wodę”, jak w mitologii hinduskiej określa się ocean, nie padł ofiarą jakiegoś zgubnego uroku. Tylko w ten sposób można by wyjaśnić zmianę w jego zachowaniu. Ale jeśli tak - to kto da gwarancję, że nie przyjdzie mu do głowy uczynić następcą syna przybłędę? I choć wiadomo, że Anglicy nigdy by do czegoś podobnego nie dopuścili, Harbans Kaur źle sypia po nocach.

Echa tego wszystkiego docierają do Anity przez księżących wróżbitów, którzy z położenia gwiazd wnioskuje, że jej syn dożyje późnej starości, będzie się cieszył powszechną sympatią i „w ogóle pomyślnością, pod warunkiem wszakże, iż pozostanie w orbicie swojej matki”. Poza tym całymi dniami przesiadują w pałacyku, mruczą niekończące się mantry, otwierają i zamykają księgi, rzucają kośćmi i recytują modlitwy. To zbyt wiele dla Anity, która wciąż jeszcze nie odzyskała sił po porodzie. Dlatego gdy jeden z nich każe jej wypić dziwną miksturę, która ma podobno odstraszać złe duchy, Anita kategorycznie odmawia. „Przestraszyłam się. Wszystkie te wróżby i przepowiednie nasunęły mi podejrzenie, że przeciw mojemu synowi zawiązał się jakiś spisek”, pisze. Z posłyszanych tu i ówdzie zdań udało jej się z grubsza odtworzyć historię Florrie Bryan, a niechęć Mme Dijon do wchodzenia w szczegóły tylko wzmaga jej niepokój. Choć Florrie umarła przed ponad dziesięcioma laty, jej los kładzie się cieniem na życiu hiszpańskiej księżnej Kapurthali.

Anglicy również nie są zbyt zadowoleni z narodzin syna Anity, jako że jest on owocem niepopieranego przez nich związku. Pierwszy raz zdarza się, żeby radza nie odebrał gratulacji ani od Edwarda VII, ani nawet od wicekróla. Tylko gubernator Pendżabu przysłał suchy list z powinszowaniem „tak szczęśliwego wydarzenia”. Najwyraźniej władze kolonialne wciąż nie pogodziły się ze ślubem Jagatjita. „Miss Anita Delgado, która pochodzi z szanowanej, choć ubogiej rodziny, jako Europejka czuje głęboką odrazę do instytucji zenany, co utrudnia radzy wyjaśnienie jej sytuacji towarzyskiej”, informował raport z 1909 roku. Słowo „miss” dowodzi, że w owym czasie Anglicy nie uznawali tego małżeństwa za ważne. W ich oczach Anita nie była ani księżną Kapurthali, ani niczyją żoną. Dlatego spotkał ją afront w Kaszmirze. Gdyby doña Candelaria wiedziała! Takie fiasko!

Anita żyje więc niejako na ziemi niczyjej. Nie przypuszcza nawet, że jej status stał się przedmiotem wielu dyskusji w gabinetach wysokich urzędników kolonialnych. Radza nie dzieli się z nią drobnymi upokorzeniami, jakich doznaje ze strony Brytyjczyków, którzy złośliwością dorównują nawet jego własnej rodzinie. Nie robi tego, aby nie psuć swojej prywatnej idylli. Złości go, że tyle osób wtrąca się w jego osobiste sprawy, że intruzi nieświadomi panujących w Indiach od tysiącleci zwyczajów uzurpują sobie prawo do decydowania o jego życiu. Gdzie te czasy, gdy Randžit Singh, Lew Pendżabu, wolny i potężny maharadża Sikhów rządził, jak chciał, nie musząc się przed nikim tłumaczyć... Teraz wpływy brytyjskiego imperium sięgają wszędzie,

nawet tam, gdzie nie uświadczysz ani jednego Anglika. Ta ciągła obecność wisi nad Indiami jak ołowiane niebo, jak coraz bardziej przytłaczająca chmura.

Radża musi więc skorzystać z pierwszej sposobności, by omówić swoją sprawę z władzami w Delhi. Irytuje go to; czuje się, jakby zebrał o coś, co mu się słusznie należy. „Nowy wicekról i gubernator Pendżabu okazali zrozumienie, wyjaśniając wszakże, iż stanowiska, jakie zajmują, uniemożliwiają im oficjalne uznanie jego hiszpańskiej żony. Urzędnicy niższej rangi nie są jednak zobowiązani do stosowania jakichkolwiek restrykcji”. Przynajmniej przestali ją nazywać „miss”. Teraz jest jego „hiszpańską żoną”. Radża żywi wszakże sekretną nadzieję, że kiedy ją poznają, docenią jej wdzięk i dowcip, a wtedy wszystko się zmieni. Na pewno podbije ich swoją urodą i oryginalnością, tak jak podbiła jego. Niemożliwe, by nie dostrzegli jej urzekających płynnością ruchów andaluzyjskiej tancerki, nie zachwycili się kruchością jej dłoni i dźwięcznością śmiechu. Ostatecznie nie oparli się jej nawet indyjscy książęta, którzy mieli okazję poznać ją w Kaszmirze. Od tamtej pory do Kapurthali płynie wartki strumień zaproszeń. Nikt nie chce przegapić „hiszpańskiej żony Jagatjita”.

Poród i wyjątkowo długa - także z winy upałów - rekonwalescencja w połączeniu z nowym poczuciem odpowiedzialności za syna wyostrzyły wrażliwość Anity, która czuje, że życie dziecka jest kruche jak zamek z kart, a odgadując nienawiść kobiet z zenany, boi się w dwójnasób. Dlatego chce, by chrzest odbył się jak najprędzej. I to nie katolicki - co by zresztą było nie do pomyślenia - lecz sikhijski. Rozumie rolę religii i ma dość inteligencji, by wiedzieć, że tylko włączając syna w tę wspólnotę, zapewni mu bezpieczeństwo, a zapewne i przyszłość.

Toteż już czterdzieści dni po narodzeniu dziecka z Kapurthali wyrusza imponujący orszak złożony z kilkunastu słoni i czterech rolls-royce'ów. Od Amritsaru, świętego miejsca Sikhów i drugiego co do wielkości po - Lahore - miasta Pendżabu dzieli ich sześćdziesiąt kilometrów. Gdy pochód dociera do celu, słonie ledwie przeciskają się wąziutkimi uliczkami wokół Złotej Świątyni. Anita, ubrana w jaskrawe sari, z zakrytą głową, otwiera usta na widok wspaniałego budynku, który lśni w promieniach słońca i odbija się w świętych wodach.

Wzniesiona pośrodku rytualnego stawu Złota Świątynia, do której prowadzi most, to biały, marmurowy budynek kapiący od złotych, srebrnych i miedzianych ozdób. Jego złota kopuła kryje oryginalny rękopis świętej księgi, Guru Granth Sahib, która spoczywa owinięta w jedwab i obsypana zawsze



świeżymi kwiatami. Co dzień wietrzy się jej stronice, używając do tego celu wachlarza z ogona jaka, i odkurza się ją miotełką z piór pawia.

Wokół stawu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, krążą wierni. Boso kroczą po lśniącym marmurze, z głowami w kolorowych turbanach, długimi brodami i krzaczastymi wąsami. Mężczyznom czasem towarzyszą ich dzieci i żony, te ostatnie z włosami zebranymi w kok. Niektórzy kąpią się w świętej wodzie, wznosząc ku niebu złączone dłonie. Inni przesuwają między palcami paciorki różańców z wonnego drewna. Uderza niezwykle spokojny tego miejsca. I czystość.

- Można by tu jeść z ziemi - mówi Anita.

W Złotej Świątyni kasty zdają się nie istnieć, zupełnie jakby ziścił się sen założyciela sikhizmu, hindusa imieniem Nanak, który w dwunastym roku życia zaskoczył rodzinę odmową przywdziania stroju braminów. „Tylko własne zasługi i czyny odróżniają jednych ludzi od innych”, oświadczył. Przekonany, że tradycyjna bramińska biel podtrzymuje sztuczne podziały, postanowił jej nie nosić. Bunt przeciw rodzinnym zwyczajom kazał mu później połączyć politeistyczny hinduizm i monoteistyczny islam w jedną, nową religię, wolną od uprzedzeń i bezsensów dwóch poprzednich. „Nie ma hindusów, nie ma muzułmanów. Jest tylko jeden Bóg, będący zarazem Najwyższą Prawdą”, ogłosił Nanak, godny następcy mistyków, którzy zawsze odgrywali niemałą rolę w złożonych wyznaniowo Indiach. Co ciekawe, mniej więcej w tym samym czasie tysiące kilometrów od jego rodzinnego Pendżabu, w Europie, również rodził się ruch odnowy religijnej. Podobnie jak Luter i Kalwin Nanak potępiał bałwochwalstwo i dogmatowi oraz doktrynie przeciwstawiał Prawdę. „Religia nie sprowadza się do pustych słów. Człowiekiem religijnym jest ten, kto postrzega bliźnich jako równych sobie”, głosił. W kraju udręczonym przez system kastowy jego nauki szybko zdobywały popularność. Wokół Nanaka, który został pierwszym guru, co w sanskrycie znaczy mistrz, gromadzili się shishya. To również sanskryckie słowo znaczy uczeń i od niego wzięła się nazwa sikhizmu. Nanak i jego następcy walczyli z przerostem rytuałów, nierównością i dyskryminacją kobiet. Prześladowani przez wyznających islam Mogołów kolejni guru umieli opór przeciw tyranii uczynić źródłem żywotności swego ruchu. Dziewiąty i ostatni kontynuator Nanaka przekształcił sikhizm w religię wojującą, w bractwo, któremu nadał nazwę Khlasa, czyli Czyści. Jako znak rozpoznawczy oraz w nagrodę za oddanie wszystkim swoim zwolennikom nadał nazwisko Singh, lew - właściwe miano dla ludzi, którzy przez całe wieki musieli walczyć o swoją religię i tożsamość.

O ile za pierwszym razem, w czasie ślubu, na widok odprawiających ceremonię Sikhów - „tych brodatych matuzalemów”, jak wyraziła się Lola - Anita poczuła lęk i onieśmienie, teraz przeciwnie: oddycha z ulgą. Odnosi wrażenie, że dopóki ci przypominający biblijnych mędrców starcy są blisko, nic złego nie może się stać ani jej samej, ani dziecku. W Złotej Świątyni synek Anity otrzymuje imię Ajit i nazwisko Singh, które dzielić będzie z sześcioma milionami współwyznawców. W trakcie bardzo prostej skądinąd uroczystości obecni piją z metalowych kubków wodę z cukrem, zamieszaną ostrzem obosiecznej szabli. Napój ten, amrit, czyli nektar życia, wlewa się następnie w usta dziecka, podczas gdy jeden ze starców intonuje: „Jesteś synem Nanaka, syna Stworzyciela, wybrańca... Ukochasz człowieka bez względu na kastę czy wyznanie. Nie będziesz czcił kamienia ani grobu, ani żadnych bóstw. W chwilach niebezpieczeństwa i trudności wspomnij świętych guru. Nie módl się wtedy za jednostki, módl się za całą wspólnotę Khalsy”.

Od tego momentu Anita bierze na siebie obowiązek wpojenia synowi pięciu podstawowych obowiązków wyznawcy sikhizmu. Dla przypomnienia, jakie też one są, radza ofiarowuje jej zdobny w godło Kapurthali zeszyt w niebieskiej oprawie, w którym własnoręcznie je wypisał.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Do końca pierwszego roku, jaki Anita spędzi w Indiach, postanawiają zostać w Villa Buona Vista. Nie jadą nawet do letniej rezydencji w Mansuri, z obawy, aby trudy podróży nie odbiły się na zdrowiu dziecka czy samej Anity. Może zresztą istnieje ku temu inny powód, do którego radza nie chce się przyznać: w Chateau Kapurthala rozgościły się pozostałe żony, a zważywszy na ich stosunek do „Hiszpanki”, lepiej smażyć się na równinach Pendżabu. Anita rozumie już, dlaczego angielskich żołnierzy przyłapanych bez słynnego topi, które zakrywa głowę i kark, karze się dwoma tygodniami karceru. Na przełomie maja i czerwca słońce stanowi tutaj prawdziwie śmiertelne zagrożenie. W południe na ulicy spada na człowieka jak ciężki młot. O jedenastej rano temperatura osiąga czterdzieści dwa stopnie. Sierpniowe upały w Maladze wydają się przy tym nieszkodliwym ciepłym. Po piekielnych dniach następują wieczory tak gęste, że można by krajać powietrze nożem. Oby deszcze zaczęły się jak najprędzej! Pola pożółkły, ziemia popękała, zwierzęta ledwie zipią. Tuzin służących zajmuje się wyłącznie skrapianiem ogrodowych ścieżek, obsługiwaniem punka, namaczaniem zasłon i kotar. Jednakże mimo ich starań Anita jest wycieńczona. Uparła się, że będzie karmić i nieprzespane noce - wstaje co trzy godziny, zresztą podobne do rozpaczliwych dziecięcych krzyków wycie szakali i tak nie pozwala jej zasnąć - osłabiły ją jeszcze bardziej. Lola stara się pomagać, ale i ona nie radzi sobie z upałem. Nie zawsze udaje się jej zwlec z łóżka, by podać chłopca matce, więc Anita musi wstawać sama. W końcu organizm nie wytrzymuje, zaczyna się gorączka, która sięga trzydziestu dziewięciu stopni.

- Zapalenie piersi - stwierdza wezwany o świcie doktor Warburton. - Ponieważ do tego dochodzi ropień, musi pani natychmiast zrezygnować z karmienia i stosować się do moich wskazówek.

Anita wybucha płaczem - ta diagnoza to dla niej prawdziwy cios. Na nic się nie zdają zapewnienia lekarza, który przysięga, że jej schorzenie jest częste i łatwe do wyleczenia, ani słowa męża zachwalającego miejscowe mamki, ani rzeczowe wyjaśnienia Mme Dijon. Anita czuje, że nie sprostała zadaniu. Cóż to za matka, która nie potrafi wykarmić własnego dziecka? A przecież mały Ajit potrzebuje dobrego mleka, zwłaszcza teraz, w czasie upałów, gdy grozi mu tyle chorób! Jej rozpacz trwa do wieczora. Tymczasem cały dom żyje poszukiwaniami mamki. W Indiach jest to nader doniosła kwestia, albowiem powszechnie wierzy się, że wraz z mlekiem kobieta przekazuje dziecku wiele ze swoich cech. Dlatego należy znaleźć osobę uczciwą, o dobrym charakterze i

nieposzlakowanej reputacji. Zdarzały się przypadki mamek podających niemowlętom opium dla uspokojenia albo takich, które zaniedbywały cudze dzieci, aby mieć więcej pokarmu dla własnego.

Dopiero płacz Ajita przywraca matce energię. Płacz, który trafia prosto do jej serca i przypomina o obowiązkach. Może Ajit boi się, że go opuściłam, myśli Anita i pojmuję, że nie może sobie pozwolić na histerie, kiedy w grę wchodzi zdrowie i życie jej syna. Poza tym dzięki lekom doktora Warburtona czuje się już nieco lepiej. Dlatego opanowuje się i zbiera siły, by stawić czoło trudom wychowywania dziecka w tym obcym, trudnym dla cudzoziemców kraju, jakim są Indie.

Jednakże w pełni uspokaja się dopiero wtedy, gdy przedstawiają jej Dalimę, młodą Hinduskę o ciemnej karnacji i wielkich czarnych oczach, kruchą i łagodną niczym gazela, wybraną spośród trzydziestu innych. Dalima ma córeczkę i jest wcieleniem równowagi i zdrowego rozsądku. Wciąż się uśmiecha, ukazując dwa rzędy olśniewająco białych zębów, a choć pochodzi z biednej rodziny, zachowuje się jak księżniczka. Czarne, lśniące od oleju rzepakowego włosy nosi związane w warkocz. Od jej czoła odcina się jaskrawoczerwona kropka, tilak symbolizujący „trzecie oko”, które widzi więcej niż tylko pozór rzeczy. Dalima zna jedynie kilka słów po angielsku, ale jej obecność nie męczy, w przeciwieństwie do obecności Loli. A co najważniejsze, nowa mamka umie obchodzić się z dziećmi. Widać to od razu po sposobie, w jaki bierze je na ręce, patrzy na nie lub szepcze im coś do ucha. Anita natychmiast poznaje, że ma przed sobą osobę, jakiej najbardziej w tej chwili potrzebuje. Dalima to prawdziwe błogosławieństwo, podarunek niebios. Anita dziękuje Najświętszej Paniencie za wysłuchanie jej prób i rozmyśla nad sposobami okazania wdzięczności. Pamięta też o obietnicy, jaką złożyła w czasie porodu. Dlatego zwraca się do Mme Dijon:

- Muszę wysłać list do Paryża, do Paquina. Chciałabym zamówić coś specjalnego.

- Nową suknie wieczorową?

- Nie. Nie dla siebie.

- A dla kogo? Jeśli to nie tajemnica... - dopytuje się Francuzka, jak gdyby myślała, że prezent ma być dla niej.

- Dla Matki Boskiej Zwycięskiej, patronki mojego miasta. Potrzebuję szaty haftowanej złotem i szlachetnymi kamieniami, a słyszałam, że Paquin szyje podobne dla perskiego szacha.

Mme Dijon szeroko otwiera oczy i najwyraźniej nie wierzy własnym uszom. Anita, widząc jej zdumienie, usprawiedliwia się:

- Takie tam hiszpańskie zwyczaje...

Po czym, jak gdyby nie potrafiąc się powstrzymać, dodaje z uczuciem:

- Zresztą, dla Najświętszej Panienki i diamentów byłoby za mało!

\* \* \*

Dalima wkrótce staje się ulubioną towarzyszką pani, nieomal jej cieniem. Potwierdzają się wszystkie przypuszczenia co do jej zalet. Jako jedyna z dziesiątek służących zasługuje na pełne zaufanie. Lola, która zeszła na drugi plan, zabija zazdrość i nudę nieustannym jedzeniem. Wykorzystując fakt, że reszta służby ze względu na pochodzenie traktuje ją niemal jak drugą memsahib, wciąż każe sobie przynosić nowe potrawy. Utyła tak, że przy wchodzeniu po schodach sapie jak pies radży.

Rutyna, jaką domownikom narzuca upał, ciąży już wszystkim. Czasem tylko przerywa ją czyjaś niespodziewana wizyta. Indie, ze swoimi skrajnościami, są jak pudełko pełne niespodzianek. Pewnego ranka uwagę Anity zwraca nagły harmider w ogrodzie. We dwie z Dalimą wychodzą sprawdzić, co się dzieje. Niemal cała służba zgromadziła się przy bocznym wejściu. Niektórzy się śmieją, inni pokrzykują coś gniewnie, a wszyscy wyglądają na zdenerwowanych.

- Siostró, pokaż nam synka, a pobłogosławimy mu i życzymy szczęścia! - odzywa się głos, którego powaga kontrastuje z powierzchownością mówiącej. Osoba ta ma na szyi tanie wisiorki, sari w kolorze fuksji, pomalowane kholem oczy i kwiat nagietka w czarnym warkoczu. Wokół niej stoi kilka innych ekstrawagancko umalowanych kobiet, które rytmicznie uderzają w tamburyny.

- Niech pani nie zwraca na nich uwagi, metnsahib - mówi lokaj. - To hijras.

- Kto?

Na twarzy służącego odbija się zakłopotanie.

- Ani mężczyźni, ani kobiety. Rozumie pani?

Anita słyszała o eunuchach, tajemniczej grupie będącej pozostałością po imperium Mogołów, której przedstawiciele żyją w całych Indiach. Nie są to transwestyci, lecz kastraci.

- Czego chcą?

- Pobłogosławić dziecko.

- Mowy nie ma!

- Przychodzą już piąty raz, wie pani, taki zwyczaj... Zza ogrodzenia wciąż dobiegają głosy eunuchów:

- Pokaż nam synka, siostró, podziel się z nami swoją radością! Lokaj podchodzi do Anity.

- Zawołam gwardzistów jego wysokości. Niech ich przepędzą.

- Nie - protestuje nieśmiało Dalima, zawstydzona swoją odwagą. Lokaj piorunuje ją wzrokiem, nie tyle za to, co powiedziała, ile za sam fakt, że ośmieliła się otworzyć usta.

- Nie trzeba, po prostu powiedz im, żeby sobie poszli - mówi Anita.

- Ale oni nam grożą - odpowiada służący. - Jak to grożą? - dziwi się Anita.

- No, po swojemu... - mamrocze ponownie zmieszany lokaj. - Wedle zwyczaju... Dlatego służba jest taka wzburzona.

- Wedle zwyczaju? Jaki to zwyczaj? Służący zniża głos:

- Okropny, proszę pani. Grożą, że podwiną sari i pokażą nam swoje części intymne... Albo raczej to, co z nich zostało. Zawsze tak robią, jeśli ktoś nie chce ich wpuścić albo nie daje im pieniędzy. A że nikt nie ma ochoty oglądać takich obrzydliwości, wszyscy w końcu ustępują...

Anita wybucha śmiechem. Dalima uśmiecha się pojednawczo, a potem szepcze:

- Ale to dobrzy ludzie, memsahib. Błogosławią wszystkim dzieciom.

- Doprawdy?

- Przynoszą szczęście. Mają moc zmywania grzechów, które ciągną się za nami z poprzedniego życia.

Anita zamyśla się na chwilę, po czym zwraca do lokaja:

- Twoje dzieci też zostały tak pobłogosławione?

- Oczywiście, memsahib. Nikt nie chce zadzierać z hijras.

Anita znowu popada w zadumę. Co jej szkodzi? Zawsze była przesadna, więc z chęcią wita wszelkie błogosławieństwa dla syna. Im ich więcej, tym lepiej. Któreś wreszcie zadziała, myśli. Nigdy dość ostrożności, zwłaszcza jeśli się jest w obcym kraju. Poza tym ufa Dalimie.

- A więc dobrze - rzuca ku zdumieniu lokaja.

Z dzieckiem na ręku toruje sobie drogę wśród milczącej służby i wręcza chłopca eunuchowi w sari koloru fuksji. Ten bierze go ostrożnie i nagle zaczyna tańczyć w rytm grzechotek zaszytych w fałdach spódnicy i tamburynów, w które uderzają jego towarzysze.

- Dziecko masz silne jak Siwa. Niech bogowie zdejmą z niego ciężar dawnych występków... - śpiewają teraz wszyscy.

Następnie ten sam eunuch nabiera na palec nieco czerwonej pasty ze specjalnego pudełeczka i zaznacza na czole Ajita kropkę, przejmując tym samym grzechy chłopca na siebie. Wydaje się zadowolony, podobnie jak reszta: oto spełniona została misja, którą system kastowy Indii wyznaczył swoim kozłom ofiarnym. Na koniec wszyscy tańczą na cześć Anity i obrzucają ją ryżem. Nawet upał nie jest w stanie przeszkodzić w tym spontanicznym i

gwarnym prywatnym świącie. Anita, której jeszcze przed chwilą ci dziwni ludzie wydawali się wrodzy i obcy, teraz patrzy na nich jak na przyjaciół. Gdy jednak chce wracać do domu, lokaj podchodzi i z ociąganiem zauważa:

- Memsahib, zwyczaj każe im zapłacić...

Anita patrzy pytająco na Dalimę, która kiwa głową.

- Dam im pięć rupii - oświadcza Anita.

- Nie, memsahib. To za mało. Lepiej się z nimi nie targować.

Anita zbliża się z powrotem do grupy eunuchów. Ci wpatrują się w nią pożądliwie, komentując jej strój, biżuterię, makijaż i urodę. Ich czerwone od betelu wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu, pozwalając dojrzeć złote zęby.

- Ile chcesz? - Anita zwraca się bezpośrednio do eunucha w sari o barwie fuksji.

- Memsahib, zadam pani inne pytanie i zaakceptuję każdą sumę, jaką zechce nam pani dać po przemyśleniu odpowiedzi: ile pani zdaniem jest warte zmazanie grzechów z wszystkich poprzednich egzystencji?

Anita zastanawia się przez chwilę, po czym mówi do lokaja:

- Daj mu sto rupii. Ajit, jako nieodrodny syn swojej matki, musiał sporo nagrzeszyć.

\* \* \*

Na początku czerwca upał jeszcze się potęguje, choć wydawało się to niemożliwe. Wszyscy wypatrują pierwszych chmur zwiastujących nadejście monsunu. Do uszu odpoczywającej na tarasie Anity docierają śpiewy wieśniaków, którzy modlą się do bogini Lashkmi o deszcz. Słychać też sapanie Loli i szelest jej wachlarza podobny do gwałtownego trzepotania ćmy wokół płomienia. Najlepiej leżeć spokojnie, nie wykonywać zbędnych ruchów. Radża zrezygnował nawet ze swoich porannych przejażdżek i szuka wytchnienia w lekturze.

- Ile to potrwa? - dopytuje się Anita.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze i deszcz spadnie o czasie, to mniej więcej do 10 czerwca - odpowiada Mme Dijon. - Problem w tym, że ostatnie dni zawsze niemiłosiernie się dłużą.

Słowa Mme Dijon okazują się prorocze. 10 czerwca koło czwartej po południu rozlega się ogłuszający hałas. Wir gorącego powietrza unosi kłęby pyłu, zrywa liście, a nawet co poniektóre gorzej przymocowane dachówki, które rozbijają się z trzaskiem o ziemię. Można odnieść wrażenie, że zaraz odleci cały pałacyk. Jeszcze nie pada, ale służba już chodzi uśmiechnięta. Sucha burza zapowiada deszcz. Dalima płacze ze wzruszenia. Jej rodzice to

biedni rolnicy, ich byt zależy od nawodnienia pól. Podobnie zresztą jak byt całego kraju. Jeśli monsun nie przychodzi, co się czasem zdarza, głód dziesiątkuje ludność. Ostatnio stało się tak w 1898 roku. Wtedy to radża kazał wstrzymać budowę nowego pałacu, aby uzyskane w ten sposób środki przeznaczyć na pomoc dla swych poddanych. Dni zbiorów są więc kluczowe dla subkontynentu: nieurodzaj ryżu może oznaczać milion ofiar.

Mijają godziny. Suche, wręcz parzące powietrze drażni gardło. Oczy pieką, jakby dostał się do nich piasek. Ogród i pola pokryte są warstwą żółtego pyłu nawianego z pustyni Thar. Napęczniałe chmury gromadzą się na horyzoncie. W miarę jak niebo ciemnieje, ciśnienie staje się nie do wytrzymania, ale deszcz ciągle nie pada. Niebezpieczny to czas dla dzieci, ryzyko odwodnienia jest wtedy bardzo duże. Anita słańia się na nogach, pamięta jednak, by co chwila wilgotnym gałgankiem zwilżać skórę synka. Odnosi wrażenie, że mieszka na statku pośród rozszalałego morza pyłu. Koszmar trwa i trwa: czasem wiatr nagle ustaje, a barometr wariuje, pogrążając wszystkich w rozpacz. Zupełnie jakby bóg monsunów postanowił ich trochę podręczyć.

Tak, w nieustannym napięciu, upływają trzy dni. Aż wreszcie Anita słyszy walenie w dach, jak gdyby ktoś rzucał tam kamieniami. Jednakże okrzyki radości, które rozlegają się w całym domu, a także w wiosce po drugiej stronie rzeki, przywracają jej nadzieję, że najgorsze minęło. Pierwsze, grube jak groch krople rozbijają się o dachówki. Potem pałacykiem wstrząsa potężny grzmot, od którego budzi się mały Ajit.

- Monsun! Monsun! - cieszy się ktoś na dole.

Pierwsza ulewa jest niesłychanie intensywna, hałas spadającej wody - ogłuszający. Po chwili przez zasłonę gorącego deszczu przedziera się chłodniejszy podmuch. Anita i Lola pędzą do ogrodu. Radża również wyszedł na powietrze, z założonymi rękami stoi przed fontanną, patrzy w niebo, mokie i się śmieje. Za domem służący skaczą i śpiewają jak dzieci. Mogłoby się zdawać, że na moment straciły znaczenie kasty, różnice między panami i sługami, bogatymi i biednymi, chrześcijanami i sikhami. Ludzie, przed kilku godzinami skrajnie wyczerpani, teraz wracają do życia. Radość wybucha w całym Pendżabie. Nawet palmy wyglądają, jakby drżały ze szczęścia. Żołnierze wybiegają z koszar, w których dusili się, uwięzieni przez upał, i nago chlapią się w kałużach.

Kiedy deszcz ustaje, znad ziemi unosi się mgiełka. Zatrzymuje się na wysokości trzydziestu centymetrów, zasnuwając ogród podobnymi do bawełny pasmami. Są tak gęste i wilgotne, że Anita ma okazję przyjrzeć się



niezwykłemu zjawisku: ogrodnik wsuwa łopatę w jedno z nich, po czym przenosi białawy strzep w inne miejsce i zwyczajnie strząsa.

Na niebie znowu pojawia się słońce. Anita i radża postanawiają wybrać się do nowego pałacu, by sprawdzić, jakie szkody poczyniła burza. Po drodze przyglądają się słupom mgły, które unoszą się nad miastem, upodabniając je do garnka z wrzącą wodą. Na ulicach pełno półnagich mężczyzn, kobiety stoją w ubraniu pod rynnami, chmary gołych dzieci wrzeszczą co sił w płucach. Stwierdziwszy, że straty są minimalne i wydawszy odpowiednie instrukcje szefowi robót, Anita i radża wracają do domu, by stwierdzić z zachwytem, że pod ich nieobecność trawnik przed pałacykiem zazielenił się jak dotknięty czarodziejską różdżką. Po zalanych wodą ścieżkach skaczą stada żab i ropuch. Ich rechotowi wtórują przeraźliwe wrzaski Loli, która przekonuje się na własnej skórze, że deszcz pobudził do życia również roje najrozmaitszych owadów, w tym wielkie, brązowe, obrzydliwe karaluchy.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Gdy mija uczucie ulgi związane z pierwszym deszczami, Anita zauważa, że wciąż jest tak samo gorąco, tyle że teraz upał stał się wilgotny. Pada codziennie po kilka razy. Człowiek poci się obficie, nie pomagają nawet częste kąpiele i najlepiej po prostu się przebierać. Anita odnosi wrażenie, że jej dłonie są stale mokre. Na ustach służących, którzy nieustannie walczą z przeciekającymi sufitami i kałużami na podjeździe, zagościło nowe słowo: flood, powódź. Pewnego ranka, wyszedłszy na taras, Anita spostrzega, że ogród stoi pod wodą. Rzeka przez noc wezbrała i ogrodnicy pływają na łódkach przywiązanych zazwyczaj do pali na brzegu. Przewożą w bezpieczne miejsce jelonka, pawie, koty i psy - przerażone koniecznością przebywania na tej zaimprovizowanej arce Noego. W mieście woda uszkodziła centralę elektryczną, a po zalanych drogach nie może przejechać żaden wóz. Ze względu na trudności w zaopatrzeniu natychmiast rosą ceny części produktów, takich jak ryż czy ziemniaki. Anita przekonuje się teraz na własne oczy, że radzę łączy z ludem Kapurthali szczególnie i mocna więź. Poddani zatrzymują jadącego na słońcu czy samochodem władcę u bram nowego pałacu albo przed pałacykiem i bez lęku wołają: „Dohai”, co znaczy: „Panie, proszę o wysłuchanie mojej sprawy”. Rolnicy skarżą się na ceny cebuli i na problemy wynikłe z powodzi. Nazywają Jagatjita ojcem, widząc w nim wcielenie opiekuńczych sił i ojcowskiego autorytetu. To ciekawa relacja, oparta na zaufaniu, szacunku, ale i poufałości. Zdarza się, że ktoś zatrzymuje radzę tylko po to, by zapytać go o zdrowie rodziny i opowiedzieć mu o swojej. Jagatjit śmieje się wtedy i żartuje po pendzabsku, zachowując się w takich razach zupełnie inaczej niż w stosunku do Anglików czy nawet do własnych synów. Z nimi jest zawsze na dystans, ponieważ w Indiach „radża to zawsze radża, nawet dla najbliższych”.

Synowie Jagatjita są mniej więcej w wieku Anity i uczą się w Anglii. Pierworodny, a zarazem dziedzic, ma na imię Paramjit i właśnie wybiera się z powrotem do Kapurthali. Kiedy skończył dziesięć lat, radża zaręczył go z córką arystokratycznej rodziny z księstwa Jubbal, tak samo jak kiedyś zaręczono jego - dla dobra rodziny. Ślub ma się odbyć, gdy tylko Paramjit zjawi się w kraju, żeby przypadkiem, zarażony europejskimi ideami, nie zapragnął wybrać sobie żony na własną rękę. Albowiem radża, choć z pozoru bardzo otwarty na nowinki, jest w gruncie rzeczy tradycjonalistą. A ponieważ Paramjit od dzieciństwa wykazuje się raczej słabym charakterem i melancholijnym usposobieniem, można przypuszczać, że nie sprzeciwi się decyzjom ojca. W Harrow, prestiżowej angielskiej szkole, ma kolegę Hindusa, który już wkrótce

przejdzie do historii. Nazywa się Jawaharlal Nehru. O następcy tronu Kapurthali napisze kiedyś tak: „Nigdy nie potrafił się przystosować i zawsze stanowił przedmiot drwin kolegów”. Podobną opinię o Paramjicie wyrażają brytyjscy urzędnicy: „Pierworodny syn radży Jagatjita Singha to młodzieniec nieodpowiedzialny, mało zainteresowany sprawami kraju i poddanych, czyhający tylko na okazję, by wyłudzić od ojca pieniądze, po czym natychmiast je roztrwonić”.

Drugi syn radży, Mahijit, wydaje się poważniejszy i bardziej przykłada się do nauki. Trzeci, Amarjit, studiuje w Oksfordzie i od dzieciństwa marzy o karierze wojskowej. Nie ulega jednak wątpliwości, że najbardziej obiecująco zapowiada się najmłodszy, Karan, syn rani Kanari, który zaczynał edukację w Paryżu, w znanym Lycee Janson de Saily, by kontynuować ją, jak bracia, w Harrow. Karan jest towarzyski i rozmowny, wszystko go ciekawi, uwielbia wieś, konie i politykę.

Anita nie może się doczekać chwili, gdy ich wszystkich pozna, ostatecznie są jej... pasierbami. Śmieje się na samą myśl o tym. W głębi duszy obawia się jednak, czy chłopcy, ulegając wpływom swych matek, nie okażą jej aby wrogości. Zaczyna rozumieć, że odrzucona zarówno przez brytyjskie władze, jak i przez rodzinę radży, żyje w próżni.

Mimo dokuczliwości klimatu pierwsze miesiące w Indiach są jak szczęśliwy sen. Odzyskawszy siły po porodzie, uspokojona obecnością wiernej i troskliwej Dalimy, Anita z powrotem odkrywa dobrodziejstwa ruchu, zwłaszcza jazdy konnej. W porze monsunów już o czwartej rano wyrusza z mężem na wielogodzinne przejażdżki. Galopują przez pola ryżu, bobu i jęczmienia, wdychają upajającą woń żółtych kwiatów rzepaku, które ciągną się po horyzont. Anita dociera do miejsc, których inaczej nigdy by nie poznała: do wiosek, gdzie wita ją krzyk paw i uśmiech gościnnych wieśniaków, zawsze gotowych podać przybyszowi banana albo kubek mleka i pogawędzić pod drzewem mango o zdrowiu rodziny i zbiorach. Kiedy mijają najgorsze upały, do jazdy konnej dochodzi tenis, sport, który dzięki radży zdobywa w Kapurthali coraz większą popularność. W kwestii sportu istnieje zresztą między indyjskimi książętami rodzaj dyskretnej rywalizacji: maharadza Dżajpuru doskonale gra w polo i ściąga do siebie najlepsze drużyny z całego świata; Bhupinder Singh z Patijali wyspecjalizował się w krykiecie; Jagatjit zaś, zapewne pod wpływem znajomych z Francji, upodobał sobie tenis i rozgrywa mecze ubrany w turban, długie spodnie i tradycyjną, sięgającą ud koszulę. Przed rozpoczęciem gry zamienia swój kirpan - sikhijski sztylet - na raketę, podwija poły koszuli i do dzieła. Zamierza ściągnąć do Kapurthali mistrza

Jeana Barotrę, by zechciał udzielić kilku lekcji amatorom, którzy dwa razy na tydzień organizują tu miniturnieje, by potem zasiąść do herbaty w specjalnie wzniesionym namiocie. Wybranych gości radża zaprasza do swojego stolika. Te popołudnia znacznie przyczyniły się do rozwoju tenisowych umiejętności wśród mieszkańców Kapurthali i wkrótce Pendżab znacznie wydawać graczy na światowym poziomie.

Anita pracuje nad stylem i korzysta z okazji, by poznawać jak najróżniejszych ludzi, albowiem w tenisowych spotkaniach mogą brać udział wszyscy zainteresowani. W ten sposób zawiera znajomość z Rajkumari Amrit Kaur, zapaloną tenisistką. Amrit Kaur, określana przez rodzinę mianem Bibi, to krewna radży, przedstawicielka tej gałęzi rodu, która za namową brytyjskich misjonarzy przeszła na chrześcijaństwo, aspirowała do tronu Kapurthali i kwestionowała prawa małego Jagatjita, a później, wygnana przez zmęczonych konfliktami Anglików, osiedliła się w odległym o piętnaście kilometrów Dżalandarze. Bibi, córka pozbawionego władzy księcia, przyjeżdża na turnieje riksą ciągniętą przez czterech ludzi - bosych, ale wystrojonych w niebieskie turbany i oficjalne mundury Kapurthali. Lubi też jeździć konno, z raketami przytroczonymi do siodła. Zawsze elegancko się ubiera, starannie czesze i słynie ze szczodrości. Z podróży po Europie przywiozła rodzinie całe kufry prezentów, paryskich sukien, naszyjników z rżniętego kryształu, futer itd. Cieszy się godną pozazdrosczenia swobodą w świecie, w którym jest ona dla kobiet praktycznie niedostępna. Dlatego mieszkanki zenany podchodzą do niej nieufnie, choć w głębi duszy muszą ją też podziwiać. Nie stosuje się do żadnych reguł i pozwala sobie nawet na tak niesłychaną prowokację, jaką stanowi publiczne palenie papierosów w długiej, czarno-srebrnej fifce. Zdaniem niektórych tłumaczy ją tylko fakt, że jest chrześcijanką, co czyni z niej kobietę na poły białą, istotę z innej planety.

Między nią a rok tylko młodszą Anitą natychmiast zawiązuje się nic porozumienia. Różnią się wprawdzie wyznaniem - Bibi wychowana została w tradycji prezbiteriańskiej - ale to żaden problem, zwłaszcza w Indiach. Bibi płynnie mówi po angielsku i francusku, gra w brydża, a także śpiewa i gra na fortepianie jak profesjonalistka. Anita szczerze ją podziwia i widzi w niej osobę, jaką sama chciałaby być: dobrze urodzoną, wolną i bogatą. Ojciec Bibi uchodzi za miłosiernego chrześcijanina i człowieka zaangażowanego w ruch na rzecz niepodległych Indii. Ponieważ radża ma na ten ostatni temat diametralnie inne zdanie, panowie nie utrzymują stosunków towarzyskich. Jednakże Bibi uczestniczy w życiu pałacu, zwłaszcza w przyjęciach i zawodach sportowych. Brązowooka, wysokiego wzrostu, trochę niezgrabna, uwielbienia dla sportu

nabrała już w Sherbourne School for Girls, w hrabstwie Dorset. Na kortach Kapurthali nie ma równych sobie, poza tym tryska energią i dowcipem. Znajomość Europy, otwartość i brak uprzedzeń czynią ją szczególnie miłą towarzyszką dla Anity.

Radża spogląda na nową przyjaźń żony przychylnym okiem, upatrując w niej przeciwwagi dla bojkotu kobiet z zenany i sposobu na wyrwanie Anity z odosobnienia.

- Ale pamiętaj, że Amrit Kaur, podobnie jak cała ta część rodziny, wyznaje rewolucyjne, absurdalne poglądy, których w żadnym razie nie podzielam - ostrzega.

Anita nie odpowiada i udaje nieświadomą, ale doskonale wie, o co chodzi. Bibi często wspomina o „brytyjskim jarzmie”, nie kryje też sprzeciwu wobec odwiecznych zwyczajów, takich jak aranżowanie ślubów między dziećmi czy zamykanie kobiet w zenanach. Jako chrześcijanka uniknęła podobnych zagrożeń, ale rodzice i tak nie ustają w wysiłkach, by wydać ją za mąż. A ona nie chce o tym słyszeć. Wróciła z Anglii zbuntowana, zdecydowana walczyć z utrwalonymi przez tysiąclecia przesądami. Marzy, by wrócić do Londynu, studiować na uniwersytecie, i w Anicie znalazła doskonałą powiernicę. Długie popołudniowe przejażdżki są poza tym doskonałą okazją, by pokazać Hiszpance inne oblicze Indii, to, którego nie widać z okien pałacyku. Ten nowy dla Anity, biedny ponad wszelkie wyobrażenie kraj żyje w zupełnie innym rytmie niż wyższe sfery.

Pewnego popołudnia Bibi przyjeżdża w męskim siodle, ubrana w spódnico-spodnie, strój, który wciąż budzi w Kapurthali zgorszenie, choć gdzie indziej został już zaakceptowany, zwłaszcza po tym, jak córki wicekróla pojawiły się w nim na promenadzie w Simli.

- Chciałabym cię dzisiaj przedstawić księżnej Gobind Kaur - oświadcza. - Spodoba ci się. Idź po Negusa. Zabiorę cię do jej pałacu.

Negus to ulubiony koń Anity, czarny jak sadza angloarab z połyskującą srebrzyście grzywą. A zarazem symbol swobody. Przyjaciółki pokonują galopem dwadzieścia kilometrów i docierają do wioski Kalyan, położonej już za granicą księstwa Kapurthali. Zatrzymują się przed glinianą chatką. Starsza kobieta rozwiesza wzdłuż jej ścian pasy wołowy do suszenia. Na widok Bibi okazuje wielką radość. Następuje seria wylewnych uścisków. To nie może być przecież księżna, myśli Anita. Ale jest w błędzie. Ta kobieta o poczerńiałych dłoniach, odziana w brudne od ziemi i dymu sari bez jednej ozdoby to właśnie księżna Gobind Kaur, kuzynka ojca Bibi w trzeciej linii. A mężczyzna, który

nadchodzi drogą, ciągnąc pług, to jej mąż, Waryam Singh, były pułkownik armii Kapurthali, potomek sławnych z męstwa żołnierzy.

- Gdzie pałac? - dopytuje się Anita.

- Stoisz przed nim - uśmiecha się Bibi.

Indie nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać, myśli Anita. Przed kilku zaledwie laty Gobind Kaur mieszkała w wielopiętrowym pałacu w mieście Kapurthala, otoczona zbytkiem stosownym do swojej pozycji. Wcześniej i wbrew woli wydana za mąż za bogatego, lecz zdegenerowanego i uzależnionego od alkoholu arystokratę, pogodziła się z losem i pędziła nudny żywot aż do dnia, gdy w pałacu zjawił się pułkownik Waryam Singh, aby dokonać przeglądu gwardzistów. Dla obojga był to grom z jasnego nieba. Wkrótce zostali kochankami i przez dłuższy czas organizowali potajemne schadzki. Pułkownik zakradał się do pałacu i spędzał część nocy z księżną, dopóki w końcu ktoś ich nie nakrył. Musieli uciekać, tak jak stali. Waryam Singh został wydziedziczony i wyklęty przez rodzinę. Aby uniknąć odpowiedzialności, osiedlili się poza granicą Kapurthali, na terytorium zarządzanym przez Brytyjczyków, ale niezbyt daleko. Żyją jak zwykli rolnicy, choć w przeciwieństwie do większości chłopów mogą mieć pewność, że nigdy nie zazną głodu, ponieważ zarówno Bibi, jak i inni członkowie jej rodziny pomagają im finansowo. Dlatego stać ich było na ziemię. Bibi podziwia Gobind Kaur z całej duszy. W Indiach kobieta, która rezygnuje ze wszystkiego w imię miłości, jest wyjątkiem, niemal bohaterką. Dlatego, choć w Kapurthali nikt nie wymawia imienia Gobind Kaur ze względu na wciąż świeży skandal, jej historia obiegła całe Indie i znalazła miejsce w wyobraźni zbiorowej.

- Nie mów Jagatjitowi, że cię tu przywiozłam - prosi Bibi. - Nie zrozumiałby.

Anita kiwa głową, popijając herbatę podaną przez księżną w glinianych czarkach. Jest zamyślona, porażona. Uważnie obserwuje kobietę, która za swoją wolność zapłaciła naprawdę wysoką cenę. A ona sama? Czy któregoś dnia przyjdzie jej zrezygnować ze wszystkiego w imię swobody? Czy w końcu zyska akceptację, czy na zawsze pozostanie intruzem? Czy idylla z radzą będzie trwać w nieskończoność? Anita wciąż zadaje sobie pytanie, które kiedyś w Paryżu zadał jej Anselmo Nieto: „Czy naprawdę go kochasz?”. Jasne, że tak, odpowiada samej sobie. Przecież kiedy kilka dni wcześniej spadł z konia, śmiertelnie się przeraziła. Nic się wprawdzie nie stało, ale ten przestrah musiał wynikać z miłości, tłumaczy sobie. I nagle, gdy tak siedzi wpatrzona w słońce, które zachodzi ponad spowitymi błękitną mgiełką polami rzepaku, przez jej głowę przemyka inne pytanie. A jeśli pewnego dnia zakocham się w innym, tak

jak Gobind Kaur? Woli się nad tym nie zastanawiać, instynkt samozachowawczy każe jej odsunąć tę myśl. Tym bardziej że zaraz pojawia się wątpliwość, czy w ogóle kiedykolwiek była zakochana. Kochać radzę - to jedno, a być w nim zakochaną - co innego. W ich przypadku nie chodziło o żaden grom z jasnego nieba. Ona, Anita, nigdy nie poznała obezwładniającej siły uczucia, które każe zapomnieć o wszystkim, tak dobrze oddawanego przez andaluzyjskie pieśni. Czy można przeżyć życie, nie wiedząc, co znaczy umrzeć z miłości? Nie ulegając tej przemożnej sile? - Ram! Ram!

To pozdrawiają ich wracający do domów wieśniacy. O tej porze pola spowija magiczna aura. Ludzie mówią, że to „godzina krowiego kurzu”, ponieważ nad drogami unoszą się chmury pyłu wzbijanego przez setki kopyt. Niebo zabarwia się na bladoliliowy kolor. Zapach dymu z opalanych drewnem kuchni, na których kobiety zaczynają przyrządzać kolację, wypełnia ulice i rozpełza się po równinie. Mężczyźni w brudnych po całym dniu turbanach i longhi zmierzają w stronę swoich zagród. Psy poszczekują i skomlą, wyczuwając jedzenie. To pejzaż, zdawałoby się, wieczny w swej niezmienności. Nie ma nic piękniejszego niż wieczór na wsi w Indiach, myśli Anita.

## Rozdział dwudziesty piąty

W ciągu tego pierwszego roku Anita uczestniczy wraz z radżą w wielu najrozmaitszych uroczystościach. Święta religijne obchodzone są zazwyczaj w Amritsarze, przyjęcia odbywają się zaś w Lahore, stolicy Pendżabu, położonej trzy godziny jazdy samochodem od Kapurthali. Po miesiącach spędzonych w swoim ustroniu Anita nie może się nacieszyć gwarem i różnorodnością tego pełnego skarbów miasta. Otwarte, ożywione i eleganckie Lahore znane jest jako Paryż Wschodu. Bardziej kosmopolityczne niż Delhi od dawna cieszy się sławą najbardziej liberalnego ośrodka miejskiego w Indiach. W klubach Gymkhana czy Cosmopolitan bywają sikhowie, muzułmanie, hinduiści, chrześcijanie i parsowie. Panie z towarzystwa ubierają się jak francuskie siedemnastowieczne kurtyzany, a panowie - jak amanci niemego kina. Na koktajlach, kolacjach i balach wydawanych przez arystokrację i magnatów finansowych w podmiejskich willach nie dyskryminuje się nikogo. Jedynie w Punjab Club, ulubionym miejscu spotkań Anglików, zobaczyć można tabliczkę z napisem: „Tylko dla Europejczyków”. Dla Anity Lahore stanowi doskonałą odtrutkę na duszną, prowincjonalną atmosferę Kapurthali. Tu nie trzeba obawiać się plotek ani intryg knutych przez pozostałe cztery żony radży, które są „jak cztery teściowe”. W Lahore panuje atmosfera wielkiego miasta. Tu kwaterują brytyjskie oddziały, tu, w pałacu Mogołów, mieści się siedziba gubernatora Pendżabu.

Cotygodniowa wyprawa do Lahore zamieniła się w zwyczaj, którego Anita rygorystycznie przestrzega. To, obok jej konnych przejażdżek, rodzaj wentylu bezpieczeństwa. Radża, który zawsze ma coś do załatwienia w najważniejszym mieście regionu, zwykle zawozi ją tam jednym ze swoich rolls-royce'ów. Najbardziej jednak lubi Anita chwilę, kiedy zostaje sama, to znaczy w towarzystwie Dalimy, Loli albo dwóch czy trzech pokojówek do noszenia zakupów.

- Kiedy skończysz, przyjdź po mnie do gubernatora - mówi radża, wysadzając ją na ulicy złotników w dniu, w którym jego żona w związku ze zbliżającą się podróżą do Europy postanawia kupić prezenty dla rodziny.

Anita przesyła mu pocałunek i Jagatjit, ubawiony spontanicznością tego śmiałego gestu, uśmiecha się szeroko. Wkrótce potem kobiety nikną w tłumie wypełniającym zastawioną straganami uliczkę. Anita uwielbia gwar orientalnych bazarów, uwielbia oglądać, przymierzać i próbować, by po kilku godzinach ze świtą objuczonych pakunkami służących przemaszerować dumnie przez Mail, szeroką, europejską w stylu aleją, przy której mieszczą się



kawiarnie, bary, restauracje, eleganckie sklepy i teatry. Wobec mającego rychło nastąpić spotkania z rodzicami, którym chce pokazać synka, Anita ulega prawdziwej gorączce zakupów. Tak się cieszy, że czuje potrzebę, by zawieźć najbliższemu wszystko, co wpadnie jej w ręce, jak gdyby chciała w ten sposób podarować im kawałek spakowanych do pudełka i przewiązanych wstążeczką Indii. Dlatego z jeszcze większym niż zazwyczaj zapalem obchodzi sklepiki i stragany, wybiera złote bransolety, skrzyneczki z laki i kuferki z drewna sandałowego. Odwiedza też stoiska z perfumami, kupuje kadzidełka i flakony pełne egzotycznych esencji. Potem przychodzi pora na lśniące od cekinów pantofle i inne drobiazgi. Wreszcie Anita przystaje przed jedną z licznych wystaw z bronią, gdzie oprócz strzelb widać lance i kirpany, rytualne miecze Sikhów. Również Ajit będzie kiedyś nosił u pasa coś takiego...

Sprzedawcy kwiatów niemal toną w morzu nagietków i jaśminów. Herbaciarze oferują najróżniejsze rodzaje liści, od bladozielonych po całkiem czarne. Bosonodzy mężczyźni, przykucnięci na matach przed sklepikami, zachęcają do zakupu lśniących materii. Gdzieniegdzie przemykają kobiety w burkach, podobne zdaniem Anity do zakonnicek; ich oczy błyskają w wąskich szparach między zwojami tkanin. Niektóre stragany specjalizują się w sprzedaży rozmaitych zasłon: są małe i kwadratowe niczym chusteczki albo większe, rozmiarów szala; jedne mają zakrywać tylko czoło i nasadę nosa, inne, jak choćby burki, osłaniają całą postać. A wszystko dla obrony przed pożądanymi spojrzeniami mężczyzn.

Pałac gubernatora to dawna rezydencja księcia Asafa Khana, ojca Mumtaz Mahal, tej samej, dla której zbudowano Tadź Mahal. Okazały, a zarazem w dobrym guście, z eleganckimi, wysokimi i wąskimi oknami oraz wielkimi wewnętrznymi patiami, stanowi wspaniały przykład architektury hindusko-mogolskiej.

Anita, za którą podążają objuczone służące, staje przed angielskimi strażnikami w mundurach khaki.

- Któredy do biura gubernatora? - pyta.
- Przykro mi, miss, ale nie mogę pań wpuścić.
- Przyszłam po męża, który ma spotkanie z gubernatorem.
- Będzie pani musiała poczekać, aż skończą.
- Jestem księżną Kapurthali.
- Nie wątpię, ale i tak nie wolno pani przepuścić. Muszę przestrzegać regulaminu.

Gwałtowne protesty Anity rozbijają się o mur zimnej obojętności.

- W takim razie proszę wysłać kogoś, aby uprzedził mojego męża, że już jestem.

- Nie zostałem upoważniony, by przerywać jego ekscelencji spotkanie. Mogę pani najwyżej wskazać poczekalnię...

Nie ma wyboru: trzeba ustąpić i zmilczeć. Już po chwili Anita trafia do korytarza pełnego kobiet, w większości odzianych w burki. Po krótkim wahaniu przysiada, jak one, na twardej, niewygodnej ławie i czekając, po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, jak trudno w tym kraju być zwykłą kobietą.

Opuściwszy biuro, radża znajduje Anitę skuloną na ławie. Sam też jest w nie najlepszym humorze: znowu musiał znosić impertynencje gubernatora, który jak zwykle zastanawiał się, czy długi pobyt władcy w Europie nie zaszkodzi interesom Kapurthali, na co Jagatjit jak zawsze odparł, że zostawia kraj w dobrych rękach. Jeszcze gorzej zniósł wiadomość, że Anita nie ma prawa do tytułu jej wysokości ani księżnej poza wąskim kręgiem dworu w Kapurthali. Nie wolno jej też oficjalnie określać mianem spanish rani, choć właśnie jako taka znana jest w towarzystwie. „Rząd Indii nie uznał i nie uzna małżeństwa jego wysokości z Hiszpanką”, informuje list z kancelarii wicekróla, wysłany w odpowiedzi na prośbę radży, który domagał się ponownego rozpatrzenia statusu swojej nowej żony. Gubernator osobiście odczytał mu to pismo. Szczególnie zirytował Jagatjita końcowy dopisek, który każe przypuszczać, że w całej sprawie maczała palce Harbans Kaur. Brzmi on następująco: „Należy pamiętać, że również jej wysokość pierwsza żona radży odmawia uznania nowego związku męża”. Choć, jak przyznają autorzy listu, Anita została już przyjęta do towarzystwa, „żaden brytyjski urzędnik, bez względu na rangę, nie powinien utrzymywać z nią stosunków”. Zupełnie jakby była trędowata.

- Gdybym wiedział, co ją tu czeka, dobrze bym się zastanowił nad tym małżeństwem - powiedział gubernatorowi radża. - Nie wydaje mi się sprawiedliwe utrudnianie mojej żonie kontaktów z Europejczykami, których towarzystwo oboje wysoko sobie cenimy, a których większość tu, w Pendżabie, jest, niestety, związana z rządem.

- Rozumiem. Zdajemy sobie sprawę, że urok osobisty bardzo ułatwia pańskiej żonie zawieranie nowych znajomości i że obecne odgórne restrykcje pozostają w sprzeczności z praktyką. Sygnalizowałem to już wicekrólowi.

- Z jakim skutkiem?

- Problem w tym, że nie możemy robić wyjątków. Związek radży Jindu z OlMą van Tassel wywołuje te same trudności. Nie zgodzimy się przecież na tytuł: rani Ohvia... Podobnie mają się sprawy z radżą Pudokkatai, który poślubił

onegdaj Australijkę Molly Fink. Nie możemy akceptować tego typu małżeństw, chyba że zostaną spełnione pewne warunki. To kwestia zdrowego rozsądku...

- Zdrowego rozsądku? Zdrowy rozsądek nakazywałby się nie wtrącać w osobiste sprawy książąt!

- Proszę o trochę zrozumienia, wasza wysokość. Nasza postawa jest rozsądna i konsekwentna. Jak już mówiłem, rząd mógłby uznać małżeństwo indyjskiego księcia z Europejką, gdyby spełnione zostały pewne warunki. Po pierwsze, gdyby to była jego jedyna żona. Po drugie, gdyby uznano ją w kraju męża za władczynię, co w pańskim przypadku nie wchodzi w rachubę, ponieważ oficjalną księżną Kapurthali jest jej wysokość Harbans Kaur. Po trzecie, gdyby dzieci urodzone z tego związku miały prawo dziedziczenia. Tylko w takich okolicznościach jesteśmy zdolni do ochrony praw kobiety wychodzącej tu za mąż. Wszystko, co poza tym, byłoby sankcjonowaniem małżeństw morganatycznych, podkreślających wysoką pozycję mężczyzny ze szkodą dla kobiety. A na to, jako Europejczycy, nie możemy przystać.

To logiczne wyjaśnienie nie przekonało jednak radcy, którego pozycja jest o tyle niewygodna, że wymaga przeciwstawienia się naturalnym sojusznikom. Anglicy go wychowali i bronili jego interesów w trudnych chwilach. To oni są gwarantem jego władzy. W jakiejś części sam czuje się Anglikiem, choć czasem, tak jak teraz, buntuje się przeciwko temu z całej duszy. Nie potrafi znieść myśli o ograniczeniach. Jakim prawem zwykły urzędnik ma go pouczać, jak żyć? Jego, który jadł z królową Wiktorią kolację tete-a-tete w Balmoralu!

- Obawiam się, że zasady, którymi się szczycicie, a które mimo to zmieniacie w zależności od potrzeb, staną się kiedyś przyczyną pogorszenia tradycyjnie dobrych stosunków między wami a domem książęcym Kapurthali - oświadcza lodowato.

- To by było zaiste godne pożałowania, wasza wysokość, choć, oczywiście, musimy liczyć się z taką możliwością - odpowiada gubernator, przygryzając siwego wąsa. - Ale proszę pozwolić sobie przypomnieć - dodaje pojednawczym tonem - że odgórne zalecenia nie zawsze są stosowane w praktyce. Jestem pewien, że nic nie przeszkodzi waszej wysokości w prowadzeniu dotychczasowego trybu życia.

- Odgórne zalecenia, o których mówimy, są przykładem niewybaczalnej ingerencji w moje prywatne sprawy. I w oczywisty sposób muszą wpłynąć na mój tryb życia.

- Wasza wysokość, pozwolę sobie prosić pana o nieco więcej cierpliwości. Niewykluczone, że nowy wicekról rozpatrzy sprawę po raz kolejny. Osobiście będę zabiegał o przyznanie pańskiej małżonce wszystkich należnych jej

tytułów i honorów. Wszystko przez to, że mieszanych małżeństw jest coraz więcej. Stąd to zaostrzenie kursu...

W drodze powrotnej do Kapurthali Anita podejmuje temat rozmowy z gubernatorem.

- Nic się nie martw, mon cheri, już wkrótce wszyscy będą mi jedli z ręki, zobaczysz - pociesza męża.

Ale radza się martwi. Nie jest przyzwyczajony do konfrontacji - ani z rodziną, którą ma niemal w całości przeciwko sobie, ani z przyjaznymi jak dotąd Anglikami. Życie nie nauczyło go walki, zawsze po prostu rządził, nikomu się z niczego nie spowiadając. I wolałby, żeby tak zostało. Intuicja podpowiada mu, że z czasem sytuacja się unormuje, a na razie nic nie powinno mącić harmonii jego małżeństwa. Osobiście stworzył tę zachwycającą kobietę, która siedzi u jego boku, i być może tylko o to mu w życiu chodziło. Zamierza dzielić z nią życie, bez względu na to, co sądzą o tym jego inne żony bądź Brytyjczycy.

- W poniedziałek wypadają moje urodziny - mówi. - Chciałbym, żebyś wzięła udział w rodzinnej uroczystości, którą urządzamy co roku. Zbieramy się wokół świętej księgi, czytamy fragmenty i modlimy się.

- Myślałam, że wolisz, abym się tam nie pokazywała. Żeby nie ranić niczyich uczuć...

- Zmieniłem zdanie. To doskonała okazja, by pokazać, że nie będę dłużej tolerował afrontów wobec ciebie. Zasiądziesz w pierwszym rzędzie. Jako nowa rani Kapurthali. Oczywiście, jeżeli zechcesz.

- Mais hien sur, mon cheri.

## Rozdział dwudziesty szósty

Służba jest tak liczna, a sieć plotek tak gęsta, że trudno zachować cokolwiek w sekrecie. Prędzej czy później i tak wszyscy się o wszystkim dowiadują. Niektóre rzeczy są powszechnie znane, zanim jeszcze staną się faktem. Do uszu wiernej Dalimy dotarły plotki o wściekłości, w jaką wpadła Harbans Kaur, usłyszawszy, że Anita weźmie udział w rodzinnych obchodach. Decyzja radży sprawiła, że wojna wkracza w nową, bardziej otwartą fazę. Wojna tradycji, której strzegą żony, z wolą pana. Co przeważy: tysiącletnie zwyczaje czy miłość Jagatjita do Anity?

Ta ostatnia wolałaby zresztą nie uczestniczyć w ceremonii i unikać związanych z nią przykrości. Nie lubi być celem krytycznych spojrzeń i przedmiotem w oczywisty sposób mało pochlebnych komentarzy. Jeśli w Kapurthali toczy się wojna, ona, Anita, jest polem walki.

Mimo to zjawia się wraz z mężem w pałacu zajmowanym przez pozostałe żony, w którym nie była od czasu ślubu. Idzie dumnie wyprostowana, ubrana jak przystało na księżną, we wspaniałe sari zakrywające część twarzy, przyozdobiona klejnotami, które ofiarował jej radża. Na czole ma piękny szmaragd w kształcie półksiężyca. „Ponieważ ludzie się do siebie upodabiają, stopniowo zaraziłam się od męża upodobaniem do błyskotek i już wkrótce byłam posiadaczką pięknej kolekcji”, napisze później w dzienniku. Ów oryginalny szmaragd to najnowszy prezent, kaprys Anity, która czuje, że biżuteria stanowi jej jedyne zabezpieczenie. Od lat ozdabiano nim najstarszego słonia w książęcych stajniach, dopóki Anita nie zwróciła uwagi na to niezwykle cacko. „Kamień był zbyt piękny jak dla słonia, więc poprosiłam radżę, by mi go podarował”.

- Odtąd możesz się chwalić, że dla ciebie zdobędę nie tylko gwiazdkę z nieba, ale i księżyc - zażartował Jagatjit, wskazując niesioną przez sędziwego skarbnika srebrną tacę, na której spoczywai pięknie opakowany prezent. - Niemal wysiłku mnie to kosztowało.

Nie przesadzał. Oburzająca z punktu widzenia tradycjonalistów zachcianka Anity wywołała falę niepochlebnych plotek na dworze. Radża przeciwstawił się im, stając murem za żoną. „Wzięła sobie szmaragd słonia!”, powtarzano z niedowierzaniem. W ten sposób Jagatjit przekazywał informację, że dla Anity jest gotów na wszystko. Dlatego bardziej niż zwykły podarunek był to akt natury politycznej.

Anita, umiejętnie zachowując równowagę między dyskrecją a ostentacją, staje na wysokości zadania. Starannie przemyślała swój ubiór i makijaż. Chce

wyglądać olśniewająco, gdyż podświadomie wie, że uroda to jej największy atut. Bo jak odmówić księciu prawa do posiadania tak pięknej kobiety? Która hinduska żona się na to zdobędzie? Anita zaczyna pojmować logikę, którą rządzi się harem. Przecież wszystko kręci się tu wokół zadowolenia pana domu.

Ceremonia przebiega bez zakłóceń. Odbywa się w sali o ścianach ozdobionych kawałkami lusterek ułożonymi w kształt kwiatów. Światło świec ustawionych na ściennych ołtarzach odbija się w tysiącach odłamków. Jedyną, która pozdrawia Hiszpankę, jest jak zawsze miła i ciepła rani Kanari. Dopytuje się o jej synka i Anita, która opanowała już podstawy urdu, obiecuje, że któregoś dnia przywiezie go z wizytą. Rani Kanari wciąż jest atrakcyjną kobietą, mimo worków pod oczami i twarzy obrzmiałej od nadmiaru wytrawnego martini. Wszystkie żony gromadzą się wokół radży, zasiadają na jedwabiach i brokatach, wspierają się o poduszki z czerwonego aksamitu, by pod kierunkiem czcigodnego starca czytać świętą księgę i zanosić do Najwyższego modły o długie i pomyślne życie dla swego pana i władcy - harmonijna scenka godna dworu cesarza Mogołów, jednakże pod powierzchnią tego na pozór spokojnego morza burzą się gwałtowne prądy. Krzyżujące się w odłamkach lusterek ukradkowe spojrzenia pełne są ciekawości i urazy. Dziś promieniejesz, zdają się mówić, ale co będzie jutro? Co się stanie, gdy twoja gładka skóra straci ten porcelanowy połysk i zacznie świadczyć o upływie czasu, gdy ogień miłości przygaśnie, pozostawiając po sobie ledwie trochę żaru, a może i to nie...? Harbans Kaur wie, że to jedynie kwestia czasu: zgodnie z prawami natury każdy owoc dojrzewa, by spaść. Jej wysokość zna swego męża, jego skłonność do kaprysów i rozpusty. I ma tylko nadzieję, że radża, zanim otrzeźwieje, nie narobi zbyt wielu głupstw. Co jeszcze jej ofiarował, o czym my nie wiemy, zastanawia się, zerkając na półksiężyc zdobiący alabastrowe czoło „tamtej”. Dlaczego upiera się, by ją wszędzie ze sobą ciągnąć, pokazywać jak cyrkową atrakcję? Czy nie rozumie, że to szkodzi jego pozycji?

Harbans Kaur myśli tak, jak myśleli jej przodkowie. Jednakże zachowanie Jagatjita szkodzi jego pozycji wyłącznie w oczach najzagorzalszych tradycjonalistów, mieszkających gdzieś w odległych himalajskich dolinach, w górach lub na pustyniach Radżasthanu. Gdzie indziej Indie się zmieniły, ale pierwsza żona radży o tym nie wie. Skąd ma wiedzieć, skoro odbyła w życiu tylko jedną podróż: z położonego w dolinie Kangra domu rodziców do pałacowej zenany.

Harbans Kaur nie wie też, że Anita wzbudza zachwyt, gdziekolwiek się pojawi, że księżęta walczą o miejsce u jej boku i przywilej słuchania przy kolacji jej gruchającego śmiechu, i że niektórzy padli nawet ofiarą jej

wdzięków, jak plotkują złośliwcy o nizamie Hajdarabadu. Sława uroczej i oryginalnej piękności rozprzestrzenia się po sąsiednich księstwach, które młoda para odwiedza w ciągu pierwszego roku po ślubie. Anita uosabia hołubiony przez wielu ideał: jest młoda, zabawna i świeża. Jako przyjaciółka i kochanka zarazem stanowi przeciwieństwo takiej na przykład Harbans Kaur, której purdah zabrania utrzymywania kontaktów towarzyskich z mężczyznami.

Jest też dość śmiała. Nie wstydzi się pytać o to, czego nie rozumie. Pewnego razu, w czasie oficjalnego bankietu na siedemdziesiąt osób, przy kapiącym od złota stole zwraca się do siedzącego po jej prawej stronie gospodarza, nababa jednego z sąsiednich państweczek:

- Wasza wysokość, dlaczego je pan szynkę i pije szampana, skoro, o ile się nie mylę, zabrania tego wyznawana przez pana religia? Bo jest pan przecież szytą, prawda?

Jej bezpośredniość w połączeniu z zabawnym akcentem i błędami, jakie popełnia, próbując mówić w urdu, sprawiają, że zaskoczony zrazu nabab wybuchając serdecznym śmiechem i odpowiada po cichu, mrugając porozumiewawczo:

- Prawda, Anito, ale widzisz, w ten sposób sprawdzam, dokąd sięga moja władza: nadaję potrawom i napojom nowe nazwy. Wieprzowinę nazwałem bażantem, a szampana lemoniadą, więc nie może być mowy o żadnym grzechu.

Po czym każe lokajom dolać sobie i swojemu uroczemu gościowi. Jak wielu jemu podobnych, nabab ów żyje poza dobrem i złem. Cóż znaczą wyznaniowe zakazy dla kogoś, kto uważa się za potomka bogów? Reguły są dla ludzi, nie dla takich jak on.

Również Bhupinder Singh, zwany Wspaniałym, nie pozostaje obojętny na wdzięki Hiszpanki i podczas przyjęcia, które wydaje na część nowego wicekróla i jego małżonki, wita Anitę tak wylewnie, jak gdyby znali się od zawsze. Pragnie nawet posadzić ją tuż obok siebie, lecz angielski szef protokołu kategorycznie mu tego zabrania. Bhupinder i Anita są równolatkami i oboje stoją kością w gardle Brytyjczykom: Anita, ponieważ wyszła za księcia, Bhupinder zaś ze względu na swe naganne prowadzenie się. Wieść o erotycznych zabawach w pałacowym basenie dotarła aż do Anglii, a plotki o małoletnich dziewczinach i obrzędach przed posągami bogini Koul spędzają kolonialnym władzom sen z powiek. Do tego stopnia, że oficjalne wstąpienie Bhupindera na tron odłożono do czasu, „aż jego wysokość zacznie się lepiej sprawować”. Zachodzi obawa, że młodzieniec pójdzie w ślady ojca, ulegając jak najgorszym skłonnościom. Gubernator Pendżabu ostrzega w listach, że „mężczyźni z tej rodziny, jeśli zejdą na złą drogę, niechybnie dążą ku ruinie”.

Dlatego Bhupinder nie obejmie władzy, dopóki nie udowodni, że potrafi zadbać o losy kraju. Młody książę udaje więc poprawę i w ramach polepszania stosunków z Brytyjczykami zaprosił do Patijali nowego wicekróla, lorda Minto wraz z żoną, jak również licznych przyjaciół, wśród których nie mogło, oczywiście, zabraknąć Jagatjita Singha i Anity. Dla tej ostatniej Patijala to Kapurthala pomnożona przez sto. Wielkość pałacu, „który nigdy się nie kończy”, jak pisał Kipling, rozmiary ogrodów, jeziora i basenu, setka luksusowych samochodów, dzikie zwierzęta na łańcuchach w cieniu mangowców - wszystko to budzi w niej podziw. W tym królestwie rozpasania sam Bhupinder wydaje się jak najbardziej na miejscu.

Lord i lady Minto, już pod wrażeniem tego „młodzieńca, który mierzy niemal dwa metry, waży sto kilo i nosi się z bajecznym przepychem”, z zadowoleniem oglądają paradę setek wspaniale umundurowanych i wyekwipowanych sikhijskich żołnierzy. Nie mniejszą przyjemność sprawia im mecz polo, któremu oprócz nich przypatruje się dziesięć tysięcy widzów. Polowaniom i uroczystym kolacjom nie ma końca. Wreszcie pewnego dnia, spacerując nad jeziorem, lady Minto zwraca uwagę na posąg ustawiony tam z woli Bhupindera. Rzeźba przedstawia królową Wiktorię, u której stóp można odczytać, - co następuje: Wiktorja, Królowa Anglii, Cesarzowa Indii, Matka Narodu”.

- Czy to nie najwyższy dowód lojalności? - pyta żona wicekróla, inicjując w ten sposób proces rehabilitacji niesfornego maharadży.

Angielscy urzędnicy odpowiedzialni za kwestie protokolarne robią, co mogą, by odsunąć Anitę od dam z towarzystwa, a nawet w ogóle zataić jej obecność. Rozkaz to rozkaz. Jednakże ich starania przynoszą wręcz odwrotny skutek: rozbudzają powszechną ciekawość. Jak się okazuje, damy, które nie szczędzą Hiszpance lekceważących słów, w głębi duszy umierają z ciekawości, by ją poznać, a przynajmniej rzucić na nią okiem. Co w niej takiego jest, że tyle się o niej mówi? Czy naprawdę okaże się taka ładna? Czym urzekła radzę? Cóż, należy mieć nadzieję, że nie skończy jak Florrie Bryan! Komentarze sypią się jeden za drugim, nieprzychylne, lecz pełne ciekawości spojrzenia przeczesują pałacowe galerie w poszukiwaniu charakterystycznej twarzy. Gości zjechało się jednak tyłu, a ponadto w pałacu pracuje tyle interesujących osób, że Anita prawie nie zauważa pojedynczych afrontów. W gruncie rzeczy czuje się tu wolna jak nigdzie indziej. Gdyby ten świat się dla niej skończył, istnieje inny, do którego zawsze można wrócić: rodzina i przyjaciele w Hiszpanii. Myśl o nich to najlepszy sposób na samotność, która czai się jak tygrys w gałęziach



bananowca. Poza tym miło jest być obiektem zainteresowania tylu osób, to łechce kobiecą próżność. W Anicie, dawnej Kamelii, budzi się gwiazda.

Dlatego udaje, że niczego nie zauważa, i jak gdyby nigdy nic spędza czas, grając w tenisa z Sister Steele, szefową pałacowych nianiek, korpulentną, zdecydowaną i gadatliwą pół Hinduską, pół Angielką. Jej zadaniem jest nadzór nad dziećmi, które osiemnastoletni Bhupinder ma już z czterema żonami, a także z niezliczonymi pokojówkami żon. Towarzystwa dotrzymuje Anicie również Anglik Tweenie, specjalizujący się w rolls-royce'ach i zatrudniony przez maharadżę na stałe mechanik, który dba o zgromadzoną przez niego flotyllę aut. Znany jest z niezawodnego serwisu i uzależnienia od herbaty, której wypija ponad trzydzieści filiżanek dziennie. Sympatyczny okazuje się też nadworny fotograf, Niemiec Paoli, ostrzyżony na zapalkę milczek w okularach w metalowej oprawce, który przez cały dzień przechadza się wśród gości z kamerą i trójnogiem, by od czasu do czasu pstryknąć pamiątkowe zdjęcie. Najwięcej radości sprawia jednak Anicie zaskakująca w Patijali obecność Hiszpana, podpułkownika Frankiego Camposa, który prosi na wstępie: - Mów mi Paco.

Paco piastuje odpowiedzialne stanowisko: to nazaam lassi khaana, szef książęcych kuchni. Brat zamieszkałego w Rzymie kardynała, odznacza się zmysłem praktycznym i dowcipem, ale także popędliwością, która czyni zeń postrach kuchcików. Wpada w furję z lada powodu, co zresztą nie dziwi, zważywszy że ma pod swoimi rozkazami dziewięćdziesięciu pięciu ludzi, którzy dzień w dzień przygotowują wykwintne potrawy dla setek gości i domowników. W dodatku dania muszą odpowiadać wszelkim gustom i spełniać wymogi kilku religii: hinduiści nie jedzą mięsa w ogóle, muzułmanie - wieprzowiny, Europejczycy zaś domagają się potraw ze Starego Kontynentu. Do tego trzeba zapanować nad osobistymi kucharzami niektórych szczególnie ortodoksyjnych radżów, którzy boją się, by ich jedzenie nie zostało skażone kontaktem z przedstawicielami niższych kast. Frankie Campos zamienia się więc w tych warunkach w prawdziwego dowódcę przygotowującego strategię i wydającego komendy. Wieść niesie, że znalazłszy włos na talerzu, uważnie przygląda się głowom kuchcików, a po wykryciu winnego każe ogolić go na łyso, nawet jeśli rzeczony kuchcik należy do służby któregoś z gości. Paco nie bawi się w dyplomację.

Trafił do Patijali wprost z popularnego wśród indyjskich książąt londyńskiego hotelu Savoy. Tam poznał Bhupindera i skusił się na wspianie płatną posadę. Ożeniony z Angielką i wciąż bardzo w niej zakochany, przeżył okropny wstrząs na wieść, że jego najdroższa żona wdała się w romans z

brytyjskim oficerem poznanym na statku, który wiozł ją do Indii. Od tej pory Campos żyje nadzieją, że któregoś pięknego dnia wiarołomna ta niewiasta zapuka do jego drzwi i będzie błagać o przebaczenie. Tymczasem gorzknieje w samotności, a jego wybuchy kończą się niekiedy napadami nieukojonego płaczu.

- Jeśli księżna pozwoli, jutro przyrządzę na jej cześć indyjską paellę... - oświadcza.

Znajomość ta uprzytamnia Anicie, że powoli zapomina ojczystego języka. Wciąż wtrąca do rozmowy francuskie albo angielskie wyrazy. Przerażona swoim odkryciem jeszcze tego samego wieczoru pisze do rodziców z prośbą, by przywieźli jej do Paryża, gdzie wkrótce mają się z nią spotkać, Historię Hiszpanii i „Don Kihota, bo chyba niedługo nie będę umiała porozumieć się po hiszpańsku”.

Radża, który poprosił o prywatną audiencję u lorda Minto, zostaje powiadomiony, by przybył „bez towarzystwa”. Spotkanie trwa krótko i poświęcone jest głównie nowym pomysłem wicekróla, pragnącego skłonić Hindusów do aktywniejszej współpracy z rządem. Na koniec Jagatjit porusza kwestię statusu swojej żony. Lord Minto obiecuje zrobić w tej sprawie, co w jego mocy, choć uprzedza, że wydane przez jego poprzednika, lorda Curzona, prawo, zgodnie z którym dzieci ze związków mieszanych nie mogą dziedziczyć tronu, pozostanie w mocy z woli króla.

- To dla mnie bez znaczenia, ekscelencjo. Dziedzicem tronu Kapurthali i tak będzie mój pierworodny syn. Chcę tylko, by uznano moje małżeństwo i cofnięto wprowadzone wobec mojej żony restrykcje.

Wicekról próbuje zbyć go gładkimi słówkami, aż wreszcie zniecierpliwiony radża przypomina mu wypowiedź księcia Walii, który podczas wizyty w 1906 roku publicznie zganił brytyjskich urzędników za wyniosłość okazywaną indyjskim książętom.

- Ekscelencjo, pozwolę sobie zauważyć, że nasz cesarz życzył sobie, byśmy byli traktowani jak partnerzy, a nie jak banda uczniów.

Co rzekłszy, Jagatjit żegna się i wychodzi, swoją wojowniczą postawą wprawiając lorda Minto w prawdziwe osłupienie. Sam, jak zwykle po tego typu rozmowach, jest rozczarowany i wściekły. Ci Anglicy, zimni i nieugięci jak stal, przekraczają wszelkie granice arogancji. Co chcą w ten sposób osiągnąć?

\* \* \*

Tymczasem Anita wbrew wszystkiemu wygrywa kolejne bitwy. Ostatnie przyjęcie, w którym uczestniczą przed wyjazdem do Europy, odbywa się w pałacu gubernatora w Lahore, jego ekscelencja pragnie bowiem ugościć

pendzabskich książąt. Conrad Corfield, młody urzędnik Indian Civil Service, instytucji, w której pracują wyłącznie najlepsi, ma zadbać o to, by hiszpańska rani nie rzucała się w oczy przedstawicielom rządu. „Postarałem się więc, żeby obok miejsca, gdzie miała siedzieć”, pisał później Corfield, „stały wielkie donice z palmami. Niestety, ujrawszy owe palmy, Anita po prostu usiadła gdzie indziej. Dlatego żona gubernatora, bardzo ciekawa osoby, wokół której narobiło się już tyle szumu, wszedłszy do sali, mogła pozdrowić ją skinieniem głowy. Anita bardzo się ucieszyła, ja zaś otrzymałem reprimendę za nieudolność w opanowywaniu zaistniałej sytuacji”.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Radza wie, że kiedyś było inaczej. Kiedyś, w tej odległej epoce, gdy Anglicy nie zamykali się swoich koszarach, fortach, pałacach i dzielnicach, przerażeni na samą myśl, że ktoś mógłby wejść z nimi w głębszą interakcję. W epoce, gdy Brytyjcy wicekrólowie nie starali się za pomocą pokrętnych praw budować barier między Europejczykami a Hindusami. Wtedy, na początku brytyjskiej kolonizacji, było zupełnie na odwrót: ludzie mieszały się jak w tyglu, a granice między kulturami ulegały zatarciu.

Anglicy, którzy zjeżdżali wówczas do Indii, w niczym nie przypominali tych aroganckich, zadufanych w sobie wicekrólów i gubernatorów o wiktoriańskiej mentalności, zdolnych marnować energię na ograniczanie swobody osiemnastoletniej Hiszpance. Owszem, przywozili ze sobą pewną kulturę, bardziej purytańską i surową niż hinduska, ale nie trafiali bynajmniej na dziewiczy kontynent zamieszkały przez świeżo wyrosłych z neolitu analfabetów. Przeciwnie, przybywali do kraju o wielowiekowych tradycjach zrodzonych z fuzji rozmaitych grup etnicznych i religii; kraju cywilizacyjnie zaawansowanego, a zarazem tolerancyjnego dla innych.

Owi pierwsi przybysze przejmowali zwyczaje lokalnych elit. Brali sobie na przykład towarzyski, tak zwane bibi. Były to dziewczęta ze wszystkich sfer społecznych, od córek znamienitych rodów po dawne niewolnice, a nawet prostytutki. Na ogromnym terytorium podzielonym na odrębne królestwa i księstwa nie brakowało też kurtyzan. Trafiały się wśród nich prawdziwe artystki, jak choćby Ab Begum, która pojawiała się na balach w siedemnastowiecznym Delhi całkiem naga, lecz nikt tego nie zauważał, ponieważ malowała sobie na ciele ubranie, łącznie z bransoletami.

Jagatjit żywi do Anglików skomplikowane uczucie stanowiące mieszaninę miłości i nienawiści. Podziwia ich, a zarazem trochę nimi pogardza. Bo jak mogli zapomnieć, czego Indie nauczyły ich nieokrzesanych przodków? Poczynając od higieny. Nie kto inny, tylko owe pogardzane dziś bibi uświadomiły im przecież korzyści płynące z regularnej i częstej kąpieli, zwyczaju w ówczesnej Europie niemal nieznanego. Początkowo wylewali na siebie, wzorem Hindusów, wiadra wody, aż w końcu naprawdę zasmakowali w tych codziennych ablucjach. Ostatecznie nawet słowo szampon pochodzi z języka hindi, w którym oznacza masaż. Jak mogli zapomnieć, że ich pradziadowie uwielbiali swoje bibi, zawdzięczając im porządek w domu, opiekę w chorobie i, przede wszystkim, znajomość miłosnych technik zawartych w Kamasutrze. Wiele pozycji w Indiach uważanych za normalne, w

Wielkiej Brytanii uchodziło w owym czasie za grzeszne lub perwersyjne. W porównaniu z młodymi Hindusami zdolnymi przedłużać rozkosze stosunku niemal w nieskończoność, przybysze z Europy okazywali się niezdarnymi prostytutkami. Nazywano ich nawet „kogucikami”, ze względu na zbyt ni pośpiech w miłości. Dopiero dzięki indyjskim kochankom podszkolili swe umiejętności i mogli popuścić wodze erotycznym fantazjom. Dumni Anglicy, władcy świata... Jak mogli zapomnieć, że ich rodacy właśnie w Indiach zrzucali skóry i żelazo, by przywdziewać jedwabie i złotogłowie, zaczęli doceniać grę na cytrze, uczyli się języków, żucia betelu i zgodnego z etykietą jedzenia palcami: ryż tylko prawą ręką, bo lewa zarezerwowana była, na hinduską i muzułmańską modłę, dla higieny osobistej.

Skrajnym przykładem tej odbywającej się na szeroką skalę akulturacji był bez wątpienia Thomas Legge, Irlandczyk, który po śmierci żony odsunął się od świata i został fakirem. Wzorem hinduskich ascetów żył z jałmużny i spał w grobowcu na pustyni w Radżasthanie. Całkiem nagi, z trójzębem Sziwy w dłoni, wstrzymywał oddech i oddawał się medytacji.

Z kolei George Thomas, archetyp europejskiego poszukiwacza przygód, tak długo służył radżom z północy, aż w końcu dochrapał się własnego księstwa w zachodnim Pendżabie i kazał się tytułować radżą Haryany\*, choć w Anglii prześmiewczo nazywano go radżą Tiperrary.

\* Jego losy stały się inspiracją dla Kiplinga przy pisaniu Człowieka, który chciał zostać królem.

Zbudował sobie pałac, bił własną monetę i zgromadził całkiem spory harem. Do tego stopnia zżył się ze swoim nowym krajem, że zapomniał ojczystego języka i pod koniec życia mówił już tylko w urdu. Jego syn, Jan Thomas, został później znanym poetą, deklamował z uczuciem wiersze Omara Khayyama i nie mogło go zabraknąć na żadnej mushaira w starym Delhi.

Miejscowym wpływom ulegali najwyżej nawet postawieni przedstawiciele rodzącego się imperium. Jagatjit chętnie przypominałby lordowi Minto, że pod koniec epoki Mogołów sir David Ochterlony przyjmował interesantów rozparty na poduszkach, z nargilami pod ręką, ubrany w jedwabną tunikę oraz mogolską czapkę i wachlowany przez służących pawimi piórami. Co wieczór przejeżdżał przez miasto ze swoimi trzynastoma żonami, z których każda dosiadała własnego, pięknie przybranego słonia. Choć jednak żył jak wschodni książę, skutecznie dbał o interesy Kompanii. W owym czasie to, co było dobre dla Anglii, było dobre również dla Indii. I vice versa.

W pewnym wszakże momencie Anglicy zdali sobie sprawę, że postępujące zbliżenie kultur nie leży w interesie imperium, grożąc wytworzeniem się

osobnej grupy Anglo-Hindusów zdolnych z czasem przejąć władzę, jak to się stało w Ameryce. Dlatego mentalność przybyszów zaczęła ulegać powolnym przemianom i społeczność brytyjska nabrała stopniowo poczucia wyższości. Uprzedzenia rasowe, duma, arogancja i purytanizm zastąpiły ciekawość świata i tolerancję. Ciężkie czasy nastały dla tych, którzy okazywali zbyt żywy entuzjazm wobec swych hinduskich żon czy lokalnych zwyczajów. Dzieci z mieszanych związków nie mogły już zgodnie z prawem pracować dla Kompanii Wschodnioindyjskiej ani wstępować do wojska, chyba że ktoś wyrażał życzenie, by zostać „trębaczem, doboszem lub kowalem”. Nie wolno im też było studiować w Wielkiej Brytanii. Nieco później weszło w życie zarządzenie zakazujące urzędnikom noszenia ubiorów innych niż europejskie - żegnajcie więc wygodne pantofle, piżamy (które odtąd służyć miały wyłącznie do spania), szerokie kurty idealne na długie upały. Armia brytyjska wprowadziła regulamin w praktyce uniemożliwiający oficerom uczestnictwo w barwnych obchodach święta Holi, najważniejszego w hinduskim kalendarzu, a pewnemu Szkotowi, założycielowi Hinduskiego Kolegium w Kalkucie, gdy zmarł na cholere, odmówiono nawet chrześcijańskiego pochówku, argumentując, że był już bardziej hinduistą niż anglikaninem.

Hinduskie bibi coraz rzadziej wymieniano w testamentach, aż w końcu zaczęto je zupełnie pomijać przy podziale majątku. Nowi pracownicy Kompanii robili zaś wszystko, by skutecznie ośmieszać swoich zżytych z Indiami poprzedników. Zanikł nawet rozpowszechniony wcześniej wśród białych zwyczaj palenia nargili. Europejczycy przestali interesować się kulturą subkontynentu, jak gdyby doszli do wniosku, że nic ich już z tej strony ciekawego nie spotka. Indie zamieniły się w rodzaj eldorado, krainy, którą należy podbić i zawłasczyć, nie przejmując nic z jej tradycji. William Palmer, angielski bankier ożeniony z begum i żyjący jak mogolski książę, naraził się u początków dziewiętnastego wieku na reprimendę, gdyż odważył się napisać: „Nasza arogancja i niesprawiedliwość nie przyniosą nam nic dobrego. Indie zjednoczą się i powstaną przeciw naszej władzy. Już podnoszą się głosy buntu...”. Pięćdziesiąt lat później, w 1857 roku, powstanie Sipajów potwierdziło tę diagnozę i położyło kres wzajemnej ufności, jaka istniała niegdyś między dwoma narodami, dwoma światami.

Od tego czasu drogi Wschodu i Zachodu rozchodziły się coraz bardziej i teraz Anita z radżą ponoszą tego konsekwencje. Ze Hindus miałby może ochotę zamieszkać w Europie i nosić garnitur z krawatem - to nikogo nie dziwi, ale żeby Europejka wychodziła za radżę, przeprowadzała się do Indii, ubierała w sari i żyła wedle swojego widzimisię - to już skandal. Francuzi mogą przewozić

z Angkoru do Paryża całe świątynie, lecz pomysł radży, by sprowadzać do Kapurthali francuskie rzeźby uchodzi za ekscentryczność. Czyżby rację miał Kipling, pisząc: „Wschód to Wschód, Zachód to Zachód i nie ma mowy o żadnym spotkaniu”? Radża woli myśleć inaczej. Echa szczęśliwszej przeszłości pozwalają żywić nadzieję na pogodzenie dwóch skłóconych światów. O nim właśnie marzy Jagatjit od czasu swojej pierwszej podróży do Europy i Ameryki. Jemu w miarę swoich skromnych możliwości zamierza poświęcić życie.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Wreszcie nadchodzi dzień wyjazdu w pierwszą podróż do Europy. Lola już od tygodnia miota się nerwowo po całym domu i chwilami można odnieść wrażenie, że z emocji uleci pod sufit - rzecz przy jej tuszy mało jednak prawdopodobna. Oto okazja, by wrócić do Malagi, skąd ona, Lola, nie ma zamiaru się ruszać do końca życia - tak przynajmniej zapewnia. Już zapomniała, co znaczy być służącą w Hiszpanii: nie dojadać, nie dosypiać i znosić ciągle połajanki. Z dystansu wszystko wygląda różowo. Lola nie cierpi Indii, pikantnych potraw, upałów, wszechobecnych owadów i osamotnienia. Tyle że właśnie w Indiach żyje jak królowa. Gdzie indziej pokojówki rzadko mieszkają własne służące i kucharki. Jednakże Anita już od dłuższego czasu straciła do niej cierpliwość i marzy tylko o tym, by się jej pozbyć.

Do Europy wraca również Mme Dijon i z nią akurat dużo trudniej będzie się rozstać. Okazała się świetną nauczycielką i godną zaufania towarzyszką. Bez niej życie w Kapurthali stanie się znacznie bardziej samotne i trudne.

Mąż Dalimy początkowo nie zgodził się na jej wyjazd. Chodzą słuchy, że miała poważne kłopoty w domu, ale ona sama jest tak dyskretna, że nie zdradza się z tym ani słowem. Może zresztą jej nie wolno. Podobno mąż zagroził nawet, że ją odprawi, gdyby uparła się na tę podróż. Ponieważ jednak Anita nie potrafi się bez niej obejść, podobnie zresztą jak Ajit, dla którego stała się drugą matką, mężowi zaproponowano szczodłą rekompensatę. A że z kolei Dalima nie potrafi się obejść bez swojej córeczki, również i ona wejdzie w skład trzydziesto-pięcioosobowej świty.

Dwa dni przed wyjazdem zjawia się Bibi. Jej niedbały strój i rozpaczliwe spojrzenie rozbitka każą przypuszczać, że coś się stało.

- O co chodzi, Bibi? - zagaduje Anita, porządkując rozrzucone po sypialni ubrania. Trzeba się nie tylko spakować, ale i przygotować resztę rzeczy do przeprowadzki: nowy pałac jest już prawie gotowy, więc zainstalują się w nim od razu po powrocie z Europy.

Przycupnięta na brzegu łóżka Bibi już otwiera usta, by odpowiedzieć, gdy nagle wybucha płaczem.

- Bibi! Mów, na Boga! - woła Anita, spodziewając się najgorszego: ktoś umarł, zachorował...?

- Nie powinnam rozpaczać z takiego powodu... - szlocha Bibi. - Myślałam, że rodzice wyślą mnie z powrotem do Anglii, na uniwersytet. Ale powiedzieli, że nie... Że ostatecznie są przeciw.



Anita nie wie, jak się zachować. Współczuje przyjaciółce, a zarazem nie rozumie, jak ktoś tak silny i energiczny może płakać z równie, jej zdaniem, błahego powodu.

- A nie możesz studiować w Lahore?

- Dziewczętom nie wolno uczyć się w college'ach, a prawdziwego uniwersytetu i tak tam nie ma... Ojciec mówi, że dziewczynie niepotrzebne studia. Życzą sobie, żebym wyszła za mąż i przestała zawracać głowę.

Zapada milczenie, którego Anita nie ma odwagi przerwać.

- Ja nie chcę żyć w ten sposób, Anito. Chcę zrobić coś dla siebie samej. Co w tym złego?

- Ale sprzeciwiać się ojcu...

- Właśnie.

Bibi uspokaja się i popada w zadumę. Anita podaje jej chusteczkę.

- Spędziłam dziesięć lat w angielskiej szkole z internatem, Anito. Czuję się Hinduską, ale moje miejsce jest tam. Co pocznę ze swoim życiem w tej dziurze? Kocham Pendżab, mam tu świetne warunki, ale się duszę.

- Chcesz, żeby radża porozmawiał z twoim ojcem?

- Och, tylko nie to! Jeszcze by pogorszył sprawę. Zresztą, znam rodziców i wiem, że nie ustąpią. Ich zdaniem moja edukacja dobiegła końca. Umiem grać na fortepianie, grać w tenisa i mówić po angielsku bez akcentu. To im wystarczy. Ale mnie nie. Oni nie wierzą, żeby wiedza mogła się do czegoś przydać. Uważają, że to, co pomocne dla innych, jest wulgarne.

- W Hiszpanii mówimy, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - mówi Anita, nie podejrzewając nawet, że w przypadku Bibi Amrit Kaur słowa te nabiorą wyjątkowo głębokiego znaczenia. - Nie zadreńczaj się tak, kochana, wszystko będzie dobrze...

- Miłej podróży, Anito. Będę za tobą tęsknić - wzdycha, obejmując ją, Bibi.

Bibi zawsze zaskakuje. Jest zarazem Hinduską i Europejką, panią z towarzystwa i samarytanką. Biedactwo, musi się czuć bardzo osamotniona, myśli Anita, patrząc, jak przyjaciółka dosiada konia i znika za bramą. Rozumie ją doskonale, bo sama również żyje między dwoma światami, nie należąc w pełni do żadnego. Nic tak nie łączy ludzi jak poczucie wyobcowania, inności, wykorzenia. Nic tak nie cementuje przyjaźni jak zrozumienie dla cudzej samotności.

\* \* \*

Jakże inny wydaje się tym razem Bombaj! Poprzednio, zaraz po przyjeździe do Indii, Anita czuła się onieśmielona jego gwarem. Teraz potrafi docenić jego imponującą, kolonialną architekturę, rojny port i tłumne bazy, których

zapachy nauczyła się już rozróżniać. Rozpoznaje woń zdobiących uliczne ołtarzyki tuberoz, pikantny aromat papryczek chili smażonych w sosie curry, słodkawe opary ghi, klarowanego masła używanego przez cukierników, i niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek odór bidi, palonych przez biedotę papierosów z tytoniowego liścia wypełnionego czym popadnie. Umie zgadnąć, kto pochodzi z południa, a kto z północy, na pewno nie pomyli bramina z marwarim\*, sikha z parsem ani muzułmanki bohra z szytką.

#### \* Kasta handlarzy.

Wie, co to meczet czy gurdwara, i który z żebraków naprawdę potrzebuje wsparcia, a który tylko udaje kalectwo. Na straganach obok hotelu, kupując ostatnie upominki, targuje się jak trzeba. A kiedy wyrywa jej się słowo w urdu czy hindi, sprzedawcy składają przed nią dłonie jak przed jedną z bogiń hinduskiego panteonu, rzadko się bowiem zdarza, by biała kobieta знаła choć jedno słowo w którymkolwiek z miejscowych języków.

Bombaj to prawdziwe wrota Indii, stąd już tylko dwadzieścia dni statkiem do Europy. Dla jak najlepszej ochrony przed słońcem radza zarezerwował najlepsze kajuty na „S/s America, okręcie angielskiej spółki P&O, Peninsular and Oriental. Podróż przebiega spokojnie, bez nieprzyjemności, jakie Anita pamięta ze swego pierwszego rejsu. Koncerty o zmierzchu, partie bingo i pogawędki z innymi pasażerami - w większości spragnionymi widoku ojczyzny - sprawiają, że czas się nie dłuży.

W Marsylii, widząc słoczonych na nabrzeżu fotografów i dziennikarzy, z niejakim zdziwieniem przekonują się, że są w Europie sławni. Radzę irytuje impertynencja niektórych reporterów, Anita natomiast stara się odpowiadać na ich pytania, choć czasami sporo ją to kosztuje.

- Czy księżna rzeczywiście je na co dzień mięso węża?
- Czy Ajit zostanie królem?
- Czy to prawda, że żyje pani zamknięta w haremie? - Jak układają się pani stosunki z innymi żonami?

Spokojne odpowiedzi Anity, spoza których przebiera zwyczajne życie, zdają się budzić rozczarowanie. Każdy wolałby słuchać o barbarzyńskich zwyczajach, zaskakujących sukcesjach i pikantnych szczegółach. Mimo to historia Andaluzyjki przemienionej w księżniczkę z Baśni z tysiąca i jednej nocy wzbudza wielkie emocje.

Na paryskim dworcu Austerlitz sytuacja się powtarza, ale wśród całego tego tłumu dokuczliwych pismaków i objuczonych tragarzy, za zaporą z wózków ze stertami bagażu Anita dostrzega nieco przygarbioną sylwetkę ojca, don Angela Delgado, któremu towarzyszy dona Candelaria, a także Victoria, mieszkająca z

mężem Amerykaninem i w stolicy Francji. Państwo Delgado przyjechali specjalnie na spotkanie z córką, ponieważ radża nie ma czasu na wizytę w Hiszpanii. Wyglądają, jakby się skurczyli, myśli zaskoczona Anita. Są niżsi i szczuplejsi, choć lepiej ubrani niż kiedyś: ojciec ma na sobie szary pilśniowy cylinder, a matka karakułowy płaszcz i kapelusz ze strusimi piórami. Za nimi stoi Victoria z dużym brzuchem. „Rodzice nie przestawali ścisnąć i całować Ajita, którego nazywali «Hinduskim». Victoria nie odrywała od niego spojrzenia, obsypując go nieustannymi pieszczotami i myśląc pewnie, że już wkrótce będzie trzymała w ramionach podobnego, tyle że własnego...”.

Mając bliskich przy sobie, Anita najchętniej zrezygnowałaby z życia towarzyskiego. Po raz pierwszy męczą ją kolacje u arystokratycznych przyjaciół męża. Wykapawszy synka przy pomocy Dalimy i ułożywszy go do snu, tysiąc razy wolałaby zostać z rodzicami. Małe przyjemności macierzyństwa stanowią doskonałą przeciwwagę dla światowych rozrywek. Ale cóż, jako najbardziej rozrywana para w mieście muszą bywać. Zresztą radża uwielbia znajdować się w centrum zainteresowania i korzysta z okazji, by u swoich markizów i hrabiów zawierać znajomości z wielkimi pisarzami, jak Marcel Proust, Emile Zola czy Paul Bourget, lub innymi znakomitościami w rodzaju rosyjskiego choreografa Siergieja Diagilewa. Głęboką satysfakcją napawa Jagatjita poczucie, że należy do tego samego świata co oni. Niewielu indyjskich książąt mogłoby to o sobie powiedzieć, niewielu też potrafiłoby tak dobrze zareklamować w Europie swoją ojczyznę. Czyż Diagilew nie wspominał ostatnio, że wkrótce odbędzie się premiera jego baletu zatytułowanego Błękitny bóg, a zainspirowanego Indiami?

Cała egzystencja radży kręci się teraz wokół spraw towarzyskich. I nie chodzi już tylko o rozrywkę, ale także o wielkie plany na przyszłość: najstarszy syn, Paramjit, dziedzic Kapurthali, ma się wkrótce ożenić z księżniczką Brindą, kończącą właśnie edukację w Paryżu. Brinda jest córką starego przyjaciela Jagatjita, zubożałego maharadży Jubbalu. Radża kupuje synowi u Cartiera najmodniejszy zegarek, ochrzczonego nazwiskiem brazylijskiego lotnika Santosa Dumonta, któremu udało się polecieć w maszynie cięższej od powietrza i którego w dodatku Jagatjit poznał osobiście w czasie ostatniej podróży. Dla przyszłej synowej wybiera sześciokątne cacko wysadzone brylantami, a do swojej własnej kolekcji jeszcze kolejnych sześć zegarków.

Radża chce, aby ślub Paramjita stał się prawdziwym wydarzeniem towarzyskim, oryginalnym i wystawnym, jak przystało na gody następcy tronu. Będzie to też okazja, by pokazać światu nowy pałac, w którym zamieszkają razem z Anitą. Dlatego przede wszystkim trzeba wyczerterować statek

pasażerski, aby przewieźć z Marsylii do Bombaju pięciuset Anglików i trzystu Francuzów zaproszonych na uroczystość.

- Chciałbym przedstawić ci narzeczoną mojego syna - mówi pewnego dnia Jagatjit do żony. - Brinda zostanie kiedyś pierwszą rani Kapurthali. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnicie.

Przyszła synowa jest w wieku Anity. Choć mówi i zachowuje się jak Francuzka, pochodzi ze starej hinduskiej rodziny wysoko postawionej w systemie kastowym. Ma kasztanowate loki, wielkie czarne oczy, delikatne, ładnie wykrojone usta, jasną cerę i swobodę w obejściu, którą zawdzięcza latom spędzonym w szkole przy klasztorze L'Ascention, gdzie od pokoleń uczą się dziewczęta z wyższych sfer Paryża. Radża nalegał, by żona Paramjita kształciła się we Francji, na jego koszt zresztą. Wynajął jej też damę do towarzystwa, niejaką mademoiselle Meillon.

Podczas kolacji, którą jedzą we troje u Maxima, gdy Jagatjit zaczyna, opowiadać o swoich wspaniałych planach względem ślubu, Brinda spogląda na niego nagle rozszerzonymi oczami. Co się w nich kryje? Zaskoczenie, radość czy strach? Anita nie bardzo wie, jak interpretować to spojrzenie. Brinda mówi, że czuje się w Paryżu bardzo szczęśliwa i że pragnęłaby, aby ten etap jej życia nigdy się nie skończył. Nie przejawia żadnej ochoty na powrót do Indii, najwyraźniej nie kusi jej czekające ją tam wspaniałe życie. Do pewnego stopnia przypomina Bibi, może przez łatwość, z jaką obraca się w obu światach. Jest jednak bardziej obyta, a zarazem bardziej zrosnięta z hinduską tradycją, pozbawiona tej iskry buntu, która czyni z Bibi osobę tak wyjątkową. Między innymi dlatego niezwykle trudno odgadnąć jej myśli i uczucia. Kobiety w Indiach od dzieciństwa przywykają do bezwzględного posłuszeństwa.

Kiedy zostają same, Brinda mówi Anicie, że swego przyszłego męża widziała tylko raz, w wieku dziesięciu lat, podczas oficjalnej uroczystości potwierdzającej uzgadnianie niemal od niemowlęctwa zaręczyny. Paramjit, który miał wtedy lat dwanaście, wydawał się chłopcem spiętym, poważnym, a nawet ponurym. Nie odezwali się do siebie ani słowem i nigdy od tamtej pory nie widzieli.

Ani radża, ani jego żona nie przypuszczają nawet, że Brinda przeżywa właśnie wielką miłość i że jej obecność w Kapurthali w dniu ślubu stoi pod wielkim znakiem zapytania. Myśl, że ma wrócić do Indii i wyjść za człowieka, którego nie zna ani nie rozumie, napawa narzeczoną Paramjita zgrozą. Złe języki powiedziałyby zapewne, że „dała się zepsuć Zachodowi”. Od pewnego czasu potajemnie a zapamiętałe romansuje z francuskim oficerem, przystojnym blondynem nazwiskiem Guy de Pracomtal. Spotkanie z przyszłym teściem i

Anitą uświadamia jej, że fatalny moment rozstania zbliża się nieubłaganie. Brinda cierpi, bo nie czuje się na tyle Europejką, by poświęcić wszystko dla miłości, ani na tyle Hinduską, by bez szemrania przyjąć narzucony przez innych los. Poważnie zastanawia się nad ucieczką z ukochanym, ale czy starczy jej odwagi?

Wizyty u znanych jubilerów, którzy pod dyktando radzą oprawiają przywiezione z Indii klejnoty, kolacje w najlepszych restauracjach i konne przejażdżki po Lasku Bulońskim - wszystko to sprawia, że tygodnie mijają nader szybko. Mimo sympatii do Plamki, którą, podobnie jak kilka innych wierzchowców, Jagatjit wciąż trzyma w stajniach tutejszego klubu, Anita stara się jak najdłużej przebywać z rodzicami, żeby jak najlepiej wykorzystać tę odrobinę czasu, jaka im jeszcze została. Z Madrytu napływają ciepłe listy: przyjaciele ojca, którzy gromadzą się teraz w horchaterii Candelas, proszą, by jego wysokość zechciał uhonorować ich jakimś orderem. Szczególnie domaga się tego ValleInclan, zarzekając się, że nie zejdzie z tego świata, dopóki nie zobaczy Kapurthali. Znany autor zarzueli Felipe Perez y Gonzalez poświęcił książęcej parze wiersz, który w styczniu 1908 roku obiegnie całe miasto:

Z Indii do Madrytu przybył nie byle kto, by tancerkę poznać sympatyczną, z Malagi rodem i tak bardzo śliczną, że się do niej nie umywa nawet hurys sto.

Anita zaśmiewa się z tych listów do rozpuku, rozmyślając, jak cudownie byłoby znowu zobaczyć stare kąty. Rodzice tymczasem zarzucają ją nieustannymi pytaniami. Próbuje opowiadać im o swoim życiu w Indiach, ale to wcale nie takie proste. Bo jak opisać serdeczne powitanie, które zgotował jej lud Kapurthali, gdy zaraz po ślubie wjeżdżała do miasta na grzbiecie słonia? Albo upały dręczące wszystkich przed nadejściem monsunu? Albo ceremonie w Amritsarze, garden parties w Patijali, zmierzchy na wsi, potworną nędzę i oszałamiający luksus? Wyobraźnia rodziców nie sięga w tak odległe rejony. Poza tym niektóre szczegóły mogłyby ich zmartwić, dlatego Anita woli nie mówić im o kłopotach z Brytyjczykami ani o wrogości pozostałych żon radży.

- A co z chrztem? - dopytuje się raz po raz doña Candelaria, niespokojna o duszę swego wnuka.

- Już ci mówiłam, że Ajit został ochrzczony w obrządku sikhijskim.

- Nigdy w życiu nie słyszałam o takiej religii. Pytam, co z prawdziwym chrztem.

- Nie rozumiem. Masz na myśli księdza, kościół i tak dalej? W Indiach to wszystko wygląda inaczej. Zwykle kościoły są tylko dla Anglików.

- To okropne, co mówisz, dziecko. Chłopca trzeba ochrzcić. Jak najprędzej. Przecież jeśli coś mu się teraz stanie, jego pogańska duszyczka będzie cierpieć wiekuiste męki!

Pewnego ranka, wykorzystując fakt, że Anita z radżą pojechali do Biarritz i zostawili Ajita pod jej opieką, doña Candelaria bez porozumienia z Dalimą czy don Anzelem niesie chłopca do katedry Notre Dame. „Tam raz-dwa”, pisała później Anita, „bez żadnych wstępów czy modlitw ochrzciła go wodą święconą z misy przy wejściu”.

Kiedy po powrocie Anita słyszy, że może już spać spokojnie, ponieważ Ajit został szczęśliwie włączony do wspólnoty chrześcijan, przeraża się nie na żarty.

- Mamo! Na Boga! Gdyby radża się dowiedział!

- Nie zrobiłam nic złego.

- Bardzo by się zezłościł.

- Ostatecznie trochę wody święconej nie zrobi krzywdy nawet sikhowi...

- Musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz. Nawet tacie. Ani Victorii.

- Dobrze, już dobrze, obiecuję.

Anita spogląda teraz na matkę w milczeniu, jak gdyby chciała ją o coś zapytać.

- A... A jak go nazwałaś? - pyta w końcu.

- Angel, po dziadku. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

W Biarritz doszło do kolejnego niemiłego incydentu z Anglikami. Wskutek czyjejś pomyłki radzę z żoną ulokowano w pokojach przylegających do apartamentów zajmowanych przez króla Edwarda VII. Sam monarcha, którego trudno było uznać za wzór cnót, nie miał chyba nic przeciwko temu, ale jego świta narobiła w tej sprawie straszliwego szumu. Skandal! Jak dyrekcja szacownego skądinąd Hotel du Palais śmiała narazić króla na sąsiedztwo radży i jego hiszpańskiej konkubiny?! Hotel aż huczał od złośliwych plotek. Jednakże ci sami, którzy tak pluli jadem, oniemieli na widok wspaniałej pary, która zjawiała się na uroczystej kolacji. Na turbanie radży lśniła brosza z trzech tysięcy diamentów i pereł, na czole Anity zaś - półksiężyc z wielkim szmaragdem. Oboje zachowywali się w towarzystwie z wielką swobodą, a zdolność Anity do nawiązywania znajomości i prowadzenia konwersacji w dowolnym języku i na dowolny temat wzbudziła prawdziwą sensację. Nic więc dziwnego, że reporterzy i fotografowie nie odstępowali ich na krok.

Przed wyjazdem do Londynu, skąd mają z radżą odpłynąć do Bombaju, Anita wręcza matce dużą, ciężką i pięknie opakowaną paczkę.

- Zawieź to do Malagi. W czasie porodu obiecałam Najświętszej Paniencie wotum dziękczynne...

Zawartość paczki sprawia, że doña Candelaria wydaje głębokie westchnienie. Wyszywana klejnotami sukienka to prawdziwe dzieło sztuki.

- Rzemieślnicy z rue de la Paix pracowali nad nią ponad rok. Przekaż biskupowi, że to podarunek dla Matki Boskiej i dla parafian. Żeby w czasie procesji mieli najpiękniejszą figurę w całej Hiszpanii.

Pożegnania są zawsze smutne. Anita nie wie, czy uda jej się przyjechać za rok. Zabiera ze sobą zamówione książki, Historię Hiszpanii i Don Kichota. Chciałaby zobaczyć Madryt, Malagę, przyjaciół, tęskni za kolorami i zapachami ojczyzny. Za swoimi korzeniami. Doña Candelaria, jakby czytając w jej myślach, rzuca nagle:

- A, byłabym zapomniała... Wiesz, że Anselmo Nieto się ożenił? Anita czuje lekkie ukłucie w sercu. Anselmo, malarz o powierzchowności torreadora, jej wieczny konkurent, wreszcie zmęczył się czekaniem. To naturalne. Choć przecież dobrze było sobie wyobrażać, że gdzieś daleko nadal usycha z miłości do niej. Cóż, kobieca próżność. Ledwie zresztą uświadomiona, bo po głębszym namyśle Anita z pewnością odsunęłaby od siebie takie egoistyczne zachcianki.

- Jego żona ma na imię Carmen - ciągnie doña Candelaria. - Niedawno urodziła im się córeczka. Anselmo wrócił do Madrytu niedługo po twoim wyjeździe. Całkiem nieźle sobie radzi, wystawia swoje obrazy razem z grupą tak zwanych niezależnych.

- Cieszę się - mówi Anita, lecz w jej głosie pobrzmiwa smutek. Anselmo był dla niej wprawdzie tylko młodzieńczą mrzonką, ale żadna kobieta nie lubi tracić pretendenta.

## Część czwarta

Dla każdego jednak obraca się koło karmy

### Rozdział dwudziesty dziewiąty

Upodobanie radży do luksusu wzrasta z każdym rokiem, jak gdyby władca Kapurthali chciał zrekompensować niewielkie rozmiary swego państwa wystawnością dworu. Błękitne turbany, które jego gwardziści noszą do granatowych mundurów ze srebrnymi wyłogami, ozdobione są od niedawna czerwonymi pomponami - na cześć francuskiej marynarki. Dumni sikhijscy wojownicy, z nową ozdobą majtającą się wokół głowy, eskortują karetę wracającej do domu książęcej pary. Na ulicach Kapurthali tłum jest tak gęsty, że czasem trzeba się zatrzymywać: poddani pragną wyrazić radość i godnie powitać władcę. Zgodnie ze swoim zwyczajem radża objeżdża sikhijskie, hinduistyczne i muzułmańskie świątynie, by podziękować bogom za szczęśliwy powrót i nawiązać kontakt z ludem.

Potem orszak wyjeżdża kawalek za miasto i kieruje się w stronę pałacu L'Elysee, który od tej pory będzie oficjalną rezydencją radży. Wzdłuż podjazdu spokojnie stoją ustawione w dwa rzędy słonie. Cyprysy, trawnik, starannie przycięte krzewy, donice pełne kwiatów rosnących pod czujnym okiem pięciuset ogrodników, latarnie z kutego żelaza, renesansowe w stylu balustrady i alegoryczne posągi, wśród których wyróżnia się rzeźba przedstawiająca tygrysa w skoku, dzieło francuskiego artysty Le Courtiera - wszystko to jest tak zaskakujące, że w pierwszej chwili Anita odnosi wrażenie, iż wciąż znajduje się pod Paryżem. Widoczny na tle ośnieżonych gór różowy budynek z białymi płaskorzeźbami to spełnione marzenie radży, który oświadcza z dumą:

- Udało mi się przenieść tu odrobinę Francji.

Jak na Kapurthale, miasto raczej niewielkie, kryty łupkiem pałac z poddaszami, wspartymi na kolumnach podcieniami i stu ośmioma pokojami jest naprawdę olbrzymi, proporcjonalny jedynie do próżności swego właściciela i jego woli, by olśniewać wielkich tego świata. Jednakże cały dwór pochwała decyzję o przeniesieniu się za miasto, wzmacnia to bowiem otaczającą radżę aurę boskości. Tylko garstka krytyków uważa nową siedzibę władcy za symbol rosnącej przepaści, jaka oddziela indyjskich książąt od poddanych.

Sześciuset rzemieślników przez dziewięć lat wykańczało wnętrza. Ściany sali przyjęć, Darbar Hallu, ozdobione są drewnianymi płaskorzeźbami



łączącymi motywy francuskie i orientalne. Pięknie rzeźbiony sufit ze szklaną kopułą oświetlają lampki układające się w kształt gwiazd. Na pewnej wysokości ciągnie się wzdłuż murów galeria przeznaczona dla dam chętnych do oglądania wielkich ceremonii. Widoczny na podłodze herb Kapurthali - słoń z lewej, koń z prawej, w środku zbroja i napis: Pro Rege et Patria - ułożony został z deszczułek w różnych kolorach. Są tak wypolerowane, że służba przegląda się w nich, poprawiając turbany. Ogromne porcelanowe dzbany z Sevres, kopie słynnych gobelinów, meble z epoki i zamówione na wymiar dywany Aubusson wymownie świadczą o podziwieniu, jaki radza żywi dla osiemnastowiecznej Francji. Poza dwoma pokojami urządzonymi w innym duchu - salonikiem japońskim i turecką palarnią - każde ze stu ośmiu pomieszczeń nosi nazwę któregoś z francuskich miast lub jakiejś znakomitości. Przy stole w jadalni może swobodnie zasiąść osiemdziesięciu biesiadników. Dla tym większej wygody mieszkańców, gości i urzędników opalana węglem kotłownia zapewnia gorącą wodę o każdej porze. Albowiem pałac ma być również siedzibą rządu. Biura poszczególnych ministerstw mieszczą się w suterrenach, gabinet i apartamenty jego wysokości - na pierwszym piętrze, skąd rozciąga się piękny widok na park i, dalej, na miasto. Sypialnię radzy dzieli od alkowy żony ogromna ubieralnia. Pokoje Anity, a także pokój dziecinny i sypialnie pokojówek wychodzą na obszerny taras. Brak tu sielankowej atmosfery i prywatności, jaką zapewniała Villa Buona Vista, ale pałac jest dużo większy, wygodny i imponujący. Początkowo Anita czuje się nieco zagubiona, tym bardziej że jedyne dwie osoby łączące ją z przeszłością - Mme Dijon i Lola - zostały w Hiszpanii. Trudno, oczywiście, tęsknić za Lolą, chodzi raczej o kontakt z kimś znanym. Anita postanawia, że podczas następnej wizyty w Europie zatrudni jakąś Andaluzyjkę, żeby przypominała jej, skąd pochodzi. Potrzebuje jakiegoś punktu odniesienia w tym nierealnym świecie.

Zony radzy odmawiają przeniesienia się do jednego ze skrzydeł nowego pałacu.

- Zostaniemy tu, gdzie jesteśmy, wasza wysokość - oświadczyła mężowi Harbans Kaur z miną osoby, która dobrze przemyślała swoje słowa.

- Mogę spytać dlaczego? Ofiarowuję wam najwygodniejszy i najnowocześniejszy pałac w Indiach, a wy...

- Wasza wysokość doskonale zna odpowiedź na swoje pytanie. Przeprowadziłybyśmy się z wielką chęcią, gdyby Hiszpanka zgodziła się zamieszkać w zenanie.

- To niemożliwe i dobrze o tym wiecie. Anita nie jest przyzwyczajona do takiego życia. Dlatego będzie miała do dyspozycji własne pokoje.

- Wasza wysokość, nie możemy zachowywać nakazów purdah, a zarazem dzielić pałacu z kobietą, która obraża nas, na każdym kroku łamiąc te właśnie nakazy. Proszę, byś zrozumiał nasz punkt widzenia, panie.

Wobec jej stanowczości radża nie chciał przedłużać dyskusji. Słowa Harbans Kaur przypomniały mu o zasadzie od wieków rządzącej Indiami: każdy na swoim miejscu.

- Nasz świat zginie, jeśli nie będziemy szanować tradycji - zakończyła z mocą jej wysokość.

Co znaczy: albo wszystkie, albo żadna. Może im się zdaje, że naciskając na niego, przeprowadzą swoją wolę, zmuszą go, by pokazał Anicie jej miejsce. Naiwne, radży nie można do niczego zmusić. A może to on jest naiwny? Czas pracuje na ich korzyść w tej wojnie nerwów. Czekając na sposobność, by zadać ostateczny cios, mieszkanki zenany sprzeciwiają się wszystkiemu, czemu sprzeciwić się mogą, subtelnie sabotują wszelkie zamysły i przeszkadzają w pełnej integracji Anity.

Woli jej nie opowiadać o tej rozmowie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by ją prosić o przeniesienie się do zenany. Wie, że nic by nie wskórał, zresztą, sam nie życzy sobie takiego rozwiązania. Odebrałoby to Anicie tę wyjątkowość, która go pociąga. Osobowość, prawo głosu i wolną wolę „jego Hiszpanka” musi zachować, pod warunkiem, oczywiście, że nie będzie mu to sprawiało zbyt wielu kłopotów.

Radża reaguje jak zawsze: korzystając ze swojej władzy, na afront reaguje jeszcze większym afrontem. Nie chcecie żyć pod jednym dachem z Anitą? Nie chcecie jej zaakceptować? Świetnie. W takim razie to ona zajmie się organizacją ślubu dziedzica Kapurthali. Zamiast jednej, dwie łyżki dziegciu, myśli poważnie zaniepokojona obrotem spraw Anita.

- Znienawidzą mnie już całkiem, mon cheri - perswaduje. - Czy nie byłoby rozsądniej, gdyby to Harbans Kaur zadbała o całą tę uroczystość? Ostatecznie to jej syn się żeni.

- Nie, ty o wszystkim zadecydujesz. Ona niech się troszczy o żony indyjskich gości. Tylko do tego się nadaje.

- Och, żeby już się zjawili twoi synowie... - wzdycha Anita.

Miała okazję ich poznać w Londynie. Paramjit, najstarszy, wydał jej się młodzieńcem introwertycznym, nad miarę poważnym i przytłoczonym figurą ojca. Czyli całkowitym przeciwieństwem swojej radosnej i pełnej życia narzeczonej. Mahijit okazał się zabawniejszy, choć wobec Anity był nieco chłodny, a zarazem zbyt frywolny. Amarjit, wojskowy, to z kolei prawdziwy, godny zaufania dżentelmen. Karana, uchodzącego za najsympatyczniejszego i

najbardziej otwartego, nie poznała, ponieważ bawił w Szwajcarii. Gdyby mieszkali w Kapurthali, myśli Anita, miałabym towarzystwo i życie stałoby się normalniejsze, mniej samotne. Co ciekawe, jest przekonana, że „pasierbowie” pomogą jej przewyciężyć otaczającą ją wrogość. Są mniej więcej w jej wieku, znają europejskie zwyczaje i będą potrafili wpłynąć na swoje matki. Ślub Paramjita może stać się początkiem wielkich zmian. Anita ma nadzieję, że przy tej okazji przestanie wreszcie być intruzem.

Radża postanowił przeznaczyć na wesele syna połowę rocznych dochodów Kapurthali. Ta ogromna suma potrzebna jest, by przetransportować, gościć i zabawiać zaproszone towarzystwo. A zaproszone zostały całe tłumy. Poza tym, jak na feudalnego władcę przystało, Jagatjit pragnie, by lud dzielił z nim jego radość, ogłasza więc, że na pamiątkę tego radosnego wydarzenia ustanawia prawo, zgodnie z którym poddani mają prawo do bezpłatnej edukacji na poziomie podstawowym. Zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, dodaje, co wzbudza falę komentarzy. W 1911 roku pomysł kształcenia dziewczynek wydaje się rewolucyjny i w takim też świetle widzą go przedstawiciele społeczności muzułmańskiej, żądający natychmiastowego wycofania niebezpiecznych zarządzeń. Radża jednak pozostaje nieugięty.

Zdecydowany uczynić z Kapurthali wzór postępu, Jagatjit chce przejść do historii jako władca oświecony. Wielu książętom, mimo licznych ekscentryczności, udało się zapewnić swoim poddanym warunki życia znacznie lepsze niż te, które panują na ziemiach zarządzanych bezpośrednio przez Anglików. Na przykład maharadża Barody zasłynął nie tylko za sprawą stada tresowanych papug zdolnych chodzić po linie i jeździć na miniaturowych srebrnych rowerkach, ale również dzięki temu, że w 1910 roku ustanowił w swoim księstwie obowiązek szkolny. Ganga Singh, maharadża Bikaneru, zamienił część radżasthańskiej pustyni w zasobne oazy czerpiące wodę ze sztucznych źródeł. Władca Mysore z kolei stworzył uniwersytet, który zdobywa uznanie w całej Azji. Radża małego Gondalu uwolnił wieś od podatków, zatykając dziurę w budżecie podniesieniem opłat celnych. Jagatjit marzy, by posunąć się jeszcze dalej, rywalizować z Europą. Ślub Paramjita to doskonała okazja, żeby pokazać światu postępy, jakie poczyniła Kapurthala. „Radża bardzo chciał zrobić wrażenie na zachodnich gościach, pokazać im swoje państwo jako kraj egzotyczny i nowoczesny zarazem”, pisała Anita w dzienniku.

Były to więc miesiące gorączkowej aktywności. Należało wszystko starannie zaplanować i nie mniej starannie zrealizować. Podczas jednej z wizyt w Patijali Anita prosi Frankiego Camposa o pomoc w przygotowaniu menu, zakupieniu

żywności i zatrudnieniu kucharzy. Specjalnie zamówiony przez radzę pociąg ma przywieźć z Bombaju zapasy wody Evian, whisky, porto, jerezu i szampana, dzięki czemu problem napojów zostanie szczęśliwie rozwiązany.

Najtrudniejsze są kwestie protokolarne. Obecność tyłu radżów, nababów, arystokratów i urzędników przysparza nie lada kłopotów. Trzeba ustalić, gdzie kto śpi, co je, jak się bawi i przy kim siedzi, uwzględniając jego rangę, religię, wiek i upodobania.

- Kobiety, zwłaszcza Brytyjki, bardzo się przejmują etykietą - mówi Paco. - W razie jakiejś pomyłki mężczyzna może i przymknie oko, ale jego żona zareaguje z całą gwałtownością. To dla pań niezwykle istotne, kochana... Może dlatego, że niczym innym się nie zajmują.

Frankie Campos wie, co mówi. Przywiózł Anicie mniej więcej dziesięciostronicową książeczkę, zwaną Czerwoną Księgą, gdzie szczegółowo przedstawiona została hierarchia stanowisk cywilnych i wojskowych.

- Gdybyś miała wątpliwość co do tego, czy inspektor do spraw zadymienia nie stoi aby wyżej od rewidenta własności, nie ryzykuj i sprawdź.

Takie wskazówki są teraz dla Anity na wagę złota. Bardzo się stara, by wszystko wypadło doskonale, zwłaszcza że żony radży ze zrozumiałych względów śledzą jej poczynania bez sympatii i tylko czekają na potknięcie. Nie wolno dać im powodu do krytyki.

Paco radził wybrać się na zakupy do Kalkuty. Tylko tam można dostać tak wielką ilość materiałów, potrzebnych na setki obrusów, serwetek, poszew i ręczników, nie wspominając już nawet o pięćdziesięciu namiotach, które zostaną wzniesione w pałacowym parku, by pomieścić wszystkich gości. Trzeba też uzupełnić zapasy nakryć stołowych i szkła, tudzież zadbać o setki drobiazgów, poczynając od solniczek i środków owadobójczych po papier higieniczny, którego Anita zamawia przezornie cały wagon.

Radża postanawia jej towarzyszyć, korzystając ze swobody okresu przedświątecznego. O tej porze roku, w grudniu, odbywają się zawody polo i wyścigi, na które zjeżdża się elita z całej Azji. Kalkuta, choć już wkrótce przestanie być stolicą brytyjskich Indii, ustępując miejsca Delhi, wciąż pozostaje najważniejszym miastem subkontynentu, ośrodkiem życia handlowego, artystycznego i intelektualnego. Zdobne w kolumny i balustrady budynki publiczne i rezydencje prywatne mimo dziesięcioleci monsunów wciąż olśniewają jak dawniej.

Anita i radża spędzają w Kalkucie kilka niezapomnianych dni: rankami zażywają przejażdżek po parku Maidan, w cieniu palm i magnolii, obiady jedzą z rekinami biznesu takimi jak Mr Mullick, którego pałac w centrum miasta

zachwyca radzę ze względu na zgromadzoną tam okazałą kolekcję europejskiej sztuki, wieczorami zaś chodzą na klasyczne sztuki do Old Empire Theatre albo na recitale operowe do Mrs Bristow, zapraszającej do siebie najlepszych europejskich tenorów i diwy. Zaglądają też do restauracji Firpo's na lody „lepsze niż we Włoszech”, jak głosi reklama, i do Tollygunge Club, gdzie po kolacji przygrywają do tańca znane orkiestry. Życie w Kalkucie bardzo jest podobne do londyńskiego. Panie ubierają się wedle najnowszej mody, każąc indyjskim krawcom wiernie kopiować modele z Paryża i Londynu, oczywiście przy użyciu brokatów i jedwabi z Waranasi i Madrasu. Po kilku godzinach „łupienia” sklepów, takich jak Army and Navy Store, Hall and Anderson's i Newman's, gdzie kupić można wszystko, co produkuje się w Europie i Ameryce, Anita kończy popołudnie u fryzjera, a raczej u dwóch francuskich fryzjerów, panów Malvaista i Sireta, którzy rozplývają się w zachwytach nad wspaniałymi cheveux „naszej hiszpańskiej rani”.

Książęca para z Kapurthali jest wprost rozrywana. W Kalkucie, wielkim mieście, wszelkie normy i zakazy zdają się tracić nieco na znaczeniu, dlatego pewnego dnia na wyścigach, ku satysfakcji radży, gubernator Bengalu, lord Carmichael przedstawia Anitę swojej żonie i przy okazji zaprasza oboje małżonków na kolację do Government House. To pierwsze oficjalne przyjęcie, na którym pojawią się razem. Tylko w kosmopolitycznej Kalkucie spotkać można ludzi w typie lorda Carmichaela: skromnych, uprzejmych i uważających. Gubernator jest ponadto wielkim miłośnikiem sztuki, autorem monografii o stonogach i pszczelarzem amatorem. Wcale nie przypomina innych Anglików, myśli Anita. Stanowczo Kalkuta to raj dla jednostek ceniących sobie wolność\*.

\* Wiele lat później radża miał się dowiedzieć, że lord Carmichael otrzymał „ostrą urzędową reprimendę” za przyjęcie Anity.

Niestety, szczęście tych szalonych dni zostaje zmaćone przez niespodziewaną wiadomość. Księżniczka Brinda, narzeczona Paramjita, nie wsiadła na statek, który miał ją przywieźć do Indii.

- Mamy odwołać ślub? - dopytuje się przerażona Anita.
- Nie. Najpierw sprawdzę, co się stało.

## Rozdział trzydziesty

Przebywająca sześć tysięcy kilometrów od Kalkuty księżniczka Brinda jest chora z miłości. Rozdarta między uczuciem a obowiązkiem staje przed najtrudniejszym wyborem w życiu. Słyszając, że katolicka rodzina ukochanego niechętnym okiem patrzyłaby na jego ślub z hinduską, Brinda postanowiła już nawet zerwać ten związek.

- Zapominasz o różnicach, jakie nas dzielą - oświadczyła.
- Nie ma różnic między dwojgiem kochających się ludzi - odparł Guy.
- Twoi rodzice to katolicy, ja jestem hinduską. Mogą mnie akceptować towarzysko, ale nigdy nie przyjmą mnie do rodziny. Powinnam wracać do Indii i spełnić swój obowiązek.

- Nie możesz nam tego zrobić. Nie puszczę cię.

Brinda chciałaby stłumić ten ogień, który spala ją od środka i nie pozwala jej normalnie żyć. Chciałaby odzyskać równowagę i znowu być sobą. Ale nie potrafi. Jak mam go zostawić, skoro tak bardzo go kocham, zastanawia się nieustannie. Jak mam żyć w miejscu, gdzie zostanie mi odebrana duża część swobody?

- Po prostu chodźmy do urzędu i pobierzmy się. Wtedy wszyscy będą musieli się z tym pogodzić.

Przez kilka dni po tej rozmowie Brindą targają okrutne wątpliwości. Nie śpi, nie je i podskakuje na dźwięk każdego dzwonka. Pod wpływem impulsu, aby zyskać na czasie, nie wsiada na okręt i postanawia zostać we Francji jeszcze na parę tygodni, a może i na całe życie. Jednakże skrajne napięcie wewnętrzne skutkuje w końcu chorobą.

Radży udaje się skontaktować z mademoiselle Meillon. Dama do towarzystwa, choć wie o wszystkim, nie wspomina o niczym radży, bojąc się skandalu i posądzenia o sprzyjanie kochankom. Ostatecznie Brinda ma dopiero szesnaście lat. Radża słyszy więc tylko, że księżniczka, z natury nerwowa, źle znosi egzaminy, a podróż odłożyła ze względu na chorobę. Niemniej jednak zdąży na ślub. Już ona, mademoiselle Meillon, osobiście wsadzi ją na następny statek do Bombaju.

- Chcąc cię chronić - mówi podopiecznej - zaryzykowałam utratę stanowiska i szacunku radży. Ale nie będę ciągnąć tej farsy.

Brinda wyznaje, że nie potrafi podjąć decyzji. „Rozpłakałam się”, opowie później, „i wywnętrzyłam. Emocje, które wzbierały we mnie przez ostatnie miesiące, wypłynęły wraz ze łzami”.

- Historie takie jak wasza nigdy nie mają przyszłości - wyrokuje mademoiselle Meillon. - Zostaw go i jak najprędzej zapomnij. Nie zaznacie szczęścia, unieszczęśliwiając bliskich.

Sporo w tym prawdy, myśli Brinda. Zdecydowana pójść za radą opiekunki postanawia nazajutrz zerwać z ukochanym. „Byliśmy jednak zbyt zakochani, by wykazać się dostateczną siłą. Dlatego nie udało mi się wtedy zrealizować zamiaru. Owej nocy, pogrążona w bólu, zrobiłam coś, czego nie robiłam nigdy wcześniej: pomodliłam się, ale nie do swoich bogów, tylko do Matki Boskiej chrześcijan. Musiałam bezwzględnie podjąć jakąś decyzję: albo natychmiast udać się do Bombaju, albo uciec i wyjść za mąż wbrew woli rodziny”.

W końcu, ulegając perswazjom mademoiselle Meillon i tłumiąc własne uczucia, Brinda wsiada na statek w Marsylii w towarzystwie znajomej radży, Francuzki Mme de Paladine i jej dwóch córek, również zaproszonych na ślub. Tym samym okrętem podróż odbywają także dwaj synowie radży, Mahijit i Amarjit.

Mademoiselle Meillon odprowadza Brindę aż do kajuty, kto wie, czy nie po to, by się upewnić, że księżniczka w ostatniej chwili nie zmieni zdania.

- Kobieta o moim pochodzeniu nigdy nie lekceważy obowiązków - mówi z sarkazmem Brinda przy pożegnaniu. - Wracam więc do kraju, żeby wyjść za mężczyznę, którego nawet nie znam. Przed kilku laty myślałam, że to normalne, a teraz myślę, że chore.

- Dobrze zrobiłaś. Guy nie był dla ciebie. Gdybyś za niego wyszła, stałabyś się kobietą pozbawioną kraju, rasy i kultury. Wstydziłaby się za ciebie cała rodzina.

- Wiem - odpowiada ze smutkiem księżniczka. - Ale nie mogę przestać go kochać.

Dziwny jest ten powrót do Indii. W Bombaju Brinda czuje się jak cudzoziemka. Tutejsze odgłosy i zapachy nie mają nic wspólnego z Francją... Tutejsi ludzie wydają się z innej planety. Podróż koleją do Kapurthali ciągnie się w nieskończoność, ale może to i lepiej. W Dżalandarze nie trzeba przesiadać się na słońce lub do samochodów, jak kiedyś: radża sfinansował budowę wąskotorowej kolejki do miasta, aby móc prywatnym wagonem dojeżdżać w okolice nowego pałacu. Na stacji Mme de Paladine i jej dwie córki otacza rój służących w liberiach i szoferów, którzy wiozą je do rezydencji przeznaczonej dla gości. Synowie radży udają się do nowego pałacu, a Brinda, w zamkniętym powozie z zasłoniętymi okienkami jedzie do zenany. Po raz pierwszy od lat czuje na sobie ciężar purdah.

Początkowy niepokój o zdrowie narzeczonej Paramjita przechodzi w irytację i zaraz potem w ulgę, gdy Brinda zjawia się w zenanie, chuda jak patyk, z poszarzałą twarzą i czerwonymi od płaczu oczami. Swoją chorobę tłumaczy nerwami przed egzaminem i w jakimś stopniu nie mija się z prawdą. Być może przystąpiła właśnie do najważniejszego egzaminu w swoim życiu. Problem w tym, że pewnie nigdy się nie dowie, czy go zdała, czy nie.

- Co tam egzamin, skoro wkrótce zostaniesz żoną następcy tronu - mówi matka Paramjita.

„Potrzebowałam kogoś, kto by mnie pocieszył, kto by mnie zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że spełniwszy obowiązek, uwolnię się od rozpacz i beznadziei. Ale nikogo takiego nie było”.

Anity nie ma w tym czasie w Kapurthali. Przygotowania tak ją wyczerpały, że postanowiła wyjechać na tydzień do Mansuri, by tam zrelaksować się w odświeżającym górskim klimacie. Chciała też odpocząć od niezdrowej atmosfery, która wytworzyła się na dworze w związku z przedłużającą się nieobecnością narzeczonej.

Teraz wraca i w pałacowych ogrodach zastaje prawdziwe miasteczko złożone z białych, okrągłych i kopulastych namiotów. Trzeba zająć się ostatnimi drobiazgami. Tymczasem zaczynają już napływać goście z całego świata. Swój przyjazd zapowiedziało dziewięciu indyjskich książąt, wśród których najważniejszy jest maharadża Kaszmiru, tak serdecznie goszczący niegdyś Anitę i radzę w Srinagarze; z władców muzułmańskich rangą wyróżnia się Aga Khan. Reszta przysłała pierworodnych w swoim zastępstwie.

Mieszkanki zenany nie pozwalają Brindzie nawet na chwilę wytchnienia, poddając ją intensywniej „reinduizacji”. „Musiałam na nowo nauczyć się swojego języka i przypomnieć sobie zwyczaje, które w ciągu tych lat spędzonych w Europie zatarły mi się w pamięci. Nie mając ani sekundy dla siebie, utrzymywałam się w stanie, w którym nie czułam nic, ani szczęścia, ani nieszczęścia”.

Tak wielka uroczystość, oprócz gości, przyciąga w Indiach wielu ciekawskich. Żebracy, fakirzy, sprzedawcy cudów i znachorzy z niezawodnymi środkami na płodność zjeżdżają się do Kapurthali pociągami lub na wozach zaprzężonych w woły, albo też przybywają na piechotę. Tradycja każe przyjmować ich nie mniej serdecznie niż książąt. Radża, szczodry i wielkoduszny, polecił służbie rozdawać im bez ograniczeń tę samą żywność, jaką dostają pracownicy pałacu. Za połyskującym bielą namiotów parkiem, pod gołym niebem, biwakuje więc cały tłum, ciesząc się świętem, które nie tylko



wyznacza radosny dla Kapurthali dzień, ale również świadczy o niezmiennym porządku rzeczy.

Wielki Darbar, publiczna ceremonia, w czasie której radża oficjalnie wita przybyłych, kolejno zapowiadanych przez heroldów i trębaczy, rozpoczyna się od widowiskowego pokazu sztucznych ogni. Dworacy i wysocy urzędnicy składają prezenty i listy z życzeniami u wejścia do pałacu. Wśród Europejczyków jest książę Antoine d'Orleans, a także książę Amadeo di Broglie. Radża życzył sobie, by Anita przez cały czas była u jego boku, toteż gubernator Pendżabu, najwyższy przedstawiciel brytyjskiej władzy obecny w Kapurthali, oczywiście wraz z małżonką, nie ma wyboru i musi grzecznie pozdrowić czyniącą honory domu Hiszpankę. To taka mała zemsta ze strony Jagatjita. Inne żony, choć pozostają w swoim pałacu, rychło dowiadują się, co zaszło. Wyeksponowana rola Anity napełnia je, rzecz jasna, goryczą. Brinda mieszka razem z nimi, usiłując przystosować się do nowego życia, choć gdy słyszy dobiegające z dala echa obchodów, czuje wielką ochotę, by się zbuntować.

Kolację dla ośmiuset osób podano w parku. Po deserach pałacowe działa oddają trzynaście salw honorowych, a zaraz później odzywa się pięćdziesięcioosobowa orkiestra. Radża podchodzi do siedzącej obok maharadży Kaszmiru żony brytyjskiego gubernatora, ujmuje ją za rękę i prowadzi na środek zaimprovizowanego parkietu, by przy dźwiękach wiedeńskiego walca oficjalnie otworzyć bal. Chwilę potem dołączają do nich inni i już wkrótce rój par wiruje w świetle księżycy, gwiazd i pochodni, które płoną w dłoniach dumnie wyprostowanych - Sikhów.

Nagle rozbrzmiewa muzyka, którą Anita usłyszała po raz pierwszy w czasie ostatniej podróży do Europy. Muzyka przejmująca dreszczem. Anita prostuje się na krześle i z trudem powściąga wybuchłe nagle w jej duszy emocje. Ten południowoamerykański rytm, który pobudza najsłabsze tęsknoty, a wszedł w modę w 1910 roku, nazywa się tango.

- Zatańczymy?

Anita podskakuje na dźwięk ciepłego głosu wymawiającego angielskie słowa z wyjątkowo wytwornym akcentem. Podnosi głowę i widzi wysokiego, młodego Hindusa w łososiowym turbanie spiętym szmaragdową broszą, z której sterczy eleganckie pióro. Chłopak uśmiecha się, ukazując idealnie białe zęby, i pytająco wpatruje się w oczy Anity. Jego spojrzenie ma tak hipnotyczną moc, że Anita spuszcza powieki i wbija wzrok w ziemię.

- Nie umiem tańczyć tanga.

- Ja też nie, ale możemy nauczyć się razem.

I już jest w jego ramionach, dostosowując swetasisido jego poruszeń.

- Tańczysz przecież wspaniale!

- Nauczyłem się w Londynie. Dużo o tobie słyszałem.

- Naprawdę?

- Jestem Charanjit, syn rani Kanari. Nazywają mnie Karanem.

No jasne! Te olśniewające zęby, regularny owal twarzy, otwarte spojrzenie, wyprostowana sylwetka... Wszystko to Karan odziedziczył po radży.

- Nareszcie! Tylko ciebie dotąd nie poznałam!

Karan niewiele ma wspólnego ze swymi braćmi. Traktuje żonę ojca, jak gdyby znali się od zawsze. Bez uprzedzeń i przemilczeń, z naturalnością, która zaskakuje odzwyczajoną od tego Anitę. Cudownie mieć takiego sympatycznego, oddanego i zabawnego „pasierba”. Wreszcie jakieś światełko w tunelu wrogości. W jedwabnej kurcie i potrójnym naszyjniku z pereł, ze starannie przystrzyżoną brodą, migdałowymi oczami barwy miodu i manierami księcia, Karan zdaje się żywcem wyjęty z jednego z obrazów, które wiszą w Chateau Kapurthala w Mansuri i przedstawiają szacownych przodków.

- Matka przesyła ci pozdrowienia.

- Przypuszczam, że zobaczymy się jutro, na tradycyjnych obchodach.

- Kazała ci powiedzieć, że sercem jest przy tobie i żałuje, że nie miała okazji, by się z tobą spotykać. Wie, że nie ponosisz za nic winy.

Biedna rani Kanari, taka dobra i taka bezradna! Może dlatego, że pochodzi z nieco gorszej rodziny niż inne żony, a może ze względu na rosnące uzależnienie od alkoholu stopniowo traci szacunek i wpływy. Wielka szkoda. Anita czuje, że słowa Karana, zamiast ją pocieszyć, napełniają niepokojem, przypominając o kłopotliwej sytuacji, której zaradzić nie potrafi nawet radża, albowiem twarde prawa tradycji są silniejsze także od niego.

W tradycyjnych obchodach bierze udział ponad dwa tysiące gości. Anita nie ma okazji spotkać rani Kanari, ponieważ Hinduski świętują w swoim gronie, w odległym skrzydle pałacu L/Elysee. Spotyka ją dopiero w dniu ślubu, ponieważ zwyczaj nakazuje, by kobiety przygotowały narzeczonego do ceremonii. Zajmują więc - setkami - główne patio pałacu, dokąd dopuszcza się wtedy tylko dwóch mężczyzn: pana młodego i świątobliwego starca. Następca tronu odziany jest w proste dhoti, kawałek płótna okręconego wokół pasa, przeciągniętego między nogami i związanego na biodrach. Po ceremonii ognia, podczas której Paramjit krąży wokół ogniska przy wtórze intonowanych przez starca modlitw, zaczyna się rytualne mycie. Matka, Harbans Kaur, przy pomocy ciotek naciera syna perfumowaną wodą i pieniącymi się obficie mydłami. To moment, który uwielbiają wszystkie Hinduski, może dlatego, że

przy tej okazji, jak rzadko kiedy, odgrywają główną rolę. Kiedy Paramjit ma dość nacierania i prosi o łaskę, wybuchają śmiech. Wypucowany i zaróżowiony jak niemowlę narzeczony udaje się do pałacu, by tam się ubrać, a kobiety czekają na pannę młodą.

Brinda nadjeżdża na grzbiecie słonia, szczelnie zamknięta w czymś w rodzaju wieżyczki, tak by, zgodnie z nakazami purdah, nie dojrzało jej niczyje oko. Orszak posuwa się powoli wśród okrzyków, śpiewów i szmeru tysięcy głosów. U wejścia do pałacu, gdy słoń przykłęka na przednich nogach, Brinda odsuwa jedwabne zasłonki i oślepią jaskrawym słońcem na chwilę zamyka oczy. Kiedy je znów otwiera, rozpoznaje ubranego w niepokalanie białą szatę ojca, który wraz z jakimś starcem pomaga jej zejść na ziemię. Dwa lata szyto jej sari z muślinu haftowanego czerwonym jedwabiem i złotem. Stroju dopełnia jedwabny welon i podwójny sznur kremowych pereł ze skarbca Kapurthali.

Radża promienieje. Ubrany w złocisty brokat, z diamentami i perłami na szyi, piersi i nadgarstkach wygląda wspaniale. Zwieńczony tiarą ze szmaragdami turban przydaje mu dostojęstwa, oczy błyszczą satysfakcją władcy i ojca, któremu udało się zapewnić ciągłość rodu. Chcąc, by ślub syna przeszedł do historii, radża zatrudnił jedyne - jak na razie - w Indiach filmowca, który uwiecznia ceremonię dla potomnych przy użyciu kamery zakupionej bezpośrednio od braci Lumiere.

Ślub Paramjita przechodzi do historii także z innego powodu. Zrywając z tradycją, która każe małżonkom opuszczać ceremonię osobno, pannie młodej zaś kryć się do końca za zasłonkami, Jagatjit postanawia, że tym razem młoda para przejedzie przez Kapurthale w otwartym powozie z herbem państwa, eskortowana przez konną gwardię. Brinda i Paramjit pokonują więc zatłoczone ulice, pozdrawiając rozradowany tłum, by w końcu dotrzeć do pałacu zajmowanego przez kobiety, gdzie witają ich setki zaproszonych Hindusek. Harbans Kaur uważa cały ten pomysł za kolejny afront. „Mój teść powążył się rzucić wyzwanie prawom purdah, co wywołało liczne komentarze”, pisała Brinda. „A i później nie ulegał konwenansom. Nigdy nie żądał ode mnie przestrzegania obowiązujących kobiety zakazów, chyba że obecne były najzagorzalsze tradycjonalistki”.

Pod wieczór Brinda jest już całkiem wyczerpana. Marzy tylko o tym, by schronić się w swoim pokoju i wziąć przygotowaną przez pokojówkę gorącą kąpiel. Ale takie panięskie marzenia należy teraz odłożyć do lamusa, bo oto prowadzą ją już wraz z mężem do małżeńskiej sypialni. Służący pomagają im się rozgościć i wycofują się w ukłonach. Nadchodzi moment, by stanąć twarzą w twarz z losem, który jej narzuciono i który ona ostatecznie zaakceptowała.

„Po raz pierwszy zdałam sobie wtedy sprawę, że zostaniemy razem, osobni, oddzieleni od innych aż do końca życia. Fakt, że będę dzielić to życie z człowiekiem dotąd zupełnie mi nieznanym, nie przestawał mnie oszalać”.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Wkrótce po zaślubinach Paramjita przychodzi pora na wydarzenie najwyższej wagi: Wielki Darbar w Delhi, czyli koronację króla Jerzego V i królowej Marii na parę cesarską Indii. Na pamiątkę pierwszych Brytyjczyków przybyłych na subkontynent, kolonialne władze wystawiły na wzgórzu nad bombajskim portem łuk tryumfalny z żółtego bazaltu, zwany Wrotami Indii. Potężny ich kształt to pierwszy widok, jaki ukazuje się oczom podpływających do indyjskiego wybrzeża dostojnych gości. Zjawiają się oni w Bombaju 2 grudnia 1911 roku, by z wielką pompą zejść na ląd i po stosownym wypoczynku podjąć podróż do Delhi, gdzie odbędzie się niezapomniana uroczystość, która wyznaczy apogeum brytyjskiego imperium.

Jak Indie długie i szerokie na dworach nie mówi się o niczym innym; wszyscy dokładają starań, by odpowiednio wypaść na ceremonii. Najbogatszy książę, nizam Hajdarabadu, wysoko zawiesza poprzeczkę, zamawiając u słynnego monsieur Faberge miniaturową replikę swego pałacu, która - cała w złocie i szlachetnych kamieniach - ozdobi hajdarabadzki pawilon. Maharadża Bhupinder ściąga do Indii samego Jacques'a Cartiera.

Francuz, mając do dyspozycji legendarne skarby Patijali - między innymi słynny czterystudwudziestoośmiokaratowy diament De Beers - projektuje ceremonialny naszyjnik, który przejdzie do historii jubilerstwa.

Dla Jagatjita Singha obchody w Delhi mają tym razem szczególne znaczenie, albowiem jego wysokość dostąpi podwójnego zaszczytu: z rąk samego cesarza otrzyma order Wielkiego Komandora Gwiazdy Indii oraz dziedziczny tytuł maharadży. A wszystko to w nagrodę za lojalność względem imperium i dbałość o interesy Kapurthali. Mimo zatargów z kolonialnymi władzami nic nie mogłoby ucieszyć radży bardziej.

Jego szczęście nie udziela się, niestety, żonom, nawet Anicie. Wszystkie zaprzątnięte są kwestiami protokołu. Harbans Kaur nie wątpi, że Anglicy, organizatorzy Darbaru, uszanują jej pozycję. Będzie to zatem kolejna okazja, by wykazać wagę tradycji i zmierzyć się ze znienawidzoną Hiszpanką. Anita boi się upokorzenia, a poza tym ma już dość ciągłej walki. Przy pomocy męża wygrała kilka bitew, ale ma powody do obaw o dalsze losy całej tej wojny. Ślub następcy tronu bynajmniej nie wpłynął na uśmierzanie konfliktów, wręcz przeciwnie. Poza Karanem, który zaraz po zakończeniu uroczystości wrócił do Anglii, żeby kontynuować studia inżynieryjno-rolnicze, wszyscy synowie radży okazują Anicie chłód. Karan i jego matka, rani Kanari, to jedyni jej sprzymierzeńcy na dworze, zbyt jednak słabi, by cokolwiek zmienić.

Nadzieja na to, że młodzi i wychowani w Europie „pasierbowie” wpłyną na swe matki, okazała się naiwna. Stało się dokładnie na odwrót: to matki wpłynęły na nich. Teraz wszyscy zgodnie ignorują Anitę, co tym bardziej boli, że mieszkają z nią pod jednym dachem. Spotykają ją więc nieustanne przykrości. Czasem na nakrytym do rodzinnego obiadu stole brakuje jej talerza i trzeba się o niego dopominać. Kiedy indziej, na tym czy innym garden party z udziałem miejscowych Anglików i ich żon Paramjit częstuje napojami wszystkich poza nią. Ani on, ani żaden z jego braci nigdy nikomu jej nie przedstawia i nigdy się do niej nie odzywa. Tak jakby nie istniała. Każda okazja jest dobra, by pokazać jej, że jest intruzem.

A Brinda? Rasowe i kastowe uprzedzenia, w ciągu ostatnich lat pogrzebane w jakimś zakątku jej umysłu, odżyły z jeszcze większą siłą, jak przycięte gałęzie. Już nie postrzega świata z perspektywy kobiety Zachodu. Widzi w teściu lubieżnika, który dał się uwieść „pospolitej hiszpańskiej tancerce”, a narzucając ją rodzinie, negatywnie wpływa na status wszystkich innych. Dlatego Brinda nie życzy sobie kontaktów z Anitą i nie chce mieszkać w L'Elysee.

- Nie jesteśmy już dziećmi - powiedziała do Paramjita. - Potrzebujemy niezależności.

Niełatwo jej przyszło przekonać męża, by porozmawiał z ojcem. „Mój teść traktował go zawsze, nawet po ślubie, jak małego chłopca”, pisała. Jednakże radza zgadza się od razu i proponuje nowożeńcom gniazdko miłosne, w którym sam spędził ostatnich kilka lat - Villa Buona Vista nie powinna świecić pustkami. „Zdziwiłam się, że nie robił problemów, był bowiem człowiekiem przyzwyczajonym do stawiania na swoim. Później zdałam sobie sprawę, że chciał w ten sposób zjednać sobie moją sympatię. Potrzebował przyjaciół i sojuszników w konflikcie, jaki powstał w łonie rodziny przez Hiszpankę”.

Taktyka radzy okazuje się wszakże nieskuteczna. Brinda, podobnie jak reszta kobiet w rodzinie, jest niezadowolona, że Anicie pozwala się odgrywać rolę pani domu.

- Chciałaby, żeby ją traktować jak oficjalną rani - ośmiela się kiedyś powiedzieć teściowi.

- Wysłałem cię do Francji, żebyś stała się kobietą nowoczesną, ale zaczynam rozumieć, że niepotrzebnie wyrzucałem pieniądze - mówi na to zły i rozczarowany radza. - Lata spędzone w Europie nie otworzyły cię na świat. Na nic się nie przydały.

„Nic nie odpowiedziałam, lecz chętnie rzuciłabym mu w twarz, że nieczułość, jaką okazuje żonom, wydaje mi się wprost szokująca. W czasie

przygotowań do ślubu wielokrotnie zastawałam Harbans Kaur we łzach. Skoro ja mogłam się zdobyć na poświęcenie i zaakceptować narzucone mi małżeństwo, on, jako głowa państwa, też powinien być do tego zdolny".

Pośród tych wszystkich pałacowych intryg Anita stara się zachować spokój i nie tracić równowagi. Wolałaby usunąć się w cień, stać się w miarę możliwości niewidzialna, ale mąż jej na to nie pozwala. Potrzebuje jej, jak to się dowodnie pokazało w czasie ślubu Paramjita. Anita boi się jednak, by gniew pozostałych żon nie skrupił się na małym Ajicie, i drży o jego bezpieczeństwo. Nocami miewa ataki bezsenności i lęku. A jeśli już zaśnie, śnią jej się koszmary, w których ucieka zawsze z synkiem w ramionach, ścigana przez coś niewyraźnego, co w końcu chwyta ją za gardło i budzi, zlaną potem. Tylko przy pogodnej jak zawsze Dalimie potrafi odpocząć. Historia jej życia, niegdyś podobna do bajki, nabiera coraz mroczniejszych tonów. Anita nie wie, co zrobić, by zatrzymać lawinę wydarzeń. Broń, którą dysponuje, czyli szczerłość i spontaniczność, w tej wojnie nie znajduje zastosowania.

Paramjit, do tej pory posłuszny i żyjący w cieniu ojca, po raz pierwszy decyduje otwarcie się mu przeciwstawić.

- Matka prosiła, żebym z tobą porozmawiał. Powinieneś przywrócić jej dawną pozycję.

- Nikt jej żadnej pozycji nie odbierał.

- Wiesz, o czym mówię. Hiszpanka przybiera pozę rani, a matka czuje się zlekceważona, odtrącona. Proszę, żebyś zechciał stosować się do tradycji, jak my wszyscy.

- Kobieta, którą z taką pogardą nazywasz „Hiszpanką”, to moja żona. Jesteśmy małżeństwem tak samo jak ty i Brinda.

- To twoja piąta żona.

- I co z tego? Z nią właśnie dzielę życie i przyznam jej każdy tytuł, jakiego zapragnie. Twoja matka dochowuje wierności zasadom purdah, nie wyrzucam jej tego, ale świat poszedł naprzód. Tłumaczyłem ci to tysiące razy, najwyraźniej nie chcesz zrozumieć. Myślisz, że twoja matka potrafiłaby, na przykład, zorganizować wasz ślub? Zająć się gośćmi z Europy? Potrzebuję u swego boku kobiety nieskrępowanej tradycyjnymi zakazami. I sądziłem, że mój syn ma dość rozumu, by to pojąć. Myliłem się. Dziedzic Kapurthali potrafi tylko mieszać się bez sensu w cudze sprawy.

„Dyskutowaliśmy o tym z mężem wiele razy”, pisała Brinda. „Jako wychowana w duchu tradycji Hinduska nie mogłam aprobować postępowania teścia. Jako kobieta współczułam matce Paramjita, rozpaczonej chłodem męża. Po wielu deliberacjach doszliśmy do zgodnego wniosku: nie wolno

uznać jego małżeństwa z Hiszpanką. Powiadomiliśmy więc radzę, że nie będziemy utrzymywać z nią stosunków i pojawiać się na uroczystościach, na których moglibyśmy ją spotkać".

Tak drastyczne posunięcie to poważny cios dla radży. Paramjit stanął po stronie matki. To do pewnego stopnia naturalne, ale niepotrzebne. Bo Jagatjit nie ma nic przeciwko swojej pierwszej żonie. Fakt, że nie dzieli życia ani z nią, ani z pozostałymi czterema, nie oznacza, że zamierza je opuścić. Nigdy by czegoś podobnego nie uczynił i złoścą go podobne oskarżenia. Ponadto zna swego syna i wie, że samodzielnie nie zdobyłby się na konfrontację z ojcem. Jego bezczelność należy więc złożyć na karb małżeństwa. Dobrze urodzone Hinduski poważnie biorą swoje rzekomo boskie pochodzenie. Z sikhijskich nauk o równości nie wyciągnęły żadnej lekcji.

Ale życie toczy się dalej i Jagatjit ma nadzieję, że tak jak zdołał uczynić z Brindy przyszłą panią Kapurthali, tak nie zabraknie mu okazji, by z nawiązką odplacić synowej za niewdzięczność.

\* \* \*

W ciągu dwutygodniowych uroczystości towarzyszących Darbarowi liczebność dwustupięćdziesięciotysięcznego zwykle Delhi podwaja się za sprawą gości, wśród których są indyjscy książęta i arystokraci, przedstawiciele lokalnych rządów, niemal cała społeczność brytyjska i przybysze z Europy. Do tego dochodzi osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Organizatorzy spisali się doskonale. Wzniesiono czterdzieści tysięcy pawilonów, zbudowano siedemdziesiąt kilometrów nowych dróg, o czterdzieści kilometrów przedłużono linię kolejową, oddano do użytku osiemdziesiąt kilometrów instalacji kanalizacyjnych oraz gigantyczny amfiteatr mogący pomieścić sto tysięcy ludzi. Para cesarska ma do dyspozycji dwieście trzydzieści trzy pawilony wyposażone w marmurowe kominki, ścianki z rzeźbionego mahoni, złotą zastawę stołową i kryształowe lampy. W pozostałych, również olśniewających przepychem, rozgościły się książęce dwory wraz z gośćmi i służbą. Każdy pawilon jest inny. Radża Jamnagaru kazał ozdobić swój muszlami ostryg, które są symbolem jego kraju, położonego nad Morzem Arabskim. Radża Rewy trzyma u wejścia dwa tresowane tygrysy. Chciał je nawet podarować w stosownej chwili cesarzowi, ale przezornie mu to wyperswadowano.

Wokół pawilonów rozciągają się ogrody obsadzone różami w barwach poszczególnych księstw, zachwycające starannie przystrzyżonymi trawnikami i równiutkimi alejkami, pełne basenów, boisk do gry w polo, stajen dla koni i słońi oraz parkingów dla powozów i aut. Prywatne pociągi mogą się tu



zatrzymać aż na trzydziestu sześciu stacjach. Anita jest pod wrażeniem: „Nigdy w życiu nie widziałam tylu złotych tronów, tylu przybranych klejnotami słoni, tylu karet z czystego srebra. I te wszystkie rolls-royce'y zaparkowane całymi szeregami! Bóg jeden wie, ile kosztował ten pokaz bogactwa książąt, z których każdy chciał się wydać najbogatszy i najpotężniejszy”.

Różne imprezy następują jedna po drugiej w zawrotnym rytmie: garden parties, zamknięte spotkania dla pań zachowujących purdah, mecze polo i masa innych rozrywek. Na przyjęcie wydane przez królową Marię Harbans Kaur idzie w towarzystwie swojej synowej, która w razie potrzeby służy jej za tłumaczkę. „Hiszpanki”, rzecz jasna, nie zaprasza się na oficjalne przyjęcia. To nie Kalkuta i nawet gdyby Anita chciała przywitać się z gubernatorem Bengalu i jego żoną, nikt by jej do nich nie dopuścił. Jej status ponownie stał się przedmiotem ożywionej korespondencji między urzędnikami rozmaitych szczebli, aż wreszcie list wicekróla do rezydującego w Londynie sekretarza stanu do spraw Indii rozstrzygnął sprawę następująco: „Prem Kaur z Kapurthali nie zostanie zaproszona na garden party wydawane przez Jej Wysokość Królową dla książęcych żon, ale będzie miała prawo wstępu na wszystkie uroczystości, gdzie nie zaistnieje ryzyko przedstawienia jej cesarskiej parze. Na czas Darbaru otrzyma miejsce w głębi amfiteatru i weźmie udział w ceremonii jako zwykły widz”.

Darbar odbywa się 12 grudnia 1911 roku. To niezapomniany spektakl dla wszystkich obecnych. Dla wieśniaków, którzy szli przez kilka dni, by zobaczyć swego cesarza, dla odzianych w białe bawełniane przepaski chłopców obsiadających okoliczne drzewa, dla dwunastoletnich dziewczynek z dziećmi na rękach, ale także dla samej królewskiej pary mającej przed sobą morze zielonych, żółtych, różowych, niebieskich i pomarańczowych turbanów. „Był to najbardziej niezwykły widok, jaki zdarzyło mi się w życiu oglądać”, powie później Jerzy V, który siedzi teraz obok żony na szczerozłotym tronie, wysoko ponad tłumem, w gronostajowym płaszczu, pod chroniącą przed ostrym słońcem purpurowo-złotą markizą. To słowa kogoś, kto rozumie, że bez Indii Wielka Brytania nie byłaby największym w historii imperium ani światową potęgą.

Na honorowych miejscach zasiadają wystrojeni w brokaty i złotogłowie książęta wraz z przedstawicielami miejscowej arystokracji. Każdy założył na tę okazję swoje najszlachetniejsze klejnoty: Jagatjit Singh ma ozdobną szablę wysadzaną szlachetnymi kamieniami i szmaragd wielkości śliwki przy turbanie; Bhupinder z Patijali - napierśnik z diamentów; maharadża Gwalijaru -

pas z pereł i tak dalej, i tak dalej. Jerzy V pojawia się w nowej cesarskiej koronie połyskującej szafirami, rubinami, szmaragdami i diamentami - to dzieło jubilera Garrarda, któremu Indie zapłaciły za nie sześćdziesiąt tysięcy funtów. Aby pozbawić ceremonię pozorów drugiej koronacji, co wymagałoby oprawy religijnej, niezbyt stosownej w obecności tylu hindusów i muzułmanów, postanowiono, że cesarz wyjdzie do ludzi już w koronie, by odebrać hołd od zgromadzonych przed jego tronem książąt.

Radzowie i nababowie jeden po drugim podchodzą do podwyższenia, kłaniają się, po czym następuje krótka wymiana uprzejmości i prezentów. Najpierw idą najpotężniejsi, ci, którym przysługuje najwięcej, bo aż dwadzieścia jeden salw honorowych: władcy Hajdarabadu, Kaszmiru, Mysore, Gwalijaru i Barody. Potem przychodzi kolej na tych, którzy mają prawo do dziewiętnastu, siedemnastu, piętnastu, trzynastu, jedenastu i dziewięciu wystrzałów. Władczyni małego muzułmańskiego państwa położonego w środkowych Indiach, begum Bhopalu, jest w tym towarzystwie jedyną kobietą. Patrząc na zakrywającą ją od stóp do głów burkę z białego jedwabiu, nikt by nie zgadł, że uchodzi za zwolenniczkę postępu i uczyniła z Bhopalu jedno z najbardziej rozwiniętych państw w Indiach.

Wspaniały spektakl rozgrywa się powoli, w rytmie kroczącego słonia. Tym razem Anita nie siedzi u boku męża. Chwała Bogu, bo oznaczałoby to konieczność znoszenia Harbans Kaur i innych żon. Ku niezadowoleniu brytyjskich urzędników odpowiedzialnych za sprawy protokołu maharadza Kaszmiru zaprosił ją do swojej „łóży”, a że nikt nie śmie zawracać mu głowy, Anita ma paradoksalnie lepsze miejsce i znajduje się bliżej cesarskiej pary niż delegacja Kapurthali.

Brytyjczycy chcieli podkreślić doniosłość okazji czymś więcej niż tylko wspaniałym przedstawieniem. Uznali, że pierwsza w historii wizyta brytyjskiego króla w Indiach powinna zostawić w pamięci poddanych trwałe ślady, ba, wyznaczyć nowy etap w dziejach subkontynentu. Do końca zresztą trzymali rzecz w tajemnicy. O całej sprawie wiedziało zaledwie dwanaście osób i nawet królowa Maria długo pozostawała w nieświadomości. Teraz, pod koniec Darbaru, król ogłasza swą niespodziankę: stolica imperium zostanie przeniesiona z Kalkuty do Delhi. Będzie jak za Mogołów. Nadzór urbanistyczny nad przedsięwzięciem obejmie architekt Edwin Lutyens, tak by New Delhi stało się powodem do narodowej chluby, gwiazdą, której blask dotrze nawet w najdalsze zakątki Indii.

Twórcy pax britannica kończą swoje obchody, wypowiadając wojnę najgroźniejszym w Indiach zwierzętom: organizują mianowicie polowanie na

tygrysa, uważane powszechnie za najszlachetniejszy i tym samym zarezerwowany dla książąt sport. Jerzy V, który zamierza spędzić koniec roku w Nepalu, zabija dwadzieścia cztery wielkie koty, a potwierdzając swą doskonałą formę fizyczną, dokonuje niezwykłego wyczynu: jedną ręką strzela do tygrysa, a drugą - w tym samym czasie - do niedźwiedzia. I z obu trafia. Później, żeby postawić kropkę nad i, uśmierca jeszcze osiemnaście nosorożców.

Świeżo upieczony maharadża Kapurthali odsyła do domu rodzinę i większą część dworu, a sam z Anitą udaje się do Kotahu w Radżasthanie, na zaproszenie maharadży Umeda Singha, słynnego z polowań, które urządza. Anita jest mile zaskoczona, gdy odkrywa, że w pięciokondygnacyjnym średniowiecznym pałacu, gdzie zostają ulokowani, zamontowano elektryczną windę. Stwierdza więc, że „maharadża Kotahu to człowiek inteligentny i dość otwarty”, choć poznawszy go lepiej, dodaje, iż „mimo to nigdy nie usiądzie do stołu z przedstawicielami innej kasty”. Kotah oferuje przybyszom jedyne w swoim rodzaju widowisko: walkę pantery z dzikiem, na którą zjeżdżają się moiżni z całych Indii, by robić wysokie zakłady. Anita przygląda się jej wraz z mężem, lecz przed końcem rezygnuje, albowiem krwawy spektakl wzbudza w niej mdłości. Dalece bardziej podoba się jej polowanie na pantery, które ogląda o świcie z pokładu parowca płynącego niespiesznie rzeką wśród dzikich, kamienistych pustkowi. Jagatjitowi udaje się zabić jedną sztukę: „Jego wysokość był bardzo poruszony, podobnie jak naganiacze, którzy z radością całowali mu stopy”. Taki moment to dla każdego księcia wielkie przeżycie, pamiątka po dawnych czasach, kiedy na wielkie koty polowało się, by utrzymać formę godną suwerena. A i teraz dla młodych, dobrze urodzonych Hindusów pierwszy samodzielnie ustrzelony tygrys oznacza prawdziwe wejście w dorosłość. Maharadża Kotahu dokonał tego w wieku lat trzynastu, z okna swojej sypialni, co daje pewne pojęcie o mnogości zamieszkujących Indie zwierząt. Znany jest też z tego, że umie jedną ręką prowadzić samochód, a drugą strzelać, nigdy nie pudrując.

Dla Anity śikar\* to prawdziwe odkrycie, tym bardziej że mogą w nim uczestniczyć kobiety.

\* W języku hindi - polowanie.

Najważniejsza jest atmosfera: życie w obozach na powietrzu, nocne rozmowy przy ognisku, spokój pól i lasów - przebłysk świata, w którym ludzie wchodzą w proste relacje, wolne od towarzyskich zawłości i podstępów.

## Rozdział trzydziesty drugi

Po obfitującym w przeżycia pobycie w Delhi Anita cieszy się z powrotu do cichej Kapurthali. Odkąd Paramjit i Brinda wyprowadzili się do Villi Buona Vista, a pozostali synowie wyjechali do Anglii, w L'Elysee została tylko ich trójka: Jagatjit, którego wszyscy nazywają teraz maharadzą, Anita i mały Ajit. Przejazdźki konne, zakupy w Lahore i mecze tenisa znowu wyznaczają rytm ich spokojnej, luksusowej egzystencji. Mimo swoich rozmiarów pałac nie sprawia wrażenia zimnego czy przytłaczającego, a to dzięki panującej w nim ożywionej krzątaninie. Ministrowie z raportami tłoczą się przed gabinetem maharadży, wszędzie kłębi się rój petentów, wciąż odbywają się jakieś konferencje, podejmowane są decyzje. W urzędach na parterze pracują księgowi, skarbnicy i setki innych urzędników.

Anita bardzo dba o przydzielony jej kawałek ogrodu. Zasadziła zioła, kwiaty i pomidory na gazpacho. W cieniu różanej altany pilnie uzupełnia swój dziennik, zapełniając oprawne w skórę zeszyty wysokim, spiczastym pismem. Robi to na prośbę męża, używając wyłącznie francuszczyzny, żeby mógł zrozumieć. Przywykła do jego ojcowskiej niemal miłości i choć czasem ma ochotę wypomnieć mu finansową transakcję leżącą u podstaw ich małżeństwa, to już rozumie, że Jagatjita od dzieciństwa uczono kupować wszystko, czego zapragnął: pałace, mieszkania, samochody, konie, ministrów, żony... Kocha go trochę tak, jak kochamy bankiera otwierającego nam nieograniczony kredyt. Obsypał ją klejnotami, by jej uroda jaśniała jeszcze wspanialej i by w ten sposób usprawiedliwić tę nagłą, zrodzoną z kaprysu miłość w oczach rodziny. Chciał żony pięknej i dowcipnej, której nikt nie zdoła się oprzeć. I teraz, razem, kształtują nowy obraz Kapurthali. Jednakże Anita nie doszukuje się w prezentach od męża dowodów uczucia: maharadża jest tak bogaty, że obdarowywanie jej przychodzi mu bez żadnego wysiłku. Zresztą, w jakimś stopniu zatracił poczucie wartości rynkowej przedmiotów. Dla Anity zaś te wszystkie wisioriki, kolczyki, brosze i pierścionki stanowią swego rodzaju zabezpieczenie, a może i gwarancję wolności, choć w świecie, w którym żyje, pojęcie to zdaje się nie dotyczyć kobiet.

Poza dziennikiem, w którym nigdy nie notuje żadnych osobistych przemyśleń, Anita pisze listy do dawnego nauczyciela dykcji, Narcisa Diaza z Malagi, który przysyła jej długie epistoły pełne pytań o Indie. Opowiada mu więc o indyjskich zwyczajach, wyjaśniając na przykład, że „niektórzy książęta, podawszy komuś dłoń, pędzą natychmiast ją umyć z obawy, by nie zbrukać się dotykiem przedstawiciela niższej kasty”. Unika natomiast wynurzeń na temat

pozostałych żon maharadży i nie podpisuje się już, jak dawniej, formułą „Anita Delgado, obecnie księżna Kapurthali”; teraz nazywa się „Prem Kaur z Kapurthali”.

Wieści z domu są niewesołe. Victoria, która zdążyła już urodzić dwoje dzieci, wiecie trudną egzystencję u boku źle traktującego ją męża-kobieciarza. Na to się od początku zanosilo, co bynajmniej nie łagodzi niepokoju Anity, potęgowanego jeszcze przez odległość. Niemiły obrót przyjęła też sprawa wotum dla Matki Boskiej. Wyszywana klejnotami sukienka leży podobno w szufladzie zakrystii i nigdy nie okryje najświętszego posągu. Biskup chciał ją nawet wyrzucić do morza, twierdząc złośliwie, że mogła służyć do jakichś pogańskich obrzędów. „Zważywszy jej pochodzenie...”, rzucił z wyraźnie obraźliwą intencją. Chwała Bogu, że proboszcz wykazał więcej rozumu. Insynuacje hierarchy dotknęły Anitę do żywego. Bardziej niż wszystkie razem wzięte afronty ze strony żon maharadży i Brytyjczyków. Cios był tym dotkliwszy, że zadany przez kogoś z domu, z Hiszpanii, z miejsca, które napawa ją największym zaufaniem. Najwyraźniej bigoteria, nietolerancja i przesady nie stanowią wyłącznej domeny indyjskiej arystokracji i angielskich urzędników.

Jednakże, mimo wszystko, są to szczęśliwe czasy. A przynajmniej takie się będą Anicie później wydawały. Ostatecznie, choć rodzina maharadży wciąż ją bojkotuje - tylko dlatego, że urodziła się biedna - mąż kocha ją i wspiera. Nie brak też ludzi, którzy potrafią docenić jej zalety. Głęboką satysfakcję daje Anicie świadomość, że jej urok osobisty potrafi znosić sztuczne bariery narzucane przez strażników wiktoriańskiej moralności.

Oczywiście, tęskni za bliskimi, a samotność i nuda niejednokrotnie dają się jej we znaki. Częste podróże rekompensują wszakże z nawiązką marazm Kapurthali. Prawdę mówiąc, książęca para żyje niemal na walizkach, „jeżdżąc z miejsca w miejsce”, jak pisze Anita w dzienniku. Ajit zostaje pod opieką Dalimy i licznych niań, jego rodzice zaś przemierzają Indie, odwiedzając kolejnych maharadzów. W ten sposób Anita odkrywa kraj nieodmiennie egzotyczny, a czasem wręcz nierealny.

Zaproszona na wystawną kolację przez maharadżę Gangę Singha z Bikaneru, uprzejmie pyta go o przepis na główne danie, by usłyszeć taką oto, całkiem poważną odpowiedź:

- Ubij wielbłąda, obedrzyj go ze skóry i wypatrosz, włóż mu do środka kozę, kozie indyka, indykowi kurczaka, kurczakowi guszcza, guszcowi przepiórkę, a przepiórcę wróbla. Całość dobrze przypraw, zakop w ziemi i upiecz.

W Gwalijarze, gdy biesiadują w jadalni słynnej z rozwożącego potrawy i napoje miniaturowego pociągu, rozmowa schodzi na niedawną podróż Jerzego V i jego żony Marii po Indiach. Biedna królowa nie zdołała wypróbować marmurowej wanny zamontowanej w gwalijarskim pałacu specjalnie dla niej, albowiem nieszczęśliwie się poślizgnęła przy wchodzeniu. Na innym z kolei dworze w centralnych Indiach nie udało się uruchomić na czas sprowadzonego prosto z Londynu najnowszego modelu spluczki. Dlatego na dachu dyżurowali dwaj sweepers: jeden z kubłem wody, a drugi mający za zadanie śledzić przez szparę rozwój wydarzeń w łazience. Kiedy nadchodził stosowny moment i królowa pociągała za łańcuszek, jeden ze służących dawał sygnał, a drugi lał wodę do zbiornika. Anglicy nigdy nie odkryli podstępu.

Anita docenia trafiającą się tylko nielicznym możliwość wglądu w ten hermetyczny świat. Przyjaciele męża ją akceptują, dzięki nim miewa chwile normalności. Nie przestaje robić notatek. Nosi się z pomysłem napisania książki o swoim życiu w Indiach, choćby mieli ją przeczytać jedynie hiszpańscy znajomi. Tak bardzo by chciała dzielić te wszystkie niezwykle doświadczenia z najbliższymi! Do Kapurthali wraca zawsze wyczerpana, ale z głową pełną wrażeń, widoków, doznań i opowieści, które skrzętnie zapisuje, by nie przepadły wraz z kolejnym zmierzchem.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Któregoś razu po powrocie nie zastają w pałacu Dalimy. Służby jest tyle, że nieobecność jednej osoby nie wpływa na bieg codziennych spraw. Ale choć nianie świetnie radzą sobie z Ajitem, Dalima zajmuje szczególne miejsce w sercu Anity. Podobno dostała wiadomość, że jej mąż zachorował i pojechała go doglądać. Od tamtej pory nie daje znaku życia. Z nikim się nie kontaktowała.

Anita pyta o nią co rano. I zawsze otrzymuje tę samą odpowiedź. Ta przedłużająca się nieobecność zaczyna ją niepokoić. Anita zna Dalimę i jej przywiązanie do Ajita. Nagłe znikanie nie jest w jej stylu. Zwłaszcza na tak długo. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego z własnej woli. Coś się musiało stać.

Jak zawsze w sytuacjach kryzysowych Anita prosi o pomoc Bibi Amrit Kaur, którą uważa za swą jedyną przyjaciółkę w Kapurthali. Bibi, w przeciwieństwie do wiernej swojej kaście Brindy, pozostaje wierna przede wszystkim samej sobie. To jedyna w otoczeniu Anity wolna i pozbawiona przesądów kobieta, która ma to nieszczęście, że żyje w świecie zbyt ciasnym jak na potrzeby jej wielkiego serca. Dlatego wstąpiła do Partii Kongresowej i uczestniczy w jej zjazdach. Partia Kongresowa zrzesza rozmaite ugrupowania z całego kraju i stara się walczyć o prawa Hindusów. Bibi spotkała tam ludzi podobnych sobie, wychowanych najczęściej w Wielkiej Brytanii i zadających sobie te same co ona pytania. Dlaczego traktuje się nas gorzej niż Anglików? Jak żyć w kraju, gdzie kontrast między zbytkiem i nędzą wprost bije po oczach? Tak oto, jeszcze nieśmiało, dochodzą do głosu nowe Indie, zupełnie inne od tych, które można było oglądać podczas Darbaru.

W towarzystwie Bibi Anita wybiera się do wioski, w której mieszka Dalima. Jadą konno, w słoneczny poranek. Kiedy po trzech godzinach docierają na miejsce, otacza je rój dzieci, trochę przestraszonych, ale bardzo ciekawych, komu chciało się zapuścić aż tutaj. Dom Dalimy okazuje się niewielką ceglana chatką, wyróżniającą się wśród glinianych lepianek dostatkiem.

- Dalima leży w szpitalu - zaleźnionym głosem informuje stojąca nieopodal młoda kobieta.

- W jakim szpitalu?

- W Dżalandarze.

W ceglany domku wita je rodzina męża. Teściowa Dalimy, połykając łzy, mówi, że jej syn zmarł przed miesiącem na czerwoną gorączkę\*, po kilkudniowej agonii.

\* Gruźlica.

- A Dalima?

- Kobra atakuje zawsze dwa razy - odpowiada kobieta, mając najwyraźniej na myśli, że nieszczęścia chodzą parami. - To straszne, co się stało - dodaje, spoglądając na ścianę w głąbi.

Mur jest tam osmalony jak po pożarze, ziemię pokrywa niezamieciony popiół.

- Dalima przygotowywała kolację, gdy nagle usłyszeliśmy jej krzyki. Pobiegliliśmy na pomoc, ale stała już w płomieniach.

- Gdzie jest dziewczynka? - chce wiedzieć Anita.

- Zaopiekujemy się nią - odpowiada kobieta z ciężkim westchnieniem.

Anita szuka dziecka wzrokiem i dostrzega je w kącie, pochylone nad kilkoma patykami i skrawkiem materiału. Widząc znajomą twarz, córeczka Dalimy uśmiecha się, sprawiając, że serce Anity ściska się boleśnie.

Przyjaciółki wracają do Kapurthali. Jadą stępą pylistą drogą wzdłuż rzeki. Mijają odziane w barwne sari kobiety, niosące na głowach dzbany z wodą. Bibi rozmyśla nad czymś ze zmarszczonym czołem.

- O co chodzi?

- Podpalili ją. Chcieli ją zabić.

- Dalimę? Dlaczego ktoś miałby zabijać takiego anioła?

Anita zna tylko część Indii, tę połyskliwą i bogatą. Hinduska wieś to dla niej wyłącznie idylliczne widoczki.

- Życie tutejszej kobiety bardzo łatwo może przemienić się w piekło - oświadcza Bibi. - Zwłaszcza jeśli umiera jej mąż. Słyszałaś o sati?

Każdy cudzoziemiec słyszał o tym pradawnym hinduistycznym zwyczaju, który od wieków każe wdowom wstępować na stos pogrzebowy męża z przekonaniem, że w ten sposób dołączą do niego w wieczności. Ponadto dusza takiej kobiety ma podobno znajdować łaskę w oczach bogini Sati Mata i zapewniać rodzinie oraz całej wiosce pomyślność przez siedem pokoleń.

- Niektóre decydują się na to z własnej woli i czczone są potem jako święte - ciągnie Bibi. - Jednakże większość zostaje zmuszona... Wiesz przez kogo?

Anita kręci głową.

- Przez rodzinę męża. To sposób na zawładnięcie majątkiem wdowy, ziemią, domem, biżuterią, jeśli któraś ją ma... A w razie upartej odmowy istnieje dyskretnej szata metoda: podpalenie. Tego typu zabójstwa, przedstawiane jako wypadek, najczęściej uchodzą winnym na sucho.

- Jesteś tego wszystkiego pewna?

- Raczej tak. Lekarze ze szpitali, które zdarzyło mi się odwiedzić, zawsze wyrażali zdziwienie liczbą hindusek, które umierają od poparzeń doznanych w domach. Muzułmankom takie wypadki przytrafiają się dwadzieścia razy



rzadziej. Czy to nie dziwne? Najgorsze, że taką zbrodnię bardzo trudno udowodnić.

Następnego dnia samochodem Bibi udają się do miejskiego szpitala, małego, obskurnego budynku na obrzeżach Dżalandaru. Przy wejściu stoją dwa oparte o ziemię, pomalowane na biało wozy z czerwonym krzyżem. To karetki. Anita i Bibi zaglądają do dyżurki, w której jakaś pielęgniarka popija herbatę pośród papierowych paczek przewiązanych sznurkiem. Niektóre, sądząc po ich stanie, muszą tam leżeć od dawna. Pielęgniarka prowadzi przybyłe do nieco większego pomieszczenia z dwudziestoma łózkami. Mijają starca uwięzionego w sięgającym od stóp do głowy gipsowym pancerzu. Kilku chorych próbuje uchwycić się migających w przejściu sari. Pachnie eterem i chloroformem. Dalima leży na metalowym łóżku w głębi, z butelką serum nad głową. Twarz, głowę i większą część ciała ma zabandażowaną. Śpi albo może jest nieprzytomna.

- Cała poparzona - rzuca pielęgniarka. - Myśleliśmy, że nie przeżyje, ale stopniowo przychodzi do siebie. Bardzo cierpi.

- Zabiorę ją do szpitala w Lahore - postanawia Anita.

- Nie przyjmą jej. To Hinduska.

- Już my się postaramy, żeby ją przyjęli - wspiera przyjaciółkę Bibi.

Angielski szpital w Lahore mieści się w białym gmachu przypominającym kolonialną willę. Tu leczy się także cięższe przypadki. Bibi wkłada całą swą energię, by przekonać prowadzące ośrodek zakonnice do przyjęcia Dalimy. Nie jest wprawdzie Europejką, ale pracuje dla rady Kapurthali. Ten argument przeważa.

Anita i Bibi odwiedzają chorą całymi tygodniami, aż wreszcie Dalima odzyskuje przytomność. Pierwszym słowem, jakie wypowiada, jest imię córeczki.

- Nic się nie martw. Jak wyzdrowiejesz, zaraz po nią pojedziemy. Ale Dalima wybucha rozpaczliwym płaczem. Łzy wypływają spod bandaża, zwilżają zniekształconą na zawsze twarz. Poparzone w sześćdziesięciu procentach ciało nigdy nie będzie takie jak przedtem. Ale Dalima żyje, tylko to się teraz liczy.

Kolejne rozmowy z chorą potwierdzają przypuszczenia Bibi. Nie ma mowy o żadnym wypadku, chodzi o podpalenie. A wszystko zaczęło się od posagu, którego ubogi ojciec Dalimy nie był w stanie wypłacić, choć go obiecał. Teściowie i szwagrowie wielokrotnie grozili jej, domagając się dwóch krów, dwóch kóz, mosiężnych talerzy i miedzianych dzbanów. Nawet mąż, buntowany przez rodzinę, wypominał jej niedotrzymane przyrzeczenie. Zresztą,

w ogóle nie traktował jej zbyt dobrze. W czasie ostrzejszych kłótni zapowiadał, że ją odeśle, odbierając jej córkę. Biedaczka przeżywała w domu piekło, dlatego tak lubiła mieszkać w pałacu. A Anita żyła w nieświadomości.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dałabym ci te krowy i kozy, żeby zostawili cię wreszcie w spokoju...

- Nie, madam. To by nic nie dało. Mój mąż miał dość pieniędzy. Wymyśliliby coś innego, żeby się mnie pozbyć. Chcieli go ożenić z córką jednego marwariego, dlatego uprzykrzali mi życie. Szło o to, żebym zniknęła.

Stanowiła przeszkodę na drodze do awansu społecznego rodziny męża. Pensja, jaką dostawała za pracę w pałacu, była niczym w porównaniu z posagiem córki zamożnego kupca. Dlatego nikt się nie patyczkował. Anita, zdecydowana ukarać winnych, odbywa kilka niemiłych dyskusji z mężem.

- Nie ma dowodów - mówi maharadża. - Poza tym lepiej nie mieszać się w wewnętrzne sprawy takich społeczności. Hindusi mają swoje prawa, podobnie jak muzułmanie.

- W takim razie czemu służy sąd w Kapurthali?

Maharadża wprowadził system sądownictwa wzorowany na tym, który obowiązuje na terenach zarządzanych bezpośrednio przez Brytyjczyków, z dwoma sędziami wykształconymi w Indian Civil Service, gdzie uczą się urzędnicze elity. Sąd w Kapurthali rozstrzyga kwestie podatkowe, konflikty o spadek i ziemię, karze rabusiów i tak dalej. Drastyczniejsze sprawy się nie trafiają i Jagatjit nigdy nie użył nadanego mu w 1902 roku przez Brytyjczyków prawa do wymierzania kary śmierci.

- Przypadki takie jak to, co spotkało Dalimę, sądzi wioskowa starszyzna, tak zwani panchayat. I dobrze.

- To bez sensu. Rodzina męża Dalimy jest najbogatsza w okolicy i trzyma wszystkich w szachu.

- Sąd potrzebuje zgłoszenia przestępstwa, dowodów, świadków... Niczym takim nie dysponujemy!

- W nosie mam dowody i świadków! Jak sędzia Falstaff... Aluzja Anity dotyka maharadzę do głębi. Chodzi o poprzedniego sędziego Kapurthali, Anglika nazwiskiem Falstaff, dżentelmena o surowych zasadach, który zasłynął, rozpatrując sprawę pewnego muzułmanina. Człowiek ów twierdził, że jest prawowitym mężem takiej a takiej Sikhijki i ma z nią kilkoro dzieci. Na potwierdzenie tego, że jego żona przyjęła islam, przywoływał fakt, że wydepilowała sobie całe ciało, czego religia Sikhów zabrania. Jego adwokat przedłożył sędziemu niezwykle dowód: schowane w kopercie włosy łonowe. „Zabierz pan to stąd!", wrzasnął wtedy zgorszony sędzia Falstaff. Dzięki tej

anegdocie sąd w Kapurthali zasłynął na całe Indie, ale radża nie znajdował w całym zdarzeniu nic śmiesznego.

- Nie powinnaś ośmieszać naszego wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób ośmieszasz także mnie.

- Wybacz, mon cheri. Ale bardzo się denerwuję tą historią.

- Więc najlepiej o niej zapomnij. Nic poza tym nie możesz zrobić. Anita milczy przez chwilę, a potem zaczyna od początku.

- Mogłabym skłonić Dalimę, żeby zgłosiła przestępstwo.

- Nie zrobisz tego - ucina Jagatjit stanowczo. - Państwo nic na tym nie zyska. Ty też nie.

- Ale idzie o sprawiedliwość!

- Anita, żyjemy w kraju zamieszkiwanym przez trzy społeczności. My, Sikhowie, stanowimy mniejszość. Nie chcemy konfliktów. Rozumiesz? Jeśli zaczniemy mieszać, zapanuje chaos, a to nie leży w niczyim interesie. Równowaga w kraju jest znacznie ważniejsza niż sprawiedliwość w sprawie tak niejasnej jak ta Dalimy. Posłuchaj zatem mojej rady: sprowadź Dalimę z powrotem do pałacu i zapomnij o reszcie.

Nie ma sensu nalegać. Wnioski nasuwają się same: sprawiedliwość to luksus dostępny tylko dla wybranych. Teraz należy skupić się na Dalimie. Anita nie musi nawet pytać, by wiedzieć, że bardziej niż ropiejące rany i świeże blizny, bardziej niż szpitalna samotność i trwałe oszpecenie dręczy biedaczkę niepokój o los córeczki, o rok starszej od Ajita. Unieruchomiona, wpatrzona w skrzydła zwisającego z sufitu wentylatora Dalima myśli tylko o niej. Czy dobrze ją karmią? Czy jej aby nie biją? A przede wszystkim kiedy będzie mogła zobaczyć ją i przytulić? Dusza młodej Hinduski cierpi bardziej niż ciało.

Anita zdaje sobie z tego sprawę i jest zdecydowana zrobić wszystko, co w jej mocy. Wie, że bez wsparcia męża nigdy nie zdoła postawić winnych przed sądem, ale przynajmniej może odebrać im dziecko i zwrócić je matce. Musi jednak dokonać tego po cichu, żeby nie przysparzać maharadży kłopotów i go nie drażnić.

I znowu Bibi przychodzi z pomocą. Bo co właściwie robić? Wybrać się raz jeszcze do wioski, zdecydować na konfrontację i wywieźć dziewczynkę siłą? Trudno to sobie wyobrazić.

- Mam pomysł - oświadcza Anita. - Zaproponuję im pieniądze. Są przecież chciwi.

- Będziesz płacić mordercom?

Słuszna uwaga. To byłby już szczyt wszystkiego. W końcu wspólnie z Bibi dochodzą do wniosku, że nie mogą jechać same, jak ostatnim razem. Muszą wziąć ze sobą kogoś, kto zniechęci zbrodniczą rodzinę do oporu.

- Trzeba ich porządnie nastraszyć, inaczej nic nie wskóramy. Anita popada w zadumę. Zna człowieka, który zawsze okazywał jej życzliwość i w dużej mierze przyczynił się do tego, że jej małżeństwo z maharadzą w ogóle doszło do skutku. Kapitan straży przybocznej Inder Singh, postawny sikhijski oficer, który kiedyś odwiedził ją w Madrycie, na pewno jej nie odmówi.

Inder Singh pracuje w pałacu, lecz mieszka w oddalonej nieco od miasta wiosce, w dużym parterowym domu, wraz z żoną, dwojgiem dzieci i rodzicami. Bibi i Anita pod pozorem codziennej przejażdżki odwiedzają go następnego dnia o zmierzchu. Kapitan w domowym stroju siedzi u wejścia i popija herbatę. Nawet w prostym odzieniu wygląda elegancko. Anita wyłuszcza mu swój problem. Inder Singh słucha z uwagą - kwestia niewypłaconych posagów i „domowych pożarów” nie jest mu obca, piszą o niej w „Civil and Military Gazette”, którą regularnie czyta. Oczywiście z chęcią pomoże. Czyż sikhizm nie nakazuje walczyć z dyskryminacją kobiet? Kapitan poważnie traktuje swą religię i raz w miesiącu wraz z całą rodziną odwiedza Złotą Świątynię. Czyż święta księga nie mówi, że gdy nadarza się sposobność czynienia dobra, należy ją wykorzystać? Jest tylko jeden kłopot.

- Czy maharadża wie o wszystkim?

Anita zagryza wargi. Przez chwilę się waha, ale potem mówi:

- Oczywiście.

Dlatego już nazajutrz, eskortowane przez czterech umundurowanych gwardzistów z lancami, na których końcach powiewają trójkątne proporce Kapurthali, a także przez imponującego jak zawsze Indera Singha, Anita i Bibi wjeżdżają do wioski Dalimy. Miejscowe dzieci aż rozdziawiają buzie. Widok dwóch nieznajomych kobiet jest zjawiskiem zadziwiającym, ale wizyta gwardzistów samego maharadży to już prawdziwe wydarzenie. W domu zmarłego męża Dalimy panuje wyraźnie nerwowa atmosfera. Wszyscy zdają się zastanawiać, czy zostaną aresztowani. Zaleknione spojrzenia dobitnie świadczą o tym, że zamierzony efekt został osiągnięty. Z wydaniem dziewczynki nie ma żadnych problemów, tak jakby rodzina spodziewała się, a nawet oczekiwała, że do tego dojdzie. Ta nagła uległość wzbudza w przyjaciółkach podejrzenia.

- Zamiast się awanturować, sprawiają wrażenie uradowanych, że pozbyli się ciężaru - stwierdza Anita.

- Jedna mniej do wywianowania - rzuca Bibi. - Taka już logika tych ludzi.

Kiedy dwa dni później Dalima dostrzega córeczkę w drzwiach szpitalnej sali, twarz biedaczki rozjaśnia się pierwszym od dawna uśmiechem. To uśmiech kogoś, kto wie, że będzie żył i że dotknąwszy dna, powoli wypłynie na powierzchnię. Dobro dziecka wymaga, by się podźwignąć. Dla każdego jednak obraca się koło karmy, powolne, lecz nieubłagane.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Anita nie podejrzewa nawet, że Dalima już wkrótce będzie miała okazję z nawiązką wywdzięczyć się za okazaną jej troskę.

Początkowo, przy pierwszych dolegliwościach, wszyscy sądzą, że to kolejna cięża. Bóle są ostre, przychodzą nagle i pozostawiają Anitę bez sił. Winę za nie łatwo zrzucić na rozpoczynające się właśnie upały. Lato w Indiach nazywane jest przez lekarzy „niezdrową porą”. To czas wszelkich infekcji i niedomagań, jak gdyby gorąco wyzwalało siły wrogie ludzkiemu organizmowi.

Doktor Warburton przeszedł na emeryturę i wrócił do Anglii. Zastąpił go doktor Dore, Francuz, który dba o zdrowie całej książęcej rodziny. Teraz stawia zdecydowaną diagnozę: Anita ma na jajnikach torbiele. To nic poważnego, odradza więc operację: z czasem same się wchłoną.

Bolesne skurcze w połączeniu z gorączką, która atakuje wieczorem, pogrążają Anitę w apatii. Koniec z konnymi przejażdżkami i meczami tenisa. A najgorsze, że seks zamiast przyjemności sprawia teraz potworny ból. Każda, nawet najbardziej delikatna próba. Na początku Anita stara się udawać. Jęki cierpienia niewiele różnią się od jęków rozkoszy. Anita szuka wzrokiem zegarka, który zawsze połyskuje gdzieś wśród rozrzuconych po podłodze ubrań męża - świadomość, że te męki muszą się kiedyś skończyć, przynosi jej pewną ulgę. Ale i tak zlewa ją zimny pot, łzy cisną się do oczu, ciało kurczy się i napina. Ulubione pozycje maharadży, takie jak miłość lotosu czy fazy księżyca, to prawdziwa tortura. Anita boi się jednak do tego przyznać z obawy przed utratą względów męża. Z obawy przed utratą wpływów na dworze. Dlatego zaczyna sprytnie unikać okazji do intymnych kontaktów, szuka wymówek, przejmuje inicjatywę, by przyspieszyć orgazm Jagatjita.

A potem nagle maharadża przestaje ją niepokoić. Czy coś zauważył? Może już mu się nie podobam, zastanawia się Anita. Zna ten niepokój, tak samo czuła się w Paryżu, gdy narzeczony raz po raz odwlekał swój przyjazd. To pradawny niepokój kobiety, która boi się, że jej czas w sercu męża przeminie wraz z urodą. Strach przed upodobnieniem się do poprzedniczek.

- Doktor Dore powiedział, że miłość ci szkodzi.

Tym prostym zdaniem maharadża uwalnia ją od gehenny.

- Ale - dodaje Anita - niedługo wszystko będzie jak dawniej.

Liczy dni dzielące ją od wyjazdu w góry, do Mansuri, gdzie co roku spędzają cztery letnie miesiące. Ma nadzieję, że zmiana powietrza ją ożywi. Ponieważ wraz z dworem przemieszcza się cały rząd, taka podróż to niezwykle skomplikowane przedsięwzięcie logistyczne. Przypomina doroczną

przeprowadzkę rządu centralnego z Delhi do Simli, tylko w dużo mniejszej skali. Główny majordomus dogląda, by wszystko odbyło się jak należy, tym bardziej że chcąc wszystkich pomieścić, trzeba zazwyczaj wynajmować dodatkowe domy. W tym roku, po raz pierwszy, Anita musi dzielić Chateau z innymi żonami maharadży. Pałac jest wielki, ale i tak perspektywa ta ją przeraża. W związku z zapowiadaną falą niezwyklej upałów nikt nie chce zostać w Kapurthali. Orszak zajmuje kilka wagonów, ponieważ jadą również najlepsze konie, psy i co delikatniejsze ptactwo, jak choćby niezdolne przetrwać skwaru japońskie bażanty maharadży, które podróżują w specjalnych klatkach, każdy pod okiem swojego opiekuna.

W Mansuri nie ma samochodów, tylko konie, ryksze i piesi. Anita i maharadża wsiadają do swego dandi\* i rozpoczyna się droga pod górę.

\* **Fotel niesiony na ludzkich barkach.**

Wkrótce potem w polu widzenia pojawiają się wysokie wieże kryte połyskującą w słońcu dachówką i typowy dla francuskich zamków dach. Chateau Kapurthala to najwspanialszy budynek w Mansuri. Krystaliczne powietrze i kwitnące rododendrony sprawiają, że zdaje się tu panować wieczna wiosna.

Jednakże iście jesienna melancholia Anity nie mija. Ciągłe dolegliwości przeszkadzają jej w korzystaniu z uroków beztroskiego letniska. Nie ma nastroju na bale maskowe i jeśli towarzyszy czasem mężowi na przyjęciach i kolacjach, to tylko po to, by nie wypaść z roli żony. Nie potrafi wszakże ukryć zniechęcenia, jest marudna i zwarzona. Mąż nie okazuje zniecierpliwienia. Nie wypomniał jej nawet samowolnej wyprawy po córeczkę Dalimy ani tego, że wmówiła Inderowi Singhowi, jakoby maharadża o wszystkim wiedział. Początkowo wpadł w gniew, ale ponieważ zło już się stało, uznał, że lepiej zamilczeć. Z natury woli unikać otwartych konfrontacji.

Inny rys jego charakteru to upodobanie do towarzyskich rozrywek, a Mansuri latem oferuje ich bez liku, prawie tyle co Simla. Rozgrywany na książęcych kortach turniej tenisowy ściąga najlepszych zawodników, urządzone raz po raz wyścigi konne cieszą się w pełni zasłużoną sławą. Wystawne kolacje pozwalają poznawać nowych ludzi, bale maskowe sprzyjają romansom. Arlekin tańczy z wróżką w pelerynce, duch uwodzi czarownicę z miotłą, dandys - amazonkę... Pod przebraniami kryją się brytyjscy oficerowie, wysoko postawieni urzędnicy, angielskie damy, indyjscy arystokraci, a nawet maharadzowie i ich żony - wszyscy rozochoceni atmosferą flirtu. Jedni kończą w jakimś ustronnym zakątku ogrodu, inni bawią się do rana. W tak frywolnym otoczeniu znany z temperamentu Jagatjit musi ulec pokusie. „Poznali się na

kolacji u Bhupindera Singha z Patijali. Maharadża zjawił się sam, gdyż Prem Kaur, jego hiszpańska żona, dopiero wracała do zdrowia po przebytej chorobie", pisał Jarmani Dass, który w owym czasie pełnił funkcję doradcy, ale z czasem miał zostać premierem Kapurthali. „Spodobali się sobie natychmiast. Nie spuszczał z niej oka i gdy tylko nadarzyła się sposobność, przystąpił do dzieła. Była Angielką, przyszła w towarzystwie narzeczonego lub męża, ale że interesowała się końmi, maharadża potrafił ją zająć na cały wieczór". Zaproponował jej dwa ze swoich wierzchowców, jeden dla niej, a drugi dla jej męża. Zgodziła się z ochotą. Po dwóch tygodniach zabrał konie z powrotem i tak jak się spodziewał, zjawiła się, by prosić o pożyczenie ich na nowo. Postawił tylko jeden warunek: że pójdzie z nim na bal maskowy do radży Pipli. „Tańczyli ze sobą przez cały czas, po czym spędzili razem upojną noc", opowiadał dalej Jarmani Dass. Później wyszło na jaw, że maharadża podarował jej dwa ze swoich najlepszych arabsów i wspaniałe klejnoty. Od tej pory spotykali się przez wiele lat w każde wakacje.

Anita jest zbyt wyczerpana, by podejrzewać zdradę. Dalima, która wie o romansie maharadży od innych służących, nie puszcza pary z ust. Dokłada wszelkich starań, by postawić panią na nogi. Bo Anita ledwie ma siłę na zabawy z synkiem, choć zawsze sprawiało jej to wiele radości. Pięcioletni Ajit cieszy się towarzystwem licznych przyjaciół i krewniaków. Biega po całym pałacu i chętnie zagląda do zenany, gdzie spotyka się z nieodmiennie życzliwym przyjęciem. Harbans Kaur walczy z jego matką, ale nie zamierza okazywać wrogości małemu. Przeciwnie, okazuje mu sympatię. Ostatecznie jest synem jej pana i władcy...

Począwszy od spędzonego w Mansuri lata 1913 roku Anita zauważa w mężu zmiany. Obwinia za nie samą siebie, swoją fizyczną i duchową słabość, małżeńską rutynę, wreszcie najbliższe otoczenie i Anglików, którzy nie dają ani jej, ani maharadży spokoju. Jagatjit zapewnia wprawdzie, że ich afronty go nie obchodzą, lecz w głębi duszy musi czuć się zmęczony. Wciąż o mnie walczy, wciąż mnie broni, ile można, myśli Anita... W tym kontekście interpretuje słowa maharadży, gdy ten, już po powrocie, prosi ją, by nie pojawiała się na jego dorocznym urodzinowym przyjęciu.

- Nie chciałbym żadnych konfliktów. Będą Paramjit i Brinda, a także Mahijit z narzeczoną...

Najwyraźniej ustępuje przed zjednoczonymi siłami rodziny.

- Niedługo się mnie pozbędziesz, jak zwykłej konkubiny... - szepcze Anita.

- Nie opowiadaj głupstw.



I gdy książęca familia modli się wspólnie o zdrowie swego pana, Anita spędza czas w samotności, pisząc w dzienniku: „po wczorajszym, czuję się trochę dotknięta”.

Mimo idyllicznego piękna pałacowych ogrodów, w których wesoło skacze jej ulubiony jelonek, spokojnie pasą się abisyńskie owieczki i pluszcza fontanny, mimo śmiechu bawiącego się z innymi dziećmi synka, Anita czuje głęboki smutek, jak gdyby odgadywała już kruchość i nietrwałość tego, co ją otacza. Ta zdradziecka melancholia ogarnia ją zwłaszcza wtedy, gdy Jagatjit robi się odległy, porywczy i skłonny do uników. Zniknął gdzieś spokojny mężczyzna, którego znała, ustępując pola komuś, kto zachowuje się przy niej jak lew zamknięty w klatce. Nieuchronnie rodzą się podejrzenia. Czemu maharadża spędza tyle czasu poza pałacem? Gdzie bywa? W głębi serca Anita jest przekonana, że zaczął znowu odwiedzać swoje konkubiny.

Zycie z tą myślą, za to bez możliwości uprawiania sportu czy choćby odbywania przejażdżek, staje się ciężkie do zniesienia. Synek nie potrzebuje już ciągłej opieki, jak kiedyś. Anita próbuje wprowadzić uczyć go hiszpańskiego, ale poza tym Ajit ma angielską nianię i wielu nauczycieli. W L'Elysee mieszka mnóstwo dzieci, więc nie brak mu towarzystwa. Razem bawią się z psami i jelonkiem, drażnią papugi w ptaszarni i na całe godziny przepadają w parku. Pałac znają jak własną kieszeń i kiedy znudzi im się brykanie na dworze, pędzą do rządowych biur, by prosić zaprzyjaźnionych urzędników o pióra, ołówki i inne drobiazgi, na które akurat przyjdzie im ochota. Uwielbiają krążyć po niekończących się korytarzach, zaglądać do zasnutej oparami łaźni, do piwnic pełnych szampana, wódki i ginu, do pachnących smakołykami spiżarni i przytulnych garderób. Z zainteresowaniem przyglądają się, jak służba sortuje pościel wedle pokoi i rozkłada ją na różnych półkach. W czasie przyjęć i balów wymykają się ze swoich pokoi, by zza balustrady schodów śledzić krewnych i znajomych tańczących w Darbar Hallu. I każdemu grozi, że będzie rozpuszczony ponad miarę. Synowie maharadży, którzy są dla nich wzorem, znani byli z kaprysów. Kiedyś, gdy ojciec zostawił ich samych w Oudh, wyprawili się na polowanie i strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Potem, ułożywszy się wygodnie na poduszkach, jak to zwykł robić maharadża, zażądali jedzenia i alkoholu. A gdy jedna z angielskich niań odważyła się położyć temu kres, rozwścieczeni oświadczyli, że ją zwalniają.

- Nie, kochani, nie możecie tego zrobić - tłumaczyła służąca Hinduska. - Tylko wasz ojciec ma do tego prawo.

- W takim razie ją zastrzelimy - postanowił jeden z chłopców.

- Nic w ten sposób nie osiągniesz, kochanie - łagodziała przestraszona kobieta.

Tego typu wybrykom nie było końca.

Anita nie chce, żeby jej syn poszedł w ślady braci. Ze względu na częste podróże nie ma jednak na Ajita wystarczającego wpływu. Wracając, za każdym razem zauważa w nim potęgującą się skłonność do dzikich kaprysów. Hinduski, nawet Dalima, postępują z nim zbyt łagodnie i wyrozumiale, zapewne ze strachu.

Ślub Mahijita z dobrze urodzoną Hinduską nie jest ani w połowie tak wspaniały jak wesele pierworodnego Paramjita, ale mimo to zjeżdża się z tej okazji dwa tysiące gości. Anita i tym razem zajmuje się przygotowaniem. Zgodnie z przewidywaniami doktora Dore odzyskała zdrowie, i znajduje w sobie dość siły, by zadbać o najdrobniejsze szczegóły. Nie wkłada w to jednak serca, jak dawniej, gdy wierzyła jeszcze, że jej status w rodzinie maharadży może się zmienić. Teraz już nie robi sobie złudzeń. Indie to kraj podzielony, każdy ma tu ściśle określone miejsce w hierarchii. Poza nią. Ona żyje w społecznej próżni. Po żonie Mahijita, dziewczynie z dobrej hinduskiej rodziny, niczego specjalnego się nie spodziewa. Ta nieśmiała, zahukana osóbką nie zna nawet słowa po angielsku i niewątpliwie już wkrótce dołączy do zajadłego chóru przeciwniczek „Hiszpanki”. Anita nie wróży jej małżeństwu z Mahijitem szczególnie świetlanej przyszłości.

Bogowie dzielają chyba jej mniemanie, sądząc po znaku, jaki zsyłają pierwszego dnia uroczystości. Sztuczne ognie, wystrzelone z miejsca sąsiadującego ze stajniami słoni, wywołują wśród tych ogromnych zwierząt taką panikę, że olbrzymy z ogłuszającym rykiem zrywają się z łańcuchów i traturają trzech opiekunów. Choć w pałacu wszyscy starają się to bagatelizować, ludzie w mieście są przerażeni, tym bardziej że kilka słoni wyrwało się na wolność. Dyrektor książęcych stajni organizuje regularną nagonkę i wyłapuje, jedno po drugim, uspokojone już zwierzęta. Ale zdaniem poddanych incydent ten źle rokuje młodym małżonkom.

Za inny, niegroźny, lecz szeroko komentowany w całych Indiach, odpowiedzialna jest z kolei Anita. Zapobiegliwy jak zawsze mąż poprosił ją, by starała się we wszystkim zadowolić gusty najdostojniejszych gości, czyli w tym wypadku nowego gubernatora Pendżabu i jego żony lady Connemere. Dama ta znana jest ze swego upodobania do wszelkich odcieni różu i lila, toteż maharadża w geście szczególnej uprzejmości zamierza do końca jej wizyty nosić turbany w takich właśnie barwach. Apartament przeznaczony dla gubernatorskiej pary zostaje więc urządzony od nowa: nie brak tu liliowej

pościeli, pasujących do niej zasłon, a nawet będących ostatnim krzykiem mody w Anglii tapet w niebiesko-fioletowe motywy roślinne. W wazonach stoją fiołki, w łazience zaś Anita postanawia umieścić papier toaletowy w odcieniach lawendy. Ponieważ jednak nie ma czasu, by sprowadzić go z Wielkiej Brytanii, z pomocą przychodzą rzemieślnicy z Dżalandaru, którym udaje się zafarbować kilka rolek na żądany kolor. Zadośćuczynienie niewinnej obsesji pani gubernatorowej sprawia Anicie ogromną przyjemność.

Kiedy w czasie weselnego bankietu maharadża prosi Lady Connemere do tańca, zacna ta dama rozpływa się w zachwytach:

- Nasze apartamenty są wprost zachwycające, wasza wysokość, coś dziwnego dzieje się jednak z papierem toaletowym: po jego użyciu jestem cała fioletowa.

Maharadża, opowiadając o tym Anicie, zaśmiewa się do rozpuku.

- Zbytni perfekcjonizm bywa zgubny - żartuje czule.

## Rozdział trzydziesty piąty

Na początku 1914 roku Anita i jej mąż przyjmują wreszcie zaproszenie nizama Hajdarabadu, malutkiego człowieczka, który rządzi największym i najludniejszym państwem w Indiach. Tego samego, który zakochał się w Anicie przy pierwszym spotkaniu podczas jej miesiąca miodowego w Kaszmirze. Ze wszystkich egzotycznych i oryginalnych książąt ten jest z pewnością najbardziej zaskakujący. Erudyta i pobożny muzułmanin, potomek Mahometa i dziedzic legendarnego królestwa Golkondy, uchodzi za najbogatszego człowieka na ziemi. Ma jedenaście tysięcy służących, z których trzydziestu ośmiu zajmuje się wyłącznie ścieraniem kurzu z kandelabrow. Bije własną monetę, a jego niesłychanej fortunie dorównuje tylko jego niesłychana chciwość. Klejnotami, które zgromadził w swym skarbcu, można by podobno wybrukować chodniki przy Piccadilly. Pliki banknotów - rupii, dolarów i funtów - trzyma, jak powiadają, w walizkach, owinięte w gazety. Szczury, które wielce sobie cenią taką dietę, zjadają co najmniej kilka milionów rocznie. Jednakże, gdy nikogo akurat nie gości, ubiera się w najtańsze łachmany z lokalnego bazaru i nosi zawsze ten sam fez, stwardniały na kamień od potu i brudu. Plotka głosi też, że każe sobie cerować przetarte skarpetki.

W ramach rozrywki lubi palić opium, pisać wiersze w urdu i, podobnie jak maharadza Patijali, przypatrywać się operacjom chirurgicznym, jakby to były mecze krykieta. Niezłomnie wierzy w dobroczynne skutki stosowanej już przez starożytnych Greków terapii zwanej unani, polegającej na podawaniu chorym naparów ziołowych z dodatkiem zmielonych szlachetnych kamieni. Jego zdaniem łyżeczka startych pereł z miodem to niezawodny środek przeciwko nadciśnieniu. Dlatego Hajdarabad jako jedyne państwo na świecie dysponuje bezpłatnym szpitalem specjalizującym się w unani.

Jednakże nizam słynie też jako mecenas kultury, sztuki i nauki. Na uniwersytecie w Hajdarabadzie, w przeciwieństwie do innych uczelni, są kursy języków lokalnych, a edukacja wszystkich szczebli stoi tu na wyższym poziomie niż gdziekolwiek w Indiach. Prężnie rozwija się urdyjska literatura, a tutejsi mieszkańcy pod względem wyrafinowania w ubiorze, jedzeniu, użyciu języka i kulturze muzycznej biją na głowę wszystkich sąsiadów.

Kiedy Anita z maharadzą zjawiają się na kolacji powitalnej, która ma się rozpocząć w pałacu punktualnie o ósmej, nizam oczekuje ich u szczytu schodów, otoczony, jak każe etykieta, przez najwyższych urzędników. Ku zadowoleniu Jagatjita Singha wśród gości jest również angielski rezydent, pan Fraser, wraz z małżonką. Nizam przedstawia im Anitę jako prawdziwą

maharani i Angielka wykonuje przed Hiszpanką głęboki dyg. Cóż za słodka chwila! Najwyraźniej woli nizama ulegają nawet Brytyjczycy. Prawdopodobnie on jeden utrzymałby władzę bez ich pomocy. I, szczerze mówiąc, marzy, by się jej pozbyć.

Po przywitaniach osobisty sekretarz nizama podchodzi do Anity i z tajemniczą miną prosi, by zechciała mu towarzyszyć. „Jakież było moje zaskoczenie, gdy w imieniu swego pana wręczył mi śliczne pudełko z niebieskiego aksamitu, błagając, bym przyjęła ten podarunek i nie wątpiła w najlepsze intencje ofiarodawcy”. W środku leży olśniewająca, stara kolia z pereł, szmaragdów i diamentów. Anita waha się przez chwilę, wspominając dzień, gdy maharadża zaproponował jej pięć tysięcy peset. Wtedy zareagowała gniewem. Teraz też zamierza odmówić, ale potem zmienia zdanie. Byłoby grzechem odrzucić tak piękny prezent. Zdaje sobie sprawę, że nie jest rzeczą zwykłą, by muzułmański władca obdarowywał żonę innego monarchy, publicznie i w obecności jej męża. Podniósłszy wzrok, napotyka utkwione w sobie spojrzenie maharadży, który marszczy brew, jak gdyby sugerował jej w ten sposób, co powinna uczynić. Jednakże Anita zbyt dobrze pamięta ostatnie, ciężkie miesiące w Kapurthali, swoje podejrzania co do wierności męża, jego niezrozumiałe wahania nastroju i niemiłe wrażenie nietrwałości wszystkiego, co ją otacza. Dlatego, nie namyślając się dłużej, zapina kolię na szyi. Klejnoty dają przynajmniej poczucie bezpieczeństwa.

„Kiedy wróciłam do salonu, nizam powitał mnie zadowolonym uśmiechem”. W jadalni przypada jej w udziale honor zasiadania po prawicy gospodarza.

- Chciałem, abyś się dobrze bawiła, pani, pozwoliłem więc sobie zaprosić garstkę przyjaciół - mówi książę, Anita zaś obrzuca spojrzeniem stół, przy którym zasiada co najmniej sto osób.

Nizam wydaje się nią tak samo zafascynowany jak przy pierwszym spotkaniu w Kaszmirze. Zapewne pociąga go jej niezależność, jej opowieści o Hiszpanii, jej oryginalne spojrzenie na Indie i wrodzony wdzięk.

- Nie wątpię, że jego wysokość zachwyciłby się Europą - stwierdza Anita.

- Chętnie bym się tam wybrał - odpowiada jej spokojnie. - Ale taka podróż jest podobno bardzo droga.

Anita szeroko otwiera oczy. Potem przesuwając wzrokiem po wspaniałej jadalni z kryształowymi kandelabrami oświetlającymi stół, przy którym, na złotych talerzach, ucztują obwieszeni klejnotami goście. Zauważając jej zdziwienie, nizam wyjaśnia:

- Jako władca Hajdarabadu musiałbym podróżować z odpowiednią świtą.

- Ale przecież mógłby sobie wasza wysokość pozwolić na objechanie świata kilka razy.

- Owszem, mógłbym - wzdycha. - Kosztowałoby mnie to jednak fortunę. Według moich doradców jakieś dziesięć milionów funtów.

I wobec stropienia malującego się na twarzy Anity wybucha serdecznym śmiechem:

- Niezła sumka, prawda?

Gdy wstają od stołu, gospodarz oświadcza gościom, że chciałby pokazać Anicie pałac. Opuszczają więc jadalnię, odprowadzani posepnym spojrzeniem Jagatjita zajętego paleniem cygara i puszczeniem kółek z dymu. W ciszy idą niekończącymi się korytarzami. Pokonują kolejne schody, otwierają rzeźbione drzwi, podnoszą głowy, by podziwiać sklepienia. „Wszędzie panował mrok, wilgoć zaczynała drażnić mi oczy, dostałam dreszczy. Dokąd mnie prowadził? Niepokoiło mnie to prawie tak samo, jak myśl o gniewie, w jaki na pewno wpadł mój mąż, widząc, że wychodzę sama z obcym mężczyzną”.

Na koniec docierają do ogromnego podwórca, gdzie stoją zaparkowane niezliczone auta nizama: całe rzędy rolls-royce'ów i innych wspaniałych limuzyn, z których część, zgodnie z prawem purdah, ma przysłonięte okna. Anicie nie starcza czasu, by zadać jakiegokolwiek pytanie, bo oto, przeciąwszy dziedziniec, wchodzi już do ogromnej sali wielkością dorównującej stacji kolejowej. Widok, jaki się przed nimi otwiera, sprawia, że Anita przystaje w progu, zdumiona, wręcz skamieniała.

Patrzy na nią jakieś dwieście kobiet. Wszystkie atrakcyjne, o wielkich, czarnych oczach, zadbanych ciałach i jedwabistej, złotawej skórze. Wszystkie ubrane w lśniące brokaty i jedwabie. Na ich ramionach i nadgarstkach pobrzękują złote bransolety, na palcach u stóp błyszczą pierścienie. Anita odnosi wrażenie, że nigdy nie widziała piękniejszych istot. To dopiero harem, myśli i odruchowo się cofa. Wolałaby uniknąć konfrontacji z dwustoma żonami tego samego mężczyzny. W pierwszym odruchu chce uciekać z tego luksusowego więzienia. Nizam chwyta ją jednak za ramię.

- Wejdz, pani - mówi. - Chciałbym pokazać cię żonom. Wiedzie ją między rzędami olśniewających kobiet, by przystanąć przed begum Sahiba, pierwszą jej wysokością, nieco starszą od reszty. „Powitała mnie uśmiechem i uprzejmie odpowiedziała na te kilka pytań, które byłam w stanie zadać w hindi. Szczególnie przypadł jej do gustu fakt, że miałam na sobie sari, które czasem zakładałam na oficjalne przyjęcia”.

Po wyjściu na zewnątrz Anita wydaje westchnienie ulgi. Gdy wracają do pozostałych gości, pyta:

- Ile ich jest?

- Mniej więcej dwieście pięćdziesiąt, ale dokładnej liczby nie pamiętam.

Mina Anity mówi sama za siebie, więc Nizam dodaje:

- Mój dziadek miał trzy tysiące żon. Mój ojciec osiemset. Sama pani widzi, że w porównaniu do nich jestem człowiekiem skromnych potrzeb.

W salonie trwa pokaz tańca. Nizam z Anitą podchodzą do maharadży, który wgląda na zniecierpliwionego.

- Chciałem zrobić przyjemność żonom, przedstawiając im Anitę - tłumaczy gospodarz. - Trochę się nudzą i lubią od czasu do czasu popatrzeć na nową twarz.

Maharadża przyjmuje to wyjaśnienie, choć wie, że plotkom i spekulacjom nie będzie końca. Siadając, Anita podchwytuje kilka ukradkowych, ciekawskich spojrzeń, ale że jest przyzwyczajona do komentarzy na swój temat, i teraz nie zawraca sobie tym głowy. Woli podziwiać przedstawienie. Jedną z tancerek czaruje starego Sikha, który przybył do Hajdarabadu z orszakiem maharadży, a teraz odkrywa ku swemu przerażeniu, że ponętna kobietka to przebrany eunuch. Goście kwitują zajście chóralnym śmiechem. Anita wyjmuje chusteczkę, by otrzeć łzy rozbawienia.

Beztraska tego wieczoru jest jak symbol epoki, która dobiega końca. Nikt z obecnych nie zdaje sobie sprawy, że wieści, które zaraz nadejdą, odmienia ich życie, a zarazem kształt świata. Koło dziesiątej orkiestra milknie, tancerki schodzą ze sceny i wszystkie spojrzenia kierują się w stronę angielskiego rezydenta, pana Frazera, który powstał właśnie z poważną miną i uderzając widelcem w kieliszek, domaga się uwagi. Zaskoczeni eunuchowie zirytowanymi spojrzeniami obrzucają sahiba psującego im zabawę.

- Otrzymałem alarmującą wiadomość - mówi wyraźnie zatroskany pan Frazer. - Anglia wraz z Francją i Rosją wypowiedziały wojnę Niemcom. W tej szczególnej godzinie proszę wszystkich o zwanie szeregów w obronie imperium, a tym samym cywilizacji przed barbarzyństwem. Wasze wysokości, panie, panowie, wnieśmy toast za Najjaśniejszego Pana. Niech żyje Jerzy V! Niech żyje Wielka Brytania!

Nizam każe orkiestrze zagrać brytyjski hymn. Muzułmanie z Hajdarabadu i sikhowie z Kapurthali wspólnie odśpiewują God Save the King. W ciągu następnych dni podobna fala solidarności przetoczy się przez wszystkie pałace Indii. Dla książąt bronić imperium znaczy bronić samych siebie. Bo jeśli imperium upadnie, co się z nimi stanie?

Nizam nalega, by maharadża został w Hajdarabadzie jeszcze jeden dzień, na typowym dla tych stron wspaniałym polowaniu, które polega na tym, że

wypuszcza się geparda w ślad za stadem antylop, czemu goście przypatrują się z bezpiecznej odległości. Przybysze z Kapurthali po raz pierwszy oglądają to emocjonujące, choć okrutne widowisko. Gdy wracają do pałacu na obiad, czeka na nich miejscowa specjalność: mocno przyprawiony ryż z dodatkami. Anita znajduje przy swoim nakryciu rubinowe kolczyki. „Mało brakowało, a nie odważyłabym się ich przyjąć”, napisze w dzienniku. Ostatecznie chowa je wraz z serwetką do torebki, nie przypuszczając nawet, że stanowią dopiero początek. To, co wydarzy się owego popołudnia, przy odjeździe, pozostanie jej tajemnicą na długie lata.

„Dostałam, rzekomo od pierwszej żony jego wysokości, piękny muzułmański strój i ponowne zaproszenie do haremu”. Prowadzą ją tam służące, nizam czeka dopiero w drzwiach.

- Chciałem panią prosić o przysługę - mówi. - Begum Sahiba błaga, by zgodziła się pani pozować do fotografii w otrzymanej dziś od niej tradycyjnej sukni. Bardzo jej się pani spodobała w swoim sari, więc pragnęłaby ujrzeć panią również w sherwani. Będę potrafił się odwdziaczyć.

„Ileż było zamieszania, by przygotować wszystko do zdjęcia w tak krótkim czasie, ponieważ maharadża czekał już na mnie w swoim prywatnym pociągu”. Kiedy fotografia zostaje zrobiona, Anita zaczyna zbierać się do odejścia. Zatrzymuje ją wszakże jedna ze służących.

- Nizam chciałby się pożegnać...

Idą we dwie ciemnymi, wilgotnymi korytarzami, które zdają się nie mieć końca. Anita się denerwuje, męczą ją trochę te wszystkie gierki. O co chodzi tym razem? Maharadża w pociągu jest już pewnie wściekły.

- Jeszcze tylko chwileczkę - uspokaja służąca.

Nagle wychodzą na małe patio z pancernymi drzwiami. Nizam wpatruje się w Anitę z uśmiechem.

- Powiedziałem, że będę potrafił się odwdziaczyć - mówi, wręczając jej pustą drewnianą skrzyneczkę.

Potem każe otworzyć pancerne drzwi i prowadzi swego gościa do słabo oświetlonego pomieszczenia. Gdy jej oczy przyzwyczajają się do mroku, Anita zaczyna rozumieć, że znalazła się w jaskini Ali Baby. Stosy szlachetnych kamieni połyskują kolorowo, z kufrów wysypują się drogocenne klejnoty, obrobione albo nietknięte jeszcze ręką jubilera, pod ścianami piętrzą się sztaby złota i srebra. Niewiarygodne.

- Proszę napełnić swoją skrzyneczkę po brzegi. To mój prezent dla najbardziej czarującej osoby w tym pałacu.



Anicie nawet przez myśl nie przechodzi, by odmówić. Powoli, jak zahipnotyzowana, wkłada klejnoty do skrzyneczki. Potem nizam odprowadza ją do jednego z samochodów wyposażonych w zasłonki.

- Tu się pożegnam - mówi, podnosząc rękę do czoła, jak zwykli czynić muzułmanie.

- Salem Aleikum - odpowiada Anita, powtarzając jego gest, po czym wsiada do auta. - I dziękuję.

Przez cały ten czas maharadża czeka w prywatnym pociągu. Nikt nigdy nie kazał mu czekać, nikt nigdy go tak nie upokorzył. Kiedy Anita, zjawiwszy się w końcu, opowiada mu o muzułmańskim stroju i zdjęciu, o które poprosiły żony nizama, Jagatjit wpada w furję. Już fakt, że jego żona na oczach wszystkich otrzymuje od kogoś prezenty, stanowi dostateczny powód do obrazy, ale to, że nizam wpada na pomysł, by ją fotografować przebraną za muzułmankę, na domiar złego w czasie, gdy cały dwór Kapurthali czeka na stacji, jest absolutnie niedopuszczalne\*.

\* Kilka miesięcy później nizam wysłał do maharadży telegram, informując, że chętnie by go rewizytował, ale Jagatjit Singh odpisał, że właśnie wybiera się do Europy i nie może go przyjąć. Od tego momentu stosunki między oboma państwami zostają całkowicie zerwane.

Dobrze, że nie powiedziałam mu o skrzyneczce z klejnotami, myśli Anita i mówi:

- Uspokój się. Nizam zrobił to w najlepszej wierze.
- Nie powinnaś była dać się wciągnąć w te jego gierki.
- Ale mon cheri...

Niebo jest zachmurzone, zbiera się na burzę. Anita z ciężkim sercem opuszcza miejsce, gdzie była wyjątkowo jak na ostatnie miesiące szczęśliwa. Zarazem jednak czuje głębokie zadowolenie, jej kobieca próżność została mile połączona. Najbogatszy mężczyzna świata traktował ją jak królową i przy okazji uczynił z niej kobietę bogatą. Wzbudził też zazdrość w jej mężu. To zrozumiałe, że maharadża się irytuje, ale to i lepiej. Dobrze, że ktoś pokazał mu, ile warta jest jego żona. Dzięki plotkom służby wkrótce cała Kapurthala dowie się o względach, jakie okazywał Anicie najpotężniejszy monarcha Indii.

- Nie ma sensu się kłócić, mon cheri. Jakie znaczenie ma to wszystko w porównaniu do tragedii, która zawisła nad światem?

Pociąg sunie powoli, mijając eleganckie mauzolea Malakhpeta, gdzie leży pewien francuski generał, który próbował zaskarbić sobie łaski jednego z przodków nizama. Gdyby mu się udało, maharadża byłby pewnie zachwycony, gdyż całe Indie mówiłyby po francusku. Potem ukazują się w oddali cztery

minarety z zegarem i fontanną - to Charminar, wspaniała budowla w stylu angielsko-mogolskim, wzniesiona przez brytyjskiego dyplomatę szaleńczo zakochanego w siostrzenicy premiera w rządzie któregoś z nizamów. I tak, jeden za drugim, przepływają za oknami delikatne pałace w cichych ogrodach, gdzie starcy w fezach po dziś dzień opłakują utratę odległej Granady i gdzie rozbrzmiewają echa ghazali, urdyjskich pieśni o miłości niemożliwej.

## Rozdział trzydziesty szósty

Indie nigdy jeszcze nie były tak zjednoczone jak teraz, latem 1914 roku. Zdawać by się mogło, że nikt już nie pamięta o dawnych napięciach i animozjach. Reprezentanci wszystkich ras, religii i kast publicznie deklarują lojalność względem imperium i wolę walki z Niemcami, potęgą, która zagraża pax britannica, a tym samym porządkowi panującemu na subkontynencie. Maharadża natychmiast oddaje do dyspozycji wicekróla liczącą tysiąc sześciuset żołnierzy armię Kapurthali. Ofiarowuje też sto tysięcy funtów na cele wojenne. Bogaci i biedni, pobożni i zdeprawowani, dekadency i postępowi - książęta jak jeden mąż odpowiadają na wezwanie macierzy, nie oszczędzając pieniędzy ani krwi swych poddanych. Malutkie księstwo Sangli wpłaca do wspólnej kasy sześćdziesiąt pięć tysięcy rupii i wydaje kolejne pół miliona na bony wojenne. Nawangar wnosi równowartość sześciomiesięcznych wpływów z podatków, a Rewa - cały skarbiec. Bhupinder Singh z Patijali objeżdża swoje księstwo - pięć tysięcy kilometrów kwadratowych - i werbuje szesnaście tysięcy Sikhów, uważanych przez Anglików za wyśmienitych żołnierzy. Ganga Singh z Bikaneru, oficjalnie mianowany brytyjskim generałem, szykuje się do ataku na niemieckie okopy. Wkład nizama Hajdarabadu jest od samego początku fundamentalny. Wicekról prosi go, by jako przywódca indyjskich sunnitów spróbował przekonać swych współwyznawców, żeby zignorowali fatwę kalifa Turcji, będącej sojusznikiem Niemców. Nizam natychmiast wzywa do walki po stronie ententy - dzięki temu lansjerzy z Dźodhpuru w 1917 roku odbijają Turkom Hajfę. Dlatego pod koniec wojny próżność władcy Hajdarabadu zostanie w pełni zaspokojona: Anglicy, pomni jego zasług, przychylią się w końcu do zanoszonej przez niego od dawna prośby i wyróżnią go spośród pozostałych indyjskich książąt, przyznając mu jedyny w swoim rodzaju tytuł jego wysokiej wysokości.

Tak oto, w ciągu zaledwie dwóch miesięcy Indie wystawiają do walki milion żołnierzy.

Wraz z początkiem Wielkiej Wojny intrygi pałacowe w Kapurthali nabierają rozpędu. Słyszając, że Anita zajęła się gromadzeniem funduszy, Brinda za podszeptem innych żon maharadży postanawia robić to samo. Czyż obowiązkiem przyszłej maharani nie jest służyć swemu krajowi? Na skutki tego posunięcia nie trzeba długo czekać: pewnego dnia okazuje się, że dobroczynna zbiórka odbędzie się w tym samym czasie w dwóch różnych pałacach. Anita, rozwścieczona tym, co uważa za wkraczanie na jej teren, wpada jak furia do gabinetu męża.

- Wyjeżdżam do Europy.  
- Dobrze się czujesz? - Nie.  
- Co się stało?  
- Brinda i twoje żony wszystko po mnie małpują. Organizują zbiórki w te same dni, podkradają mi pomysły... Chcą, żebym zrezygnowała. Więc dobrze, rezygnuję. Wracam do Europy, siostra mnie potrzebuje.  
- No właśnie. Ja też cię potrzebuję. I Kapurthala również. Zapada milczenie. Anita próbuje się uspokoić.  
- Nie potrzebujesz mnie, mon cheri. Przeciwnie, jestem dla ciebie jak kamień w butcie. Przez mnie musisz znosić upokorzenia ze strony Anglików, przez mnie w łonie twojej rodziny toczy się nieustanna wojna, która nie skończy się, póki stąd nie zniknę.  
- Czy po tylu latach Indie nic dla ciebie nie znaczą? Mogłabyś wyjechać ot tak, jak gdyby nigdy nic?  
- Oczywiście, że znaczą bardzo wiele. Część mojego serca zostanie tu na zawsze. Ty stąd pochodzisz. I nasz syn także. Ale jeśli z winy twoich żon mam siedzieć z założonymi rękami, wolę wrócić do Europy. Wiesz, że Victorii nie układa się z mężem, ciężko jej samej z trojgiem małych dzieci. Skoro tu nie mogę się na nic przydać, przydam się komuś tam.  
- Uspokój się, ma chérie. Nikt więcej nie będzie się wtrącał w twoje sprawy, gwarantuję. Pojedziemy do Europy razem, jak planowaliśmy, za kilka miesięcy. Zatrzymamy się w Hiszpanii, spotkasz się z rodziną i dopiero z Gibraltaru odpłyniemy do Ameryki. Na razie jednak proszę, żebyś dalej robiła to, co ci tak doskonale wychodzi.  
Niewysłowione prawo karmy. Wszystko wraca. Jak prędko nadarza się okazja, by dać Brindzie zasłużoną nauzkę. Kiedy maharadża prosił ją, żeby stanęła po stronie Anity, synowa zareagowała jak pełna przesądów, nazbyt przywiązana do tradycji Hinduska. A teraz nagle żąda iście europejskiej swobody, marzy o roli nowoczesnej działaczki. Ba, stroi się w piórka maharani! Raz chce uchodzić za tradycjonalistkę, raz za kobietę wyzwoloną, w zależności od tego, co jej akurat pasuje. Niedoczekanie! Maharadża w surowych słowach zakazuje synowej podejmowania jakiegokolwiek działalności związanej ze sprawami państwa. W tym, rzecz jasna, działalności charytatywnej. Brinda ma się skupić na wychowaniu swoich dwóch małych córek. Na tytuł i władzę maharani jeszcze trochę poczeka. Wobec nieprzejednanej postawy teścia Brinda przekonuje męża, by zamieszkali poza Kapurthala. Najchętniej wyjechałaby znowu do Francji, ale ze względu na wojnę to niemożliwe. Dlatego przenoszą się do Kaszmiru, gdzie i klimat jest lepszy, i ludzie życzliwi.

Zostaną tam, dopóki maharadża i Anita nie udadzą się w podróż. Wtedy Paramjit wróci, by po raz pierwszy na czas nieobecności ojca objąć funkcję regenta.

Oczyściwszy teren, Anita rzuca się w wir obowiązków, urządza garden parties, loterie i kolacje dobroczynne, a robi to z takim powodzeniem, że udaje się jej zgromadzić naprawdę spore sumy. Oglądając jedną z defilad korpusu ekspedycyjnego, zauważa, iż umundurowanie żołnierzy pozostawia wiele do życzenia, jako że ostre europejskie zimy niewiele mają wspólnego z chłodną porą w Pendżabie.

- Trzeba dać im jakieś płaszcze - mówi do męża. - W tym zamarzną.  
- Racja. Ale nie będziemy teraz przecież na nowo projektować mundurów.  
- Pozwól, że przynajmniej spróbuję jakoś temu zaradzić. - Jeśli weźmiesz to na siebie, ja pokryję koszty.

Być może nie zgodziłby się tak łatwo, gdyby wiedział, że jego żona zamieni pałac w jedną wielką szwalnię. Już po kilku dniach Wszędzie walają się bele materiału i wełny, rozmaite paczki i pakiety, maszyny do szycia i zwoje nici. Anita objeżdża Kapurthale w poszukiwaniu krawców i wkrótce widać efekty ich pracy w postaci czapek, rękawic, szalików, skarpetek i płaszczy, które przypadną w udziale żołnierzom wyjeżdżającym do Francji.

Odwiedzając przy różnych okazjach wioski, Anita poznała wielu z nich osobiście i teraz serce jej się kraje na myśl, że posłużą za mięso armatnie. Są tacy naiwni ze swoim średniowiecznym rozumieniem honoru, ze swoją chłopięcą brawurą i przedpotopową bronią...

- Jeśli zginę w walce, pójdę prosto do rajy - oświadcza jej pewien młody muzułmanin.

- My, kashtri\*, mamy obowiązek bohatercko stawać do boju i zabijać wrogów - mówi z kolei jakiś hindus.

\* [Kasta wojowników.](#)

Patrząc na ich chudziutkie ciała obleczone w zbyt duże mundury, Anita zastanawia się, jak oprą się niemieckim kulom, skoro zamiast hełmów noszą turbany.

Niestety, jej obawy okazują się uzasadnione. Już pierwsze listy z frontu różnią się tonem od przedwyjazdowej fanfaronady. Przebija z nich zdumienie intensywnością walk i wielką liczbą strat, jakie powoduje niemiecka artyleria. Ponieważ rodziny wysłanych do Europy chłopców to w większości analfabeci, listy odczytuje się publicznie na wioskowych placach i w zaułkach stołecznej Kapurthali. W ten sposób wieści trafiają do szerszego audytorium. Twarze krewnych, w większości ubogich chłopów, zdradzają troskę o los synów,

wnuków i siostrzeńców. „Świat zmierza ku zagładzie”, pisze jeden z żołnierzy. „To nie wojna, to koniec świata”, stwierdza inny. Na początku 1915 roku do Kapurthali dociera wiadomość, że w bitwie pod Ypres 571 oddział gharwalich stracił 314 ludzi, w tym wszystkich oficerów. Dla biednych Pendżabczyków, którzy masowo odpowiedzieli na wezwanie z góry, to bolesny cios, siejący dezorientację i rozpacz.

W tej sytuacji maharadża postanawia zmotywować poddanych i odwiedzić pole walki. Chce zostać pierwszym indyjskim księciem, który zstąpi w błoto okopów. Trzeba być z ludem, a serce ludu bije teraz w rytm walk na froncie. Poza tym w Europie mieszka trzech synów Jagatjita, z którymi nie zaszkodziłoby się naradzić. Wreszcie Ajit, najmłodszy, osiągnął już odpowiedni wiek, by zapisać go do jednej z brytyjskich szkół. Indyjscy arystokraci przejęli popularny wśród angielskich elit zwyczaj wysyłania synów, którzy kończą siedem lat, do internatu. Anita zdaje sobie sprawę, że rozstanie będzie ją dużo kosztować, z drugiej jednak strony z radością zabierze jedynaka z Kapurthali, gdzie atmosfera robi się coraz cięższa. Zostawiwszy chłopca w Anglii, popłyną do Ameryki, a wracając, wezmą go na wakacje do domu. Wychowanemu w Indiach Ajitowi z pewnością dobrze zrobi pobyt w europejskiej szkole. Zresztą, są inne powody, dla których Anita woli widzieć syna z dala od Kapurthali. Powody, z których nie zwierza się mężowi. Jej zdaniem próbowano chłopca otruć. Niedługo po powrocie rodziców z Hajdarabadu Ajit ciężko zapadł na zdrowiu. Miejscowi lekarze nie potrafili postawić przekonującej diagnozy, a że cierpiał na krwawe kolki, trzeba go było zawieźć do szpitala w Lahore, gdzie przez kilka dni walczył o życie, po czym wyzdrowiał tak samo nagle, jak zachorował. Jakby tego było mało, wydarzyło się jeszcze coś, co napędziło jego matce śmiertelnego stracha. Anita nie chce przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi, ale za każdym razem, gdy o tym myśli, włosy stają jej dęba. Pewnego dnia, ubierając się, Ajit znalazł w bucie skorpiona. Krzyknął tak przeraźliwie, że usłyszano go w całym pałacu. Oczywiście, skorpion mógł się tam znaleźć przez przypadek i czasem Anita tak to sobie tłumaczy. Kiedy indziej jednak przestaje wierzyć w przypadki. Czy powoli wariuje? Może. Ale jeśli nawet, to ze strachu. Strachu, który powraca falami, nigdy jej do końca nie opuszczając. Nigdy, od kiedy postawiła stopę na subkontynencie. To strach przed nieznanym, przed odrzuceniem i przed tym, że ktoś kiedyś każe jej zapłacić za śmiałość, z jaką od lat zajmuje miejsce faktycznej maharani Kapurthali. Choć Jagatjit dał nauczkę Brindzie, Anita wie, że uczynił to bardziej dla osobistej zemsty niż z chęci niesienia pomocy.

Wygląda na to, że mimo kolejnych przegranych bitew żony maharadży są na najlepszej drodze do odniesienia zwycięstwa w całej wojnie.

O bilety w takich czasach niełatwo, lecz maharadża zdobywa specjalne miejsca dla swojej rodziny i licznej jak zwykle świty. Popłyną na pokładzie S/s Caledonia, który wyrusza z Bombaju 2 marca 1915 roku. Dalima, rzecz jasna, podróżuje wraz ze swoją panią. W skład orszaku wchodzi też Inder Singh, który pełni rolę ambasadora maharadży. Wojna daje się odczuć nawet na pełnym morzu: światła muszą być pogaszone, a pasażerom radzi się mieć zawsze pod ręką kamizelkę ratunkową. „Nawet pogoda nie sprzyjała i wszyscy powtarzali, że ocean na swój sposób przeżywa tragedię Europy”, pisała Anita. Na Morzu Śródziemnym przeżywają chwile grozy z winy niemieckiego zeppelin, który jednak omija ich z daleka.

Marsylia bardzo się zmieniła. Jest szara, pozbawiona blasku, wręcz widmowa. Na opustoszałych ulicach widać tylko żołnierzy, którzy maszerują w rytm wojskowych marszów. W sklepach i kawiarniach pustki, dzieci kryją się po domach. Ryk ciężarówek odjeżdżających na front miesza się z dźwiękiem stukających o bruk podkutych butów i wyciem syren portowych. „Jakżeż to inne miasto od tego, które znałam i pamiętałam!”.

Ze względu na znaną frankofilię maharadży, a także dlatego, że władca Kapurthali reprezentuje niejako całe Indie, książęca para zostaje powitana na froncie zachodnim przez premiera Georges'a Clemenceau i marszałka Petaina. Clemenceau, zwany Tygrysem, podczas wizytacji okopów objaśnia Anicie i jej mężowi założenia swojej strategii. Nikt jeszcze nie wyzbył się złudzenia, że wojna nie potrwa długo i że zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Jednakże charakter walk zaskakuje wszystkich, a już zwłaszcza Hindusów: ciągłe a nieudane ataki, żołnierze nadziani na druty kolczaste i tonący w błocie czerwonym od krwi kolegów, ciężka artyleria, powietrzne bombardowania, trujące gazy, szczury, wszy i epidemie. Wygląda na to, że nie ma chwytów niedozwolonych, że nie obowiązuje żaden kodeks honorowy. Nawet cywilów się nie oszczędza. Sikhowie, niezwyciężeni w walkach na koniu i z szablą w dłoni, ceniący walkę twarzą w twarz, tutaj nie mają okazji choćby przelotnie zobaczyć wroga. Nad odległymi o kilka metrów nieprzyjacielskimi okopami migają im co najwyżej cienie. Pole walki zaścielają trupy koni, zimno przenika do kości, ciągła mżawka odbiera resztki nadziei. Wojownicy w turbanach zaciskają jednak zęby i znoszą wszystko, zapewne w przekonaniu, że ich los tak czy owak spoczywa w rękach opatrności.

Spotkanie w polowym szpitalu Czerwonego Krzyża obfituje w emocje. Żołnierze padają do stóp maharadży i jego żony, wdzięczni, że takie półboskie

istoty zechciały zstąpić do piekła, aby dzielić z maluczkimi choć kilka chwil ich niedoli. Niektórzy nie potrafią ukryć łez. Angielski kapitan Evelyn Howell, odpowiedzialny za kontakty z prasą, nie odstępuje książęcej pary na krok.

- Zauważyłem, że z każdym dniem rośnie liczba poborowych, którzy oddają się pisaniu poezji - stwierdza z troską w głosie. - Podobne zjawisko zaobserwowano w oddziałach angielskich z pierwszej linii ognia. Skłaniam się ku mniemaniu, że to oznaka poważnych zaburzeń mentalnych.

- Zaburzeń mentalnych? Może w przypadku Anglików. Jeśli chodzi o moich ludzi, to co najwyżej oznaka nostalgii - odpowiada z sarkazmem maharadża.

- Czy te wiersze są w urdu? - chce wiedzieć Anita.

- W urdu, hindi, po pendżabsku... Proszę zerknąć na to - kapitan podsuwa jej jakąś kartkę.

Anita odczytuje starannie wypisane słowa: „Śmierć jest jak cicha wałka, jak rosa w górach, jak piana na rzece, jak banieczka powietrza w fontannie". To wersy pełne tęsknoty za Pendżabem, krainą, która dla tych żołnierzy istnieje już tylko w pamięci. Większość z nich boi się zresztą nie tyle śmierci czy lepiej uzbrojonych przeciwników, lecz czegoś zupełnie innego; przed czym inny szuka ucieczki w poezji.

- Maharani, jeśli wasza wysokość pozwoli... - chrypi stary, ranny w nogę żołnierz z białą brodą i w turbanie.

Dla nich tutaj to Anita jest prawdziwą księżną Kapurthali, bo to właśnie ona przyjechała ich zobaczyć i wysłuchać, zamiast zamykać się, wzorem innych żon maharadży, w zenanie. W niektórych sytuacjach więzy ducha znaczą więcej niż więzy krwi.

- Nie chcę tu umierać - wyrzuca z siebie siwobrody mężczyzna. - Proszę nie sądzić, że jestem tchórzem, o, nie. Nie boję się wroga ani śmierci. Ale boję się, że w następnym życiu nie odrodzę się w postaci, jaka by mi się należała. Dobry ze mnie sikh, memsahib, przez całe życie postępowałem, jak na dobrego sikhę przystało. Ale co się ze mną stanie, jeśli moje ciało nie zostanie skremowane? Jeśli nikt nie rozrzuci moich prochów na cztery strony świata? Nie chcę, żeby mnie zakopali w ziemi, memsahib. Żaden z nas nie chce.

- Wiem, wiem.... Tu nie ma stosów pogrzebowych...

- Maharani - odzywa się ktoś inny. - Nazywam się Mohamed Khan i pochodzę z Dżalandaru. My, muzułmanie, też chcielibyśmy godnego pochówku: niech nas obleką w całuny i ułożą w ziemi głową w stronę Mekki.

Anita jest poruszona. Ci ludzie, z którymi zetknęła się może kiedyś w czasie swoich konnych przejażdżek, przyjmują za pewnik, że zginą. Ale boją się nie śmierci, lecz życia wiecznego.



Dlatego zaczyna do nich mówić w urdu, a oni zbliżają się, otaczając ją kołem. Każdy pragnie usłyszeć choć kilka słów w języku królów, który w ustach „hiszpańskiej maharani” brzmi niby najpiękniejszy ghazal i przywodzi na myśl pola i wioski u stóp ośnieżonych Himalajów.

- Przede wszystkim chcę wam powiedzieć, że jego wysokość podjął odpowiednie kroki, aby pomóc finansowo waszym rodzinom w Pendżabie... - Wśród żołnierzy rozlega się pełen aprobaty pomruk. - Poza tym jedzie już do was cały transport papadumsów, curry i wszelkiego rodzaju pendżabskich przypraw, żebyście nie musieli doprawiać potraw prochem strzelniczym. - Tu przerywa jej wybuch śmiechu. - Wreszcie w imieniu jego wysokości i swoim własnym obiecuję, że każemy wam przysłać pandita i muftiego, żeby dbali o zmarłych. Nie obawiajcie się o życie wieczne. Już na nie zasłużyliście.

Zrywa się huragan oklasków. „Ta wojna to prawdziwa masakra”, napisze potem w dzienniku Anita. „Chciałabym, żeby nasi chłopcy byli już z powrotem w domu”. Identyfikuje się ze „swoimi chłopcami”, cierpi na myśl o tym, co teraz przechodzą. Widywała ich kiedyś, gdy obsiewali pola, chowali dzieci, świętowali koniec pory monsunów i nadejście wiosny. Wie, jacy są naiwni, jak wysoko cenią rodzinę i jak bardzo potrzebują wiary. Niepostrzeżenie stali się jej rodakami.

W Paryżu Anita może się wreszcie spotkać z siostrą. Paryż zmienił się nie mniej niż Marsylia - wciąż jest piękny, ale smutny i jakby wymarły. Szerokie aleje świecą pustkami, tylko tu i ówdzie widać kolejki po racjonowaną żywność. Victoria zdaje się wyczerpana, jej podkrążone oczy nabrały wyrazu rezygnacji. Spodziewa się czwartego dziecka. Anita nie spodziewała się, że ujrzy ją w tak opłakanym stanie. W dwudziestym piątym roku życia Victoria wygląda na kobietę przed czterdziestką. Anita nosi się jak dama, jej siostra natomiast wyciera ręce w brudną spódnicę. Troje małych dzieci biega po niewielkiej przestrzeni, podczas gdy Carmen - młoda Hiszpanka z warkoczami i w fartuszku - podstawia wiadra pod ciekący sufit. Z salonu, który przypomina pokoje w madryckim mieszkaniu przy Arco de Santa Maria, rozciąga się widok na dachy Paryża. Ale nie rekompensuje to panującego tu zimna i najwyraźniej licznych niewygód.

- Nie jest dobrze - mówi Victoria, streściwszy pokrótce wszystko, co zdarzyło się od ich ostatniego spotkania. - George nigdy nie wraca przed północą. I ciągle jest pijany.

- Uderzył cię kiedyś?

- Raz... Po pijaku.

- A jak traktuje dzieci?

- Dobrze. Powiedziałałam mu, że jeśli podniesie na którąś rękę, z nami koniec. Ale on je kocha.

- Dlaczego nie wrócisz do domu, do rodziców? Miałabyś tam lepiej. Mogłabyś się zabrać ze mną i z dziećmi.

Chcąc ulżyć siostrze w obliczu zbliżającego się porodu, Anita zaproponowała, że zawiezie troje starszych na jakiś czas do dziadków.

- Nie mogę, Ana. Nie potrafię tak po prostu zostawić męża. Trzeba poczekać do końca tej cholernej wojny. Mówią, że to już długo nie potrwa. A potem, jeśli nic się nie zmieni, zobaczymy...

- A dlaczego miałyby się coś zmienić? Sądzisz, że stanie się cud i George z dnia na dzień wejdzie w rolę wzorowego męża?

Siostra nie wytrzymuje jej spojrzenia i spuszcza wzrok.

- Tyle że... ja go kocham. Mimo wszystko, mimo że mnie tak unieszczęśliwia... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale jestem pewna, że któregoś dnia się zreflektuje...

Anita milczy, więc Yictoria pyta lękliwie:

- A ty? Wyglądasz jak prawdziwa księżniczka, taka z bajek, które czytał nam kiedyś tata. Musisz być bardzo szczęśliwa...

- Czasami. Ale czuję się strasznie samotna. Indie są tak daleko! A teraz, kiedy Ajit pójdzie do szkoły, będzie jeszcze gorzej.

- Przecież ciągle masz wokół siebie masę ludzi!

- Widzisz... Jedno nie wyklucza drugiego.

Anita, sprawdzwszy, czy pokojówka nie patrzy, wyjmuje z torebki niewielkie zawiniątko i ukradkiem wręcza je siostrze.

- Schowaj to na wypadek, gdybyś szybko potrzebowała pieniędzy - szepcze.  
- Tylko nikomu ani słowa.

Victoria zagląda do środka i widzi przepiękną kolbę z diamentów, szmaragdów i pereł, tę samą, którą podarował Anicie nizam.

- Co za cudo! - woła, patrząc jak klejnoty lśnią w zgięciu jej dłoni. - Po wojnie wystroimy się kiedyś i wyjdziemy razem zabawić. Wtedy to założę.

- Właśnie, po wojnie. Może zanim wrócę z Ameryki, będzie już po wszystkim.

- Dałby Bóg...

Żegnają się serdecznie. Anita mocno tuli Victorię, bo cierpi na samą myśl o pozostawieniu siostry w takim stanie na łasce męża. Maskuje zmartwienie, udając wesołość, ale znalazłszy się na ulicy, wybucha płaczem.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Podczas gdy żołnierze z Kapurthali mrą jak muchy na froncie wschodnim, ich główny zwierzchnik, maharadża, odbiera w Paryżu najwyższe francuskie odznaczenie za wkład w walkę z Niemcami. Krótka i rzeczowa ceremonia odbywa się w mieszczącym siedzibę rządu Pałacu Elizejskim, którego nazwa swego czasu tak przypadła Jagatjitowi Singhowi do gustu. Obecna jest Anita oraz trzech synów maharadży: Amarjit, który jako kapitan trzeciej dywizji z Lahore walczy na froncie zachodnim; Mahijit, pisujący korespondencje wojenne dla kilku indyjskich gazet; i Karan, wciąż student jednej z londyńskich uczelni. Rozetkę kawalera Legii Honorowej wpina maharadży w klapę sam Georges Clemenceau. Anita otrzymuje dyplom dla zasłużonej współpracownicy Czerwonego Krzyża. Niby nic szczególnego, ale żona maharadży jest szczęśliwa, ponieważ po raz pierwszy ktoś docenił jej pracę. W Indiach ani - tym bardziej - w Wielkiej Brytanii nic takiego nie mogłoby jej spotkać.

Dla uczczenia tak doniosłej okazji maharadża zaprasza bliskich do klubu, który należy do przyjaciela rodziny, argentyńskiego krezusa Benigna Maciasa, właściciela wielu argentyńskich varieties, wytwornego dżentelmena o wypomadowanych włosach i opinii donzuana. Choć dla biednych Paryż stał się miastem ponurym i nieprzyjaznym, dla bogatych wciąż jest stolicą hulanek i luksusu. Kabarety i restauracje ledwie mieszczą wzbogaconych na wojnie nuworosy.

Tego wieczoru Anita bawi się szampańsko, ponieważ w klubie Maciasa gra się wyłącznie tanga. Już przy pierwszych dźwiękach akordeonu Karan prosi ją do tańca, uzyskawszy najpierw zgodę ojca, który kiwa ze zmęczeniem głową.

- Teraz już wiem, gdzie się tak dobrze nauczyłeś tańczyć tango!
- A ty? Chyba nie w Kapurthali? - żartuje Karan.
- Ja...? Ja mam to we krwi. Nie zapominaj, że byłam kiedyś tancerką.
- Prawda. The Spanish Dancer! - przekomarza się chłopak. - Ile się ojciec na ten temat nasłuchał!
- I dla wielu na zawsze pozostanę hiszpańską tancerką, czyli kimś niewiele lepszym od prostytutki.
- Ale dla innych jesteś najprawdziwszą maharani...
- Tak, dla tych, którym nie starcza na buty. I dla tych, co giną na froncie. W tym tempie wkrótce ich zresztą zabraknie.

- W moich oczach też zasługujesz na ten tytuł, taka jesteś zawsze aktywna, zawsze na posterunku... Moja biedna matka, choć ze wszech miar godna szacunku, nie byłaby do tego zdolna.

Anita uśmiecha się z wdzięcznością. Podobne słowa w ustach syna maharadży nabierają szczególnego znaczenia. Miło, że Karan nadal jest taki jak wtedy, gdy spotkali się na ślubie Paramjita: naturalny i przyjacielski. To jedyny z jej „pasierbów”, który zawsze, czy to w Indiach, czy we Francji, zachowuje się tak samo. Inni, wzorem maharadży, są postępowcami w Europie i tradycjonalistami w Indiach, jak gdyby nie potrafili pogodzić w sobie obu światów. Jak gdyby Wschód i Zachód były dla nich niczym woda i oliwa. Tu, w Paryżu, wolni od kastowych i rasowych przesądów, oswobodzeni spod wpływu matek, okazują Anicie sympatię. Tańczą z nią, śmieją się i gawędzą. W ich towarzystwie Anita zapomina na kilka godzin o Victorii, o rychłym rozstaniu z Ajitem i o wojnie. Wie jednak, że kiedy znowu zobaczy ich w Kapurthali, Amarjit i Mahijit udadzą, że jej nie widzą, i z powrotem zajmą się knuciem intryg mających na celu pozbycie się „intruza” z pałacu. Tylko Karan nigdy do nich nie dołączy. Jemu można zaufać.

W Londynie maharadża otrzymuje z rąk Jerzego V Wielki Krzyż Imperium. To nagroda za kolejny piękny gest z jego strony: właśnie umorzył Koronie dług w wysokości miliona funtów. Anicie nie wolno uczestniczyć w tej uroczystości, zostaje więc w hotelu Savoy, wraz z Dalimą kończąc przygotowywać wyprawkę Ajita. Jagatjit w ostatniej chwili przesyła wiadomość, że nie będzie mógł wraz z nią odwiedzić chłopca do Harrow, gdyż ma ważne spotkania z jakimiś generałami.

Anita węszy kłamstwo. Zna męża wystarczająco dobrze, by nie dać się nabrać na taką wymówkę. W ciągu trzech dni spędzonych w Londynie maharadża ledwie się pokazał w Savoyu. Ajit nie wygląda na przejętego faktem, że nie pożegna się z ojcem, ale Anita czuje się zdradzona, dotknięta. Nocą budzi się nagle, idzie do sypialni Jagatjita i zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami. Boi się, że jeśli przekreśli gałkę, jej życie również obróci się o sto osiemdziesiąt stopni. O tej porze, na wpół uśpiona, nie wie, gdzie kończy się jawa i zaczynają senne zwidy. Wraca nieprzyjemne wrażenie z Kapurthali, wrażenie, że ona, Anita, nie panuje nad własnym życiem, że traci grunt pod nogami i że kto wie, czy aby nie popada w obłęd. Kiedy w końcu zbiera się na odwagę i otwiera nieszczęsne drzwi, w sypialni nie zastaje nikogo. Wolałaby już chyba nakryć męża z kobietą, miałyby wtedy potwierdzenie swoich obaw. Wątpliwości czasem bardziej męczą niż najgorsza nawet prawda.

- Dalimo - pyta służącą, obudziwszy ją dzwonkiem. - Ty zawsze jesteś doskonale poinformowana. Powiedz mi, gdzie może się podziewać maharadża.

- Nie wiem, proszę pani...

- Nie udawaj. Służba wie wszystko. No, gdzie on jest?

- Proszę pani, ja...

Dalima spuszcza oczy. Poparzenia zamieniły jej jedwabistą niegdyś skórę w chropawą maskę. Włosy na głowie odrosły wprawdzie, ale nie tak lśniące i gęste jak dawniej. Tylko jej ciepłe, oddane spojrzenie się nie zmieniło.

- Pomyśl, ile dla ciebie zrobiłam, Dalimo. Czy nie zasługuję na prawdę? Wiem, że ty coś wiesz.

Dalima mruczy coś niezrozumiale. Potem podnosi wzrok, w którym maluje się błaganie o łaskę. Wie doskonale, co jest winna swojej pani, ale wydać maharadżę...? To nie służy przyszłym wcieleniom. Jednakże Anita, która pragnie prawdy tak samo, jak się jej boi, nie ustępuje.

- Dobrze. Sądzę, że po powrocie do Kapurthali, zrezygnuję z twoich usług. Możesz wracać do swojego pokoju.

Dalima żegna się, składając dłonie na wysokości piersi, i odchodzi. Ale w progu przystaje. Może przez tych kilka sekund pomyślała o swojej córeczce, o tym, jak trudno samotnej kobiecie na wsi, o swoim zdeformowanym ciele i wdowieństwie. Prawo karmy jest nieubłagane i jeśli zdarzyło się to, co się zdarzyło, ona, Dalima, z pewnością w poprzednim życiu uczyniła coś, by na to zasłużyć. Tak przynajmniej uważają jej współwyznawcy. Może dlatego w progu odwraca się ku Anicie, z oczami wciąż wbitymi w podłogę, jak gdyby zawstydzona swoim zachowaniem.

- Słyszałam, jak służba zatrudniona w Mansuri opowiadała o jakiejś angielskiej memsahib...

To wystarczy. Anita z westchnieniem opada na łóżko.

- Dziękuję, Dalimo. Połóż się teraz.

Nigdy nie przypuszczała, że można tak bardzo cierpieć przez coś, co zdaje się przeciwieństwem miłości. A jednak można. Wyciągnięta w miękkiej pościeli, zżerana przez zazdrość, Anita czuje, że obok jej łóżka otwiera się przepaść.

Następnego dnia Anita, Dalima i Ajit jadą do Harrow, położonej pod miastem prestiżowej szkoły z internatem, w której uczyli się trzej starsi synowie maharadży. Chłopiec nie będzie się czuł wyobcowany, spotka tu wielu synów kolonialnych urzędników z Delhi, Kalkuty czy Bombaju. Część z tych dzieci jeszcze nie otrząsnęła się z szoku, jakim jest rozstanie z rodziną w tak młodym wieku. Jakaż drastyczna zmiana: zamiast znanych od zawsze kolorów i radości

- mrok i samotność. Brytyjska szkoła robi z rozpieszczonych pół-Hindusów młodych Anglików gardzących wszystkim, co indyjskie. Nagle nie wolno hałasować ani oddawać się innym ulubionym rozrywkom.

Anita ma szczęście, ponieważ może podróżować do woli, ale większość matek widuje swoje pociechy nie częściej niż raz na cztery lata. Nic więc dziwnego, że chłopcy czują się opuszczeni i zaczynają nienawidzić swoich rodziców. Anita zna dorosłych mężczyzn, którzy winią Indie za rozłąkę z najbliższymi i do końca życia noszą w sobie traumę z dzieciństwa.

Choć rozłąka z Ajitem potrwa jedynie kilka miesięcy, bo zaraz po powrocie ze Stanów Zjednoczonych zabiorą syna z powrotem do Kapurthali na wakacje, Anita ledwie nad sobą panuje. Fundamenty jej dotychczasowej egzystencji rozpadają się w proch: wiara w pomyślność siostry i rodziców, w stałą obecność Ajita i w bezwarunkową miłość męża.

Widząc ich razem, nikt by wszakże niczego nie poznał. Odbywają iście tryumfalny wjazd do Madrytu. Podróżują z trzydziestoosobową świtą i dwustoma trzydziestoma kuframi, które zawierają, między innymi, indyjskie przyprawy niezbędne do przyrządzania posiłków maharadży. Na stacji kolejowej otacza ich rój dziennikarzy i fotografów, Anita rozpoznaje wśród nich starego znajomego, który prosi o wywiad dla czasopisma „Esfera”. Legendarna księżniczka wygląda jak marzenie”, tak rozpoczyna się napisany przez niego artykuł. „Jej zęby dorównują białością perłom, które całymi sznurami spływają po śnieżnobiałym, zachwycająco dużym dekolcie. Jej migoczące od klejnotów ręce są jak dwa gronostajowe węże stworzone do pieszczot”.

Maharadża, zapytany, czy wciąż tak samo kocha swoją żonę, odpowiada:

- Oczywiście. Anita potrafi zamienić życie w bajkę. Lud Kapurthali darzy ją wielkim uczuciem.

- Ale ma wasza wysokość również kilka innych żon.

- Owszem, niejedną. Ale księżna to księżna.

„Anita nie potrafiła powściągnąć gorzkiego grymasu i pod wpływem nagłej zazdrości, rzuciła: «Tak, taki już w Indiach zwyczaj. Cała reszta nie może się już doczekać, aż jego wysokość wreszcie się mną znudzi»”.

Dlaczego jestem tak zazdrosna, zastanawia się nocą w Ritzu, patrząc przez okno na Paseo del Prado i oświetloną przez księżyc figurę Neptuna. Kawalek stąd, w labiryncie krętych uliczek, wszystko się zaczęło. Cóż za zbieg okoliczności, że w podobnym momencie znów znaleźli się w Madrycie! Od ich pierwszego spotkania nie minęło nawet dziesięć lat. A teraz Jagatjit chrapie, rytmicznie i głośno. Śpi niczym stary indyjski słoń, nieświadom, że poprzez

ciemność wpatrują się w niego pełne urazy oczy. Anita, jak zawsze wtedy, gdy coś ją dręczy, nie może zasnąć. Odnosi wrażenie, że w sypialni przebywa wraz z nimi duch Angielki z Mansuri, której imienia nie zna. Aż się gotuje od sprzecznych uczuć. Bo czy ma prawo do zazdrości? Dlaczego bardziej przejmuje się jakąś nieznajomą niż licznymi żonami i konkubinami maharadży? Wyszła za męża za człowieka, który żenił się wcześniej wiele razy, poznała też kulturę erotyczną Indii i tamtejsze upodobanie do poligamii, dlaczego więc tak ją dziwią rewelacje Dalimy? Czyż nie należało się tego spodziewać? Przecież nie kocha męża aż tak, by nie mogła go sobie wyobrazić w ramionach kochanki. Nie, martwi ją coś innego: to, że straciła pozycję tej ulubionej, wybranej. Nigdy nie została oficjalną maharani Kapurthali, lecz przez lata królowała w sercu maharadży. Silna jego miłością mogła ze spokojem znosić złośliwe ataki i czuła się niezniszczalna jak Radź. A teraz... Jaki sens ma trzymanie się boku Jagatjita? Jaki sens ma dalsze przebywanie w Indiach? Anita przeczuwa, że już wkrótce dołączy do szeregu odrzuconych żon. A wtedy? Czy będzie potrafiła żyć jak „zwykła” kobieta, jedna z tych, co to wieczorami chadzają do kawiarni z przyjaciółką? Czy będzie umiała zrezygnować z sandałowych papierosów produkowanych w Kairze specjalnie dla niej? Z tłumu służących, z pozycji półbogini? Jednym słowem - z luksusu? Cóż, z jednego na pewno nigdy nie zrezygnuje: z prawa do opieki nad Ajitem. Cierpliwości, naucz się cierpliwości, powtarza sobie w myślach. W Indiach cierpliwość stanowi główną cnotę. Wszystko opiera się na cierpliwości i tolerancji. Bunt niczemu nie służy.

Andaluzyjski temperament jednak przeważa. Żądać od Anity cierpliwości to tak, jakby prosić rozwścieczonego byka, żeby się uspokoił. Podczas niekończącej się podróży pociągiem do Malagi, gdzie mają spotkać się z państwem Delgado i zostawić im pod opieką dzieci Victorii, Anita nie wytrzymuje, odkłada robótkę i pyta:

- Co to za Angielka, którą poznałeś w Mansuri i z którą sypiasz? Maharadża, pogrążony dotąd w lekturze modnej akurat w Europie powieści pod tytułem Doktor Jekyll i Mister Hyde, patrzy na żonę ponad okularami i napotyka jej rozjarzone spojrzenie.

- O czym ty mówisz?

- Na to pytanie z pewnością potrafisz odpowiedzieć lepiej od mnie.

Jagatjit zdaje się rozważać, jak też zareaguje na jego zdradę kobieta tak energiczna, świadoma własnej wartości i uparta. Po chwili spuszcza wzrok, by ukryć zmieszanie. Nie jest przyzwyczajony do składania wyjaśnień, zdaje sobie

jednak sprawę, że Anita nie popuści, dopóki nie usłyszy takiej czy innej odpowiedzi.

- Wiesz, że przyjaźnię się z wieloma kobietami, ale to jeszcze nic nie znaczy. Angielka, o której mówisz, to żona aktora zarabiającego na życie wyświetlaniem filmów. Poznałem ich oboje, pożyczyłem im kiedyś konie. Nic więcej.

Anita wygląda przez okno. Jałowe pustkowia Kastylii zostały w tyle, ustępując miejsca gajom oliwnym Andaluzji. Anita czuje ukłucie w sercu: to jej ziemia. Maharadża ciągnie:

- Nie żadasz chyba, żebym unikał towarzystwa kobiet.

- Nie. Ale chodzą słuchy, że wciąż się z nią spotykasz.

- A ty wolisz wierzyć złośliwym językom zamiast swojemu mężowi?

- Mój mąż znika na całe dni. Tracę z nim kontakt.

- Nie powinnaś ufać plotkarzom, którzy chcą nam zaszkodzić. Nie powinnaś dawać się wciągnąć w tę grę. Owszem, byłem ostatnio bardzo zajęty, ale to przez wojnę. Nadal kocham cię tak samo jak pierwszego dnia.

Mówi tak spokojnie, poważnie i przekonująco, że Anita oddycha z ulgą, myśląc, że kto wie, czy rozgorączkowany umysł nie spletał jej aby psikusa. Maharadża zrobił to, o czym w głębi duszy marzyła: zaprzeczył wszystkiemu z kamienną twarzą. Zareagował jak inni mężczyźni, wyparł się prawdy wbrew oczywistości. Powiedział to, co Anita chciała usłyszeć. Gdyby się przyznał, skruszony, byłoby znacznie gorzej. Prawda potrafi siać spustoszenie.

Malaga wita ich z honorami. Lokalna prasa od lat z upodobaniem śledzi losy Andaluzjki, która została orientalną księżną. Specjalnie dla maharadży, który lubi flamenco, przygotowano bogaty program artystyczny. Fotoreporterzy uwiecznią jeden z koncertów: Jagatjit Singh siedzi w typowym andaluzyjskim barze, z łbem byka nad głową, przed ogromnym dzbanem sangrii i razem z grupą odzianych w turbany dworaków słucha jak urzeczony.

Anita stara się spędzać większość czasu z rodzicami. Don Angel i doña Candelaria, choć radzi z widoku córki i wnuków, bardzo się martwią sytuacją Victorii.

- Nie dała się przekonać do przyjazdu tutaj? - dopytuje się niespokojnie doña Candelaria.

- Nie, uważa, że wojna wkrótce się skończy. I nie chce opuszczać męża.

- Zawsze miałaś go za lekkoducha. Ale to zbyt słabe określenie. Co za łajdak! A najgorsze, że ona tego chyba nie widzi.

- Miłość jest ślepa, mamó.



- Ty lepiej trafiłaś. Ten twój książę wydaje się czarujący. Rzadko się widzujemy, ale to dla nas wielka pociecha widzieć cię szczęśliwą. Dlaczego musicie od razu jechać do tej Ameryki? Nie możecie zostać dłużej?

- Nie możemy, mamó. Ale za rok przywiozę do was Ajita na wakacje. Anita odpowiada półgębkiem, skupiona na pewnej niedającej jej spokoju kwestii.

- Mamó - odzywa się nagle, wchodząc doń Candelarii w słowo. - Chciałabym, żebyś szczerze odpowiedziała mi na jedno pytanie. Kiedy uzgadniałaś z maharadzą nasz ślub, wiedziałaś, że on ma już inne żony? Cztery inne żony?

Doña Candelaria nerwowo wykręca pasek torebki. Zwleka.

- Wiedziałaś - mówi w końcu. - Maharadża sam mi to powiedział, ba, nalegał, żebym ja z kolei powiedziała tobie. Ale nie zrobiłam tego. Zapewniał, że wprawdzie nie może porzucić tamtych, lecz będzie cię traktował po europejsku, że niczego nigdy ci nie zabraknie i że zrobi wszystko, by cię uszczęśliwić.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Żeby cię nie przestraszyć, córeczko.

Anita patrzy na nią z takim wyrazem twarzy, że doña Candelaria rzuca prędko:

- Twój ojciec i ja byliśmy wtedy w strasznej sytuacji...

- Zostaw to, mamó. Lepiej nic już nie mów.

Anita nie chce tego słuchać. Wpatruje się w matkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Nie czuje żalu, jedynie ogromne zmęczenie. Wieczorem płacze w poduszkę. Ma w ustach gorzki smak, smak samotności. Do tej pory wiązała go z Indiami, z życiem z dala od domu. Teraz rozumie, że nie pozbędzie się go już nigdy, gdziekolwiek by była.

## Część piąta

Słodki grzech miłości

### Rozdział trzydziesty ósmy

Wojna trwa w nieskończoność. Nie tygodnie czy miesiące, jak sądziła Victoria i jak przewidywał sam Clemenceau, lecz lata. Ci, którzy wieszczyli entencie błyskawiczne zwycięstwo, w obliczu zażartej niemieckiej ofensywy muszą powściągnąć swój entuzjazm. Do Anity, która przebywa w Stanach Zjednoczonych, docierają niepokojące wieści z Paryża: Victorię opuścił mąż. Porzucił ją w najgorszym momencie, tuż przed czwartym porodem, kiedy nad Paryżem wisi widmo głodu. Jak gdyby tego było mało, uciekł z Carmen, nieletnią wychowanką rodziny Delgado, tą samą, która pomagała Victorii w domu. Dziewczyna, jak się okazało, zaszła z nim w ciążę. Prawdziwy dżentelmen z pana Winansa.

O wszystkich tych okropnościach Anita dowiaduje się ze sporym opóźnieniem. Bawi w Hollywood, gdzie zawiera znajomości z gwiazdami kina. Charles Chaplin zaprasza książęcą parę na plan Charliego włóczęgi, Griffith pokazuje dostojnym gościom rekonstrukcję Babilonu, która posłuży przy kręceniu filmu mającego „pokazać nietolerancję ludzkości”. Wcześniej, w Nowym Jorku, Anita znalazła wydawcę dla swej książki o Indiach\*, w Chicago zaś nasłuchiwała się opowieści maharadży o Wystawie Powszechnej z 1893 roku. To były przyjemne tygodnie, z dala od piekła, które rozpętało się w Europie.

\* [Te napisane po francusku wspomnienia z podróży noszą tytuł Impressions de mes voyages en Inde, Sturgis&Walton Co., Nowy Jork, 1915.](#)

Jednakże losem siostry nie sposób się nie przejmować. Jak jej pomóc? Rodzice w Hiszpanii, niewiele mogą zrobić. Mme Dijon, jedynej, która mogłaby coś poradzić, nie ma w Paryżu: wróciła do Indii i ponownie wyszła za mąż, znowu za dyrektora szkoły. Wobec braku alternatywy Anita nosi się z zamiarem wyjazdu do Francji. Na myśl o przedstawieniu tego pomysłu maharadży cała aż cierpnie, ale w końcu zwycięża niepokój o siostrę.

- Mon cheri, muszę chyba wracać do Europy. Victoria ma poważne kłopoty...

- Nie możemy w tej chwili przerwać podróży. A samej cię nie puszcę, to zbyt niebezpieczne.

- Ale gdyby Victorii się coś stało, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nic jej się nie stanie. Zresztą, stąd też się da sporo zrobić.

- Ona potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował, kto by ją zabrał do Hiszpanii zaraz po porodzie.

- Napisz do Karana. On chyba wciąż jest w Paryżu. Na pewno pomoże.

- Zanim dostanie mój list, wojna dawno się skończy - wzrusza ramionami Anita.

- Nie, bo wyślemy go pocztą dyplomatyczną, przez Foreign Office.

Odpowiedź odbierają w Buenos Aires. Karan nie próżnował: skontaktował się z Benignem Maciasem, zaprzyjaźnionym argentyńskim potentatem, a ten bez wahania zgodził się pomóc Victorii. „Dzięki swoim wpływom zdoła pewnie wywieźć ją z Francji. Sytuacja w Paryżu robi się bardzo ciężka. Jutro wyjeżdżam do Londynu...”. Co za ulga! Macias to dobry człowiek, nie zostawi Victorii w potrzebie.

Anita, już spokojniejsza, postanawia nacieszyć się wreszcie tym, co najbardziej jej się podoba w Argentynie: tangiem. Całe Buenos Aires mówi o młodym śpiewaku, który cieszy się takim powodzeniem, że po jego pierwszym występie w Armenonville poniesiono go na ramionach ulicami. Jak torreadora. Nazywa się Carlos Gardel i ma głos, który porusza Anitę do głębi.

Jaskółki gorączką skrzydlate, Wędrowniczki uczuciem pijane...

Serc naszych kompas szalony Wyrzywa się zawsze w nieznanie...

Podróżowanie, czy to po lądzie, czy morzem, niesie ze sobą coraz większe ryzyko. Wojna ogarnia cały świat. W Londynie król wzywa indyjskich książąt do zwiększenia kontrybucji. Ofensywa w Alzacji i Lotaryngii zakończyła się fiaskiem. Braki w zaopatrzeniu wielkich miast zmuszają do rygorystycznej reglamentacji żywności. Sytuacja staje się ciężka.

Jagatjit Singh natychmiast zobowiązuje się zwerbować i wysłać na front zachodni - który ustabilizował się na długości siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów - dodatkowe cztery, tysiące żołnierzy. Maharadża Ganga Singh z Bikaneru korzysta jednak z okazji, by zażądać większej autonomii dla indyjskich księstw, a nawet postulować ich niezależność. Wbrew powszechnym oczekiwaniom Brytyjczycy przychylają się do jego prośby. Teraz brakuje już tylko, by indyjscy władcy doszli do porozumienia w sprawie owej niezależności. Co, na nieszczęście dla nich, nigdy nie nastąpi.

Odebrawszy ze szkoły Ajita, który jej zdaniem zamienił się „w małego brytyjskiego dżentelmena”, Anita jedzie do Francji, by w Marsylii wsiąść na płynący do Bombaju okręt S/s Persia. Wcześniej jednak zatrzymują się wraz z maharadżą w Paryżu. Miasto wygląda ponuro. Nikt się tu już nie bawi, nawet najbogatsi. Wszystkie kluby pozamykano, także kabaret Benigna Maciasa. Niemcy są sto kilometrów dalej, Paryż żyje w biedzie i strachu. Anita,

przerażona tym, co widzi, udaje się do domu Victorii. Budynek zdaje się wymarły. Drzwi wejściowe skrzypią. W środku słychać łopot ptasich skrzydeł: na podeście schodów zagnieździły się gołębie. Anita wstępuje na pierwszy stopień i wtedy słyszy głos:

- Dokąd to?

- Jestem siostrą pani Winans...

- Pani Winans nie ma - oświadcza starsza, lekko przygarbiona kobieta z białymi, zmierzwionymi włosami. - Nazywam się Dieu, jestem konsjerżką. Wszyscy wyjechali na wieś, nikt nie czekał, aż boches\* się zjawią. Pani siostrę i jej dzieci zabrał stąd jakiś argentyński dżentelmen...

\* **Pejoratywne określenie Niemców.**

- Wie pani dokąd?

- Chyba wybierali się gdzieś pod Orleans, ale szczegółów nie znam. Oni sami też chyba nie znali.

- Dziękuję - mówi Anita, wychodząc na ulicę.

Mme Dieu, chowając się w swoim mieszkaniu, mruczy do siebie:

- Niedługo zostanę tu sama, nie licząc boches! Benigno Macias to prawdziwy dar niebios, myśli Anita. Ale powinnam była od razu zabrać Victorię do Hiszpanii, wyrzucić sobie, zżerana przez wyrzuty sumienia. Na ulicach pełno karawanów, ambulansów, wojskowych ciężarówek, i Anita czuje nagle, że ta wojna jeszcze ją w jakiś sposób dotknie.

- Dlaczego zostawiłam siostrę w kraju ogarniętym wojną, na łasce tego łajdaka? Dlaczego? - szepcze raz po raz, wracając do hotelu, gdzie czeka maharadża ze świtą.

W Marsylii panuje chaos. Niedawne ataki niemieckich łodzi podwodnych na Morzu Śródziemnym częściowo sparaliżowały żeglugę. Niektóre statki wypłynęły z opóźnieniem, inne wcale. Należący do angielskiej kompanii Peninsular&Oriental S/s Persia, ze swoim czarnym kadłubem i dwoma wysokimi, również czarnymi kominami, jest maharadży dobrze znany z wielu poprzednich rejsów. Ma wyporność siedem tysięcy pięćset ton i prawdziwie luksusową pierwszą klasę. Kilka lat wcześniej, w 1910 roku, Jagatjit spotkał na jego pokładzie grupę pilotów i mechaników podróżujących z dwoma dwupłatowcami, które potem posłużyły do odbycia pierwszego lotu w Indiach. Pokaz miał miejsce nad brzegami Gangesu w czasie odbywającego się co dwanaście lat i tłumnie uczęszczanego religijnego święta. Ponad milion wiernych, skupionych nad wodami świętej rzeki, mogło po raz pierwszy w życiu podziwiać cięższy od powietrza, a zarazem niebędący ptakiem obiekt,

który szybował w przestworzach. Wieść o tym cudzie obiegnęła najdalsze zakątki subkontynentu.

W dzień wyjazdu, kiedy maharadża wraz z Inderem Singhiem nadzoruje załadunek ponad dwustu czterdziestu swoich kufrów, podchodzi do niego ubrany po cywilnemu mężczyzna, który przedstawia się jako agent brytyjskiego wywiadu.

- Wasza wysokość, proszę pozwolić sobie powiedzieć, że przechwyciliśmy informacje, z których wynika, że S/s Persia może się stać obiektem niemieckiego ataku. Wszystkim pasażerom z brytyjskimi paszportami doradzamy rezygnację z tego rejsu.

- Ale mieliśmy już wypływać...

- Owszem, statek wypłynie normalnie, choć dla bezpieczeństwa zmieni trasę. Niewykluczone zresztą, że chodzi o fałszywy alarm. Niemniej jednak moim obowiązkiem było waszą wysokość powiadomić. Decyzję pozostawiamy każdemu z osobna.

Ta niespodziewana wieść krzyżuje wszystkim plany i wywołuje zamęt nie do opisania. Co robić? Tym samym statkiem zamierzała podróżować zaprzyjaźniona z maharadżą i Anitą para Anglików. Lord Montagu, arystokrata i wojskowy, ma objąć dowództwo jednego z oddziałów wojsk brytyjskich stacjonujących w Indiach. Znany ze swej pasji do samochodów, jest redaktorem naczelnym magazynu „The Car”. Towarzyszy mu nie żona, lecz sekretarka, a zarazem kochanka, Eleanor Velasco Thornton, z pochodzenia Hiszpanka. Wyjąwszy najbliższych przyjaciół, do których zaliczają się maharadża i Anita, nikt w londyńskim towarzystwie nie wie o łączącej ich relacji. Eleanor odznacza się inteligencją i wybitną urodą - ma więc wszystko, jak powiedziała by Anita, poza pozycją społeczną, która pozwoliłaby jej poślubić ukochanego mężczyznę. Tak to już jest w wiktoriańskiej Anglii. Tej samej, która uparcie odrzuca Anitę. Może dlatego obie panie bardzo się zaprzyjaźniły.

Jednakże, choć nikt nie wie, że to ona, Eleanor stała się powszechnie znana, od kiedy jej podobizna zdobi maski rolls-royce'ów. Pomysł ten zrodził się w głowie lorda Montagu, który poprosił swego przyjaciela, znanego rzeźbiarza Charlesa Sykesa, by ten wymyślił ozdobę dla modelu silver ghost. Sykes, inspirując się sylwetką Eleanor, stworzył statuetkę, która przedstawia młodą kobietę spowitą w powiewne szaty, z przytkniętym do ust palcem wskazującym - na znak potajemnej miłości do lorda. Figurka otrzymała nazwę Spiritoj Ecstasy - duch ekstazy - i zdobyła taką popularność, że Rolls-Royce postanowił ozdabiać nią wszystkie swoje modele.

Po dwóch godzinach wahań i roztrząsania rozmaitych za i przeciw, kapitan straży przybocznej Inder Singh proponuje salomonowe rozwiązanie, dzięki któremu nie trzeba będzie ani wyładowywać bagażu, ani narażać bezpieczeństwa ich wysokości. On, Inder Singh, wraz z większością świty popłynie na zagrożonym statku, by pilnować kufrów, podczas gdy maharadża z rodziną zaczeka w Marsylii na holenderski okręt Prinz Due Nederland, który za dwa dni rusza do Egiptu. Tam łatwo będzie się przesiąść na krążący między Kairem a Bombajem S/s Medina. W ten sposób rejs potrwa dłużej i sprawi więcej kłopotów, ale ostatecznie życie władcy jest najważniejsze. Lord Montagu nie chce odłączać się od grupy brytyjskich oficerów, dlatego postanawia zostać wraz z Eleanor na pokładzie S/s Persia.

Maharadża, Anita, Ajit, Dalima oraz kilkoro innych służących wypływają z Marsylii dwa dni później. „Podróż była męcząca i niebezpieczna”, pisała potem Anita, „nocami każdego ogarniał smutek i niepokój, wszyscy nasłuchiwali ryku samolotów, które mogły nas zbombardować. Ale najgorsze przyszło, gdy dowiedzieliśmy się, że S/s Persia zatonał”.

30 grudnia 1916 roku o 13.10, siedemdziesiąt mil od brzegów Krety, w okręt trafia torpeda wystrzelona z niemieckiej łodzi podwodnej U-38. Pocisk przebija dziób. Pięć minut później wybuchają kotły i statek z pięciuset pasażerami na pokładzie idzie na dno. Prasa światowa rozpisuje się o tej tragedii, a w Aujli, wiosce Indera Singha, panuje żałoba. Oficjalne biuletyny boleją nad śmiercią dwudziestu jeden brytyjskich oficerów, wśród których znalazł się lord Montagu, wspominają także amerykańskiego konsula w Adenie, żonę dyrektora szkockiego liceum w Bombaju, panią Ross, oraz cztery szkockie zakonnice wybierające się do Karaczi. Resztę określa się wspólnym mianem „pasażerów drugiej i trzeciej klasy”.

Zamknięta w kajucie, którą opuszcza tylko w porach posiłków, Anita pisze: „Nie dość, że nie wiemy nic o Victorii, to straciliśmy teraz Indera Singha, wspaniałego, uczynnego człowieka, który zachowywał się zawsze jak najprawdziwszy dżentelmen. Zginął też Montagu, biedna Eleanor oraz osiemnaście osób z dworu. Przepadła większość naszego bagażu, w tym trochę nie bardzo cennych klejnotów. Przychodzą mi na myśl listy pierwszych hinduskich żołnierzy wysłanych na front, którzy pisali, że to nie wojna, lecz koniec świata. Zaczynam sądzić, że mieli rację”.

Stopniowo jednak nadchodzą też wieści dające nadzieję. Dziesięć godzin po katastrofie chiński frachtowiec Nung Ho wyłowił jakichś stu rozbitków, w tym lorda Montagu, który rozglądał się podobno dokoła przerażonymi oczami kogoś, kto otarł się o śmierć. Tym, co malowało się w jego spojrzeniu, była też

pewnie rozpacz, że nie zdołał uratować Eleanor, ponieważ w chwili wybuchu znajdowali się w dwóch różnych miejscach: on czekał w restauracji na pokładzie, podczas gdy jego ukochana w swojej kabinie kończyła przygotowania do obiadu. Zjawił się w Londynie tego samego dnia, w którym gazety wydrukowały poświęcone mu nekrologi.

Dużo mówi się też o kapitanie trzeciego batalionu gurkhów, E.R. Berrymanie, który otrzymał medal za udzielenie pomocy francuskiej pasażerke. Dla maharadży i Anity najważniejsze jest jednak to, że przeżył Inder Singh. Przez trzy dni dryfował ucepiony kawałka drewna, a teraz dochodzi do siebie w szpitalu na Krecie. „Podziękowałam Najświętszej Paniencie za ten podwójny cud: za uratowanie zarówno nas, jak i Indera Singha”.

Kiedy wiele dni później mieszkańcy Aujli widzą go w rolls-roysie maharadży, wielu wpada w przerażenie, sądząc, że to duch. Inni są przekonani, że wrócił na ziemię dzięki nadnaturalnym mocom Jagatjita Singha. Inder Singh, siedząc przed domem, opowiada im szczegółowo o swojej przygodzie, a oni słuchają z otwartymi ustami. Kiedy kończy, wszyscy chcą uścisnąć mu dłoń albo poklepać go po plecach, jak gdyby chcieli się upewnić, że nie padają ofiarą halucynacji. Potem w wiosce rozpoczyna się huczne święto. „Po raz pierwszy piłem whisky w wieku jedenastu lat, w dniu, w którym mój uznany za zmarłego dziadek wrócił szczęśliwie do domu”, będzie wspominał wnuk Indera Singha. Na pamiątkę tego właśnie dnia maharadża wprowadza zwyczaj dorocznego polowania w Aujli na przepiórki.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Kiedy po wakacjach w Kapurthali Ajit wraca do Harrow, Anita, nie chcąc ulec niepokojowi o bezpieczeństwo syna w czasie jego pierwszej samodzielnej podróży, a także potęgującemu się uczuciu osamotnienia, poświęca się bez reszty sprawom żołnierzy. Nienawidzi tej wojny, która każe najmłodszym synom Indii umierać w imię cudzej sprawy. Po tym, co widzieli z maharadzą na froncie zachodnim, werbowanie naiwnych chłopców, którzy marzą o naśladowaniu legendarnych herosów, wydaje się okrucieństwem. A jednak do wspierania Brytyjczyków nawołują wszyscy liczący się przywódcy polityczni, łącznie z przybyłym właśnie z Afryki Południowej adwokatem, malutkim, odważnym i ostrym w sądach człowieczkiem, który żyje w ubóstwie i broni interesów biedoty. Anita usłyszała o nim po raz pierwszy od Bibi, która poznała go w Śimli. Nazywa się Mohandas Gandhi i choć jest zażartym zwolennikiem niepodległości, twierdzi, że pomagać Anglii znaczy pomagać Indiom, bo tylko po zwycięstwie ententy można będzie aspirować do takiej lub innej formy niezależności politycznej.

Anita i maharadża spotykają go jeszcze tego samego roku, gdy przemawia podczas inauguracji Uniwersytetu Hinduskiego w Waranasi, świętym mieście nad Gangesem. Ale cóż za rozczarowanie! Zaproszeni przez wicekróla na trzydniowe uroczystości indyjscy arystokraci nigdy wcześniej nie słyszeli podobnych herezji. W auli pełnej studentów, urzędników i wspaniale ubranych książąt Gandhi pojawia się w prostym stroju z białej bawełny. Niski, z nieproporcjonalnie długimi rękami i nogami, odstającymi uszami, płaskim nosem i cienkim, szarym wąsikiem, bystro patrzący zza szkieł w metalowej oprawce, przypomina Anicie szczudłonogiego ptaka.

- Klejnoty, które zdobiją dziś wasze szyje, wyglądają pięknie, przyznaję - zaczyna przyszły lider biernego oporu. - Ale kiedy zestawiam ten widok ze wspomnieniem milionów wychudłych twarzy, dochodzę do wniosku, że nie ma dla Indii ratunku, dopóki nie zdejmiecie swych ozdób i nie złożycie ich w ręce najuboższych...

Anita sięga dłonią do piersi, jak gdyby chciała się upewnić, że naszyjnik ze szmaragdów - jeden z tych, które otrzymała z okazji ślubu - wciąż jest na swoim miejscu. Część zgromadzonych jest oburzona. Wtem nad pomruk niezadowolenia wybija się jakiś młodzińczy głos:

- Słuchajcie go! Słuchajcie!



Jednakże niektórzy książęta, uznawszy widać, że usłyszeli już dosyć, opuszczają salę. Anita i maharadża, siedzący w pobliżu wicekróla, nie mają odwagi pójść w ich ślady i wbrew sobie zostają.

- Kiedy dowiaduję się, że gdzieś w Indiach powstaje nowy pałac, wiem, że powstaje dzięki wysiłkowi biedaków. Żadna forma niezależności nie może zaistnieć dopóty, dopóki kradniemy chłopom owoce ich pracy. Bo jaki kraj zbudujemy na takich fundamentach?

- Milcz! - krzyczy ktoś.

- Nasze zbawienie przyjdzie ze wsi. Nie zapewnią go nam ani adwokaci, ani lekarze, ani zamożni posiadacze ziemscy, lecz zwykli wieśniacy.

- Proszę przestać - apeluje odpowiedzialna za uroczystość Angielka, Annie Besant, znana skądinąd ze swych postępowych poglądów fundatorka tej pierwszej w Indiach hinduskiej uczelni.

- Mów dalej! - wołają jedni.

- Siadaj już! - wykrzykują drudzy.

W auli panuje straszliwe zamieszanie. Książęta i wysocy urzędnicy nie widzą sensu w dłuższym wysłuchiowaniu obelg tego dziwaka, dlatego wszyscy, poczynając od wicekróla, wychodzą, odprowadzani pogardliwym, donośnym buczeniem.

Aż do tej chwili nikt nie ośmielił się rzucić indyjskim możliwym prawdy prosto w twarz. Gandhi nie jest jeszcze zbyt popularny. Miliony wciąż go nie znają. Ale jego sława zaczyna się rozprzestrzeniać. Odwieczne Indie, które zawsze korzyły się przed władzą i bogactwem, cenią sobie również zatroskanych o dobro ludu ascetów. Pieniądze i wojsko zdobywały ich posłuch. Ofiara i wyrzeczenie zdobędą ich serca.

\* \* \*

Po Waranasi Gandhi jawi się w oczach Anity jako „ten wariat”. Zupełnie inaczej postrzega go Bibi: dla niej to zbawca, zdolny prostymi gestami sięgnąć uśpionej duszy kraju. Gandhi mówi: „Ci, którzy mnie popierają, niech przygotowują się na spanie pod gołym niebem, wstawanie przed świtem, proste odzienie, skromny pokarm i konieczność własnoręcznego czyszczenia swoich wychodków”. Jako jego gorąca zwolenniczka Bibi obcięła włosy i zamieniła piękne jedwabne sari na inne, uszyte z khadi, czyli prostej, ręcznie tkanej bawełny. Zrezygnowała z partyjek brydża, z wizyt szwajcarskiego fryzjera, który w Simli każdego wieczoru przychodził ją czesać, z wieczorów spędzanych nad kieliszkiem jerezu lub wermutu na głaskaniu ulubionego teriera Tofu i karmieniu go czekoladkami - również szwajcarskimi, rzecz jasna. Została wegetarianką i jeździ po Indiach za swoim bosonogim liderem.

Podobno odpoczywa, tkając khadi, materiał, który stał się symbolem nowych Indii, gotowych zrzucić jarzmo Brytyjczyków i bramińskich elit.

Rodzina Bibi znosi to jako tako, ale dla Anity, bardziej osamotnionej niż kiedykolwiek, utrata jedynej przyjaciółki oznacza poważny cios. W czasie porannych przejazdów myśli o niej nasuwają się same, ponieważ to ona pokazała „Hiszpaneczce” wszystkie wioski, drogi i skróty. To ona nauczyła ją rozpoznawać kastę po sposobie wiązania turbanu. Choć Anita nie rozumie decyzji przyjaciółki, wie, że po osobie tak niespokojnej, wrażliwej i oryginalnej można się było spodziewać wszystkiego poza tym, że zasiądzie z założonymi rękami w pałacu, by czekać na męża. Rodzice Bibi, którzy nie zgodzili się na jej studia w Anglii z nadzieją, że w końcu wydadzą córkę za mąż, mają powód do niepokoju: Amrit Kaur poślubiła wielką sprawę.

A co z Anitą? Jakiej przyszłości może się spodziewać na pustyni, w którą zamieniła się dla niej Kapurthala? Czy po zakończeniu wojny, gdy żołnierze wrócą do domów, zasiądzie z założonymi rękami, by czekać nie wiadomo na co? Skąd powinna czerpać siłę, nie mając przy sobie ani syna, ani Bibi, ani coraz bardziej obcego męża, zgodnie bojkotowana przez jego rodzinę i kolonialne władze? Czy można żyć w pustce? Czy można żyć w jakimś miejscu z tą jedyną nadzieją, że się je kiedyś opuści? Gdyby chociaż urodziła drugie dziecko... Ale sama myśl o porodzie ją przeraża, a i maharadza nie zdradza dawnego zapału do miłosnych zbliżeń. Gdzie szukać wyjścia, zastanawia się, zamknięta w swojej złotej klatce, otoczona zazdrością nielicznych, nienawiścią wielu, lekceważeniem większości.

Pewnego ranka w drugiej połowie 1917 roku budzi ją znana melodia. Ostre akordy zdają się wychodzić spod niewprawnej dłoni, zapewne któryś z książęcych muzyków postanowił trochę poćwiczyć. Ale o tej porze? Dziwne, myśli, przeciągając się, Anita. Zszedłszy na dół, pojmuję, że zastanawiające dźwięki dobiegają nie z zewnątrz, lecz z jednego z salonów: to usadowiony na sofie Karan próbuje zagrać tango na starym akordeonie.

- Mogłam się była domyślić - mówi Anita.

- Jestem jak zaklinacz węży... Gram i proszę, kto wypęłza ze swojej kryjówki!

Wrócił do Kapurthali na życzenie ojca, który potrzebuje rady w sprawach państwowych, zwłaszcza co do ziem w Oudh. Dla Anity to wielka radość. Zawsze miła obecność Karana jest jak balsam dla jej osamotnionej duszy. Wreszcie ktoś, z kim można normalnie porozmawiać! Tym bardziej że to Karan ostatni widział Victorię.

- Okazałam się zbyt słaba - wyznaje Anita. - Pojechałam do Argentyny, słuchać Gardela...

- Prawdziwe odkrycie, prawda?

- Owszem. Ale powinnam była zamiast tego ratować siostrę, nawet wbrew woli twojego ojca.

- Nie obwiniaj się tak. Nawet gdybyś wróciła do Paryża, dużo byś nie pomogła.

- Może i tak... Ale pewności nie ma.

- Macias nie zawiedzie.

- Oby.

Wraz z przyjazdem Karana życie w pałacu i w całej Kapurthali diametralnie się odmienia. Ten chłopak to wulkan. Jego energia zderza się z gnuśnością i opieszałością, z jaką w Indiach załatwia się wszystko od wieków. Jego oburzone krzyki, dobiegające z biur w suterrenach, słychać niekiedy aż na piętrze. Powrót do Indii po tylu latach kosztuje sporo nerwów - Karan ma okazję przekonać się o tym podobnie jak Bibi i jak wielu innych. Tu każda rzecz odbywa się w tradycyjnym, powolnym rytmie i na nic się nie zda wrywanie się przed szereg. Ba, niecierpliwość nawet szkodzi, bo człowiek opada z sił, zanim ostatecznie ruszy z miejsca.

Indie w 1917 roku są jeszcze biedniejsze niż te, które Karan zapamiętał sprzed wyjazdu. Braki w zaopatrzeniu i wojenna inflacja wywołują niepokoje społeczne.

- Odnoszę wrażenie, że nasz lud stracił tak wielkie niegdyś zaufanie do białych ludzi - mówi Karan ojcu. - Wojna udowodniła, że Europejczycy potrafią być tak samo dzicy i nieracjonalni jak reszta. A jeśli naród przestaje wierzyć w Radź, przestaje też wierzyć w istniejący porządek. Indiom w takiej formie, w jakiej istnieją, zagraża niebezpieczeństwo.

- Przesadzasz. Jeśli nawet Anglicy odejdą, w co wątpię, księżęta przejmą po prostu pełnię władzy.

- Nie wydaje mi się, wasza wysokość.

- Po wojnie wszystko wróci do normy, zobaczysz - konkluduje maharadża.

W głębi duszy jednak również uważa, że szykują się zmiany, tyle że nie wśród ludu, a wśród klasy panującej, wśród takich jak on. Trwają przygotowania do szczytu maharadzów, który ma się odbyć w Patijali pod koniec 1917 roku. Chodzi o to, by wypracować wspólną odpowiedź na propozycję, jaką sekretarz stanu do spraw Indii złożył w Izbie Gmin: Londyn gotów jest najszybciej jak to tylko możliwe podjąć kroki zmierzające do zapewnienia indyjskim księstwom większej niezależności. Księżęta dostrzegli

możliwość uzyskania rekompensaty za swój wkład w wojnę. Uważają się za „naturalnych przywódców”, zdolnych z woli bogów „czytać w myślach ludu”. Dlatego żądają, „by traktować ich poważniej niż do tej pory” i zapewnić im „konkretny wpływ na zarządzanie krajem”. Londyn wyraża zgodę, ale jak się zorganizować, jak pogodzić rozmaite interesy i przyjąć wspólne stanowisko, skoro książąt jest ponad pięciuset? Skoro jedni są bogaci, drudzy biedni, jedni postępowi, inni feudalni, a wszyscy przekonani o boskim pochodzeniu swojej władzy? Niepodobieństwo. Karan, który bierze udział w konferencji, szybko zdaje sobie z tego sprawę. Zbyt wiele obserwuje konfliktów, napięć i rywalizacji. Najbardziej liberalni maharadzowie Barody, Mysore i Gwalijaru optują za wspólnym rządem z udziałem wicekróla oraz wspólnym parlamentem. Większość jednak nie chce o tym słyszeć, z różnych względów. Karan, znając mentalność książąt, wie, że główną przyczyną tak zdecydowanego sprzeciwu jest niechęć do zasiadania w parlamencie z przedstawicielami niższych kast, innym słowem - z plebejuszami. Tym papierowym tygrysem nie pozostało już nic poza wybujałą dumą, a to nie wystarczy, by rządzić Indiami.

## Rozdział czterdziesty

Listopad 1918. Koniec wojny. Kapurthala świętuje na całego, fajerwerkami i wielkim przyjęciem w L'Elysee, z udziałem brytyjskich urzędników i wszystkich synów maharadży, którzy wrócili do Indii, „wykonawszy olbrzymią pracę na rzecz zwycięstwa”, jak się wyraził ich ojciec.

Dla Anity koniec wojny nie oznacza jednak końca koszmaru, wręcz przeciwnie. O Victorii wiadomo tyle, że wróciła do swego paryskiego mieszkania. I nic więcej. George Winans wciąż nie daje znaku życia, ale nie to niepokoi Anitę, jako że Macias z pewnością zadbał o finansową pomoc dla swej podopiecznej. Niepokojące jest to, że w Europie wybuchła kolejna wojna, siejąca jeszcze większe spustoszenie niż poprzednia. Wojna podstępna, której pierwszymi ofiarami padli hiszpańscy żołnierze walczący w Afryce. Bezlitosnych, a na domiar złego niewidocznych dla oka wrogów są miliardy. Wirus grypy hiszpanki, nazwanej tak od kraju, w którym odnotowano pierwsze przypadki zachorowań, zbiera obfite żniwo. Ten najsprawniejszy z zabójców pozbawił już życia czterdzieści milionów ludzi, a więc trzy razy więcej niż wojna światowa.

Anita liczy tygodnie dzielące ją od wyjazdu do Europy. Wybiera się tam z mężem, zaproszonym przez samego Clemenceau na uroczystość podpisania rozejmu w wersalskim pałacu. Ale czas dłuży się niemiłosiernie. W Kapurthali nie ma już nic do roboty, poza pocieszaniem rodzin zabitych żołnierzy. Anita czuje, że jej miejsce jest teraz w Paryżu, przy boku siostry. Od chwili, gdy Victoria wróciła z dziećmi do Paryża, nic o niej nie wiadomo. O Maciasie też nie. Jakby się pod ziemię zapadli.

Tymczasem w pałacu wrze. Synowie maharadży od dawna nie mieli okazji tyle ze sobą obcować. Tarcia są nieuniknione, ponieważ każdy ewoluował w inną stronę. Karan, może dlatego, że nie jest następcą tronu, a może ze względu na swoją otwartość, lepsze niż u braci wykształcenie i bardziej nowoczesną wizję świata, uważa, że dni indyjskich książąt - a także brytyjskiego imperium - są już policzone. Wciąż wybuchają na ten temat zażarte dyskusje. Paramjit, syn pierworodny, uważa, że Karan zaraził się wywrotowymi ideami Gandhiego i zaczyna postrzegać brata jako potencjalne zagrożenie. Maharadża, który obserwuje u Paramjita niebezpieczną żądzę władzy, odsuwa go w końcu od spraw państwowych. Woli, aby jego następcą, zamiast go denerwować, zajął się na razie rozrywkami, wydawaniem pieniędzy i płodzeniem dziedzica, który stałby się gwarantem trwałości dynastii. Pozostałym synom wyznacza zadania stosowne do ich wykształcenia i zdolności. Amarjitowi powierza reorganizację

armii, Mahijitowi - nadzór nad budową sieci kanalizacyjnej i wodociągów, a Karanowi, inżynierowi rolnictwa - zarząd nad Oudh oraz rozwiązanie problemu, jak poprawić wydajność pól w samej Kapurthali.

Jako zapalony jeździec Karan każdego ranka wybiera się gdzieś konno. Odwiedza wioski, zagaduje starców, wypytuje chłopów, bada puls ziemi i wraca do pałacu z nowymi propozycjami. Przekonuje ojca do stworzenia pierwszej kooperatywy rolniczej oraz systemu niskoprocentowanych kredytów. Nie ulega jednak wątpliwości, że Kapurthala, mimo wojny, prosperuje. Dochód na głowę, przez ostatnie dwadzieścia lat wzrastający powoli, ale konsekwentnie, zdążył się podwoić. Miasto jest czyste, zadbane i nosi na sobie wyraźne piętno eklektycznych upodobań swego władcy. Maharadża planuje teraz wzniesienie meczetu wzorowanego na muzułmańskiej świątyni w Fezie, a także kina z doryckimi kolumnami w stylu greckim. Jeśli dodać do tego francuski pałac oraz park Salimar - nazywany tak w nawiązaniu do ogrodów w Lahore - Kapurthala okazuje się czymś w rodzaju parku tematycznego *avant l'heure*, dowodnie świadczącego o kosmopolityzmie swego pana.

Jednakże w Pendżabie nie brak także wszelkich przejawów ubóstwa. Pewnego ranka, podczas jednej ze swoich konnych przejażdżek, które stanowią teraz jej ulubioną rozrywkę, przejechawszy w bród rzekę, Anita zostaje otoczona przez bandytów w łachmanach, najwyraźniej byłych żołnierzy.

- Niech pani zsiada! - krzyczą, chwytając konia za uzdę. Anita zachowuje zimną krew i stawia im czoło.

- Puszcząć! - krzyczy po pendżabsku, wymachując biczem na prawo i lewo.

Za nic w świecie nie pozwoli sobie ukraść Negusa! Fakt, że biała memsahib zna ich język, nieco onieśmiela napastników. A kiedy Anita grozi im w dodatku gniewem maharadży, niedoszli rabusie w podartych mundurach wojska Kapurthali rezygnują ze zdobyczy. Oskubać na drodze byle Angielkę to jedno, ale napadać na żonę władcy - to już zupełnie coś innego.

Anita nie opowiada nikomu o tej przygodzie, wie bowiem, że mąż zaraz przydzieliliby jej eskortę, a to oznaczałoby ograniczenie swobody. Zresztą, i tak ma się na baczności, gdyż „Gazette” wciąż donosi o nowych rozbojach i publikuje statystyki, z których wynika, że przestępczość w Pendżabie wzrosła od zakończenia wojny dziesięć razy. Ponieważ jednak wcześniej prawie nie istniała, ów wzrost ma mniej dramatyczny wymiar, niż mogłoby się zdawać. Ale małe miejskie więzienie rzeczywiście pęka w szwach, a sędzia nie nadąża z wydawaniem wyroków na żołnierzy, którym po powrocie z frontu trudno zarobić choćby na jedzenie.

Mimo nieprzyjemnego incydentu Anita nie rezygnuje z przejażdżek. Upiera się przy nich nie ze względu na potrzebę samotności, jak kiedyś, ani też dlatego, że chce zebrać myśli czy po prostu zażyć ruchu. Sama nie zdaje sobie sprawy, co każdego ranka wyciąga ją z pałacu, a nawet gdyby to wiedziała, i tak nie odważyłaby się do tego przyznać. Prawda jest jednak taka, że chodzi o możliwość spotkania Karana. Często się na siebie natykają, przez przypadek, rzecz jasna, a wtedy dzień nabiera zupełnie nowych barw. W towarzystwie najmłodszego, zawsze tak energicznego syna maharadży Anita zapomina o sobie i o swoim głównym problemie - osamotnieniu. Karan pokazuje jej kraj zamieszkały przez chłopów, którzy gorąco pragną wyrwać się z ubóstwa.

- Wszyscy mówią, że my, Hindusi, mamy fatalizm we krwi. Ale to nieprawda - mówi. - Jeśli tylko nadarzy się okazja na poprawę losu, chwytamy ją bez wahania.

Karan, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych członków rodziny, lubi przestawać z ludem. W swej ekstrawagancji - piętnowanej przez braci i dwór - posuwa się do tego, że nocuje czasem u tego lub innego chłopca, w wiosce, w której akurat zastanie go noc. Mówi, że biedacy traktują go jak króla i że to najlepszy sposób, by wyprawić się naprawdę daleko bez pokonywania wielu kilometrów. Uwielbia rozmowy o siewach i zbiorach, nawozach i plagach, jednym słowem o ziemi, na której zna się jak nikt.

Może dlatego jest bardziej bezpośredni, otwarty i szczery niż jego bracia, których prawdziwym powołaniem jest najwyraźniej pławienie się w luksusie. Sama myśl o brataniu się z ludźmi z niższych warstw napawa ich wstrętem. Karan to rodzynek. Jego prostota i nieposkromiona chęć krzewienia nowoczesnych idei wyniesionych z Harrow i Cambridge rozsadzają ciasne ramy Kapurthali. Jego zdecydowanie, zawsze dobry humor, długie rzęsy i jasny śmiech sprawiają, że Anita wzdycha częściej niż kiedyś. Przy nim odżywa, śmieje się i wibruje, jak przystało na niespełna trzydziestoletnią kobietę. Od kiedy przebywa w Indiach, nie spotkała wielu przyjaciół. Dopiero przy Karanie opuszcza ją znane od zbyt dawna uczucie zniechęcenia. Jak miło nawiązać z kimś więź, rozumieć się bez słów, cieszyć się wzajemnie swoim towarzystwem... W ciągu miesięcy poprzedzających wyjazd do Europy, widują się codziennie. Po raz pierwszy od wielu lat, na prośbę Karana, Anita odwiedza pałac żon maharadży, by złożyć uszanowanie rani Kanari. Tylko Karan zwraca uwagę na potrzeby innych, tylko on odgaduje, w jakiej straszliwej samotności przyszło żyć zarówno jego matce, jak i „macosze”. Po kolejnych wizytach Anita opuszcza pałac wstrząśnięta, z popłochem w oczach. Rani Kanari ostatecznie uciekła z zenany w alkohol.

W maju 1919 roku maharadża wraz z Anitą i odpowiednim orszakiem przybywa do Paryża. Miasto, które wciąż nie odzyskało wigoru po wojnie, resztkami sił broni się przed wirusem. Z powozu, który wiezie ją do siostry, Anita widzi znikających w bramach kamienic sanitariuszy z białymi maskami na twarzach. Przy wejściu do domu, gdzie mieszka Victoria, wisi kartka ostrzegająca, że w budynku szaleje grypa. Anita pędzi na górę, obojętnie mijając ostrzeżenie. Na drzwiach mieszkania siostry znajduje podobne. W środku nikogo nie ma. Cisza poraża. Znikły nawet ptaki gnieźdzące się niegdyś na podeście schodów. Może uciekły.

W ciągu tej ciągnącej się przez całą wieczność minuty, którą zajmuje zejście na dół, Anitę ogarnia nagła pewność, że nigdy więcej nie ujrzy Victorii, nigdy więcej nie usłyszy jej śmiechu, nie ucieszy się z jej listu. Ze ściśniętym sercem, bojąc się tego, czego się dowie, a zarazem pragnąc już wiedzieć, Anita puka do drzwi Mme Dieu.

- Jestem siostrą...

- Poznaje panią - przerywa konsjerżka. - Proszę wejść... Mieszkanie jest malutkie, skromne, ciemne. Mme Dieu, jeszcze bardziej przygrabiona niż kiedyś, prosi Anitę, by spoczęła na sofie obok śpiącego kota. A potem przekazuje jej wieści, straszniejsze niż można było sobie wyobrazić.

- Najpierw umarło dwoje najmłodszych dzieci, na grypę - mówi powoli. - Victoria przeżyła je o dwa tygodnie. Podobno też złapała hiszpankę, ale ja myślę, że to rozpacz ją zabiła.

Anita siedzi oniemiała, ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt przed sobą.

- Od kiedy mąż ją zostawił, bardzo się zaniedbała. W ogóle o siebie się nie troszczyła. Choć wojnę spędziła na wsi, po powrocie wyglądała jak szkielet. No i do tego ta grypa...

Zapada długie milczenie, przerywane tylko tykaniem zegara.

- To choróbsko gorsze nawet niż boches - odzywa się znowu konsjerżka. - Ja sama straciłam córkę i szwagierkę. A władze starają się wszystko wyciszyć, żeby nie wzbudzać paniki. Oburzające.

- Gdzie ich pochowano?

- Proszę pani, teraz grzebie się zmarłych szybko, żeby nie zarażać. Victorię zakopali, nim minęły dwadzieścia cztery godziny. Leży na cmentarzu Pere Lachaise, tak samo jak dzieci.

- Nikt ich nie odprowadził? - po twarzy Anity zaczynają spływać wielkie łzy.

- Nikomu nie pozwalają.

- Nawet ksiądz? Nikt zupełnie?



- Nie, no, ksiądz to był. Ale teraz tyłu umiera, że księża tylko pokropią wodą święconą i tyle. Zresztą, oni też się nie chcą zarazić, to zrozumiałe.

- Oczywiście - Anita z trudem powstrzymuje łkanie.

- Niech pani płacze do woli, nic tak nie pomaga jak płacz - mówi Mme Dieu i wstaje po chusteczkę do nosa, a potem, patrząc na cichą rozpacz Anity, dodaje:

- Ale niech pani posłucha mojej rady i jak najszybciej ucieka z Paryża. Nam tu już nic nie pomoże.

Anicie pozostaje tylko marna pociecha, że „argentyński dżentelmen”, jak Mme Dieu określa Benigna Maciasa, nie opuścił Victorii niemal do końca. Przynosił ubrania i jedzenie, opowiadał o przygotowaniach do jej wyjazdu do Hiszpanii. Przestał przychodzić dopiero na kilka dni przed śmiercią biedaczki.

Postawiona twarzą w twarz z koszmarem śmierci Anita raz po raz zadaje sobie pytanie: dlaczego nie zdobyłam się na odwagę, by wbrew woli maharadży przerwać podróż po Ameryce i ratować siostrę? Dojmujące poczucie winy przeradza się natychmiast w gniew na samą siebie, za brak charakteru, i na męża, że nie potrafił docenić powagi sytuacji. Anita wyrzuca mu w myśli egoizm, despotyzm i brak empatii. Zamiast wsiąść do czekającego przed domem powozu, odprawia stangreta i rusza przed siebie pustymi ulicami, czekając, aż złość wywietrzeje, a zostanie tylko ból. Sam na sam ze swoim losem po raz pierwszy w pełni rozumie dramatyczne konsekwencje kroku, jaki wykonała, mając lat siedemnaście. Konsekwencje tamtej decyzji będą ją ścigać do końca życia. W tym stanie woli nie wracać do swojego luksusowego apartamentu. Musi się uspokoić, stać się na powrót dawną Anitą. Tyle że teraz, gdy zabrakło Victorii, to niemożliwe. Anita przypomina sobie pewną rozmowę z doktorem Warburtonem, który kiedyś, w Kapurthali, opowiedział jej o bólach fantomowych. Tak, to właśnie to: Victoria jest jak utracona ręka, która boli, choć już jej nie ma.

Widok sanitariuszy przywołuje Anitę do rzeczywistości. Od cierpienia się nie ucieknie, ale trzeba uciekać przynajmniej z tego miasta.

Mme Dieu ma słuszość. Należy myśleć o żywych, wbrew pokusie, by biernie pograżać się w rozpacz. Nie udało się pomóc Victorii, więc może chociaż uda się pomóc rodzicom w żałobie.

Anita jedzie więc do Hiszpanii, gdy tymczasem maharadża, który wchodzi w skład brytyjskiej delegacji, asystuje przy podpisaniu traktatu pokojowego z Niemcami. Możliwość przebywania w tak zawsze podziwianym Wersalu, tym razem w charakterze uczestnika historycznych wydarzeń, a nie zwiedzającego, napełnia Jagatjita satysfakcją i dumą. Zaszczyt ten spotkał też Gangę Singha z

Bikaneru i kilku innych indyjskich książąt, z których każdy góruje nad władcą Kapurthali majątkiem i znaczeniem. Ale w tym właśnie Jagatjit osiągnął mistrzostwo: potrafi sprawić, że możni tego świata traktują go jak równego sobie, choć w rzeczywistości ustępuje im na każdym polu. Dlatego o małej Kapurthali mówi się tyle, co o innych, znacznie potężniejszych księstwach.

Oprawa jest imponująca. Clemenceau, bohater Francji, siedzi między prezydentem Stanów Zjednoczonych Wilsonem a premierem Wielkiej Brytanii Lloydem George'em, przy stole w kształcie podkowy, który ustawiono w Galerii Lustrzanej - ogromnej sali, długiej na siedemdziesiąt trzy metry i szerokiej na dziesięć, gdzie Ludwik XIV, uwielbiany przez Jagatjita król-słońce, zwykł przyjmować ambasadorów. Goście zajmują krzesła.

- Wprowadzić delegację niemiecką - mówi uroczyście Clemenceau.

Zapada cisza. Eskortowani przez odźwiernych do sali wchodzi dwaj zapieci pod szyję niemieccy oficerowie w grubych, oprawionych w metal okularach. Nikt nie wstaje, by ich powitać. Podpisują deklarację pokojową przy niskim stoliku, nad którym wisi sztandar z napisem: „Król rządzi sam” - mowa naturalnie o Ludwiku XIV. Podpisy składają też przedstawiciele ententy. Ceremonia trwa krótko, na koniec wszystko zagłuszają armatnie wystrzały i huk nisko przelatujących samolotów. Wielka trójka - Clemenceau, Wilson i Lloyd George - wychodzi na taras, by pozdrowić wesoły, wiwatujący tłum. Po raz pierwszy od początku wojny zaczynają działać pałacowe fontanny.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Jagatjit Singh jest szczęśliwy: najpierw w Wersalu, a teraz w Londynie obraca się wśród wybitnych mężów stanu. „Na dziesiątym piętrze hotelu Savoy, odkąd rezyduje tam maharadża, króluje wschodni przepych połączony z iście amerykańskim komfortem”, pisze angielski dziennikarz. „Kiedy pytam władcę Kapurthali o ruch narodowowyzwoleńczy w Indiach, słyszę w odpowiedzi, że Jagatjit Singh nie lubi rozmawiać o polityce”. Woli wymieniać order, którymi odznaczono ostatnio jego żołnierzy, opowiada o awansie swego syna Amarjita, podniesionego niedawno do rangi kapitana, i, przede wszystkim, rozwodzi się nad niezwykłym zaszczytem, jakim było przyznanie Kapurthali prawa do dwóch dodatkowych armatnich wystrzałów. Przeskok od trzynastu do piętnastu salw to nie byle co! Nic, nawet odzyskanie pieniędzy włożonych w wojnę, nie napełniłoby maharadży większą satysfakcją. Nic dobitniej nie podkreśliłoby jego wysokiej pozycji.

W tym samym czasie Anita przebywa w Maladze, razem ze zrozpaczonymi rodzicami. Zmieniła się. Dawniej śmierć była dla niej czymś, co przytrafia się innym, co dotyczy cudzych sióstr, cudzych rodziców i dzieci. Nagłe odkrycie, że to nieprawda, w połączeniu z bólem po stracie Victorii oraz brakiem kogoś, kto choć częściowo zdjąłby z niej, Anity, ciężar wyrzutów sumienia, wprawia biedaczkę w głęboką melancholię. Czyżby życie polegało na mierzeniu się ze śmiercią najbliższych, a na koniec również i z własną? Czyżby było pasmem cierpień? Okrucieństwa wojny po raz pierwszy uświadomiły Anicie kruchość i krótkotrwałość ludzkiej egzystencji. Nie udało jej się nawet podziękować Maciasowi za udzieloną Victorii pomoc, albowiem „argentyński dżentelmen” sam padł ofiarą zapalenia nóg, którego nabawił się po tym, jak potrafiła go wojskowa ciężarówka. Wypadek ten, głupi jak wszystkie wypadki, zdarzył się niedaleko domu, gdzie mieszkała Victoria, prawdopodobnie zaraz po ostatniej u niej wizycie. Wieść o tym dotarła do Malagi przez Londyn i maharadżę. Zrozpaczona Anita szuka pocieszenia w religii. Przed zaimprovizowanym w pokoju ołtarzykiem, na którym stoi obrazek z Matką Boską Zwycięską, zdjęcie Victorii z dziećmi, podobizny sikhijskich guru i pęk kadzidełek, zapamiętuje się w modlitwie do wszystkich możliwych bogów, próbując odnaleźć sens życia. Zastygła z różańcem w dłoniach, z zamkniętymi oczyma, próbuje przypomnieć sobie słowa pocieszenia, jakie zdarzyło jej się słyszeć z ust rozmaitych księży, panditów i mułłów.

Zatrzymuje się w Hiszpanii na tyle długo, by zadbać o los dwóch pozostałych przy życiu siostrzeńców. Chciałaby zabrać ich ze sobą do Indii, ale

wie, że nie powinna. Sytuacja w Kapurthali jest już wystarczająco trudna, nie ma potrzeby jeszcze bardziej jej komplikować. Chłopcy zostają więc pod opieką dziadków, choć to Anita będzie pokrywać koszty ich wychowania. Teraz jednak musi wyjechać z Malagi, nie wytrzyma dłużej dławiącego ją poczucia bezsilności i winy. Nie potrafi odegnać od siebie myśli, że mogła zapobiec tragedii, nie umie spojrzeć rodzicom ani siostrzeńcom w twarz. Poza tym maharadża wzywa ją do Londynu.

W Anglii Anita przede wszystkim jedzie do Harrow, odwiedzić syna. Ajiit nad książki przedkłada saksofon i jazz. Z trudem przechodzi z klasy do klasy i ojciec zagroził nawet, że przeniesie go do innej szkoły, przed czym chłopiec broni się z całych sił, świadom, że gdzie indziej będzie jeszcze ciężej. Tęskni za wygodnym, beztroskim życiem w Indiach, angielskie zimy dłużą mu się w nieskończoność. Matka pociesza go i uspokaja, ale przy odjeździe sama ledwie nad sobą panuje. Co to za życie, myśli, jeśli nikt z nas nie jest szczęśliwy, bo wszyscy czują się osamotnieni? Jak wielokrotnie wcześniej, teraz również żałuje, że nie ma zwykłej rodziny, w jakiej się wychowała. Lubi sobie wyobrażać, jak wyglądałaby jej egzystencja u boku takiego na przykład Anselma Nieta. Może byłaby mniej ciekawa, ale w ostatecznym rozrachunku pewnie szczęśliwsza. Każdy ma swoją karmę, jak mówi Dalima. Co mi jeszcze pisane, zastanawia się Anita, przeczuwając, że nad jej głową zbierają się burzowe chmury.

Chce wracać do Kapurthali. Nigdy wcześniej tak za nią nie tęskniła. I nigdy nie przypuszczała, że będzie. Zawsze odnosiła wrażenie, że żyje życiem otrzymanym od męża, w wielkim pałacu szczęśliwości zbudowanym jego i tylko jego ręką. Nigdy nie znalazła swojego miejsca na ziemi. A jednak chce wracać do Kapurthali.

Podczas pobytu w Anglii przestraszyła się gwałtowności swoich uczuć. Ma obsesję na punkcie Karana - taka jest prawda. Jego towarzystwo stało się dla niej koniecznością, jak narkotyk. Miłość, którą z czasem obdarzyła męża, nigdy nie była pełna, ponieważ maharadża zachowywał się najczęściej jak dobry ojciec, co stopniowo ich od siebie oddaliło. Karan natomiast, ze swoją bezpośredniością, wydaje się bliski nawet z daleka. Może po prostu nie umiem być szczęśliwa, strofuje się w duchu Anita, skoro odrzucam to, co mam, na rzecz nierealnych mrzonek. Może to tylko kaprys...

Ale to nie kaprys, to miłość, przyznaje w końcu sama przed sobą, przerażona doniosłością tego odkrycia, nie chcąc nawet myśleć o jego konsekwencjach. Ta przemożna siła, o której dotąd tylko słyszała, pcha ją teraz w niewiadomym kierunku, odbiera jej rozum. Co za idiotyzm, myśli w chwilach jasności

umysłu, tak nie można, czy już zupełnie straciłam głowę? Ale potem oddaje się marzeniom i wspomina księżną Gobind Kaur, którą od nudnej egzystencji u boku męża wyzwolił dzielny i zakochany kapitan Waryam Singh. Jak szczęśliwi zdawali się w swojej ubogiej chatce, wolni od światowych ograniczeń, tylko we dwójkę! Marzy wtedy, że ona i Karan mogliby postąpić podobnie, że zawsze istnieje jakaś szansa dla tych, którzy się kochają. Czyż powieści i piosenki nie obfitują w przykłady miłości z pozoru niemożliwej, a tryumfującej?

Owszem, tyle że Karan jest synem maharadży. To powinno pomóc jej zwalczyć pokusę. Wdając się z nim w romans, nie tylko zdradziłaby męża, ale i obraziła Boga, swego stwórcę. Nie wspominając już o krzywdzie, jaką wyrządziłaby Ajitowi. Musi się opamiętać. To grzeszne, wręcz kazirodcze, skazane na klęskę uczucie nie przyniesie nikomu nic poza nieszczęściem i wstydem.

Trudno jej wszakże opanować bicie serca, gdy pociąg zbliża się do Kapurthali. Anita nie chce myśleć o Karanie, a jednak wciąż widzi go w rysach twarzy siedzącego naprzeciw maharadży. Nie ma ucieczki. Kiedy ubrany na galowo Karan wraz grupą oficerów i ministrów wita ojca na peronie przy wtórze wygrywanego przez orkiestrę marsza, Anita stara się ukryć wzruszenie, ale nie potrafi oderwać od „pasierba” oczu. Uśmiecha się w odpowiedzi na jego pozdrowienie, przez krótką chwilę czując z bliska jego zapach.

W Kapurthali jest jeszcze ktoś, kto skrzętnie ukrywa swoje prawdziwe uczucia. Ukochany Brindy, Guy de Pracomtal, poległ w jednej z bitew na froncie zachodnim. Do pałacu przyszedł list z wytartą indyjską monetą w środku - taką pamiątkę zostawiła Brinda swojemu Francuzowi przed wyjazdem do Indii. „Ten pieniążek znaleziono w jego kieszeni na polu walki, gdy zginął w połowie 1917 roku”, donosi jego brat. Ból jest okropny, ale żona Paramjita wie już, że postąpiła słusznie: gdyby poszła za głosem serca, byłaby teraz biedną wdową w obcym, zniszczonym przez wojnę kraju.

\* \* \*

Koń. Dziki galop przez pola. Upajające poczucie swobody. Nadzieja, że Karan wyłoni się zaraz zza jakiegoś zakrętu. I radość, gdy rzeczywiście się pojawia. Krew szybciej krążąca w żyłach. Spełnione marzenie, nagła pewność, że wszystko jest tak, jak być powinno. Na swoim miejscu. Nie trzeba słów. Wystarczy, że Karan jest obok. Na przejażdżce, w pałacu, w ogrodzie. W ten sposób dzień wypełnia się drobnymi szczęśliwymi momentami, perełkami cenniejszymi dla Anity niż wszystkie klejnoty otrzymane od maharadży i od

nizama razem wzięte. Ale ta usłana perłami ścieżka wiedzie wprost do głębokiego, ciemnego tunelu, z którego może nie być wyjścia.

\* \* \*

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, tylko spójrz - mówi pewnego dnia maharadża, pokazując żonie urzędowe pismo z ministerstwa spraw zagranicznych.

Anita otwiera kopertę i widzi wypisany grubą czcionką tytuł: Oficjalny akt uznania hiszpańskiej małżonki Jego Wysokości Maharadży Kapurthali. Dalej jest mowa o tym, że „Jego Ekscelencja Wicekról postanowił złagodzić restrykcje nałożone na tę particular lady...”.

- Widziałeś, jak mnie nazywają? Particular lady!

Anita śmieje się i wraca do lektury: „...w związku z czym będzie ona przyjmowana bez względu na okazję przez wszystkich wysokich urzędników, jacy uznają jej obecność za pożądaną...”. Niewiarygodne! Skąd taka zmiana?

- Czytaj - popędza maharadża.

- „...z wyjątkiem wicekróla, gubernatorów i wicegubernatorów”. No pewnie!  
- rzuca wyraźnie zawiedziona Anita. - Uznają mnie, ale tylko trochę, żebym ich przypadkiem czymś nie zaraziła...

- Tak czy owak to postęp.

- Kilka lat temu skakałabym pod sufit z radości. Ale dzisiaj, szczerze mówiąc, wszystko mi jedno. Kiedy przyjeżdża wicekról?

- Czternastego.

- Nic się nie martw, mon cheri. Zadbam, by nie znalazł powodów do narzekania.

- Ci, którzy mają szczęście znać waszą wysokość, cenią go nie tylko jako postępowego, troskliwego władcę, ale również jako doskonałego sportowca i gościnnego gospodarza, a wreszcie jako wykształconego, serdecznego człowieka - tymi słowami wicekról kończy swą przemowę po uroczystej kolacji w pałacu w Kapurthali.

Kolację tę Anita przygotowała w najdrobniejszych szczegółach, a mimo to w niej nie uczestniczy. Mąż poprosił ją o tę przysługę, by nie psuć idealnych stosunków, jakie łączą go teraz z Anglikami. Zresztą, wicekról przybył sam, bez małżonki, prawdopodobnie dla uniknięcia kłopotliwych sytuacji. Dwanaście lat po ślubie z maharadżą Anita je kolację w swoim pokoju, jak ktoś obcy we własnym domu.

Wkrótce potem wizyta George'a Clemenceau trochę jej rekompensuje doznaną przykrość. „Mieliśmy wyjątkową okazję, by gościć tego niezwykłego człowieka i jego żonę i przez kilka uroczych tygodni zażywać wraz z nimi

przyjemności polowania", napisała Anita. Podczas powitalnego bankietu Clemenceau rozpływa się w zachwytach nad Kapurthala, nazywając ją „kolebką cywilizacji na Wschodzie, podobną w tym zachodnim Atenom”. Cały dwór łącznie z maharadzą pęcznieje z dumy.

\* \* \*

Wizyty ważnych osobistości, życie towarzyskie... Anita stopniowo traci zainteresowanie tym światem, w którym - z czego zdaje sobie sprawę - już nigdy się nie zdomowi. Wypełnia obowiązki wiernej europejskiej żony, organizuje, co jest do zorganizowania, towarzyszy mężowi w podróżach... Ale nie wyczuwa w tym dawnej magii, nie wkłada w to serca. Z maharadzą łączą ją wciąż serdeczne, ale coraz mniej zażyłe stosunki. Kamasutra od dawna nie inspiruje ich wspólnych nocy. Bo takich nocy zresztą już nie ma. Anita podejrzewa, że maharadża sypia z innymi kobietami, że wrócił do swoich konkubin. A ona sama... Ona marzy o wolności i całymi popołudniami wygląda przez okna wychodzące na północ, na Himalaje. Samotność to w jej sytuacji jedyne rozwiązanie, ponieważ nie może nikomu zwierzyć się ze swojej zakazanej miłości. Niewykluczone, że Dalima się czegoś domyśla, ale ona akurat z pewnością nie zdradzi. No i jest jeszcze Ajit. Anita postanowiła, że nie wyjedzie z Kapurthali, dopóki jej syn nie osiągnie pełnoletniości. Nie zamierza dawać innym żonom maharadży wolnej ręki. Na indyjskich dworach intrygi i spiski zawsze były na porządku dziennym. Nie wolno zostawiać Ajita na łaskę tych harpii z zenany. Tym bardziej że Harbans Kaur i tak powoli zwycięża, co w połączeniu z nieustannymi kłótniami między synami maharadży sprawia, że w pałacu coraz trudniej wytrzymać. Dyskusje między Paramjitem a Karanem są tak gwałtowne, że dochodzi nawet do rękoczynów. Lecą wtedy w powietrze japońskie wazy, szwajcarskie zegary, a czasem również to lub inne krzesło a la Ludwik XVI. Maharadża się złości, nie ma pojęcia, jak przywrócić pokój w rodzinie. Jego synowie, zwłaszcza ci dwaj, różnią się we wszystkim. Podobnie jak ich matki.

W rezultacie Karan co rusz napomyka o wyjeździe. Słyszając to, Anita blednie, oczy zachodzą jej mgłą, język kołowacieje. Też chciałaby stąd uciec. Ale nie sama.

## Rozdział czterdziesty drugi

Początek lat 20, to najintensywniejszy etap w życiu Anity. Choć nie najszcześniejszy, jeśli przez szczęście rozumieć stan trwałego zadowolenia i spokoju. W tym okresie o niczym podobnym nie ma mowy. Anitę spala namiętność, a wraz z nią prześladowuje ją masa innych uczuć, takich jak strach, wstyd, niepewność, rozpacz. Zdarzają się też jednak krótkie chwile ekstazy, które w jakimś sensie wszystko rekompensują. Anita, choć nie wie, jak wydostać się z labiryntu, w który się zapędziła, nie potrafi powściągnąć swoich uczuć. Zdaje sobie sprawę, że pływa po niebezpiecznych wodach, ale nawet nie zamierza szukać brzegu. Nie chce, nie może, zresztą - wszystko jedno.

Ma obawy, że sama się zdradza, ponieważ spotykając Karana, czy to na schodach, czy w jadalni, wpada w popłoch, odnosi wrażenie, że się rumieni, traci mowę i przestaje panować nad rękami, które drżą niepowstrzymanie.

- Dobrze się czujesz? - pyta ją kiedyś maharadża.

- Jestem tylko trochę zmęczona, nic więcej... Zesłam, by wam powiedzieć, że obiad zjem u siebie.

Woli ukrywać się w swoim pokoju, niż drzeć, że ktoś wyczyta prawdę z jej twarzy. Byle słowo, byle gest jawi jej się jako zastawiona na nią pułapka. Dochodzą ją słuchy, że maharadża chce ożenić Karana z sikhijską księżniczką. Prawdziwa katastrofa. Karan jednak gwałtownie się sprzeciwia, oświadczając, że ożeni się po europejsku, z kim zechce, albo wcale. Anita zaczyna się bać, że chłopak przeciągnie strunę i ostateczne zerwanie z ojcem stanie się nieuniknione.

Godzinami klęczy przy swoim ołtarzyku poświęconym różnym bogom, próbując dojść ze sobą do ładu. Jak to możliwe, że uzależniła się od mężczyzny, który nawet nie wie, co ona do niego czuje? Całe jej życie kręci się teraz wokół Karana. Anita drobiazgowo planuje wszystkie swoje czynności, byle tylko go spotkać, minąć na korytarzu albo chociaż z daleka zobaczyć. Jaki sens ma takie życie, skupione na jednym człowieku w stopniu wręcz niewyobrażalnym? Nawet widok maharadży nie przynosi jej ulgi, bo w rysach ojca dostrzega rysy syna. Mają tę samą sylwetkę, ten sam sposób mówienia, te same ciemne oczy, w których Anita czyta zapowiedź swojej zguby. Czasem marzy, by dokądś uciec, ale wie, że nigdy się na to nie zdobędzie.

W końcu buntuje się przeciw samej sobie, przysięga wyrzucić z myśli tego intruza, którego nie ma prawa tam tolerować, przysięga pozbyć się go, a potem cierpliwie czekać, aż zagoi się rana w jej sercu. Ale jest chora z miłości. Bezradna. Szamocze się na próżno. Zaczyna Karana unikać, ale jego obraz



nigdy jej nie opuszcza. Pragnie powiedzieć mu, że go kocha, i oburza się na siebie za to pragnienie. Przecież nic dobrego wyniknąć z takiej deklaracji nie może! Tylko wstyd, wstyd ściągnięty na głowy obu - ojca i syna! Bywają chwile, gdy jedynym wyjściem z tej sytuacji jawi się samobójstwo. Czy to naprawdę takie straszne - przestać żyć? Chyba nie dla każdego, myśli Anita, po czym wyrzuca sobie, że była w stanie tak pomyśleć. Jakiż ciężar zrzuciłaby na barki Ajita! Przez całe życie nosiłby na sobie biedaczek piętno grzechu matki. Nic tak nie degraduje człowieka, jak wstyd za postęпки rodziców...

A najgorsze, że nie ma nikogo, komu mogłaby się z tego wszystkiego zwierzyć. Niekiedy odnosi wrażenie, że zaraz pęknie pod naporem niewypowiedzianych słów jak tama pod naporem wody. Boże, sama już nie wiem, kim jestem ani dokąd zmierzam, rozpacza.

Czasem jednak, wbrew sobie, czuje przypływ nadziei, gdy przypomina sobie, jak Karan na nią patrzy, jak pomógł jej zsiąść z konia, jak dotknął jej szyi, podając szal, jakim ciepłym głosem mówi jej dobranoc... W takich chwilach nic się nie liczy, rozterki znikają, ustępując miejsca najczystszej euforii.

Okazja do zacieśnienia więzów nadarza się w trakcie rodzinnej podróży do Europy. Maharadża postanowił uciec tam przed upałem i kupił w Paryżu wille, którą nazwał Pavillon Kapurthala. Dom mieści się pod numerem 11 przy Route du Champ d'Entrainement, niedaleko Lasku Bulońskiego, w jednej z najlepszych dzielnic. W Indiach zostaje tylko Paramjit, który pod nieobecność ojca ponownie ma sprawować funkcję regenta. W ten sposób przygotowuje się do objęcia w swoim czasie pełni władzy. Jego żona, Brinda, spodziewa się trzeciego dziecka. Wszyscy liczą, że po dwóch dziewczynkach urodzi się wreszcie upragniony syn, który zapewni ciągłość dynastii.

Podczas rejsu Anita i Karan bardzo się do siebie zbliżają. On zwierza mu się ze swoich kłopotów małżeńskich, mówi o opuszczeniu, samotności, nudzie i żalu, że nie jest już tak kochana i pożądana jak dawniej. On pociesza ją i daje jej rady. Przesiadują wieczorami na górnym pokładzie, czując dziwną melancholię, a zarazem potrzebę, by opowiadać sobie nawzajem o najtrudniejszych sprawach. Zupełnie jak dzieci szepczące sobie na ucho swoje sekrety. Nie są jednak dziećmi i erotyczne napięcie skłania ich do poruszania coraz bardziej niebezpiecznych tematów. Wyciągnięci na leżakach rozmawiają o swoich miłosnych doświadczeniach. Anita wspomina Anselma Nieta, swojego jedyne go konkurenta, pierwsze spotkania z maharadzą, pierwszą spędzoną z nim noc, dawno temu, po kolacji u Maxima... Karan mówi o konkubinach, które wprowadzały go w tajniki seksu, o swoim późniejszym

braku zainteresowania Hinduskami i o przygodzie, jaką miał w Londynie z pewną Angielką.

- Prawdę mówiąc, podobają mi się wyłącznie Europejki - rzuca.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - śmieje się Anita.

Karan patrzy na nią coraz uporczywiej, jakby coraz więcej do niego docierało. Ona uśmiecha się lekko, nie odwraca spojrzenia.

Wreszcie w Paryżu przy pierwszej nadarzającej się okazji zdarza się to, co zdarzyć się musiało. Maharadża wyszedł jak co wieczór, tym razem na kolację do swojej dobrej znajomej księżnej de Chimay. Anita wołała zostać w domu, wymawiając się migreną. Chce być sama, odpocząć od towarzystwa. Karan od dwóch dni poluje w Fontainbleau.

Zapadł wieczór, służba uporała się już ze swoimi obowiązkami, słysząc tylko pojazdy na ulicy, szczekanie jakiegoś psa i szum wiatru w gałęziach drzew. Anita leży na sofie pod kocem i jak zahipnotyzowana wpatruje się w ogień na kominku. Choć to czerwiec, jest zimno, jak gdyby jesień dobijała się już do drzwi lata. Czerwonawe płomienie oświetlają wielki salon, który Anita osobiście z wielkim staraniem urządziła. Teraz może podziwiać swoje dzieło: złote medaliony połyskują na ścianach jak tarcze, złocone stiuki pięknie zdobią sufit, na pokrywającym posadzkę dywanie z Aubusson, który daje poczucie komfortu i zbytku, pyszną się purpurowe kwiaty. Komoda ozdobiona serwetą z czerwonego damasceńskiego jedwabiu, z którego uszyte są też kotary, ogromny ścienny zegar, rozstawione po konsolach chińskie wazony, dwa stoły o nogach dekorowanych florenckimi mozaikami i kwiaty na parapetach okiennych - wszystko to najściślej odpowiada gustom epoki i emanuje bogactwem. Z sufitu zwieszają się trzy kryształowe żyrandole, rozsyłające różowe od ognia refleksy po kątach pokoju. Wpatrzona w ten urzekający obrazek, którego jest twórczynią, Anita zapada w sen.

Nagle słyszy hałas. W pierwszej chwili myśli, że to mąż wrócił, i nawet dziwi się, że tak wcześnie. Potem, w miarę jak zbliżają się czyjeś kroki, prostuje się, zalękniona. Oczy ma niespokojne, włosy w nieładzie. W drzwiach, oświetlona przez ogień z kominka i białawą księżycową poświatę, zarysowuje się postać Karana.

- Postanowiłem wrócić dzień wcześniej. Co za pogoda!
- Zasypiałam.
- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Zapada milczenie. Kiedy Anita mija Karana, by odejść do swojej sypialni na górze, on łagodnie, ale zdecydowanie ujmując ją za rękę. Anita próbuje się oswobodzić. Patrzą na siebie, jakby nigdy wcześniej się nie widzieli,

uśmiechają się z zakłopotaniem. Potem Karan obejmuje ją, Anita szamocze się słabo, ale wkrótce ustępuje.

- Puść... - szepcze.

Milknie. W ciszy domu słyszeć, jak drży podłoga, gdy aleją Focha przejeżdża tramwaj konny. A Anita całuje Karana - po raz pierwszy w życiu całuje kogoś z miłości.

Kiedy się rozdzielają, przez chwilę żadne nic nie mówi, jakby w swoim zażenowaniu oceniali rozmiary zbrodni, jakiej się właśnie dopuścili.

- To podłe, co robimy - mówi cicho Anita. Jej głos brzmi poważnie, jej twarz jakby się postarzała.

- Prędzej czy później musiało do tego dojść - odpowiada Karan.

A więc on również się męczył! On również walczył z tym uczuciem, pozwalając sobie jednak na kolejne kroki, które w końcu doprowadziły go tam, gdzie się oboje znajdują. On również uległ zakazanej pokusie, pijąc truciznę małymi łydkami. Począwszy od tego wieczoru, Anita wie, że nie ma odwrotu, że wkroczyła na ścieżkę, z której nie będzie mogła zejść. Czyż nie tego chciała? Nie do tego dążyła? Czyż nie tęskniła do tej chwili jak do niczego na świecie? Teraz kości zostały rzucone, nic się nie odstanie. Słabość utorowała drogę miłości. Kwestią czasu pozostaje, kiedy to wszystko wybuchnie jak gigantyczny fajerwerk. Albo jak bomba.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Po powrocie do Indii Karan wciąż mieszka w pałacu. Tylko po to, by przebywać bliżej Anity. Gdyby nie ona, uciekłyby jak najdalej. Ojciec nadal chce go żenić, on uparcie odmawia, co w tradycyjnej rodzinie postrzegane jest jako niedopuszczalny występki.

- Nie możesz wysyłać nas do Anglii, wychowywać po zachodniemu, a potem żądać, byśmy podporządkowali się anachronicznym zwyczajom - wybucha Karan w trakcie jednej z kłótni.

W oczach maharadży tradycja stoi ponad wszystkim. Niewykluczone, że to kwestia wieku, ale faktem pozostaje, że Jagatjit Singh coraz bardziej zwraca się ku własnej kulturze. Codziennie wraz ze swymi ministrami i oficerami czyta „Granth Sahib”, oświadczył też publicznie, że żałuje zgolenia brody. Może to zresztą nie wiek, tylko niepokój w obliczu niepewnej przyszłości, którą zdają się zapowiadać posunięcia Gandhiego i Partii Kongresowej. Gandhi wciąż krzyczy o nędzy ludu, ukuł też hasło, które wyznacza chyba koniec jakiejś epoki: „No cooperation”. Wzywa do bojkotu wszystkiego, co brytyjskie - szkół, sądów, zaszczytów - i jego apele spotykają się z coraz cieplejszym przyjęciem. Chce skończyć z dotychczasowym porządkiem, który ucieleśniają maharadzowie.

Jednakże ani upór Karana, ani postępy Gandhiego nie spędzają maharadży snu z powiek. Buntownicy z czasem łagodnieją, więc i jego syn nabierze rozumu. Najbardziej martwi Jagatjita przedłużający się brak dziedzica Kapurthali. W Indiach - poza muzułmańskim sułtanatem Bhopalu - kobiety nie dziedziczą tronu. Wszyscy z niepokojem oczekują rozwiązania, ale Brinda po raz trzeci rodzi dziewczynkę. Miss Pereira, lekarka rodem z Goa, obwieszcza to maharadży ze łzami w oczach. Na dworze, zamiast radości, panuje smutek. Nawet Brinda, kiedy przynoszą jej córkę, krzyczy:

- Zabierzcie ją! Nie chcę jej widzieć!

Po czym płacze do wieczora. A ma powody: według miss Pereiry ze względu na komplikacje po trudnym porodzie nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Paramjit, melancholijny z natury, popada w prawdziwą depresję. Maharadża, dowiedziawszy się, że nadworny astrolog przywłaszczył sobie pieniądze dawane mu na ofiary błagalne dla bogów, bez sądu wtrąca go do więzienia na co najmniej trzy lata.

- Brindo - mówi maharadża do synowej, wezwawszy ją wraz z Paramjitem do swego gabinetu. - Bez wątpienia zdajesz sobie sprawę, jaki zawód nam sprawiłaś, okazując się niezdolną do urodzenia męskiego potomka.

Brinda kiwa głową, ale milczy. Zdenerwowany maharadża ledwie kryje pogardę, jaką dla niej żywi.

- Musisz mieć syna.

- Niczego bardziej nie pragnę, ale to chyba niemożliwe.

Maharadża chrząka, obmyślając następne zdanie. Doskonale pamięta nielojalność Brindy w czasie, gdy oczekiwał od niej wsparcia dla Anity. Nie zapomniał, jak go wtedy potraktowano. Dlatego nie zamierza bawić się w dyplomację. Poza tym sprawa jest poważna. Cóż może być ważniejszego od trwałości jego rodu i stabilności Kapurthali?

- Muszę ci coś powiedzieć, Brindo. Jeśli w rozsądnym czasie nie będziesz w stanie urodzić nam dziedzica, Paramjit weźmie sobie drugą żonę.

Brinda kamienieje. Na chwilę zamyka oczy. Jak on może mnie w ten sposób upokarzać, myśli.

- Nigdy się na to nie zgodzę - mówi.

- Nie będziesz miała wyboru - oświadcza lodowatym tonem maharadża. - Jesteś Hinduską i zdajesz sobie sprawę, że mojemu synowi wolno mieć inną żonę, jeśli zechce.

- Paramjit mi tego nie zrobi - broni się Brinda ze łzami w oczach. Ale po sposobie, w jaki jej mąż odwraca wzrok, łatwo poznać, że najstarszy syn maharadży uczyni wszystko, czego zażąda odeń ojciec. „W tamtej chwili straciłam cały szacunek dla Paramjita. Był słaby i tchórzliwy, godny litości”.

Wyszędłszy z gabinetu teścia, Brinda chwyta się poręczy schodów, odnosi bowiem wrażenie, że świat drży w posadach.

Nie ma rady, trzeba pogodzić się z tym co się stało. Hinduscy książęta, od pokoleń przyzwyczajeni do narzucania swojej woli, zwłaszcza kobietom, to wciąż średniowieczni despoci, Europa daje im jedynie trochę zewnętrznego poluru, rozmyśla Brinda. Teraz rozumie, jakim błędem było sprzeciwianie się teściowi. Jest zbyt potężny i zbyt pamiętliwy, by mu się narażać.

Gdy po kilku dniach udaje się jej uspokoić i zebrać myśli, dostrzega tylko jeden sposób, by uratować swoje małżeństwo, rodzinę i pozycję. Postanawia wybrać się do Francji i poddać serii zabiegów chirurgicznych, dzięki którym mogłaby znów rodzić dzieci. Dużo ryzykuje, łącznie z życiem. Ale jest zdesperowana. Tym bardziej że nawet jeśli osiągnie swój cel, jej związek z Paramjitem po interwencji maharadży nigdy już nie będzie taki jak dawniej.

Małżeństwo Anity także dogorywa, choć z innych powodów. Maharadża od dawna nie odwiedza jej sypialni. Oddalił się stopniowo, jeszcze zanim Karan zajął jego miejsce. Anita mieszka w swoich własnych apartamentach, oddzielonych od pokoi męża amfiladą salonów. Nigdy nie wchodzi do niego

niezapowiedziana. Z szacunku dla jego prywatności, ale również z obawy, by nie przyłapać go z inną. On też nie zaskakuje jej półśpiącej w łóżku, jak w pierwszych latach, gdy jego cień na ścianie zapowiadał zawsze gorącą, miłosną noc.

Teraz Anita czeka na inny cień, na inne kroki. W Paryżu mieli z Karanem niewiele okazji do spotkań sam na sam, a i to bardzo krótkich. Ich związek opiera się na ukradkowych spojrzeniach, muśnięciach dłoni, pospiesznych szeptach i skradzionych pocałunkach.

We Francji Karan próbował się wycofywać, jak gdyby przypominał sobie, że ostatecznie chodzi jednak o żonę jego ojca. W Kapurthali codzienny kontakt uniemożliwia obojgu ucieczkę przed uczuciem. Domowa bliskość łączy ich w dodatkowy, specjalny sposób. Anita czuje, że odżywiają jej zmysły, jej zranione serce, jej młode ciało. Kocha Karana z całych sił. A jednak gardzi sobą za uleganie występnej namiętności. I tak szarpie się między ekstazą a obrzydzeniem.

Oddają się swojemu słodkiemu grzechowi, gdzie tylko mogą: w pałacu, w ogrodach, w szklarniach, w opuszczonych fortach i grobowcach, których w Pendżabie nie brak. Pierwszą w Kapurthali miłosną noc spędzają w pokoju Karana, po przyjęciu, na którym piją i tańczą, dopóki nie zostają sami na parkiecie.

- Przyjdź, czekam - szepcze Karan na odchodnym.

I Anita leci jak na skrzydłach, na spotkanie z tym, co wypełnia jej puste życie, a zarazem pchają w czeluść piekielną, o której tyle się nasłuchiwała w dzieciństwie. Popełniają zdradę, zapominając czasem o elementarnych środkach ostrożności.

Za pierwszym razem to Karan ją rozbiera. Wie, jak się do tego zabrać, jego palce poruszają się ze zręcznością godną hinduskiego kochanka. Rozpuszcza Anicie włosy, zdejmuje jej naszyjniki, odpina gorset, zsuwa - jedną po drugiej - halki. W końcu, gdy jest już naga, bierze ją w ramiona i składa na łóżku, jak dzieło sztuki, jak białą, gorącą, zakazaną perłę...

Najpewniej czują się w ruinach hinduskiej świątyni poświęconej Kali, bogini zniszczenia. Nikt tu nie zagląda, roślinność pleni się bujnie, wokół szczere pole, do Kapurthali ładnych parę kilometrów. Podobne monstrualnym węzom korzenie wielkich drzew podtrzymują resztki murów, a w środku - rozpasanie: liany wiją się lubieżnie, gałęzie splatają niczym ramiona kochanków. Jak gdyby cała przyroda uległa miłosnemu szałowi. Anita i Karan, nieprzytomni z pożądania, z chęcią poddają się rytmowi ziemi. O zmierzchu liście szepczą tajemniczo, wielkie grzyby polśniewają w blasku księżyca, tuberozy zdają się

wydawać westchnienia, a apsary, niebiańskie nimfy wyrzeźbione w kamieniach, uśmiechają się z głębin wieczności do występnych, lecz niepomnych teraz na nic kochanków.

Mimo napięcia, w jakim żyje, Anita kwitnie. Zakazany romans zapala w jej oczach dawno zgasłe ogniki, przydaje blasku policzkom. Ta przemiana nie uchodzi uwadze maharadży.

- Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek - mówi któregoś dnia Jagatjit, całując żonę w szyję.

Anita odskakuje z lekkim okrzykiem, śmiechem próbując zatuszować zgrozę. Zaledwie wczoraj, pod okiem dwuznacznie uśmiechniętych apsar, odwzajemniała uściski syna tego człowieka, który teraz szuka jej bliskości.

Jak długo może trwać ta farsa? Najbardziej niepokoi się Dalima, świadoma wybiegów, do jakich ucieka się jej pani, by zobaczyć kochanka. Wierna służąca, chcąc przywieść Anitę do opamiętania, korzysta z każdej okazji, by ją postraszyć.

- Widziano panią z panem Karanem w pobliżu świątyni Kali.

- Kto ci to powiedział?

- Stajenni. Ale w kuchni też gadają. Niech pani bardzo uważa...

- Dziękuję, Dalimo.

Anita czuje, jak serce w niej zamiera. Odzyskawszy na chwilę jasność myślenia, postanawia, że tak dalej być nie może. Swoim lękiem zaraża Karana, przez kilka dni się nie widują. Ale wtedy ogarnia ją głęboka melancholia, poczucie, że traci całą żywotność. Pustymi oczami wpatruje się w okna na wpół przysłonięte żaluzjami, rzucającymi prążkowane cienie na meble i ściany. Niełatwo jest walczyć z miłością, myśli. I już wkrótce wie, że nic nie poradzi, że musi dać się ponieść. Niech życie zadecyduje za nią, niech wypadki biegają swoim torem, aż w końcu spośród zamętu wyłoni się jakaś droga.

Zaczyna żywić sekretną nadzieję, że Karan zdobędzie się na jakiś stanowczy krok, że wskaże jej ową drogę, że zerwie. Bo jeśli ona, Anita, popełnia grzech, cóż dopiero mówić o nim? On zdradza ojca, ona tylko męża. Jaki z niego człowiek, skoro żyje na koszt maharadży, choć wciąż go krytykuje, korzysta z uprzywilejowanej pozycji, choć nią pogardza, ma w sobie krew księżęcą, ale się jej wypiera? Kim on jest, ten chłopak uwięziony między dwoma światami? Anglikiem o wyjątkowo ciemnej karnacji? Czy Hindusem o mentalności Anglika, któremu podobają się wyłącznie Europejki? Niezdolny odpowiedzieć sobie na te pytania Karan miota się w tę i z powrotem, chce, jak wszyscy, wziąć to, co najlepsze z obu światów, ale kończy na ziemi niczyjej, gdzie króluje chaos i zdrada.

Pewnego dnia Anita opowiada Karanowi o wizycie, którą złożyła wraz z Bibi księżnej Gobind Kaur, o emocjach, jakie wzbudziła w niej historia tej niezwykłej kobiety. Wyznaje, że spokojny obraz tej pary na zawsze pozostanie dla niej symbolem prawdziwej miłości.

- Potrafiłbyś się do tego posunąć? Potrafiłbyś mnie porwać i wywieźć gdzieś daleko?

- Ojciec wytropiłby nas nawet na końcu świata. Środków mu nie brakuje.

- A więc... Nie ma dla nas nadziei, tak? - rzuca ze smutkiem Anita.

- Owszem. Ale nie w Indiach. Tu na zawsze będziemy przeklęci. Może w Europie... Daj mi trochę czasu...

Lecz krąg się zacieśnia. Niedługo przed kolejnym wyjazdem do Londynu, maharadża zwraca się do żony w te słowa:

- Inder Singh mówi, że widziano cię w okolicach świątyni Kali, w doskonałym skądinąd towarzystwie...

Anita czuje, jak po plecach przebiega jej dreszcz. Przez chwilę sądzi, że to już, że wszystko się wydało, że mąż zastawia na nią pułapkę. Opanowuje się jednak i spokojnie odpowiada:

- Czasem w czasie przejażdżek spotykam Karana i dla zabawy trochę się ścigamy. Z nikim innym na pewno mnie nie widziano.

Kłamie, mówiąc prawdę. Po wyrazie twarzy męża poznaje, że powiedziała to, co powinna. Tym razem nie chodziło o pułapkę.

- Nie powinnaś tyle jeździć sama. Przydzielę ci eskortę. Jeszcze kiedyś spadniesz z konia i kto cię wtedy podniesie?

- Masz rację, mon cheri.



## Rozdział czterdziesty czwarty

Szczęśliwe lata 20. Londyn jest weselszy i bardziej tłoczny, a Savoy - bardziej ożywiony niż kiedykolwiek. Coraz częściej widuje się kobiety obcięte na chłopczyce, z papierosami w ustach, w krótszych niż kiedyś spódnicach. Panuje atmosfera zaraźliwej swobody i bez troski. Londyn w końcu zapomniał o wojnie.

Anita przede wszystkim odwiedza syna. Woli spotkać się z nim sam na sam, aby w spokoju nacieszyć się długo oczekiwaną chwilą.

- Ajit, kochanie, tak tęskniłam...
- Jesteś blada, mamó. Czyba nie chorujesz?
- Nie, czuję się doskonale.

Myśl, że wewnętrzne rozterki odbijają się na jej twarzy i że syn mógłby odgadnąć ich przyczynę, napęła ją niepokojem. Jak postąpiłby Ajit, gdyby wybuchł skandal? Czy odciąłby się od matki? Znienawidziłby ją? Czy piętnastolatek potrafiłby zrozumieć, o co chodzi? Anita odsuwa te myśli, bo przez nie czuje się jeszcze gorzej. Znowu ogarnia ją pogarda dla samej siebie, uczucie tak dobrze jej ostatnio znane.

- Był u mnie Karan - mówi chłopiec. - Powiedział, że zamierza się przeprowadzić do Anglii na stałe.

Anita czuje nagłą ulgę. A więc to prawda, nie zwodził mnie, szuka sposobu, by się wyrwać z Kapurthali, myśli podniesiona na duchu, z sercem nabrzmiałym szaloną nadzieją. Oczyma wyobraźni widzi się już w jakimś londyńskim domu, blisko syna. I z Karanem przy boku.

Czy aby nie wariuję, zastanawia się później, wracając do hotelu, by towarzyszyć maharadży na zwyczajowej serii imprez: najpierw wyścigi w Ascot, potem turniej tenisowy w Wimbledonie, spacer po Kew Gardens, herbatka u zaprzyjaźnionych arystokratów... Poza przyjęciami na dworze, na które nie jest zapraszana, Anita bywa wszędzie. Do pałacu Buckingham maharadża zabiera zwykle któregoś z synów. Podziwiają na przykład ślubne prezenty otrzymane przez króla Jerzego VI i jego żonę Elżbietę. Księżę Kentu pokazuje je z takim entuzjazmem, jakby przeznaczone były dla niego.

Jak zawsze w Europie Jagatjit Singh promienieje. Ożywione życie towarzyskie świadczy o rosnącym szacunku, jaki mają dla niego Anglicy. To doskonała wróżba w tych trudnych czasach. Maharadzowie bardziej niż kiedykolwiek potrzebują teraz opieki Brytyjczyków.

Karan wchodzi w skład trzydziestoosobowego orszaku. Wszyscy mieszkają na dziesiątym piętrze Savoya. Anita i maharadża nocują w dwóch sypialniach

rozdzielonych małym salonem i korytarzykiem, w tak zwanym Apartamencie Królewskim. Karan ma swój pokój przy końcu owego korytarzyka. Zwyczaje Kapurthali zostały bez zmian przeniesione do Londynu.

Ale życie wygląda tu inaczej, zwłaszcza życie nocne. W całym mieście pełno klubów, gdzie można posłuchać jazzu, tang, rytmów latynoamerykańskich... Lokale rozrywkowe wyrastają jak grzyby po deszczu. Anita ubłagała maharadżę, by pozwolił jej wychodzić z Karanem i jego angielskimi przyjaciółmi. Zupełnie jakby prosiła o pozwolenie ojca. Jagatjit się zgodził. Sam woli zostawać w hotelu i kłaść się wcześniej spać.

Jego żona tymczasem bawi się jak jeszcze nigdy w życiu, wreszcie w towarzystwie rówieśników. W klubie pod złowróżbną nazwą Upadły Anioł pięciu ciemnoskórych muzyków gra najlepszego bluesa, jaki Anita słyszała w życiu. Przedkłada go teraz nad tango. Te powolne, smutne dźwięki brzmią jak przestroga, jak dziwne ostrzeżenie.

Ani ona, ani Karan nie podejrzewają nawet, że maharadża kazał ich obserwować jednemu ze swoich najwierniejszych ludzi, niejakiemu Khuśalowi Singhowi, który spędza noce przyczajony w korytarzyku na dziesiątym piętrze Savoya i wreszcie pewnego razu budzi swego pana o wpół do drugiej nad ranem.

- Wasza wysokość, teraz - mówi.

Maharadża wstaje zżerany ciekawością, a zarazem niespokojny na myśl o tym, czego się dowie. Okrywa się purpurowym jedwabnym szlafrokiem, zakłada kapcie ze skóry daniela i idzie za Khuśalem przez mroczny korytarzyk. Gruba wykładzina tłumi ich kroki. Przed drzwiami Anity sługa kiwa głową, jakby zachęcając maharadżę do ich otwarcia. W środku wszystko wygląda normalnie. Rolety są tylko do połowy opuszczone - Anita nigdy nie lubiła spać w całkowitych ciemnościach. Zawsze mówiła, że się boi. W skotłowanym łóżku ktoś chyba śpi, a przynajmniej tak się wydaje, dopóki Khuśal Singh zdecydowanym ruchem nie odrzuca kołdry. Maharadża otwiera szeroko oczy, jakby nie pojmował. Pod spodem nie ma nikogo, tylko poduszka ułożona tak, aby kogoś oszukać. A więc to prawda, myśli Jagatjit. Wszystkie podejrzania się potwierdzają. Teraz rozumie chłód żony, jej nieobecne spojrzenie, jej niechęć, gdy próbował jej dotknąć... Ale najgorsze dopiero przed nim.

Serce bije mu tak mocno, że słyszczyć je chyba na całym piętrze. Powoli skrada się w kierunku pokoju, gdzie śpią jego synowie. Khuśal Singh wskazuje drzwi Karana. Maharadża przykleja do nich ucho i coś chyba słyszy, bo wykonuje szybki gest w stronę służącego, który natychmiast lekko puka. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili w progu staje Karan. Jego ojciec jest

zbyt wściekły, zbyt zraniony, by mówić. Nie pytając o nic, popycha drzwi i otwiera je na oścież. Łóżko stoi rozgrzebane. Anita zamarła w fotelu, ubrana tak samo jak przed kilkoma godzinami, gdy wybierała się do Upadłego Anioła.

Zapada okropna cisza. Anita nie spuszcza głowy, nie odwraca wzroku, patrzy na męża szeroko otwartymi, wyzywającymi oczami, sztywna jak posąg. Karan natomiast kuli się, garbi pod ciężarem swego wstydu. Maharadża pobladł, oczy mu płoną, jak gdyby chciał spalić winowajców samym spojrzeniem.

Wreszcie, nie podnosząc głosu, zwraca się do syna:

- Wyjdź. I nie pokazuj mi się więcej na oczy. Nie rozumiem, jak udało mi się spłodzić takiego potwora.

- Rozmawialiśmy, to wszystko - mamrocze Karan. - Właśnie wróciliśmy... Nie myśl, że...

- Wyjdź, zanim każę cię wyrzucić.

Anita zamyka oczy, jakby czekając na swoją kolej. Ale nie pada już żadne słowo. Nie słyhać obelg czy wymysłów, nic oprócz kroków oddalającego się Karana. Poza tym cisza. Tamci trzej odeszli. Nikt nie wyciągnął noża, bez którego nie obyłoby się w Andaluzji. Żadnej przemocy, tylko zimna furia maharadży. Z ciemności nad Tamizą dobiega wycie okrętowej syreny. W hotelowym barze albo gdzieś na ulicy gra muzyka. I to koniec? Cała ta szarpanina, noce w świątyni Kali, zakazana miłość spalająca ich od miesięcy - wszystko to ma się skończyć w równie mdły sposób? Mąż nie zaszczycił jej nawet wymówką. Panująca wokół cisza przerywana tylko odgłosami z zewnątrz przeraża Anitę bardziej niż przerażyłyby ją najbardziej rozpaczliwe krzyki.

Odwracając się, spostrzega swoje odbicie w lustrze. Zaskoczona, na chwilę zapomina o Karanie i maharadży, z niepokojem obserwując tę dziwną kobietę, którą widzi. Chyba zwariowałam, myśli. Obcięte modnie włosy rażą ją bezwstydem, zmarszczki jakby się pogłębiły, wargi są blade, oczy pozbawione blasku. Jak staro wygląda! I jak bardzo się wstydzi! Nie chce dłużej kłamać, wołałaby wszystko wyznać i wreszcie się wyzwolić. Ale musi się bronić, musi jak lwica bronić Karana, podtrzymać jego kłamstwo.

Kiedy ją spytają, co się zdarzyło, powie, że po powrocie z klubu chcieli wypić ostatniego drinka, a ponieważ hotelowy bar był zamknięty, postanowili pogawędzić jeszcze chwilę w pokoju. I tyle.

## Rozdział czterdziesty piąty

Jarmani Dass, minister kapurthalskiego rządu i zaufany doradca maharadży, obecny owej nocy w Savoyu, tak opisywał te wydarzenia: „Jego wysokość nie spał do rana, a o świcie wezwał do siebie pułkownika Enriąeza, brytyjskiego wojskowego, który pełnił kiedyś funkcję opiekuna książęcych synów i wciąż pozostawał na służbie w Kapurthali, i poprosił go o natychmiastowe przygotowanie dokumentów koniecznych do przeprowadzenia rozwodu”. Gdyby nie Ali Jinnah, muzułmański adwokat, który w przyszłości walnie się przyczyni do powstania Pakistanu, a teraz mieszka w Savoyu razem z żoną Ritą, Jagatjit Singh odesłałby pewnie Anitę do Hiszpanii jeszcze tego samego dnia, bez pieniędzy. Jednakże Jinnah i Rita są przyjaciółmi obojga.

- Nie spiesz się tak - radzą. - Taki skandal zaszkodziłby nie tylko tobie, ale i innym książętom. Zastanów się, zanim popełnisz głupstwo.

W tym właśnie czasie odbywa się w Londynie proces rozwodowy Hari Singha, maharadży Kaszmiru. Ten nieśmiały i spokojny, żonaty z Hinduską człowiek, właściciel samolotów o skrzydłach zdobionych srebrem i kolekcji pereł wielkości przepiórczych jaj, popełnił nieostrożność, zakochując się do szaleństwa w pewnej Angielce, która postawiła sobie za cel zawładnięcie połową jego fortuny. Chcąc uniknąć rozgłosu, Hari Singh występował w sądzie pod fałszywym nazwiskiem, ale dziennikarze bez trudu odkryli jego prawdziwą tożsamość. Przypadek ten stał się ulubionym tematem towarzyskich plotek od Londynu po Kalkutę, a wrogowie istniejącego w Indiach systemu skorzystali z okazji, by ośmieszyć nie tylko władcę Kaszmiru, ale w ogóle wszystkich maharadzów.

W dodatku, jak sygnalizuje Jinnah, wyszło akurat na jaw, że radża Limdi, ten sam, którego wszyscy podziwiali za decyzję, by przeznaczać sto pięćdziesiąt tysięcy rupii rocznie na edukację publiczną, w rzeczywistości przeznaczał te pieniądze na edukację jednej jedynej osoby - własnego syna i dziedzica. Prasa opublikowała też dane dotyczące budżetu księstwa Bikaner, gdzie na ślub następcy tronu poszło osiemset dwadzieścia pięć tysięcy, na roboty publiczne - trzydzieści tysięcy, a na renowację pałaców - czterysta dwadzieścia sześć tysięcy sześćset czternaście rupii. W tej sytuacji kolejny skandal pociągnąłby za sobą fatalne konsekwencje.

Zresztą, argumentuje dalej Jinnah, ani raporty Khuśala Singha, ani fakt, że Anita dała się przyłapać w pokoju Karana, nie stanowią wystarczających dowodów niewierności małżeńskiej.

- A bez takich dowodów nie masz prawa oddalić prawnie poślubionej żony. Anita i Karan są w tym samym wieku, przyjaźnią się od dawna, wychodzą wieczorami do klubów posłuchać muzyki z przyjaciółmi z Harrow, ale to jeszcze nie znaczy, że mają affaire. Tym bardziej że oboje temu zdecydowanie zaprzeczają.

- A ta poduszka zwinięta pod kołdrą?

- Szczenięce wygłupy... Żeby oszukać służbę. Chcieli wypić razem ostatniego drinka i tyle.

Jinnah zręcznie wykorzystuje fakt, że maharadża w gruncie rzeczy nie chce przyjąć do wiadomości tego, co oczywiste. Cios jest zbyt bolesny, łatwiej uwierzyć w bełkotliwe zapewnienia Karana i logiczne wywody Jinnaha niż w prawdę. Oboje byli ubrani, myśli Jagatjit, Anita miała na sobie dokładnie to samo co kilka godzin wcześniej, gdy przyszła się pożegnać przed wyjściem do klubu. Może naprawdę tylko rozmawiali? Strach przed skandalem w połączeniu z kojącym wpływem Jinnaha sprawiają, że kolejnego dnia maharadża zaczyna widzieć wszystko w innym świetle. Dlatego nie podejmuje żadnych drastycznych decyzji - poza odesłaniem Karana z powrotem do Indii.

- Nie chcę cię jednak widzieć w Kapurthali, aż do odwołania. Pojedziesz do Oudh i tam zajmiesz się interesami rodziny.

Karan nie buntuje się, nie wychodzi z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Nie wszczyna dyskusji. Przeciwnie, zachowuje się jak na posłusznego syna przystało. Może po raz pierwszy zdał sobie sprawę, co będzie, gdy utraci łaski ojca? Co zrobi bez jego pieniędzy, bez tytułów i przywilejów, które pozwalają mu żyć w świecie, który od zawsze uważa za swój? Czy ma zostać zwykłym inżynierem rolnictwa i walczyć o postęp w szeregach Partii Kongresowej, u boku innych przedstawicieli rodzącej się klasy średniej? Czy ma pójść za głosem swoich młodzieńczych ideałów? Przeróżająca perspektywa. Karan nie jest tak silny jak jego kuzynka Bibi Amrit Kaur, która od pewnego czasu stała się cieniem Gandhiego. A maharadża dodaje:

- I we wrześniu się ożenisz. Natychmiast rozpoczniemy przygotowania.

Karan podnosi wzrok i napotyka zimne, wyniosłe spojrzenie ojcowskich oczu. Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale w końcu nie mówi nic.

Kilka dni później Jagatjit wraca razem z żoną do Indii. Anita jest smutna i osowiała, podczas rejsu prawie nie opuszcza swojej kajuty. Tęskni za Karanem i za Ajitem, świadoma, że w Kapurthali czeka ją raczej vegetacja niż prawdziwe życie. Ocaliła swoją pozycję i małżeństwo, ale jakie to ma znaczenie? Wraca, by osłaniać Karana, by chronić syna. Wraca jej ciało, bo

duch zdaje się błędzić w jakimś nieznanym nawet jej samej miejscu, gdzieś daleko, poza czyimkolwiek zasięgiem.

Zaraz po powrocie zapada na zdrowiu. Przekonana, że chodzi o nową infekcję spowodowaną przez torbiele na jajnikach, kładzie się do łóżka i każe leczyć jak poprzednio. Doktor Dore uprzedzał ją, że takie dolegliwości się odnawiają, ale do tej pory wołała o tym nie pamiętać. Jednakże mimo starań Dalimy nie ma poprawy. Anita wymiotuje i skarży się na bóle. Wezwana przez maharadżę zjawia się gruba miss Pereira w towarzystwie pielęgniarki. Niesie walizeczkę z czerwonym krzyżem. Słowa, które wypowiada po badaniu, wybuchają w głowie Anity jak pociski:

- Jest pani w ciąży! - woła po portugalsku, z silnym akcentem z Goa. - Moje gratulacje! Biegnę powiedzieć jego wysokości.

Anita kamienieje, blada jak ściana. Cięża! Tylko nie to!

- Nie, proszę mu na razie nic nie mówić - szepcze.

- To mój obowiązek. A pani niech się o nic nie martwi i wypoczywa.

Anita nie nalega, wie już, że nie zatrzyma biegu wypadków. Skandal jest nieunikniony. Nie uda jej się ochronić ani Karana, ani Ajita, ani siebie. Zdradziło ją ciało. Teraz można już tylko kłamać, upierać się, że ojcem jest kto inny, nie Karan. Ale na nic się to nie zda. Anita zdaje sobie sprawę, że wkrótce stanie się pierwszoplanową postacią jednego z największych skandali w kolonialnych Indiach. Jakże się ucieszą jej wrogowie! Czyż nie powtarzali zawsze, że ta spanish dancer to pozbawiona zasad awanturnica? Tak się kończą kaprysy indyjskich książątek, ot co! „A nie mówiłam?”, będą szeptać angielskie damy, które zawsze przypatrywały jej się spod oka.

Ale od kiedy to ona, Anita, przejmują się ich zdaniem? W gruncie rzeczy nie przejmowała się nim nigdy, tylko dlatego potrafiła wśród nich żyć. Martwi się natomiast o maharadżę, tak zawsze czułego na punkcie swojej reputacji. Został wystawiony na pośmiewisko i tego nie będzie potrafił wybaczyć. Do Anity, mimo całej jej rozpacz, dociera nagle, że siedemnastu lat małżeństwa nie da się wykreślić. Nie na darmo dzieliła z Jagatjitem dobre i złe chwile. Na dzień, jak osad, zostaje miłość. I wielki żal za wyrządzoną krzywdę.

Anita czeka więc na męża, spodziewając się, że wpadnie do pokoju, syjąc zasłużonymi przez nią obelgami i groźbami. Ale nic takiego nie następuje. Mijają dni, a maharadża się nie zjawia. Zamiast niego odwiedza Anitę elegancki jak zawsze Inder Singh, jej dawny sprzymierzeniec.

- Jego wysokość polecił mi przekazać, że od tej pory aż do zakończenia procedury rozwodowej zamieszka pani w pałacyku Buona Vista. Mamy przetransportować tam wszystkie pani meble i przedmioty osobiste.

- Chciałabym porozmawiać z jego wysokością osobiście.
- Obawiam się, że on sobie tego nie życzy.

Nigdy nie lubił konfrontacji, jak większość Hindusów, myśli Anita. Ona jednak nie pozwoli, by to wszystko zakończyło się w ten sposób, bez słowa. Czeka do zapadnięcia zmroku i kiedy maharadża po kolacji zmierza do swoich apartamentów, zaskakuje go u szczytu schodów.

- Wasza wysokość...

Jagatjit odwraca się. Wygląda na wyższego i, jeśli to w ogóle możliwe, nosi się jeszcze dumniej niż kiedyś. Prawdziwy indyjski arystokrata w granatowym turbanie i zapiętej pod szyję koszuli. Jego czarne oczy błyszczą w mroku jak agatowe paciorki.

- Chciałam tylko powiedzieć, że... - Anita wskazuje na swój brzuch. - To nie jest dziecko Karana. Był taki... taki brytyjski oficer...

Maharadża patrzy na nią z pogardą i powściąganym gniewem.

- Twoje słowa nic już dla mnie nie znaczą. Nigdy więcej ci nie uwierzę.
- Wasza wysokość, przysięgam, że...
- Nie przysięgaj na darmo. Podjąłem odpowiednie kroki. Przede wszystkim nie życzę sobie mieszkać z tobą pod jednym dachem. Dlatego jutro się przeprowadzisz.
- A więc karzesz mnie samotnością jeszcze większą niż dotąd.
- Sama się ukarałaś, postępując nieodpowiedzialnie i niegodnie. Po tym, co dla ciebie zrobiłem!

Zapada milczenie, gęste jak wpadające przez okna ciepłe i wilgotne powietrze.

- Wasza wysokość ma rację. Dlatego, choć to nic nie da, proszę o wybaczenie.

Maharadża udaje, że jej nie słyszy i stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem dorzuca:

- Poza tym czeka cię aborcja.

Anita czuje się, jakby wbito jej nóż w serce. Niezdolna przemówić podnosi na męża błagalny wzrok, ale napotyka złodowaciałą maskę. Pozbyć się dziecka, owocu jedynej w życiu miłości, miłości wszechogarniającej, odbierającej rozum - o, to prawdziwa kara. W ten sposób uczucie do Karana zamieni się od razu w odległe wspomnienie. Ale nie ma wyjścia. Za błędy trzeba płacić, choćby cena okazała się wysoka. To sprawiedliwe, myśli Anita.

- Rozumiem, wasza wysokość. I zgadzam się.
- Kiedy będzie po wszystkim, opuścisz Indie na zawsze. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Wasza wysokość... Maharadża ogląda się przez ramię.
- Chciałam tylko dodać, że... Nigdy nie uchybiłabym obowiązkom małżeńskim, gdyby wasza wysokość nie uczynił tego pierwszy. Czułam się bardzo opuszczona. To tyle.
- Nic cię nie usprawiedliwia. Nie próbuj udawać ofiary.

I Jagatjit Singh odchodzi. Anita chwieje się i chwyta poręczę schodów. Niżej, w holu, wiszą portrety synów maharadży. Ubrany w galowy strój Karan spogląda na nią z mroku.

\* \* \*

Wszystko było tak dawno! Villa Buona Vista niewiele się zmieniła. Anita jest znowu w swojej niegdysiejszej sypialni. Tu przeżyła najszcześniejsze chwile swego małżeństwa, tu urodziła Ajita. Teraz wraca, przegrana i upokorzona, żeby dokonać aborcji. Wyobraża sobie, co mogłaby zrobić, by temu zapobiec. Rozważa ucieczkę, zastanawia się, czy nie zwrócić się o pomoc do Brytyjczyków, nie oskarżyć maharadży o stosowanie przymusu... W swojej rozpaczce dopuszcza nawet myśl o samobójstwie. Kusząca perspektywa, najlepszy sposób, by odpokutować za grzechy, a zarazem uwolnić się od cierpienia. Na drodze stoi tylko wspomnienie Ajita.

I brak energii. Anita stopniowo popada w apatię. Może gdyby miała rację... Ale jej nie ma, niezależnie od tego, jak próbuje się usprawiedliwiać. To jest właśnie najgorsze: świadomość własnej winy. Nienawiść do innych może czasem przynosić ulgę, nienawiść do siebie samej to źródło straszliwych męczarni. Anita odnosi wrażenie, że nie zasługuje nawet na powietrze, którym oddycha. A jeśli nie zasługuje na to, żeby żyć... po co ma się bronić? Nie pokonała miłości, nie pokona też przeznaczenia. Dlatego lepiej zda się na los. Będzie, co Bóg da, myśli. Wyjdę z tego czy umrę, wszystko jedno.

Mija kilka długich dni, Anita przesiaduje na werandzie. Na koniec zjawia się miss Pereira. Jest bardzo gorąco i wilgotno, upał męczy ludzi i zwierzęta. W domu zainstalowano elektryczne wentylatory, znikły zastępy punka - Kapurthala zawsze w awangardzie postępu. Powolny, hipnotyczny ruch zwisających z sufitu długich skrzydeł uspokaja.

Miss Pereira nie świergocze już radośnie, jak ostatnim razem. Głos ma poważny, choć zawsze tak samo uprzejmy. Niechętnie spełnia okrutny rozkaz maharadży, lecz kimże jest, by się mu sprzeciwić? Od czasów mogolskich w Indiach tradycyjnie dopuszcza się aborcję do czwartego miesiąca, ale tylko w wyjątkowych wypadkach. Potem, wedle islamskich prawodawców - pierwszych, jacy zajęli się tą kwestią - w płodzie zagnieżdża się dusza, czyniąc z niego istotę ludzką. Anita wie, że to trzeci miesiąc, doskonale pamięta pewną



noc w ruinach świątyni Kali. Wspominając tamtą ekstazę duszy i ciała, myśli, że było warto. To pewna pociecha. Jednakże świadomość, że owoc tej namiętności zostanie poświęcony na ołtarzu konwenansów, jest nie do zniesienia. Tak się kończy igranie z ogniem. Nie można bezkarnie prowokować bogini zniszczenia.

Miss Pereira, pielęgniarzka i przerażona Dalima, która odnosi wrażenie, że asystuje przy egzekucji, gromadzą miednice, wiadra z wodą, opatrunki, maści, lekarstwa i rozmaite przyrządy. Robią to wszystko systematycznie i powoli, jakby przygotowywały się do ponurego, pogańskiego obrzędu.

Krzyk, który wrywa się z gardła Anity, gdy zimne żelazo wbija się w jej wnętrzności, jest tak rozdzierający, że piętro niżej służący zastygają bez ruchu, ogrodnicy prostują się nad kwietnikami, okoliczni chłopcy przerywają pracę i nawet ptaki trzepocząc się w więzaniach nad brzegiem rzeki milkną na długą chwilę. Echo tego krzyku płynie nad polami i, jak będzie później głosić legenda, dociera aż do pałacu, gdzie płacze zamknięty w swoim gabinecie Jagatjit Singh.

Mimo starań miss Pereiry nie udaje się zatrzymać krwotoku. Anita leży bezwładna jak szmaciana lalka. Wargi ma niebieskie, oczy uciekają jej w głąb czaszki. W końcu przerażona lekarka wysłała maharadży wiadomość, że trzeba zabrać jego żonę do szpitala w Lahore. Ale mijają godziny, stan Anity pogarsza się z każdą chwilą, a nikt po nią nie przyjeżdża. Wreszcie wychodzi na jaw, że Jagatjit Singh nie wyraził zgody. Nie chce rozdmuchiwać skandalu. Lekarze na pewno wszystko by rozgadali i już wkrótce w Delhi, Kalkucie ani Londynie nie byłoby osoby z towarzystwa, która nie wiedziałaby, że spanish rani zakochała się w swoim pasierbie i zaszła z nim w ciążę. Co za wstyd! Maharadża zawsze przywiązywał wagę do ludzkiej opinii, dobre imię to jego największy skarb.

Sam w ciemnym gabinecie rozmyśla nad swoją decyzją. Zdaje sobie sprawę, że jego próżność może kosztować życie kobietę, która wciąż jeszcze jest jego żoną. Ale czyż sobie na to nie zasłużyła, duma mściwie. Wraz z nią umarłby cały skandal. Może to najlepsze rozwiązanie... Zegarowa kukulka, obwieszczając kolejne godziny, brzmi jak herold śmierci. Ale z drugiej strony... Czy kara i tak nie była wystarczająco surowa? Maharadża przypomina sobie wspólne szczęśliwe lata, przepojone miłością nauki sikhijskich mistrzów... I odzyskuje rozum.

- Niech ją natychmiast zawiozą do Lahore! - krzyczy. - Rollsem, będzie szybciej!

Anita dociera do szpitala w bardzo złym stanie, ale dzięki dobrej opiece powoli odzyskuje siły i po kilku dniach znów jest w domu. Tam czeka na nią troskliwa jak zawsze miss Pereira.

Ale dusza nie zdrowieje tak szybko jak ciało.

- Opuść rolety - prosi Anita Dalimę. - Światło mnie razi.
- Przecież są prawie całkiem opuszczone. Nie będzie nic widać.
- Proszę, opuść je do końca.

Anita wpada w depresję. Najpierw przeszkadza jej światło. Potem - wszelkie hałasy. Najcichszy nawet dźwięk odbiera jako rumor nie do wytrzymania. Prawie nie wstaje z łóżka, a jeśli nawet - to się nie ubiera. Nie rozpoznaje się w lustrze. Worki pod oczami i zielonkawa skóra - oto co widzi. Wychudła na wiór, bo prawie nic nie je. Maharadza nie odwiedził jej ani razu, Karan ma się podobno żenić. Skapitulował, myśli Anita bez złości czy urazy. Tak to już jest w Indiach. Karan podjął decyzję. Mając do wyboru ją, Anitę, i swoją rodzinę, postawił na tę drugą. Trudno mu to wyrzucać, na jego miejscu prawie każdy postąpiłby tak samo. Mając do wyboru szaleństwo i zdrowy rozsądek, postawił na zdrowy rozsądek. A ona myślała, że porwie ją jak kapitan Waryam Singh księżną Gobind Kaur! Wymyśliła sobie bajkę i w nią uwierzyła, naiwna!

Pozostała jej teraz tylko Dalima. Z latami bardzo się do siebie zbliżyły. Poza tym wierna służąca przypomina jej minione chwile szczęścia. Wykazuje się taką dobrocią serca i wyrozumiałością, że nie sposób oprzeć się wzruszeniu. Anita wdzięczna jej jest za lojalność i z głębi swego żalu docenia, że jest ktoś, kto się od niej nie odwrócił, kto jej nie potępia, przynajmniej w słowach. Chwyta się tego jak ostatniej deski ratunku.

Mijają tygodnie, potem miesiące. Anita wciąż nie dochodzi do siebie. Fioletowe wargi, przezroczysta skóra, spod której przezierają błękitne żyłki, cienie wokół przygasłych oczu, przerażająca bladeść - wszystko to świadczy o chorobie trudnej do wyleczenia. Miss Pereira jest bezradna. Dlatego urządza konsylium, które kończy się stwierdzeniem pewnego rodzaju anemii. „Interesujące komplikacje w całym organizmie połączone z brakiem czerwonych krwinek”, orzekają lekarze. Jako remedium zalecają wyjazd z upalnej Kapurthali w góry, a także dietę bogatą w dal\*, mięso i produkty mleczne.

\* [Soczewica spożywana na subkontynencie indyjskim w dużych ilościach.](#)

Jednakże Anicie brakuje sił na podróż. Zresztą, dokąd ma jechać? Do Mansuri, gdzie oprócz wspomnień czyhają zapewne pozostałe żony maharadży? Do Śimli, gdzie trzeba będzie ciągle się komuś tłumaczyć? Sama

myśl o wyjeździe mężczy jak przeprawa przez Himalaje. Już lepiej zaszyć się w cichym i ciemnym pałacyku.

Ale kto inny decyduje za nią. Konsylium odbyło się z woli maharadży, który teraz postanawia podjąć odpowiednie kroki, aby przyspieszyć rekonwalescencję żony. W tym celu czeka na doroczną wizytę Ajita.

- Hari Singh, maharadża Kaszmiru, oddał twojej matce do dyspozycji jeden z pałaców w Srinagarze, tuż nad jeziorem - oświadcza synowi. - Chcę, żebyś ją tam zawiózł i zadbał o jej wygody.

Nic tak nie jednoczy indyjskich książąt jak upokorzenie związane ze skandalem. Hari Singh, którego reputacja poważnie ucierpiała z winy przebiegłej Angielki, wyciąga do przyjaciela pomocną dłoń. Jagatjitowi również nie udało się zapobiec sensacji. Nawet we Francji ukazał się artykuł pod tytułem: Hiszpańska Fedra w Indiach. Maharadża nie odczuł tego jednak tak boleśnie, jak się spodziewał. Byłoby stokroć gorzej, gdyby Anita umarła. Tego by sobie nigdy nie wybaczył. A tak ma spokojne sumienie.

Na widok syna Anita zaczyna odżywać. Siedemnastoletni Ajit jest, wedle jej własnych słów, „przystojniaczkiem”, chłopcem grzecznym i oddanym. O nic nie pyta. Za bardzo kocha matkę, by ją osądzać czy krytykować, a kiedy ona sama usiłuje się jakoś wytłumaczyć, on kładzie palec na ustach. Nie chce wiedzieć nic poza tym, co już usłyszał, nie chce przyczyniać jej zmartwień i upokorzeń. To, co się stało, w ogóle go nie dotyczy. Teraz chodzi zresztą o to, by zorganizować trudną przeprowadzkę.

- Jesteś dla mnie najlepszym lekarstwem - mówi Anita.

Spędza trzy miesiące w Kaszmirze, pod opieką Dalimy i dwudziestu innych służących. Czyste powietrze, piękne jezioro, obfitość kwiatów, zaśnieżone góry, a przede wszystkim możliwość przebywania z dala od Kapurthali - wszystko to powoli przywraca ją życiu.

- Gdy odwiedziłaś nas po raz pierwszy, w trakcie swojego miesiąca miodowego - przypomina jej Hari Singh podczas jednej z wizyt - powiedziałaś, że Kaszmir jest zbyt piękny, by ktokolwiek mógł się tu czuć nieszczęśliwy.

- Tak powiedziałam?

- Owszem. Spodobało mi się to, zapisało w pamięci. Dlatego, gdy Jagatjit napisał, że źle z tobą i że potrzebujesz odmiany, natychmiast postanowiłem cię zaprosić.

- A, już pamiętam - uśmiecha się Anita. - To wtedy zapewniłeś mnie, że mogę uważać ten pałac za swój dom. Nie przypuszczałam, że mówisz serio.

\* \* \*

Zdradzony mąż, księżę przyzwyczajony decydować o życiu i śmierci swoich poddanych, człowiek, który mógłby ją zniszczyć, zepchnąć z powrotem w biedę, okazuje wspaniałomyślność i dobre serce. Upewniwszy się, że jego żona odzyskała zdrowie, wzywa ją do Kapurthali celem podpisania dokumentów rozwodowych. Anita po raz ostatni wkracza w progi L'Elysee i robi to ze ściśniętym sercem. Każdy kąt i każdy mebel łączy się tu z jakimś wspomnieniem, jakby pałacowe pokoje były szkatułkami pełnymi najcenniejszych klejnotów. Wchodząc do holu, Anita odnosi wrażenie, że słyszy radosne okrzyki małego Ajita. U szczytu schodów przypomina sobie dni wielkich uroczystości, ślub Paramjita, ważne wizyty, do których przygotowywała się z takim staraniem. I ten zapach, zapach tuberoz i fiołków, który dolatuje przez okna z ogrodu, pomieszany z wonią szlachetnego drewna parkietu i kadzidełek palących się w biurach ministrów - zapach ten bardziej niż cokolwiek innego uzmysławia jej, ile przeżyła w Indiach.

W gabinecie na parterze czeka na nią maharadża, jej były mąż. Znikło napięcie, które panowało między nimi w czasie ostatniego spotkania na schodach, gdy wszystkie rany były wciąż świeże.

- Ajit donosił mi, że wracasz do zdrowia. Cieszę się, że znowu masz się dobrze.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Zapada milczenie, które przerywa Anita, odchrząkując. Ale głos raz jeszcze zabiera maharadża:

- Martwiłem się. Wolałbym nie posuwać się do niektórych rzeczy, lecz nie miałem wyboru.

- Rozumiem, wasza wysokość. Ja też żałuję i ponownie proszę o wybaczenie.

- Przygotowałem ten dokument - mówi, pokazując jej kopertę z oficjalnym nadrukiem.

Anita czuje ucisk w gardle. Zdaje sobie sprawę, że ta koperta zawiera jej przyszłość.

- Wolałbym przeczytać to na głos, w obecności świadków - dodaje maharadża.

Wzywa Indera Singha i Jarmani Dassa, swoich najbardziej zaufanych ludzi. Obaj uprzejmie pytają Anitę o zdrowie, po czym siadają, by wysłuchać trzystronicowego, zredagowanego po francusku tekstu. Maharadża zobowiązuje się w nim wypłacać Anicie szczerą pensję w wysokości tysiąca pięciuset funtów rocznie, „z przeznaczeniem na mieszkanie, pożywienie, ubrania, podróże i inne wydatki służące wygodzie”, pod warunkiem że jego była żona

nie wyjdzie powtórnie za mąż. Anita zachowuje prawo do używania tytułów księżnej i maharani Kapurthali, „choć nabyła je za sprawą małżeństwa morganatycznego, w związku z czym nie może czynić z niego samowolnego użytku ani przekazać go potomstwu”. Punkt szósty wyjątkowo dobitnie świadczy o intencjach maharadży: „Ambasadorowie i konsulowie brytyjscy na całym świecie zadbają, by Anie Delgado Briones w żadnych okolicznościach niczego nie zabrakło. Po jej śmierci, która, jak mamy nadzieję, przyjdzie późno i bez cierpień, to samo dotyczyć będzie jej jedyne go syna, Ajita Singha z Kapurthali, piątego w kolejności dziedzica tronu”.

Mogłaby już odejść w spokoju, ale maharadża zaprasza ją jeszcze na obiad wydawany na cześć nowego brytyjskiego inżyniera i jego żony. Znalazłszy się w jadalni, Anita obrzuca odruchowo taksującym spojrzeniem mahoniowy stół, przy którym zasiadało niekiedy ponad siedemdziesięciu biesiadników. Nakryty jest bez zarzutu: porcelanowe talerze z Limoges, kieliszki z czeskiego kryształu, sztuce z wygrawerowaną literą „K”, lniane serwetki, kwiaty... Anita czuje przypływ dumy - to jej dzieło, jej wkład we wspaniałość Kapurthali.

Zaczynają napływać goście. Rozmawiają z ożywieniem, na stojąco oczekując przybycia maharadży. Poza nowym inżynierem jest dyrektor szpitala z żoną, a także minister Jarmani Dass i kapitan Inder Singh. Po kilku minutach zjawia się gospodarz, wyjątkowo elegancki, pogodnie uśmiechnięty, jak zwykle ujmująco serdeczny i zdystansowany zarazem. Nie zjawia się jednak sam - towarzyszy mu posągowa piękność, Francuzka Arlette Serry, która pozdrawia zebranych ospałym ruchem dłoni.

Najpierw swoje miejsce zajmuje maharadża. Po jego prawej ręce, tam, gdzie zawsze siadała Anita, sadowi się Arlette. Anicie, która marzy już tylko o czekającej ją za progiem wolności, przypada krzesło z brzegu, na szarym końcu.

\* \* \*

Osiemnaście lat i pięć miesięcy po przybyciu do Indii, Anita wsiada w Bombaju na statek płynący do Europy. Ma trzydzieści trzy lata. W okrętowych lukach płyną jej klejnoty, papiery, trochę mebli i ubrań. Najważniejszą rzecz ma jednak przy sobie, w torebce: to fotografia Karana, z datą i podpisem.

Perspektywa spotkania z synem w Londynie i z rodzicami w Hiszpanii podnosi ją na duchu, lecz świadomość ostatecznego rozstania z Indiami wywołuje w niej dziwne uczucie, coś między żalem a lękiem. Bo Indie to pewien styl życia, do którego przywykła i z którego przyjdzie jej teraz zrezygnować.

Na nabrzeżu, gdzie stoi S/s Cumbria, Anita żegna się z Dalimą, która chciała odprowadzić ją aż tutaj.

- To dla ciebie, Dalimo. Pensja za ostatnie miesiące i dodatkowe wynagrodzenie. Niewiele w porównaniu z tym, na co zasługujesz. Bardzo niewiele.

Dalima wzbrania się przed przyjęciem grubej koperty i w końcu Anita musi jej wsunąć zawiniątko za sari. Niema z przejęcia Hinduska stoi jak sparaliżowana, podczas gdy memsahib obejmuje ją i ściska.

- Do widzenia, Dalimo. Gdybyś czegoś potrzebowała, skontaktujesz się ze mną przez pałac. Mają tam mój adres, napiszą ci list. Chciałabym dowiadywać się czasem, co u ciebie...

Dalima nadal stoi bez ruchu, jak martwy posąg wśród gorączkowej krzątaniny portu. Słysząc krakanie kruków, pokrzykiwania dokerów i tragarzy. Anita wchodzi po trapie na pokład. Na górze odwraca się jeszcze i widzi coś, co zapamięta na zawsze: Dalima wydobywa ze zwojów sari kopertę, otwiera ją, wyrzuca banknoty do morza i wybucha płaczem. Zasłania twarz.

## Epilog

„Kto osuszy nasze łzy?

Fotografię Karana trzymała Anita przy łóżku do końca życia. Łagodne rysy, turban spięty klejnotami, medale na piersi - taki widok witał ją co dzień o poranku i żegnał wieczorem. Choć w 1925 roku - tym samym, w którym ona opuściła Indie - Karana ożeniono, widywali się później w sekrecie, korzystając z jego podróży do Europy, w Biarritz, Deauville, Londynie i Paryżu. Były to przelotne spotkania, odpryski namiętności, która spaliła ich kiedyś na popiół. Z czasem robiły się coraz rzadsze i wreszcie ustały, kiedy Karan zakochał się w zaledwie dwudziestoletniej francuskiej aktorce filmowej. Dla Anity był jednak zawsze miłością jej życia.

Dzięki hojnemu wsparciu maharadży Anita nie miała problemów z przywyknięciem do nowych warunków. Dzielila czas między Paryż, Madryt i Malagę. Silna osobowość w połączeniu z niezwykle, egzotyczną przeszłością uczyniły z niej kogoś w rodzaju późniejszych celebrytów. Towarzysząca jej aura niejasnego skandalu tylko wzmagala powszechne zainteresowanie, Anita jednak nigdy nie wspominała imienia Karana. Ten dzielony z nielicznymi sekret chciała zabrać ze sobą do grobu i do końca zaprzeczała plotkom. Ale zdjęcie przy łóżku mówiło samo za siebie. Jako stała bohaterka kronik obyczajowych żyła w rytmie migracji podobnych sobie luksusowych ptaków: lato na Lazurowym Wybrzeżu, zima w Szwajcarii, kilka dni w Deauville... Obracała się wśród wielkich bankierów i innych bogaczy, ale zawsze wolała towarzystwo pisarzy, malarzy i wszelkiego rodzaju artystów, takich choćby jak jej dobra przyjaciółka Josephine Baker. Lubiła cyganerię. Tym bardziej że arystokraci - nie tylko Brytyjcy, Hiszpańcy również - nieodmiennie ją lekceważyli jako parweniuszkę.

Wierna swemu pochodzeniu bywała na wyścigach, na sewilskiej Ferii, a od czasu do czasu wybierała się również na pielgrzymkę, by choć na chwilę wrócić do źródeł. Konie, religia, muzyka i taniec - czegoż więcej chcieć?

Gdy ostatecznie przeprowadziła się do Hiszpanii, nie stroniła od korrid i wedle niepotwierdzonych plotek zakochała się w Juanie Belmonte, legendarnym torreadorze z Sewilli. Nigdy jednak nie obnosiła się ze swoim życiem uczuciowym z obawy, że maharadża zmniejszy albo cofnie jej pensję.

Zadomowiwszy się w Europie, zdała sobie sprawę, że nigdy nie zapomni Indii. Salonowe plotki, którymi zabawiało się towarzystwo w Madrycie czy Paryżu, wydawały się jej mdłe w porównaniu z opowieściami o polowaniach na

tygrysy czy konnych przeprawach przez góry Kaszmiru. W typowe dla Paryża i Londynu chłodne, mgliste dni myślała o świetlistych pendżabskich zimach, o bladej zieleni ryżowych pól, o swoim ogrodzie pełnym róż, tuberoz i bugenwilli, o zapachu fiołków. Wspominała konne przejażdżki, „godzinę krowiego kurzu”, dymy unoszące się nad piecykami w wioskach, wielkie pyliste równiny, przenikliwe głosy ptaków i zwierząt, dzwoneczki na szyjach wołów, odgłos monsunowych deszczów uderzających w dach, a przede wszystkim Dalimę, wdzięczne sylwetki Hindusek, zbytek i wszystkie te cuda, jakie zdarzyło jej się oglądać z grzbietu słonia. Powoli zapominała o negatywnych aspektach życia w Indiach: o wszechobecnej nędzy i okrutnym podziale na kasty. Nie pamiętała pełnych niepokoju nocy spędzonych nad łóżeczkiem chorego Ajita, samotności doświadczanej w pałacu, straszliwych upałów, strachu przed wężami i pajakami, przed otruciem i chorobą, przed samymi Indiami wreszcie.

Tęskniła tak bardzo, że jeszcze wiele lat później kazała służącym nosić barwy Kapurthali i białe, niewygodne rękawiczki. Schodziła do jadalni punktualnie, ale w szlafroku i papilotach. Jadła sama, zatopiona we wspomnieniach o bajkowym, dawno minionym życiu.

Wielokrotnie chciała wrócić do Indii, ale nigdy nie dostała od Brytyjczyków wizy. Nie wiedziała, że za tą upartą odmową stoi nie kto inny, tylko sam maharadza. „Jego wysokość nie życzy sobie, aby Prem Kaur odwiedzała Indie, co mogłoby spowodować perturbacje w łonie jego rodziny, dlatego poprosiliśmy Foreign Office o stosowne decyzje w tej sprawie”, pisał w 1937 roku niejaki M. Baxter z India Office.

Jednakże Jagatjit Singh odwiedzał byłą żonę regularnie, przy okazji swoich kolejnych podróży. Zostali przyjaciółmi, utrzymywali stały kontakt i przesyłali sobie wiadomości przez Ajita kursującego w tę i z powrotem między Indiami a Europą. Mimo odległości maharadza był w życiu Anity obecny aż do końca. Kiedy w 1931 roku umarł jej ojciec, a potem, w 1935, matka - pierwsze telegramy z kondolencjami nadeszły właśnie z Kapurthali. Wierny tradycji osłaniania kobiet swego życia maharadza zawsze dbał o swoją hiszpańską rani. Po wybuchu wojny domowej umieścił ją wraz z jej siostrzenicą Victorią w wygodnym hotelu w Bretanii, a później, w obliczu zbliżającej się drugiej wojny światowej, przeniósł obie do Portugalii, gdzie mieszkały do zakończenia konfliktu. Jak mawiała doña Candelaria, był prawdziwym dżentelmenem.

Jagatjit Singh do końca życia nie ustawał w wysiłkach, by zastąpić Anitę inną Europejką. Czuły i kochliwy - stanowił idealny cel dla pozbawionych skrupułów łowczyń fortun. Należała do nich Arlette Serry, która przez dwa lata



krążyła między Kapurthala a Paryżem, zwlekając z wyjaśnieniem sytuacji. A maharadża jeździł za nią i w Pavillon Kapurthala całymi miesiącami przekonywał ją, by została jego żoną. W pewien piątkowy wieczór Jarmani Dass zastał swego władcę pogrążonego w modlitwie. Na pytanie, czemu maharadża modli się o tak później porze, Inder Singh, który siedział obok i czytał na głos fragmenty z „Granth Sahib”, odpowiedział, że obaj błagają Wszechmogącego, by dał Jagatjitowi Singhowi siłę przed nocą z Arlette. Nazajutrz Jarmani Dass nie ośmielił się, oczywiście, zapytać, czy modły okazały się skuteczne, ale otrzymany tego samego dnia niespodziewany czek opiewający na dziesięć tysięcy franków kazał mu przypuszczać, że owszem. Gdy był zadowolony z siebie, maharadża rozdawał pieniądze na prawo i lewo. Arlette, którą obsypywał biżuterią od Cartiera, zagarniała, rzecz jasna, lwią ich część.

W końcu jednak zmęczyła się rolą pijawki i uciekła z trzymanym do tej pory w sekrecie narzeczonym, paryskim korespondentem jednej z argentyńskich gazet. A maharadża został z niczym.

Wkrótce potem poznał w Cannes inną Francuzkę, piękną, inteligentną i wykształconą Germaine Pellegrino - prawdziwy ideał. Choć od początku uprzedzała, że jest zaręczona z samym Reginaldem Fordem, dziedzicem słynnej amerykańskiej firmy, maharadża zaprosił ją do Kapurthali i gościł z honorami. Całymi godzinami gawędzili o polityce i historii i bardzo się zaprzyjaźnili. Widywali się też potem w Paryżu i maharadża całkiem stracił głowę. „Chciałbym, żebyś została moją maharani”, odważył się powiedzieć któregoś razu. Germaine zdumiała się i oburzyła: „Przecież już mam narzeczonego”. „Maharadża był zdruzgotany jej odmową, naprawdę bardzo to przeżył”, pisał Jarmani Dass. „Kazał mi zrobić wszystko, by zmieniła decyzję, zapowiadając, że w przeciwnym razie się zabije”. Zabiegi Dassa nie przyniosły upragnionego rezultatu, ale Jagatjit się jednak nie zabił. O ślubie ukochanej z Reginaldem Fordem dowiedział się dzięki temu, że wysłał jej na urodziny drogocenny naszyjnik z pereł, na co otrzymał taką oto odpowiedź: „Serdecznie dziękuję za prześliczny prezent ślubny”.

W 1942 roku udało mu się wreszcie ożenić. Jego wybranką została Eugenia Grossup, aktorka teatralna, obywatelka Czechosłowacji, poznana sześć lat wcześniej w Wiedniu wysoka blondynka z niebieskimi oczami. Podobnie jak Anita pochodziła z bardzo biednej rodziny, miała jednak zupełnie inny charakter: była słaba, nieśmiała, pozbawiona talentów towarzyskich. Lekceważona przez rodzinę maharadży i Brytyjczyków, po śmierci matki, która mieszkała wraz z nią w jednym ze skrzydeł pałacu, popadła w paranoję. Żyła w

przekonaniu, że jej matka została otruta i że podobny los już wkrótce czeka także i ją. Samotność, nuda i neurotyczne skłonności wpędziły ją w końcu w szaleństwo. Postanowiła wyjechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie, jak twierdziła, żył jakiś jej krewny. Na czas załatwiania formalności zamieszkała w hotelu Maidens w Delhi. Jednakże Anglicy robili trudności, a i zakończona właśnie druga wojna światowa nie ułatwiała sprawy: ze wszystkim były kłopoty, począwszy od wiz po wymianę pieniędzy. 10 grudnia 1946 pod wpływem ataku paniki Eugenia wsiadła do taksówki i kazała się wieźć do Mahrauli, gdzie stoi stumetrowa wieża Qutb Minar. Wraz z dwoma psami wspięła się na sam jej szczyt i skoczyła.

Śmierć Tary Devi - bo takie imię Eugenia otrzymała na ślubie - wzbudziła, rzecz jasna, wielką sensację. Rozpisywały się o niej wszystkie gazety. Maharadża ciężko zniósł ten kolejny skandal i pogrążył się w czymś w rodzaju depresji. Według Jarmani Dassa z dnia na dzień postarzał się o dziesięć lat, „Cóż to za wybuchowa mieszanka - Wschód z Zachodem!”, pisał później minister.

Tragiczne to wydarzenie zapoczątkowało nowy, trudny etap w stosunkach maharadży z Brytyjczykami. Jagatjit Singh otwarcie oskarżał ich o zaszczucie żony i spowodowanie jej śmierci. Na odpowiedź nie musiał długo czekać. 19 grudnia 1946 roku J.H. Thompson napisał: „Jeśli ktokolwiek ponosi odpowiedzialność za śmierć Tary Devi, to tylko wasza wysokość. Jestem zmuszony przypomnieć waszej wysokości, że małżeństwo z kobietą o czterdzieści lat młodszą, w dodatku cudzoziemką, pociąga za sobą wielkie ryzyko. To ryzyko wasza wysokość podjął. Tragiczny finał tej historii nie ma więc nic wspólnego z nami”.

W owym czasie maharadża Kapurthali był już świadkiem końca znanego sobie świata, którego śmierć zbiegła się z jego własną. Zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej Brytyjczycy ogłosili decyzję o przyznaniu Indiom niepodległości. Choć wielu indyjskich książąt nie wierzyło, że Anglicy będą zdolni złamać historyczne układy, Jagatjit Singh przeczuwał, że maharadzowie wkrótce zostaną zdani sami na siebie. Gandhi i Nehru zjednoczyli masy wokół Partii Kongresowej, będącej teraz potężną organizacją aspirującą do przejęcia demokratycznej władzy w nowych Indiach. Indyjscy książęta wciąż nie potrafili dojść między sobą do żadnego porozumienia, co nie polepszało ich coraz trudniejszej sytuacji. Większość nie potrafiła sobie nawet wyobrazić rezygnacji z władzy albo przystąpienia do demokratycznej federacji. Przeskok ze średniowiecza w XX wiek okazał się niemożliwy.

Oglądanie się wstecz dodawało natomiast otuchy. Jagatjit Singh był zadowolony z tego, co udało mu się osiągnąć. Uczynił z Kapurthali modelowe państwo w miniaturze - dobrze zarządzane i bez korupcji. Przyciągnął kapitał, dzięki któremu powstały trzy fabryki i ruszył przemysł cukrowniczy. Liczba dzieci objętych obowiązkiem szkolnym wzrastała, co budziło podziw nawet u Europejczyków. Przystępność była zjawiskiem prawie nieznanym. Szczególną dumą napawała maharadżę własna zdolność do zażegnywania konfliktów między różnymi grupami wyznaniowymi. W tym celu z ogromnym wyczuciem żonglował stanowiskami, tu odwołując muzułmańskiego ministra, tam zastępując sikha hindusem - tak aby zadowolić wszystkich. Dlatego, podczas gdy w innych częściach Pendżabu nierzadko dochodziło do zamieszek, Kapurthala pozostawała wzorem pokojowej koegzystencji. Stolica ze swoimi ogrodami i pięknymi budowlami, czysta i spokojna jak miasta w Europie, stanowiła źródło inspiracji dla architektów z całych Indii. Kolonialni urzędnicy nie lubili wyjeżdżać z Kapurthali, przekonani, że tam, dokąd się ich wysyła, musi być gorzej.

Jednakże najbardziej szczylił się maharadża miłością, którą darzyli go poddani. Co roku w marcu udawał się na słońcu do ogrodów Salimar, gdzie zwyczajowo odbywał się festyn z okazji początku lata, i odpowiadał na pytania, gawędził z ludźmi, interesował się ich losem, radując się przy tym powszechną sympatią. Z przyjemnością wspominał święta, na które spraszał do pałacu setki dzieci, by obdarowywać je książkami. Albo wizyty w sądzie, na posterunkach policji i w szpitalach, wizyty, które pozwalały mu trzymać rękę na pulsie. Prawda, że dużo podróżował, ale nie mógł się zgodzić ze swoimi cerberami, brytyjskimi urzędnikami, którzy twierdzili, że te wojaże szkodzą państwu. Nic podobnego. Kapurthala stała się z czasem ośrodkiem kultury i dobrobytu. Dzięki niemu, Jagatjitowi Singhowi, który robił wszystko, żeby przypodobać się ludziom i Bogu i żeby przejść do historii jako władca łaskawy, tolerancyjny i sprawiedliwy.

Znacznie trudniejsze od zarządzania państwem okazało się zapewnienie Kapurthali dziedzica. Brinda nie dała Paramjitowi syna - operacje w Paryżu się nie powiodły i pozostała bezpłodna. Maharadża spełnił więc swoją groźbę i ożenił syna po raz wtóry. Osobiście wybrał mu narzeczoną spośród córek pewnego radży z doliny Kangra, jak nakazywał obyczaj. Brinda próbowała się sprzeciwić, poprosiła nawet o pomoc Harbans Kaur, którą popierała kiedyś w wojnie z Anitą, ale teściowa odwróciła się do niej plecami, wychodząc z założenia, że jeśli sama mogła akceptować wielożeństwo męża, dlaczego nie miałyby się z nim pogodzić również jej synowa. Czyż nie była taką samą jak

wszystkie Hinduską? Przegrana, upokorzona Brinda zażądała więc rozwodu, opuściła Kapurthale i wyjechała z córkami do Europy.

Tak czy owak od dawna nic jej nie łączyło z Paramajitem, który od pewnego już czasu żył z angielską tancerką, Stellą Mudge. Historia zaczynała się powtarzać - syn szedł w ślady ojca. Tyle że Stella nie była Anitą. Znacznie bardziej stanowcza i wyrachowana, sprawiała dużo kłopotów: nie zgadzała się na małżeństwo Paramjita, a sama nie bardzo nadawała się na matkę przyszłego dziedzica Kapurthali. W końcu maharadża rozwiązał problem w typowy dla siebie sposób - dzięki pieniądзом. Obiecał Stelli milion dolarów w zamian za przekonanie Paramjita do małżeństwa z dziewczyną z doliny Kangra, z „tą dzikuską”, jak ją pogardliwie nazywała. Ostatecznie ślub się odbył - pospieszny i niemal ukradkowy.

Jednakże Paramjit odmawiał skonsumowania nowego związku. Piękna żona, którą co wieczór masowało i ubierało tuzin służących, daremnie czekała na niego w zenanie. W końcu Stella, w trosce o swoje pieniądze, dosłownie zmusiła go do działania. Pewnego wieczoru, o siódmej wieczorem, smutny i zażenowany stanął przed pokojem małżonki, skąd wyszedł trzydzieści pięć minut później, „zamyślony i zmęczony”, jak donosili świadkowie, których skądinąd nie brakowało, w korytarzu tłoczyli się bowiem ministrowie, urzędnicy i kilku pogrążonych w modlitwie świątobliwych starców. Spełniwszy swój obowiązek, Paramjit wyjechał ze Stellą na wakacje do Europy. Dziewięć miesięcy później urodził mu się syn\*. Radość maharadży nie znała granic - w dowód wdzięczności obiecał wychować wnuka w najczystszej sikhijskiej tradycji.

\* Był to Sukhjit Singh, obecny maharadża Kapurthali, generał indyjskiej armii, kilkakrotnie odznaczony za bohaterstwo w czasie wojny między Indiami a Pakistanem z 1972 roku. Na potrzeby tej książki wypowiedział się w specjalnym wywiadzie (maj 2003, Czandigarh, Pendżab).

W lutym 1947 roku laburzystowski rząd otwarcie sympatyzujący z Partią Kongresową mianował wicekrólem kuzyna królowej, lorda Louisa Mountbattena, powierzając mu przygotowanie zmiany władzy w Indiach. Zaraz po przyjeździe do New Delhi Mountbatten wezwał do siebie maharadzów i wygłosił do nich przemówienie w Izbie Książąt. Jagatjit Singh, wychudły, wsparty na lasce, z udekorowaną licznymi orderami piersią i posiwiąłym wąsem, również wysłuchał tej mowy, która wyznaczała koniec jego epoki. „Kości zostały rzucone”, oświadczył Mountbatten. Nie było czasu, by analizować umowy wiążące Koronę z poszczególnymi książętami. Ci, którzy chcieli zachować swoje prawa, musieli podpisać akt akcesji bądź to do Indii,

bądź to do Pakistanu, co znaczyło ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że imperium podaje ich na tacy Partii Kongresowej Nehru albo Lidze Muzułmańskiej Ali Jinnaha. Obecni na tym spotkaniu gubernatorzy, wysocy urzędnicy kolonialni i maharadzowie nie wierzyli własnym uszom. Wicekról za jednym zamachem unieważniał wszystkie historyczne porozumienia, dzięki którym brytyjska zwierzchność w Indiach mogła się w ogóle utrzymać, a które zarazem chroniły miejscowych książąt. Wobec tak niesłychanej zdrady nikt nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Czy w ten sposób Wielka Brytania dziękowała maharadzom za wkład w ostatnią wojnę światową? Nabab Bhopalu sprzedał na przykład wszystkie swoje akcje, by zakupić samoloty, które następnie oddał do dyspozycji jego wysokości. Nizam Hajdarabadu sfinansował trzy eskadry myśliwców. Do walki stanęło trzysta tysięcy Hindusów, sto osiemdziesiąt milionów rupii poszło na bony wojenne. A teraz Brytyjczycy opuszczali swoich niedawnych sprzymierzeńców, oddając ich na pastwę radykałów, którzy wkrótce mieli pozbawić ich władzy.

Czy jest jakaś alternatywa, zastanawiał się Jagatjit Singh. Owszem, można było ogłosić niepodległość. Ale jakie szanse miała maleńka Kapurthala wciśnięta między potężne Indie i Pakistan? Czy pięć tysięcy żołnierzy mogło stawić opór nieuchronnej inwazji? Czy słaba gospodarka poradziłaby sobie z bojkotem? Pojedyncze księstwa były zbyt słabe, żeby przeciwstawić się dwóm powstającym gigantom. A zjednoczyć się nie zdołały. Dlatego Mountbatten miał rację: kości zostały rzucone.

Książęta, jeden po drugim, zaczęli podpisywać akt akcesji, jedni z własnej woli, gnani chęcią uczestnictwa w przemianach, inni z obawą, pchani przez wiatr historii. Pierwszy uczynił to Ganga Singh, wierzący w nowe Indie maharadza Bikaneru, ten sam, który podał kiedyś Anicie przepis na nadziewanego wielbłąda. Później dołączyli kolejni: władcy Dźodhpuru, Dźajpuru, Bhopalu, Waranasi, Patijali, Dholpuru... Maharadza Kapurthali szybko podjął decyzję. Choć większość jego poddanych wyznawała islam, wybrał świeckie Indie, których konstytucja gwarantowała mieszkańcom więcej swobód obywatelskich niż muzułmański Pakistan. Chcąc ogłosić swe postanowienie, zwołał szefów wiosek, panditów, muftich i przedstawicieli sikhów. Wszyscy przyjęli jego słowa w absolutnej ciszy. Tylko pewien starszy odważył się powiedzieć: „Wszystko to pięknie, wasza wysokość, ale kto osuszy nasze łzy, gdy was zabraknie?”. Wzruszony Jagatjit Singh odebrał tę uwagę jako hołd złożony nie tylko jemu, ale całej jego rodzinie, która przez wieki umiała zjednoczyć się z ludem w trudnych chwilach.

Tylko trzech książąt sprawiło kłopoty. Nabab Dżunagadhu, ten, który organizował psie śluby, postanowił wbrew wszelkiej logice przyłączyć swe leżące w sercu Indii państwo do Pakistanu. Kiedy jego poddani, wyznający w większości hinduizm, wyrazili w referendum przeciwne zdanie, w obliczu nadciągającego indyjskiego wojska musiał w pośpiechu uciekać wraz ze swymi trzema żonami, masą psów i skarbcem.

Z kolei Hari Singh, maharadża Kaszmiru, stanowił przypadek odwrotny: będąc samemu hindusem, rządził ogromną społecznością muzułmańską. Długo nie mógł się zdecydować, czy Kaszmir powinien przyłączyć się do Pakistanu czy do Indii, czy raczej zachować niepodległość. Niewykluczone, że skłoniłby się ku temu ostatniemu - tym bardziej że dysponował wystarczająco dużą armią - gdyby nie fakt, że ze złotej snu o wolności obudziły go przedzierające się z Pakistanu muzułmańskie bojówki, które zaczęły pustoszyć jego ziemie i straszyć ludność. Zmuszony do podjęcia jakichś kroków, postanowił zwrócić się o pomoc do New Delhi. Rząd, nie zwlekając, wysłał do ukochanego przez Anitę Srinagaru wojsko i Kaszmir, niegdyś raj na ziemi, zamienił się w pole walki między Indiami a Pakistanem. Hari Singh na zawsze opuścił pałac w Srinagarze, przenosząc się do swej letniej rezydencji w Dżammu, gdzie żył na luksusowym wygnaniu. Co ciekawe, jego syn Karan rządził potem Kaszmirem z ramienia samego Nehru, wielkiego wroga maharadzów i jednego z ojców niepodległości Indii, a jeszcze później wygrał wybory i został premierem rządu centralnego.

Trzecim, który wyłamał się z szeregu, był nizam Hajdarabadu. Dawny wielbiciel Anity, teraz mierzący półtora metra i ważący czterdzieści kilogramów staruszek, pozostał najbardziej ekscentrycznym z indyjskich książąt. Z upływem lat jego bajeczna fortuna rosła w tym samym rytmie co jego przysłowiowe sknerstwo, skłaniające go do zbierania pozostawionych przez gości niedopałków. Gdy przybyły z Bombaju lekarz zalecił mu zrobienie elektrokardiogramu, przerażony ewentualnymi kosztami władca nakazał centrali w Hajdarabadzie przerwanie dostaw prądu.

Podobnie jak jego przyjaciel Hari Singh z Kaszmiru nizam miał do dyspozycji niemałą armię. Gdy usłyszał od wysokiego urzędnika, że Brytyjczycy zamierzają opuścić Indie, podskoczył z radości i wykrzyknął: „Wreszcie będę wolny!”.

Wkrótce też ogłosił niepodległość Hajdarabadu, nie zdając sobie sprawy, że wraz ze zniknięciem Anglików znikła chroniąca go sieć wpływów. Co gorsza, nie mógł też liczyć na poparcie swoich poddanych - przez wszystkie minione lata zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. 13 września 1948 roku indyjski

rząd rozpoczął operację pod kryptonimem Polo. Atak przeprowadzono z większą zaciekleścią, niż by sobie tego życzył Nehru. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin niepodległy Hajdarabad przestał istnieć, a wraz z nim zniknął pewien styl życia oparty na gościnności, uprzejmości, upodobaniu do sztuki i sprawnej administracji nieczyniącej rozróżnień między religiami i kastami. Przez kilka kolejnych lat nizam oficjalnie zajmował dawne stanowisko, zachowując prawo do swoich dwudziestu salw, ale nie miał już żadnej władzy. Część jego bogactw została skonfiskowana w zamian za dożywotnią pensję dwóch milionów dolarów rocznie. Spędzał czas, popijając kawę - średnio pięćdziesiąt filiżanek na dzień - pisząc poezję w urdu i czuwając nad rozwojem ufundowanego przez siebie uniwersytetu. Pod koniec życia, nie chcąc marnować pieniędzy, sam cerował sobie dziurawe skarpetki.

\* \* \*

15 sierpnia 1947 roku został uznany przez astrologów za dzień sprzyjający rozpoczęciu przez Indie samodzielnej egzystencji. Cały kraj czekał na wystąpienie Nehru w parlamencie, Jagatjit Singh postanowił wszakże nie zmieniać swoich przyzwyczajzeń. O dziesiątej trzydzieści, po skromnej kolacji i cwieczornym spacerze, położył się do łóżka. Słynną przemowę przeczytał następnego ranka w gazecie, przy śniadaniu, które jadał w japońskim gabinecie: „O północy Indie obudzą się do życia i do wolności. Zbliży się jedna z tych rzadkich w historii chwili, kiedy naród zostawia za sobą przeszłość, by zanurzyć się w przyszłość, kiedy jego dotychczas stłumiona dusza znajduje znowu sposób wyrazu”.

Całkiem zgrabnie powiedziane, jak na byłego kolegę z klasy Paramjita, pomyślał maharadża, podnosząc do ust filiżankę z gorącą herbatą. Harrow było zdecydowanie dobrą szkołą, dlatego zamierzał tam w odpowiednim momencie posłać swego wnuka.

Nie potrafił jednak zrozumieć entuzjazmu prasy i ekstatycznego upojenia tłumów. Za tą radosną fasadą kryła się przecież tragedia. Dzielać Indie zgodnie z życzeniem swego starego przyjaciela Ali Jinnaha, Brytyjczycy wyznaczyli nową granicę: obszary zamieszkane przez większość hinduską przyznali Indiom, te zamieszkane przez większość muzułmańską - Pakistanowi. Na papierze efekt mógł się podobać. W praktyce oznaczał prawdziwą katastrofę. Wystarczyło popatrzeć na Pendżab: Lahore przypadło Pakistanowi, Amritsar ze Złotą Świątynią - Indiom, i Sikhowie, jedna z najlepiej zorganizowanych, najbardziej walecznych społeczności, znalazła się po dwóch stronach granicy. Lahore, Paryż Wschodu, najpiękniejsze, najbardziej kosmopolityczne miasto subkontynentu, już wkrótce przemienić się miało w prowincjonalną dziurę

żyjącą w rytmie wyznaczanym przez muezinów. Świat Jagatjita Singha został nieodwracalnie okaleczony.

Kilka dni później w prasie znów pojawiła się wiadomość, która zwróciła uwagę maharadży. W skład pierwszego rządu niepodległych Indii wchodziła bowiem dobrze mu znana Rajkumari Amrit Kaur, dla rodziny Bibi, zbuntowana córka kuzyna z Dżalandaru. Nehru mianował ją ministrem zdrowia, po raz pierwszy w historii Indii powierzając tak eksponowane stanowisko kobiecie. W ten sposób wynagradzał wierną współpracownicę za całe lata walki o niepodległość, dwukrotne uwięzienie i bolesne starcia z policją przy okazji niezliczonych manifestacji. W 1930 roku, kiedy weszło w życie prawo zabraniające Hindusom produkowania na własną rękę soli, Bibi wraz z Gandhim przewędrowała na czele wielkiego marszu protestacyjnego ponad trzysta kilometrów. Stopniowo stawała się kimś więcej niż tylko liderką prowadzonej przez Gandhiego antybrytyjskiej kampanii „Quit India”. Walczyła z niesprawiedliwością społeczną, małżeństwami wśród dzieci, z systemem purdah i analfabetyzmem. Panienska z dobrego domu, która paliła niegdyś papierosy w ramach prowokacji i która wróciła z angielskiej szkoły z masą luksusowych prezentów dla kuzynek, została bohaterką milionów, pokazując, co może osiągnąć kobieta w nowoczesnym, demokratycznym państwie.

\* \* \*

10 marca 1949 roku Jagatjit Singh przybył do Bombaju, skąd miał odpłynąć do Europy. Wydarzenia, do jakich doszło od czasu ogłoszenia niepodległości, trzymały go w Kapurthali, gdzie zgodnie z jego najgorszymi przeczuciami zaraz po przemówieniu Nehru rozpętało się piekło. Rozpoczęły się masowe migracje: hindusi, którzy z dnia na dzień znaleźli się w Pakistanie, szukali schronienia w Indiach, muzułmanie ciągnęli do Pakistanu. Podział, któremu Gandhi zawsze się sprzeciwiał, spowodował wybuch tłumionych antagonizmów i jatkę.

Cudowna kraina pięciu rzek, kulturowy tygiel - Pendżab spłynął krwią. Maharadża bezsilnie obserwował, co się dzieje, daremnie nawołując do opamiętania. „To najgorsze lata w moim życiu”, miał później powiedzieć jego wnuk, Sukhjit Singh. Kapurthala uniknęła wprawdzie najgorszego, ale w sąsiedniej Patijali wody strumieni co dzień barwiły się na czerwono od kolejnych rzezi.

A kiedy zapanował wreszcie spokój, nic już nie było takie jak wcześniej. Wielokulturowe, tolerancyjne państwo, o jakie Jagatjit Singh zabiegał przez całe życie, nie miało dłużej racji bytu. Wkrótce potem indyjski rząd jął łamać obietnice złożone maharadzom. Czterdzieści jeden wschodnich księstw



połączono w stan pod nazwą Orisa, usuwając, rzecz jasna, dawnych władców. Dwa miesiące później państewka leżące na półwyspie Kathiawar nad Morzem Arabskim zamieniły się w Gudźarat. Potem przyszła kolej na centrum kraju, gdzie zamiast podzielonej Radźputany istniał odtąd scalony Radźasthan. To samo czekało ponoć Pendżab... Pięćdziesiąt pięć lat w służbie Kapurthali i oto praca mojego życia wkrótce pójdzie na marne, myślał Jagatjit Singh, rozgoryczony faktem, że ojcowie narodu, wielcy przywódcy, nie dotrzymują słowa.

Przez okno królewskiego apartamentu - zwanego obecnie apartamentem prezydenckim - na piątym piętrze hotelu Tadź Mahal, tego samego, w którym Anita spędziła swą pierwszą noc po przybyciu do Indii i w którym usłyszała z ust doktora Willoughby'ego o swojej pierwszej ciąży, maharadża obserwował teraz Wrota Indii, imponujący łuk tryumfalny postawiony przez Anglików w 1911 roku dla upamiętnienia wizyty króla Jerzego V i królowej Marii. Jakże śmieszny wydawał się obecnie ten symbol potęgi nieistniejącego już imperium!

Ze swego miejsca w pokoju Jagatjit Singh widział też okręt, na który miał niedługo wsiąść. Po raz pierwszy miał ochotę wyjechać z Indii na stałe. W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat był człowiekiem zmęczonym i pozbawionym wiary w przyszłość. Zawsze starał się żyć intensywnie, cieszyć się każdą chwilą, ale ostatnie wydarzenia pozbawiły go resztek energii. W coraz częstszych momentach melancholii wspominał nieżyjących synów. Najpierw, w 1932 roku, u szczytu swojej politycznej kariery odszedł czterdziestoletni zaledwie Mahijit, powalony przez rozwijającego się błyskawicznie raka. Potem, w 1944, umarł na serce przebywający akurat w Śrinagarze Amarjit. Pozostawał Paramjit, dziedzic bez tronu, alkoholik wykorzystywany przez pazerną kochankę.

No i Karan, winny największego w dziejach Kapurthali skandalu pałacowego. Pogodzili się już dawno. Karan zrehabilitował się, doskonale zarządzając ziemiami w Oudh. Okazał się tak wspaniałym administratorem, że maharadża wezwał w końcu syna do Kapurthali i powierzył mu wszystkie ważniejsze sprawy, traktując go jako podporę swojej starości. Jakież dziwne bywa życie! Poza tym Jagatjit czuł wyjątkową sympatię do jego żony, zwanej księżną Charan, która nieco wcześniej pojawiła się na okładce „Vogue'a” ze wspaniałym pierścieniem od Cartiera na palcu. Ucieleśniała wszystko to, co lubił w kobietach: urodę, elegancję i rozum. Tak, Karan byłby jego godnym następcą.

Po drodze wykruszyli się też, jeden po drugim, przyjaciele. Najciężej przeżył maharadża śmierć Bhupindera Wspaniałego z Patijali, tego, który czcił boginię

Koul i niezmordowanie uganiał się za kobietami. Serce odmówiło mu posłuszeństwa w czterdziestym siódmym roku życia. Stosowną kodą jego egzystencji był fakt, że dokładnie dziewięć miesięcy później jego ostatnia konkubina urodziła dziecko...

Synowie, przyjaciele, miłości... Istotą życia okazywała się utrata. Teraz, na koniec, przyszło jeszcze pożegnać się z tronem. Były władca Kapurthali czuł, że wkrótce zabraknie dla niego miejsca na ziemi.

Wolał wyjechać. Uciec, uciec od siebie samego. Zapomnieć. Poświęcić resztkę życia swojemu prawdziwemu powołaniu - kobietom. Tylko one były w stanie tchnąć w jego stare, poranione serce jeszcze trochę otuchy. Cała ta podróż miała sens jedynie dlatego, że w Londynie mieszkała pewna poznana w Kalkucie Angielka, z którą nawiązał przyjaźń, a może i coś więcej... Ach, Europejki! Podobno sam Nehru uległ czarowi jednej z nich, żony ostatniego wicekróla, Edwiny Mountbatten. Plotka głosiła, że są bardzo zakochani i że widują się przy okazji zagranicznych podróży premiera. Czas mijał, historia toczyła się dalej, zmieniali się ludzie, ale miłość pozostawała ta sama. Podobnie jak Wschód i Zachód, tak różne, a tak dla siebie nawzajem pociągające dwa oblicza tego samego świata.

Maharadża zamierzał też odwiedzić Hiszpanię i nacieszyć się swoim ulubionym flamenco w towarzystwie Anity i Ajita, który pracował jako attache kulturalny w indyjskiej ambasadzie w Buenos Aires, ale na jakiś czas miał zjechać do Madrytu - wierny swoim andaluzyjskim korzeniom przepadał bowiem za korridą i ognistymi rytmemi.

Tamtego wieczoru Jagatjit Singh nie chciał zejść na kolację. Poprosił sekretarza o lekki posiłek do pokoju. Potem kazał otworzyć na oścież wychodzące na morze okna, przez które widać było czekający przy nabrzeżu statek. Panował typowy dla Bombaju wilgotny upał. Maharadża położył się, słuchając krakania kruków i szumu obracającego się pod sufitem wentylatora. Delikatna bryza poruszała zasłonami, które chwiały się w mroku jak tańczące cienie. Między nimi jaśniał sierp księżyca.

Kiedy sekretarz wrócił, prowadząc kelnera popychającego wózek z kolacją, zastał maharadzę na łóżku, z półuśmiechem na ustach. Wyciągnięty w pościeli Jagatjit Singh wyglądał jak zawsze majestatycznie. Nie ruszał się jednak, nie odpowiadał na wezwania, nie oddychał. Umarł spokojnie, bez walki i cierpień. Śmierć obeszła się z nim tak łaskawie, jak on obchodził się z życiem.

Kilka dni później ulicami Kapurthali przeszedł żałobny orszak, otwierany przez Paramjita i jego syna. Dalej tłoczyła się cizba ludzi przybyłych, by oddać cześć człowiekowi, który rządził nimi przez niemal sześćdziesiąt lat.

Sklepiarze i wieśniacy, muzułmanie, hindusi i długobrodzi sikhowie - wszyscy płakali. Rodzina zgromadziła się w ogrodach Śalimar, pod miastem. Ciało maharadży, zgodnie z sikhijską tradycją, wedle której rodzimy się nadzy i nadzy umieramy, spoczywało na stosie, przy którym przykucnął wychudły starzec, przyjaciel Jagatjita i jego doradca od spraw religijnych i historycznych. „Odszedł wielki człowiek”, powiedział, „człowiek, który podźwignął ten kraj, a teraz zabiera go ze sobą do grobu”.

\* \* \*

Anita odebrała wiadomość o śmierci byłego męża w swoim luksusowym madryckim mieszkaniu przy ulicy Marques de Urquijo. Na honorowym miejscu wisiał tam portret Jagatjita w galowym stroju. Wedle słów pokojówki spędziła całe popołudnie, wpatrując się w ów obraz ze złożonymi rękami, jak gdyby modliła się za człowieka, który wbrew wszystkiemu uczynił ją księżną i otaczał opieką do końca. Potem napłynęły kondolencje z całego świata, Franco zaprosił wdowę do pałacu El Pardo, by przekazać jej wyrazy współczucia. Ale pustki nie dało się tym wypełnić.

Po wycofaniu się Anglików Anita, która nigdy nie przestała tęsknić za Indiami, myślała o tym, żeby tam pojechać, lecz sytuacja w Pendżabie nie sprzyjała podróżom. Poza tym Ajit, playboy obieżyświat, zdecydowanie jej to odradzał. „Lepiej zostań w Hiszpanii, mamó”, napisał w 1955 roku, „I zachowaj swoje piękne wspomnienia. Tu wszystko się zmieniło, aż żal patrzeć. Zastanawiam się, co byś poczuła, widząc, jak niewiele pozostało z twojego świata. Opustoszały, smutny pałac, nieliczne meble przykryte brudnymi szmatami, okna, te same, przez które wyglądałaś, marząc o swobodzie, wybite, wpuszczające do środka zimno i deszcz...”.

Nigdy nie wróciła do Kapurthali. Żyła wspomnieniami, chciwie łowiąc wszelkie wieści o tym, co działo się w Indiach. Partia Kongresowa doprowadziła w końcu do pozbawienia książąt wszelkich uprawnień i pensji. Ajit miał słuszność: nie było po co wracać.

Anita umarła 7 lipca 1962 roku na rękach syna, który zdążył dojechać na czas, by towarzyszyć jej w ostatnich chwilach. Kiedy jednak przyszło do pogrzebu, wynikły niespodziewane kłopoty. Kościół katolicki odmawiał Anicie pochówku, twierdząc, że po wyjściu za mąż za maharadżę, wyrzekła się swojej wiary. Nawet po śmierci nie przestawały jej ścigać przesady, z którymi walczyła całe życie. Ajit niemało się natrudził, by przekonać odpowiednich dostojników, że jego matka do końca pozostała katoliczką. Musiał przedstawiać rozmaite zaświadczenia i powoływać na świadków służących oraz przyjaciół. Wyszywana klejnotami sukienka, którą ofiarowała Najświętszej Paniencie,

posłużyła za dowód jej nieustającego oddania Matce Boskiej. To niezwykle wotum, wydobyte z zatechłych szuflad, gdzie z woli zawziętego klechy przeleżało wiele lat, zostało w końcu umieszczone w muzeum diecezjalnym w Maladze i wbrew woli Anity nigdy nie służyło do ozdabiania posągu Matki Boskiej w czasie procesji.

Wreszcie Kościół wyraził zgodę na katolicki pogrzeb, pod warunkiem że na grobie nie znajdą się symbole żadnej innej religii. I tak, tydzień po śmierci, Anita Delgado Briones spoczęła wreszcie w pokoju.

Co się z nimi stało?

Paramjit umarł w 1955 roku w wieku sześćdziesięciu trzech lat, w swoim domu w Kapurthali, do końca dogładany w chorobie przez Stellę Mudge. Łóżko, na którym spędził ostatnie miesiące, miało kształt gondoli, na pamiątkę Wenecji, gdzie po raz pierwszy spotkał swoją angielską kochankę.

Jego brat Karan zmarł na serce w roku 1970, w New Delhi. Martand i Arun, synowie, których urodziła mu Charan, piękna żona z okładki „Vogue'a", dziś zajmują się polityką.

Ajit, syn Anity, parał się amatorsko to tym, to owym, a wierny zwyczajom przodków był zapalonym kobieciarzem - z tego powodu określano go nawet mianem ladies'man. Poza tym pasjonował się jazzem i kuchnią. Zgromadził imponującą kolekcję płyt i podobno bardzo dobrze grał na saksofonie. Marzył o karierze aktora i przez pewien czas mieszkał w Hollywood, gdzie poznał Jean Harlow i inne ówczesne gwiazdy. Po powrocie do Indii wykleił ściany swojej sypialni zdjęciami słynnych aktorek. Nigdy się nie ożenił. Nie dane mu też było spełnić swojej ostatniej zachcianki i obejrzeć na żywo mistrzostw świata w piłce nożnej, które odbyły się w 1982 roku w Hiszpanii, ponieważ zachorował na raka i umarł 4 maja tegoż roku w szpitalu w New Delhi, mając sześćdziesiąt cztery lata.

Bibi Amrit Kaur umarła dwa lata po Anicie, 5 lutego 1964 roku, pokonana przez chorobę układu oddechowego. Miała siedemdziesiąt pięć lat. Nigdy nie przeboleła zabójstwa Gandhiego, mówiła, że w 1948 roku została „pozbawiona steru". Kremacja jej ciała nad rzeką Jamuną zgromadziła tłumy ludzi, którzy przez wiele godzin oddawali cześć jej prochom.

W 1975 roku Indira Gandhi zniosła ostatnie przywileje, jakie maharadzowie zachowali w zamian za pokojowe przyłączenie swoich księstw do Indii: ulgi podatkowe, dożywotnie pensje i tytuły. Dawni władcy stali się przedmiotem zainteresowania urzędów skarbowych, a czasem również policji, i zaczęli w popłochu wyprzedawać swoje pałace, meble i klejnoty. Ci, którzy zdołali wyjść z tego obronną ręką, przystosowali się do nowych czasów, jak mogli.

Niektórzy, na przykład maharadża Udajpuru, zamienili swoje siedziby na luksusowe hotele, inni zajęli się biznesem, a jeszcze inni służyli interesom nowych Indii, jak maharadża Dżajpuru i jego żona Gayatri Devi, przebywający przez wiele lat na placówce w Hiszpanii, albo maharadża Wankaneru, który poświęcił się ochronie tygrysów, kolejnemu, obok radzów, gatunkowi na wymarciu.

Jesienna miłość?

Po ukazaniu się pierwszego wydania tej książki zadzwoniła do mnie pewna starsza pani, Adelina.

- Jestem siostrzenicą Anity Delgado - wyszeptała słabym głosem. - Chciałabym się z panem zobaczyć.

Umówiliśmy się na następny tydzień. Czekając na spotkanie, usiłowałem się czegoś o niej dowiedzieć. Nigdy nie słyszałem ani nie czytałem o żadnej Adelinie Rodriguez. A jednak ton jej głosu i szczegóły, do których nawiązała podczas naszej rozmowy telefonicznej, świadczyły o tym, że faktycznie musiała mieć bliski kontakt z księżną Kapurthali.

Przyjęła mnie elegancko ubrana, z odziedziczonymi po Anicie klejnotami na szyi. Wysoka, szczupła, o cienkich palcach i przezroczystej skórze, miała miły uśmiech i andaluzyjski akcent. Z pewnością przekroczyła już osiemdziesiątkę.

Powiedziała, że doña Candelaria była ciotką jej babki. Poznały się z Anitą w 1927 w Maladze. W 1935 roku los zetknął je powtórnie, tym razem w Paryżu. Księżna Kapurthali mieszkała w luksusowym mieszkaniu przy alei Wiktora Hugo, Adelina - z ojcem, republikaninem, który musiał wyemigrować z Hiszpanii.

Miała dla mnie niespodziankę: cztery grube albumy w skórzanych oprawkach ze srebrnym herbem Kapurthali. Albumy, które nie były otwierane od lat trzydziestych. Reprodukcje niektórych fotografii, dzięki uprzejmości Adeliny i jej siostry Pepity, znalazły się w tym wydaniu.

Na wielu zdjęciach pojawiał się nieco młodszy od Anity mężczyzna.

- To mój ojciec - szepnęła Adelina. - Został sekretarzem księżnej.

Gines Rodriguez Fernandez de Segura pochodził z Malagi, z dobrej rodziny. Wcześniej owdowiał, miał trzy córki. Był agentem giełdowym, człowiekiem wykształconym, biegle znającym kilka języków. Przed emigracją, za czasów Lerroux, zasiadał w Kortezach. Adelina wspominała paryskie wygnanie z nostalgią:

- Mieszkaliśmy przy alei Marceau, niedaleko Anity. Widywaliśmy się z nią co dzień: razem robiliśmy zakupy, spędzaliśmy święta, to znaczy Boże Narodzenie, bo Trzech Króli nie obchodzi się we Francji tak jak w Hiszpanii,

jeździliśmy konno po Lasku Bulońskim, a przede wszystkim chodziliśmy do teatru. Miałam wtedy piętnaście lat, a księżna koło czterdziestki. Była bardzo ładna i bardzo miła.

- Czy pani ojciec i ona byli kochankami? - odważyłem się spytać. Adelina uśmiechnęła się, jakby zawstydzona.

- Tata został jej sekretarzem - powtórzyła.

Ale zdjęcia mówiły co innego. Pokazywały Ginesa i Anitę wychodzących pod rękę z Hotel du Palais w Biarritz albo idących razem jakąś ulicą w Paryżu lub Londynie. W końcu Adelina przyznała, że Anita Delgado była wielką miłością jej ojca. Ich romans zaczął się w 1936 roku. Po rozstaniu z mężem księżna Kapurthali znalazła rodzinę i mężczyznę, który dawał jej czułość i poczucie bezpieczeństwa. Dawna namiętność do Karana przekształciła się w niejasne wspomnienie. Nie widywali się już od pewnego czasu, nie mieli żadnych szans.

Z Ginesem natomiast nawiązała relację dojrzałą i stabilną. Zawsze był obok, w dodatku bardzo zakochany. Stopniowo stał się jej wiernym towarzyszem, gotowym pomóc w każdej sytuacji. Po zakończeniu wojny domowej wrócili razem do Madrytu. Oficjalnie mieszkali osobno, Gines z córkami przy Paseo de Rosales, Anita w swoim apartamencie przy ulicy Marques de Urquijo, pod numerem 26. Adelina pamiętała, jak w niedzielne popołudnia jeździli mercedesem Anity na wycieczki pod miasto. Utrzymywali swój związek w sekrecie, a przynajmniej się z nim nie afiszowali, ponieważ Anita bała się, by maharadża nie zmniejszył albo nie odebrał jej pensji.

Od początku 1962 roku Anita powoli umierała i pod koniec, jak opowiadała Adelina, „nie miała w sobie wcale życia”.

- Ojciec bardzo przeżył jej śmierć. Razem z Ajitem walczył o prawo do katolickiego pogrzebu. Nigdy się nie pozbierał.

Stracił ochotę do życia i wkrótce potem sam zachorował.

- Na serce, rzecz jasna, na cóż innego? - uśmiechnęła się melancholijnie Adelina.

Sześć lat później, 21 lutego 1968 roku umarł na zawał w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Zrozumiałem, że Adelina kochała Anitę jak matkę i że właśnie dlatego chciała przypomnieć tamte szczęśliwe czasy, dlatego do mnie zadzwoniła: żeby historia miłosna jej ojca i księżnej Kapurthali nie popadła w zapomnienie.

## Podziękowania

Na początku lat 80. mój przyjaciel, producent filmowy Felix Tusell po raz pierwszy wspomniał mi o Hiszpance, która wyszła za maharadżę. Dla takiego miłośnika Indii jak ja była to, oczywiście, nie lada gratka. Felix wręczył mi teczkę pełną starych fotografii i wycinków prasowych, a także książkę Anity Delgado, *Impressions de mes voyages en Inde*, i zaproponował mi, żebym napisał na tej podstawie scenariusz. Od razu zasiadłem do pracy i podczas gdy Felix bawił z rodziną na wakacjach w Kenii, naszkicowałem pierwszą wersję. Nigdy jej nie przeczytał, ponieważ nigdy nie wrócił z tej podróży. Zginął w wypadku samochodowym na szosie łączącej Mombasę z Nairobi. Wspominam go tu z ogromną wdzięcznością.

Porzuciłem ów projekt na ponad dwadzieścia lat, aż kiedyś Ana Rosa Semprun ponownie naprowadziła mnie na trop tej historii, za co chciałem jej bardzo podziękować. Podobnie jak moim wydawcom Adolfowi Garcii Ortedze i Elenie Ramirez, za ich zaufanie i wsparcie w czasie długich miesięcy, jakie zajęło mi pisanie.

Takiej książki jak ta nie da się napisać bez pomocy wielu ludzi. Szczególnie wdzięczny jestem swojej żonie Sicie za jej cierpliwość i nieodmiennie dobry humor. Gdy podróżowaliśmy po Pendżabie, była w piątym miesiącu ciąży, a mimo to ze stoickim spokojem znosiła czterdziestostopniowe upały.

Dziękuję Dominique Lapierre za to, że niezmordowanie zachęcał mnie do pisania o swoich przyjaciółach maharadżach. A także Larry'emu Levene za zachętę i celne uwagi.

Jestem również dłużnikiem Elisy Vazquez de Gey, autorki książki pod tytułem *Anita Delgado, Maharani de Kapurthala* (Planeta 1997). Gdyby nie informacje, pomysły i kontakty, którymi zechciała się ze mną podzielić Elisa, moje zadanie byłoby znacznie trudniejsze. Dziękuję też Laurze Garrido, Bernadette Lapierre, Carlosowi i Carolinie Moro, Christianowi i Patricii Boyerom oraz Cristinie Reguerze z madryckiego biura Air India.

Spośród przyjaciół z New Delhi pragnąłbym wspomnieć przede wszystkim o zawsze niezwykle pomocnym Amitabhie Kancie, wiceministrze turystyki w indyjskim rządzie. Bardzo pomogli mi też nasi starzy przyjaciele Kamal Pareek, Arvind i Jaya Shrivastava, Ashwini Kumar, Francis Wacziarg i Aman Nath, Niloufar Khan i Shahernaz Masood. Dziękuję Karanowi Singhowi, synowi maharadży Kaszmiru, i Madhukarowi Shahowi, dziedzicowi Orchy, za ciepłe przyjęcie. Wszystkim przedstawicielom domu panującego Kapurthali - księżnej Ushy, Martandowi Singhowi, Anicie Singh, Vishwajitowi Singhowi,

Sukhjitowi i Satrujitowi Singhom - dziękuję za cenne świadectwa. Dziękuję Rakeshowi i Sushili Dass za pozwolenie na publikację niektórych nieznanych zdjęć. Dziękuję Shri Madanowi Gopalowi z Pendżabu, dawnemu szefowi kapurthalskiej policji, Shivdularowi Dhillonowi z Patijali i Jagatjitowi Puriemu, dyrektorowi biura podróży w Czandigarhrze. Dziękuję Delnie Jasoomoney z Bombaju i sieci hoteli Tadź.

Dziękuję Charlesowi Allenowi z Londynu, autorowi najpełniejszych monografii poświęconych indyjskim książętom: *Lives of the Indian Princes* czy *Raj*, a *scrapbook of British India* - za kontakty, rady i gościnę.

Na koniec winien jestem podziękowanie Pedro Fernandezowi i Pilar Ortedze za pomoc w zdobyciu zdjęć Adeliny. Dziękuję Aurelie Maroniez, Susanie Garces i kompanii lotniczej KLM, dzięki której książka ta w ogóle powstała.



## Bibliografia

Anita Delgado, Maharani de Kapurthala, Elisa Vazquez de Gey, Planeta, Barcelona 1997.

De parte de la princesa muerta, Kenize Mourad, Muchnik Editores, Barcelona 1988.

Edwina Mountbatten, Bertrand Meyer-Stabley, Bartillat, Paryż 1997.

El amor en los tiempos de cólera (Miłość w czasach zarazy), Gabriel Garda Marañez, Círculo de Lectores, Barcelona 1985.

Esta noche la libertad, Dominique Lapierre i Larry Collins, Plaza y Janés, Barcelona 1997.

Exploring Sikhism, W.H. McLeod, Oxford University Press, 2000. Hindu Manners, Customs and Ceremonies, Abbe Dubois, Book Faith India, New Delhi 1999.

His Highness Sir Jagatjit Singh, Maharajah of Kapurthala, Diaries of the Maharaja of Kapurthala, British Library, Londyn.

History of Bhopal State, Kamla Mittal, Munshiram Manoharlal, New Delhi, 1990.

History of the Sikhs, Hari Ram Gupta, Munshiram Manoharlal, New Delhi, 1995.

India of the Princes, Rosita Forbes, Travel Book Club, Londyn 1939. Indian Tales of the Raj, Zareer Masani, BBC Books, Londyn 1987. Kamasutra, the Erotic Art of India, Pavilion Books, Londyn 2002. La India impudica de los Maharajas, Vitold de Gollish, Ed. Euros, Barcelona 1974.

La maharani española, Antonina Moreno, Historia y Vida, Madryt 1976. Lives of the Indian Princes, Charles Allen i Sharada Dwivedi, Century Publishing, Londyn 1984.

Maharajas, Jarmani Dass, Hind Books, New Delhi 1971. Maharani, Elaine Williams, Henri Holt, Nowy Jork 1954. Maharani, Jarmani Dass, Hind Books, New Delhi 1975.

Maharanis, Lucy Moore, Viking, Londyn 2004. Monsoon, Steve Curry, Timeless, New Delhi 1988. One Last Look, Susanna Moore, Knopf, Nowy Jork 2003. Plain Tales from the Raj, Charles Allen, Holt, Rinehart and Winston, Nowy Jork 1975.

Race, Sex and Class under the Raj, Kenneth Ballhatchet, Weidenfeld and Nicholson, Londyn 1980.

Raj, a Scrapbook of British India, Charles Allen, Penguin, Londyn 1987.

Raj, the Making of British India, Lawrence James, Abacus, Londyn 1997.

- Recuerdos de unaprincesa, Gayatri Devi, Ed. Juventud, Barcelona 1993.
- Sardar Jassa Singh Ahluwalia, Ganda Singh, Punjab University, Patijala 1990.
- Song Song True, Malkha Puhraj, Kali for Women, New Delhi 2001. The Age of Kali, William Dalrymple, Flamingo, Londyn 1998. The Arts of the Sikh Kingdoms, red. Susan Stronge, V&A, Londyn 1999. The British Raj and the Indian Princes, Ian Copland, Orient Longman, Hajdarabad 1982.
- The Invisibles, Zia Jaffrey, Vintage, Nowy Jork 1996. The Last Days of the Raj, Trevor Royle, John Murray, Londyn 1997. The Last Nizam, V. K. Bawa, Penguin, New Delhi 1991. The Life of Mahatma Gandhi, Louis Fischer, Harper Collins, Londyn 1997. The Magnificent Maharaja, K. Natwar-Singh, Harper Collins, New Delhi 1998.
- The Maharaja. Princely States of India, Sharada Diwedi, Roli Books, New Delhi 2001.
- The Maharajahs, John Lord, Random House, Nowy Jork 1971.
- The Maharajas of India, Ann Morrow, Srishti Publishers, New Delhi 1998.
- The Nababs, Percival Spear, Oxford Paperback, Londyn 1963.
- The Princes of India in the Endgame of Empire, Ian Copland, Cambridge University Press, 1999.
- The Sikhs, Patwan Singh, Rupa, New Delhi 1999.
- Train to Pakistan, Kushwant Singh, Ravi Dayal, 1988.
- White Mughals, William Dalrymple, Penguin, New Delhi 2002.
- Wicked Women of the Raj, Coralie Younger, Harper Collins, Nowy Jork 2003.
- Women of the Raj, Margaret Macmillan, Thames and Hudson, Londyn 1996.